

Markus Zusak

ZŁODZIEJKA KSIĄŻEK

przekład Hanna Baltyn

[Dedykacja:] Dla Elisabeth i Helmuta Zusaków z miłością i podziwem

PROLOG

GÓRY RUIN

w którym narrator przedstawia:

siebie – barwy – złodziejkę książek

ŚMIERĆ I CZEKOLADA

Najpierw kolory.

Potem ludzie.

Tak to widzę.

A przynajmniej próbuję.

DROBNA UWAGA

Na pewno umrzecie

Szczerze pragnę pogodnie podchodzić do tematu, choć większości ludzi trudno w to uwierzyć, niezależnie od tego, jak się staram. Błagam, uwierzcie mi. Ja naprawdę, autentycznie potrafię być wesoły. I przyjacielski. I sympatyczny. I życzliwy. A to dopiero początek wyliczanki. Tylko nie proście mnie, żebym był miły. Ta cecha nie ma ze mną nic wspólnego.

REAKCJE NA WYŻEJ STWIERDZONY FAKT

Czy to was niepokoi?

Namawiam – nie bójcie się.

Ja nigdy nie postępuję nie fair.

Ale, ale, przecież musi być wstęp.

Początek.

Gdzie moje maniery?

Mógłbym wam się przedstawić w sposób formalny, ale to chyba nie jest konieczne. Poznacie mnie wystarczająco dobrze i wystarczająco szybko, w zależności od różnorodnych czynników. Wystarczy, że powiem, iż w pewnym momencie stanę nad wami z całą sympatią. Ukołyszę wasze dusze, z barwą przycupniętą na ramieniu. Delikatnie zabiorę was ze sobą.

Będziecie wtedy w pozycji leżącej (ludzie rzadko umierają, stojąc). Będziecie zaskorupiali we własnym cieple.

Kiedy was zobaczą, będą wrzeszczeć wniebogłosy. Jedynym dźwiękiem, jaki ja usłyszę, będzie mój własny oddech, echo zapachu, tupot moich kroków.

Pytanie, jaką barwę będzie miało wszystko dokoła, kiedy po was przyjdę. Co będzie wyrażać niebo?

Osobiście lubię niebo koloru czekolady. Ciemnej, gorzkiej czekolady. Ludzie mówią, że ta barwa do mnie pasuje. Ale staram się równie przychylnie traktować wszystkie barwy tęczy i ich odcienie. Miliardy smaków, które niebo powoli wsysa. To obłaskawia stres. Pomaga mi się zrelaksować.

TEORYJKA

Ludzie zauważają kolory dnia jedynie na jego początku i końcu, choć dla mnie jest oczywiste, że zmieniają się one z każdą chwilą, w całej mnogości odcieni i tonacji. Jedna godzina może się składać z tysięcy różnych barw. Woskowych żółcieni i chmurnych błękitów. Mrocznych ciemności. Mam taką pracę, że muszę to zauważać.

Jak już napomknąłem, mam dar rozpraszania uwagi. To trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Dzięki temu jakoś sobie radzę, zważywszy, jak długo już wykonuję swoją pracę. No, ale kto mógłby mnie zastąpić? Kto mógłby przejąć obowiązki, kiedy ja bym odpoczywał na wakacjach w modnym kurorcie, czy to w tropikach, czy na nartach? Odpowiedź brzmi: nikt. Podjąłem więc świadomą, celową decyzję – rozpraszam się i to są moje wakacje. Nie trzeba dodawać, że odpoczywam w kolorach.

Wciąż jednak może was ciekawić odpowiedź na pytanie: dlaczego on w ogóle potrzebuje wakacji? Od czego pragnie się oderwać?

Przechodzę więc do następnego punktu.

Chodzi o ludzkie resztki.

O ocalonych.

Nie mogę znieść patrzenia na nich, choć często się poddaję. Celowo szukam kolorów, by oderwać od nich myśli, ale wciąż się zdarza, że podglądam kogoś, kto został z tyłu i miota się w układance rozpoznania, rozpaczy i zaskoczenia. Ci ludzie mają podziurawione serca i rozbite płuca.

To mi każe wrócić do tematu, o którym będę wam dzisiaj opowiadać, w dzień czy w nocy, w dowolnej godzinie i w dowolnym kolorze. Będzie to historia osoby, która należy do wiecznych ocalonych, ekspertki w byciu zostawianą w tyle.

To nie jest skomplikowana historia. Składa się z:

- dziewczynki
- pewnej liczby słów
- akordeonisty
- niemieckich fanatyków
- żydowskiego boksera
- licznych kradzieży.

Trzy razy napotkałem złodziejkę książek.

PRZY TORACH KOLEJOWYCH

Najpierw robi się białe. Oślepiająco białe.

Niektórzy z was mogą uważać, że biel to nie kolor i pleść różne takie wyświechtane bzdury. Otóż zamierzam was przekonać, że to jednak kolor. Nie ma wątpliwości, że to kolor – osobiście myślę, że nie będziecie chcieli się ze mną sprzeczać.

OPTYMISTYCZNE ZAPEWNIENIE

Proszę, bądźcie spokojni, mimo mojej wcześniejszej groźby.

To tylko takie strachy na Lachy.

Nie stosuję przemocy.

Nie ma we mnie podłości.

Jestem skutkiem.

Tak, biel.

Wydawało się, że całą Ziemię spowija śnieg. Okrywa ją tak szczelnie, jak sweter okrywa ciało. Obok torów kolejowych widać było głęboko zapadnięte ślady. Drzewa otulały lodowe pledy.

Jak się możecie spodziewać, ktoś umarł.

Nie mogli go po prostu zostawić na ziemi. Chwilowo nie był to problem, ale niebawem tor przed lokomotywą zostanie oczyszczony, a pociąg będzie musiał ruszyć swoją drogą.

Było tam dwóch strażników.

Były matka i córka.

Zwłoki.

Matka, córka i zwłoki uparcie milczały.

– No dobra, co jeszcze mam zrobić?

Jeden strażnik był wysoki, drugi niski. Wysoki zawsze odzywał się pierwszy, choć to nie on dowodził. Popatrzył na małego tłuściocha z nabrzmiałą, czerwoną twarzą.

– No przecież nie możemy ich tak zostawić – padła odpowiedź.

– Dlaczego nie? – zniecierpliwił się wysoki.

Na to mały omal nie eksplodował. Spojrzał z dołu na podbródek wysokiego i wrzasnął:

– *Spinnst du? Zwariowałaś?* – Na jego obrzmiałej twarzy odmalowała się odraza. – Idziemy – powiedział, przedzierając się przez śnieg. – Odtaszczymy wszystkich troje z powrotem, jeśli będzie rozkaz. Zgłosimy to na następnej stacji.

Jeśli o mnie chodzi, zdążyłem już popełnić zupełnie podstawowy błąd. Nie umiem wam nawet powiedzieć, jak bardzo byłem z siebie niezadowolony. Z początku wydawało się, że wszystko idzie jak należy: Wpatrywałem się w oślepiająco białe niebo, rozciągające się za oknem pociągu. Wdychałem je, ale i tak czułem się osłabiony. Potem

sprzeniewierzyłem się sobie – wykazałem zainteresowanie. Dziewczynką. Ciekawość wzięła górę nad poczuciem obowiązku. Zrezygnowałem z rutynowych działań i zacząłem ją obserwować. Dwadzieścia trzy minuty później, kiedy pociąg stanął, wyskoczyłem wraz z nimi. W ramionach trzymałem małą duszyczkę. Stałem po prawej stronie.

Dynamiczna para strażników zawróciła do matki, dziewczynki i małego chłopięcego ciała. Dobrze pamiętam, że tego dnia mój oddech był głośny. Aż się dziwię, że strażnicy nie zwrócili na to uwagi, kiedy mnie mijali. Świat ugiął się pod ciężarem wielkiej ilości śniegu.

Około dziesięciu metrów na lewo ode mnie stała blada, wygłodniała i zmarznięta dziewczynka.

Jej usta drżały ze zdenerwowania.

Miała splecione ręce.

Na policzkach złodziejki książek zamarzały łzy.

ZACMIENIE

Teraz będzie znak czerni, żeby wam pokazać całą skalę moich możliwości. Najciemniejsza chwila przed świtem. Tym razem przyszedłem po młodego, dwudziestoczteroletniego mężczyznę. Na swój sposób była to piękna sprawa. Samolot się krztusił. Dym buchał z obu jego płuc. Kiedy się rozbił, w ziemi powstały trzy głębokie bruzdy. Jego skrzydła były teraz jak ucięte ramiona. Mały, metalowy ptak już nie polata.

KOLEJNE DROBNE UWAGI

Czasem przybywam zbyt wcześnie.

Spieszę się, a ludzie czepiają się życia dłużej, niż przewidywałem.

Po kilku minutach dym się rozwiął. Nic nie zostało.

Pierwszy przybiegł zasapany chłopak z czymś, co wydawało się skrzynką na narzędzia. Ze zgrozą zbliżył się do kokpitu i patrzył na pilota, próbując ocenić, czy ten jeszcze żyje – a w tym momencie wciąż żył. Złodziejka ksiązek przybiegła jakieś trzydzieści sekund później.

Minęły lata, ale ją rozpoznałem.

Oddychała ciężko.

Chłopak wyjął ze skrzynki pluszowego niedźwiadka.

Sięgnął przez rozbitą szybę i położył go na piersi pilota. Uśmiechnięty miś siedział na okrwawionym ciele. Parę minut później skorzystałem z okazji. Nadszedł właściwy czas.

Podszedłem, uwolniłem duszę pilota i delikatnie ją stamtąd uniosłem.

Pozostał tylko trup, słabnący swąd dymu i uśmiechnięty pluszowy miś.

Kiedy zebrał się tłum, wszystko się zmieniło. Horyzont nabierał barwy grafitu. Z czerni pozostały tylko smugi, a i te szybko znikaly.

Człowiek, dla porównania, miał kolor kości. Jego skóra była barwy szkieletu. Mundur w nieładzie. Zimne, brązowe oczy – jak plamy po kawie. Ostatni znak na niebie uformował się w dziwny, lecz znajomy mi kształt. Podpis.

Tłum zachowywał się tak, jak zwykle zachowuje się tłum.

Kiedy przeciskałem się między ludźmi, stali, uprawiając grę w ciszę. Tu i tam drgnęła jakaś ręka, padło wypowiedziane stłumionym głosem zdanie. Ludzie obracali się w milczeniu.

Kiedy odwróciłem się, by spojrzeć na samolot, otwarte usta pilota uśmiechały się.

Ostatni ponury żart.

Kolejna puenta ludzkiego losu.

Pilot trwał w całunieniu swego uniformu, kiedy niebem zawładnęła szarość. Jak w wielu innych przypadkach, kiedy zacząłem się wycofywać ze sceny, przemknął przez nie cień, ostatnie zaćmienie – znak, że kolejna dusza odeszła.

Trzeba wam wiedzieć, że w takich chwilach, prócz wszystkich barw dotykających mój obraz świata, łapię obraz
zaćmienia, gdy umiera człowiek.

Widziałem je milion razy.

Widziałem więcej zaćmień, niż można spamiętać.

FLAGA

Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, było czerwono. Niebo gotowało się i bulgotało jak zupa. W kilku miejscach było przypalone. Na tle czerwieni czarne płatki sadzy wyglądały jak ziarnka pieprzu.

Wcześniej na ulicy, która teraz wyglądała niczym zatłuszczony papier, dzieci grały w klasy. Kiedy przybyłem, wciąż dało się słyszeć echo. Echo skaczących po asfalcie stóp, roześmianych dziecięcych głosów i uśmiechów, jak sól, która się szybko rozpuszcza.

A potem spadły bomby.

Tym razem na wszystko było za późno.

Syreny. Urywany ryk syren w głośnikach. Wszystko za późno.

W ciągu paru minut utworzyły się góry betonu i ziemi. Ulice stały się popękanymi żyłami. Krew płynęła, aż wreszcie przyschła na drodze. Ciała leżały jak kawałki drewna po potopie.

Przyklejone do ziemi, co do jednego. Wiązka dusz.

Czy to przeznaczenie?

Pech?

Co sprawiło, że rozpląszczyli się na ziemi?

Nie.

Nie wygadujmy głupstw.

Przyczyną prawdopodobnie były bomby, miotane z góry przez ludzi ukrytych w chmurach.

Tak, niebo było teraz barwy zanieczyszczonej, przypalonej czerwieni. Małe niemieckie miasteczko po raz kolejny zostało rozbite na kawałki. Płatki popiołu opadały tak rozkosznie, że miało się ochotę wyciągnąć język, by je złapać i polizać. Tylko że wtedy poparzyłyby wargi i popiekły usta.

Widzę to jasno.

Już miałem odejść, kiedy zobaczyłem, jak tam klęczy.

Wokół niej ktoś narysował, zaprojektował, wzniósł górę ruin. Dziewczynka ścisnęła w rękach książkę.

Złodziejka książek najbardziej chciała wrócić do schronu, żeby pisać lub po raz ostatni przeczytać swoją historię.

Przypominam sobie taki właśnie, oczywisty wyraz jej twarzy. Umierała z pragnienia bezpieczeństwa, schronienia – ale nie była w stanie się ruszyć. Poza tym jej piwnica już nie istniała. Była częścią zrujnowanego pejzażu.

Błagam was jeszcze raz, uwierzcie mi.

Chciałem się zatrzymać, przykucnąć przy niej.

Powiedzieć: Przykro mi, dziecińko.

Ale tego mi nie wolno.

Nie przykucnałem. Nie odezwałem się.

Zamiast tego przyglądałem jej się przez jakiś czas. Gdy zdołała się ruszyć, poszedłem za nią.

Wypuściła z rąk książkę.

Uklękła.

Złodziejka książek zaczęła wyc.

Ludzie deptali po jej książce, kiedy zaczęto uprzątać gruzy. I choć wydano rozkazy, by usuwać tylko zwały betonu, najcenniejszy skarb dziewczynki też wylądował na ciężarówce z gruzem. Odebrałem to jako wyzwanie.

Wskoczyłem na budę i podniosłem książkę, nie zdając sobie sprawy, że w ciągu następnych lat będę do niej zaglądał tysiące razy. Że będę szukał punktów, w których skrzyżowały się nasze drogi, i dziwił, co ta dziewczynka widziała i jakim cudem przeżyła. To najlepsze, co mogę zrobić – sprawdzić, czy wszystko się zgadza z tym, co sam wtedy widziałem.

Kiedy ją sobie przypominam, widzę obszerną paletę barw, ale trzy z nich, w których ją widziałem bezpośrednio, budzą najmocniejsze echo. Kiedy o nich myślę, zdarza mi się unosić w powietrze i pływać nad tymi trzema momentami. Pozostaję w zawieszeniu, póki nie wyklaruje się trująca prawda.

Tak się formują.

BARWY

CZERWONA: [symbol] **BIAŁA:** [symbol] **CZARNA:** [symbol]

Tworzą piramidę. Zamazany czarny znak na oślepiającej, globalnej bieli, a ta z kolei na gęstej, czerwonej zupie.

Tak, często ją wspominam, a w jednej z mych niezliczonych kieszeni noszę zawsze jej historię, by móc ją opowiedzieć. To tylko jedna z wielu historii, a każda jest wyjątkowa i niezwykła. Każda jest świadectwem wysiłku – ogromnego wysiłku – by udowodnić mi, że wy i wasza ludzka egzystencja macie wartość.

Oto historia. Jedna z wielu.

Złodziejka książek.

Jeśli macie ochotę, chodźcie ze mną. Opowiem wam ją.

I pokażę wam coś.

CZEŚĆ PIERWSZA

PODRĘCZNIK GRABARZA

Występują:

Himmelstrasse – sztuka ociągania się – kobieta z żelazkiem w garści – próba pocałunku – Jesse Owens – papier ścierny – zapach przyjaźni – czempion wagi ciężkiej – *Watschen*

PRZYJAZD NA HIMMELSTRASSE

Ostatni raz.

Tamto czerwone niebo...

Co się stanie ze złodziejką książek, klęczącą i wyjącą wśród ruin, groteskowych, tłustych, wysmażonych przez ludzi?

Kilka lat wcześniej wszystko zaczęło się od śniegu.

Nadszedł czas.

WYJĄTKOWO TRAGICZNY MOMENT

Pociąg pędził.

Był wypakowany ludźmi.

W trzecim wagonie umarł sześciolatek chłopiec.

Złodziejka książek i jej brat jechali do Monachium, gdzie mieli być oddani na wychowanie przybranym rodzicom. Wiemy już, że chłopiec nie przeżył tej drogi.

JAK TO SIĘ STAŁO

Najpierw był atak silnego kaszlu.

Nieomal sprowokowany atak.

A zaraz potem – nic.

Kiedy kaszel ustał, nie było już niczego poza nicością życia pulsującego z szelestem i niemal bezgłośnym drganiem. Nagłość wypełzła na usta chłopca, rdzawobrunatne i spękane jak stare malowidło, w desperackiej potrzebie renowacji.

Matka spała.

Wszedłem do pociągu.

Minąłem zatarasowany korytarz i w jednej chwili położyłem chłopcu dłoń na ustach.

Pociąg pędził przed siebie.

Nikt niczego nie zauważył.

Z wyjątkiem dziewczynki.

Z jednym okiem otwartym, drugim wciąż śniącym, złodziejka książek, znana także jako Liesel Meminger, niewątpliwie zauważyła, że jej młodszy brat Werner przewrócił się na bok i umarł.

Jego błękitne oczy były wbite w podłogę.

Niczego nie widziały.

Zanim złodziejka książek się obudziła, śniła o Führerze, Adolfie Hitlerze. We śnie była na zjeździe, gdzie przemawiał; patrzyła na jego przedziałek w kolorze czaszki i nieskazitelny kwadracik wąsów. Słuchała z zadowoleniem strumienia słów wylewającego się z jego ust. Zdania pały poświatą. W chwili przerwy przykucnął

i uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech i powiedziała: *Guten Tag, Herr Führer. Wie geht's dir heut?* Nie umiała dobrze mówić ani nawet pisać, bo rzadko chodziła do szkoły. A dlaczego tak było, miała się dowiedzieć w swoim czasie.

A kiedy Führer już miał jej odpowiedzieć, ocknęła się.

Był styczeń 1939 roku. Miała dziewięć lat, zbliżały się jej dziesiąte urodziny.

Jej brat był martwy.

Jedno oko otwarte.

Drugie wciąż we śnie.

Byłoby lepiej, gdyby twardo spała, ale na takie rzeczy naprawdę nie mam wpływu.

Drugie oko otworzyło się nagle i przyłapała mnie, nie mam wątpliwości. Dokładnie w chwili, gdy klęknąłem, by zabrać duszę i złożyć ją lekko w mych nabrzmiałych ramionach. Dusza ogrzała się szybko, choć gdy tylko ją wyjąłem, była miękka i zimna jak lody. Zaczęła roztopiać się w mych ramionach, rozgrzewać. Zdrowieć.

Liesel Meminger zeszytywniała i myśli zaczęły jej się mącić. *Es stimmt nich.* To się nie dzieje. To nie może się dziać.

Dreszcze.

Dlaczego to zawsze tak nimi wstrząsa?

Tak, wiem, wiem, sądzę, że to ma coś wspólnego z instynktem. Zatomować strumień prawdy. Jej serce w tym momencie zrobiło się śliskie i gorące. I głośnie, głośnie, takie głośnie.

Ogłupiały, stanąłem i patrzyłem.

Teraz matka.

Obudził ją taki sam spazm rozpacz.

Jeśli chcecie to sobie wyobrazić, pomyślcie o niezręcznej ciszy. O strzępkach, kawałeczkach nadpływającej desperacji, utopionej w pociągu.

Śnieg padał uporczywie i pociąg do Monachium musiano zatrzymać, by oczyścić tory. Kobieta zawodziła. Przy niej jak sparaliżowana stała dziewczynka.

Matka w panice otworzyła drzwi.

Wyskoczyła prosto w śnieg z małym ciałkiem w ramionach.

Dziewczynka musiała iść za nią, bo co miała robić?

Jak już wam wiadomo, z pociągu wysiadło także dwóch strażników. Klócili się, co należy zrobić. Mówiąc ogólnie, sytuacja była przykra. Postanowiono, że cała trójka zostanie odstawiona do następnej stacji i pozostawiona tam, by załatwić to, co konieczne.

Tym razem pociąg wlokł się przez zaśnieżoną krainę, utykając.

Poturlał się i stanął.

Wysiadły na peronie, martwy chłopiec w ramionach matki.

Stały.

Ciało robiło się coraz cięższe.

Liesel nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Dookoła było białe. Stały na stacji, patrzyła na wyblakłe litery napisu. Dla Liesel było to miasto bez nazwy – tu właśnie w dwa dni później pochowano jej brata Wenera. Świadkiem pogrzebu był ksiądz i para trzęsących się z zimna grabarzy.

SPOSTRZEŻENIE

Para strażników.

Para grabarzy.

Kiedy przychodziło co do czego, jeden wydawał rozkazy.

Drugi je wykonywał.

Pytanie: co się dzieje, kiedy zamiast tego drugiego jest wielu?

Błędy, błędy, wydaje mi się, że jestem zdolny wyłącznie do popełniania błędów.

Przez dwa dni zajmowałem się swoją robotą. Przemierzałem glob jak zwykle, układając dusze na pasie transmisyjnym do wieczności. Patrzyłem, jak posłusznie się toczą. Parę razy powtarzałem sobie, że powinienem się trzymać z daleka od pogrzebu brata Liesel Meminger. Ale okazało się, że nie zważam na własne przestrogi. Już z daleka zauważyłem małą grupkę ludzi, sztywno stojących pośród niezmierzonej śnieżnej połaci. Na cmentarzu poczułem się jak w domu i już po chwili byłem przy nich. Schyliłem głowę.

Grabarze, stojący na lewo od Liesel, zacierali ręce, narzekając na śnieg i fatalne warunki do kopania. „Nie da rady przebić się przez ten lód” i tym podobne. Młodszy z nich nie miał więcej niż czternaście lat. Czeladnik. Kiedy odchodził, nie zauważył, że z kieszeni wypadła mu książka w czarnej oprawie.

Po kilku minutach matka Liesel i ksiądz też zaczęli zbierać się do odejścia. Kobieta dziękowała kapłanowi za odprawienie ceremonii pogrzebowej.

Dziewczynka została.

Uklękła w śniegu. Nadeszła właściwa chwila.

Ciągle nie wierząc, zaczęła kopać. On nie mógł być martwy. Nie mógł być martwy. Nie mógł...

Po paru sekundach śnieg zaczął wżerać się jej w skórę.

Dłonie spłynęły zmrożoną krwią.

Gdzieś w tym śniegu leżało jej złamane serce, pęknięte na pół. Każda połówka świeciła i tętniła pod białą powierzchnią. Zrozumiała, że matka wróciła po nią, dopiero kiedy poczuła jej rękę na ramieniu. Została odciągnięta. Gorący wrzask wypełnił jej gardło.

RZUT OKA DWADZIEŚCIA METRÓW DALEJ

Kiedy szamotanina się skończyła, matka i dziewczynka przystanąły, oddychając ciężko.

W śniegu tkwił prostokątny, czarny przedmiot.

Zauważyła go jedynie dziewczynka.

Schyliła się i podniosła go, mocno zaciskając palce.

Na okładce były srebrne litery.

Trzymały się za ręce.

Nastąpiło ostatnie pożegnanie, a potem odwróciły się i opuściły cmentarz, kilka razy oglądając się za siebie.

Ja zostałem trochę dłużej.

Pomachałem im.

Nikt nie odmachał.

Po odejściu z cmentarza matka i córka poszły na stację, by złapać następny pociąg do Monachium.

Obie były blade i chude.

Obie miały opryszczkę na ustach.

Liesel zauważyła to w brudnej, zaparowanej szybie pociągu, kiedy wreszcie, tuż przed południem, do niego wsiadły. Cytując słowa, które napisała sama złodziejka książek, ich podróż trwała dalej, jakby *wszystko* się stało.

Kiedy pociąg wtoczył się na dworzec w Monachium, pasażerowie wysypali się z niego jak towar z rozdartego opakowania. Byli tam najrozmaitsi ludzie, ale najłatwiej było rozpoznać biedotę. Biedacy ani przez chwilę nie stali w miejscu, jakby przemieszczanie się było remedium na ich stan. Ignorowali fakt, że na końcu podróży czeka ich nowa wersja starych problemów, jak niemiły krewny, którego brzydzimy się ucałować.

Sądzę, że jej matka wiedziała o tym aż nadto dobrze. Nie wiozła swych dzieci do Monachium po to, by zrobiły karierę, ale przynajmniej jasne było, że znalazła się rodzina zastępcza, którą stać było na wykarmienie dziewczynki i chłopca, na zapewnienie im odpowiedniej edukacji.

I chłopca.

Liesel była pewna, że matka niesie wspomnienie o nim jak bagaż na plecach. Upuściła zwłoki. Ręce, nogi i całe ciało klapnęło na peron.

Jak ta kobieta mogła chodzić?

Jak w ogóle mogła się ruszać?

Tych spraw nigdy nie rozumiałem i nie zrozumieć – ile ludzie są w stanie znieść.

Podniosła go i poszła dalej z dziewczynką u boku.

Odbyło się spotkanie z urzędnikami i padły drażliwe pytania o spóźnienie i o chłopca. Liesel wcisnęła się w kąt małego, zakurzonego biura, podczas gdy jej matka, z myślami ściśniętymi jak pięści, siedziała na bardzo twardym krześle.

Nastąpiło chaotyczne pożegnanie.

Popłynęły łzy. Głowa dziewczynki zanurzyła się we włochate fałdy znoszonego płaszcza matki. Znowu trzeba ją było odciągać.

Kawałek drogi za przedmieściami Monachium leżało miasteczko Molching (co wymawia się „Molking”). Tam właśnie ją zabrano, na ulicę o nazwie Himmel.

TLUMACZENIE

Himmel = niebo

Ktokolwiek nazwał tę ulicę Niebiańską, musiał mieć spory zmysł ironii. Nie żeby to było jakieś piekło, bo nie było. Ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli to było niebo.

Tak czy owak, nowi rodzice Liesel oczekiwali jej.

Hubermannowie.

Czekali na dziewczynkę i chłopca, za których utrzymanie mieli otrzymywać co miesiąc pewną sumę pieniędzy.

Nikt nie miał dość odwagi, by poinformować Rosę Hubermann, że chłopiec nie przeżył podróży. W istocie nikt nigdy nie miał ochoty z nią rozmawiać. Jej usposobienie nie było godne pozazdroszczenia, choć miała w przeszłości pewne sukcesy w wychowaniu przybranych dzieci. Niejedno z nich wyprowadziła na ludzi.

Dla Liesel jazda samochodem to było coś.

Nigdy przedtem nie jechała autem.

Żołądek co rusz podchodził jej do gardła. Żywiła daremną nadzieję, że urzędnicy pomylą drogę albo zmienią zdanie. Przede wszystkim dlatego, że nie mogła oderwać się myślami od matki, która stała na dworcu, czekając na pociąg. Trzęsąc się z zimna. Okutana podszytym wiatrem płaszczem. Na pewno czeka, obgryzając z nerwów paznokcie. Na pewno peron jest długi i nieprzytulny – plaster zimnego betonu. Czy w drodze powrotnej wyjrzy przez okno, mijając cmentarz, gdzie pochowała syna? Czy może zaśnie ciężkim snem?

Samochód jechał naprzód, a w nim Liesel, przerażona przed ostatnim, śmiertelnym zakrętem.

Dzień był szary, jak cała Europa.

Samochód otaczała kurtyna deszczu.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała z uśmiechem Frau Heinrich, urzędniczka odpowiedzialna za umieszczanie dzieci w nowych rodzinach. – *Dein neues Heim*. To twój nowy dom.

Liesel zrobiła palcem kółko na zaparowanej szybie i wyjrzała na zewnątrz.

ZDJĘCIE HIMMELSTRASSE

Budynki przyklejone jeden do drugiego, przeważnie małe domki i depresyjne kamienice.

Brudny śnieg zalegający ulicę jak dywan.

Beton, gołe drzewa i szare powietrze.

W samochodzie był jeszcze mężczyzna. Został z dziewczynką, gdy Frau Heinrich znikła za drzwiami domu. Nie odzywał się. Liesel domyślała się, że przyjechał, by jej pilnować, gdyby chciała uciec, lub obezwładnić ją, gdyby zaczęła się rzucać. Później jednak, gdy naprawdę zaczęła sprawiać kłopoty, mężczyzna po prostu siedział i patrzył. Być może był ostatnią, ostateczną deską ratunku.

Po kilku minutach na dwór wyszedł bardzo wysoki człowiek. Był to Hans Hubermann, który miał zostać przybrany ojcem Liesel. U jego boku kroczyła kobieta średniego wzrostu – Frau Heinrich. U drugiego boku – przysadzista Rosa Hubermann, która wyglądała jak mała szafa okryta płaszczem. Miała wyraźnie kaczę chód. Miałby on nawet swój urok, gdyby nie jej twarz przypominająca zgnieciony karton, z wiecznie niezadowoloną

miną, jakby z najwyższym trudem znosiła swoje otoczenie. Jej mąż szedł prosto, z dymiącym, własnoręcznie skręconym papierosem między palcami.

Stwierdzenie faktu:

Liesel nie chciała wysiąść z samochodu.

– *Was ist los mit dem Kind?* – zażądała wyjaśnień Rosa Hubermann. Powtórzyła pytanie: Co się dzieje z tym dzieckiem? Weisnęła twarz w drzwi auta. – *Na, komm. Komm.*

Przednie siedzenie podjechało do przodu. Korytarz zimnego światła wabił na zewnątrz. Liesel ani drgnęła.

Przez wytarte kółko na szybie widziała palce wysokiego mężczyzny, wciąż trzymające papierosa. Na jego końcu zbierał się popiół, który spadał na ziemię dopiero po kilku zaciągnięciach. Prawie kwadrans wyciągano ją z samochodu. Zrobił to wysoki mężczyzna.

Spokojnie.

Uczepiła się sąsiedniej bramy.

Z oczu popłynęły jej strugi łez; trzymała się mocno i odmawiała wejścia do domu. Zgromadzeni na ulicy ludzie gapili się, póki Rosa Hubermann nie zaczęła ich wyzywać. Wtedy poodwracali się i każdy poszedł w swoją stronę.

PRZEKŁAD WYPOWIEDZI

ROSY HUBERMANN?

Na co się, dupki, gapicie?

W końcu Liesel Meminger ostrożnie weszła do środka. Hans Hubermann prowadził ją za rękę, w drugiej niosąc jej niewielką walizkę. Pod ubraniami schowana była mała czarna książka, którą, jak już wiemy, zgubił czternastoletni grabarz w mieście bez nazwy i której zapewne długo i bezskutecznie poszukiwał. „Przysięgam – musiał mówić swemu szefowi – że nie mam bladego pojęcia, co się z tym stało. Szukałem wszędzie, dosłownie wszędzie!” Z pewnością nigdy by nie podejrzewał o kradzież dziewczynki, a jednak to ona ją miała – czarną książkę ze srebrnym tytułem, która spoczywała pod sufitem odzieży:

PODRĘCZNIK GRABARZA

Dwanaście kroków

do sukcesu w kopaniu grobów

Wydawca: Bawarskie Towarzystwo Cmentarne

Była to pierwsza akcja złodziejki książek i początek jej błyskotliwej kariery.

Tak, błyskotliwej kariery.

Muszę przyznać, że pomiędzy kradzieżą pierwszej i drugiej książki była długa przerwa. Godne odnotowania jest również to, że pierwsza książka została wykradziona ze śniegu, a druga z ognia. Nie można też pominąć podarunków. Tak czy inaczej, Liesel była posiadaczką czternastu książek, ale według niej naprawdę liczyło się tylko dziesięć. Spośród tych dziesięciu sześć pochodziło z kradzieży, jedna została znaleziona na kuchennym stole, dwie sporządził dla niej ukrywający się Żyd, a jedną dostarczyło miękkie, ustrojone na żółto popołudnie. Kiedy zdecydowała się opisać swoją historię, rozważała dokładnie, od kiedy książki i słowa zaczęły znaczyć nie tylko to, co znaczyły, lecz wszystko. Czy stało się to wówczas, kiedy ujrzała pokój wypełniony półkami pełnymi książek? Czy może wtedy, kiedy na Himmelstrasse zjawił się Max Vandenburg z naręczem cierpienia i egzemplarzem *Mein Kampf* Hitlera? Czy chodziło o czytanie w schronie? O ostatni przemarsz do Dachau? O *Strząsaczkę słów*? Być może nigdy nie poznamy dokładnej odpowiedzi, kiedy i gdzie się to zdarzyło. W każdym razie mnie to przerasta. Zanim jednak przyznamy którejś z ewentualności palmę pierwszeństwa, musimy prześledzić początki Liesel Meminger na Himmelstrasse i sztukę bycia *Saumensch*.

W chwili przybycia wciąż widoczne były ukąszenia śniegu na jej rękach i zmrożona krew na palcach. Ogólne niedożywienie. Piszczące jak druty. Ramiona jak wieszak. Uśmiech nie przychodził jej łatwo, ale kiedy już zdobyła się na ten wysiłek, był to uśmiech głodomora.

Jej włosy od biedy mogły uchodzić za niemiecki blond, ale oczy – oczy były niebezpieczne. Ciemnobrązowe. W tamtych czasach w Niemczech nie było dobrze mieć piwne oczy. Być może odziedziczyła je po ojcu, ale tego nie wiedziała, bo go nie pamiętała. Wiedziała o nim tylko jedno. Było to określenie, którego nie rozumiała.

DZIWNE SŁOWO

Komunista

Słyszała je kilka razy w ciągu ostatnich lat.

Mieszkała w przepelnionych pensjonatach, w pokojach, które wypełniały pytania. I to słowo. To dziwne słowo czało się zawsze na zapleczu, kryło po kątach, wyglądało z ciemności. Nosiło garnitury i mundury. Nieważne, gdzie się znajdowali, wypływało zawsze na wzmiankę o jej ojcu. Wąchała je i smakowała, choć nie potrafiła go napisać ani zrozumieć. Kiedy spytała matkę, co ono znaczy, ta stwierdziła, że to nieważne i żeby nie zawracała sobie głowy takimi sprawami. W pewnym hoteliku mieszkała rozsądna kobieta, która próbowała uczyć dzieci pisać, używając do tego ściany i węgla. Liesel kusilo, by ją zapytać o znaczenie tego słowa, ale nigdy do tego nie doszło. Pewnego dnia kobietę wezwano na przesłuchanie. Już nie wróciła.

Kiedy Liesel przyjechała do Molching, miała poczucie, że została ocalona, ale nie dawało jej to ukojenia. Czy gdyby matka naprawdę ją kochała, porzuciłaby ją na progu u obcych ludzi? Dlaczego? Dlaczego?

Dlaczego?

Sam fakt, że знаła odpowiedź – przynajmniej w podstawowym zakresie – był bezdyskusyjny. Jej matka wciąż chorowała i nigdy nie było dość pieniędzy na leczenie. Liesel wiedziała o tym, co nie znaczyło, że się z tym godziła. Choćby nie wiem ile razy słyszała, że jest kochana, porzucenie nie mogło być tego dowodem. Nic nie zmieniało tego, że była zagubionym, wychudzonym dzieckiem w kolejnym obcym miejscu, wśród obcych ludzi. Sama.

Hubermannowie mieszkali na Himmelstrasse w jednym z małych, pudełkowych domków. Kilka pokoi, kuchnia i podwórko do spółki z sąsiadami. Dom miał płaski dach i płytką piwniczkę do przechowywania zapasów. Nie była to piwnica *odpowiedniej głębokości*. W 1939 roku nie stanowiło to jeszcze problemu. Później, w 1942 i 1943, już tak. Kiedy zaczęły się naloty, musieli biec ulicą do lepszego schronu.

Na początku największe wrażenie robiły wyzwiska. Były takie wulgarne i pojawiały się w takim nadmiarze. Co chwila padało słowo *Saumensch*, *Saukerl* albo *Arschloch*. Tym, którzy nie rozumieją tych słów, należy się wyjaśnienie. „Sau” odnosi się do świń. *Saumensch* to obraźliwe, karcące i poniżające określenie istoty rodzaju żeńskiego. *Saukerl* odnosi się do osób rodzaju męskiego. *Arschloch* to tyle, co „dupek”. To słowo nie przynależy do żadnej konkretnej płci. Po prostu jest.

– *Saumensch, du dreckiges!* – krzyczała przybrana matka pierwszego wieczora, kiedy Liesel nie chciała się wykąpać. – Ty plugawa świni! Dlaczego nie chcesz się rozebrać? – Rosa Hubermann umiała się wściekać. Można się nawet pokusić o stwierdzenie, że wściekłość była stałą ozdobą jej twarzy. To dlatego zmarszczki upodobniły ją do pogiętego kartonu.

Liesel poszła się kąpać w stanie absolutnego przerażenia. Nie było mowy, żeby weszła do wanny, ani nawet żeby się położyła do łóżka. Skuliła się w kącie przypominającej szafę łazienki, szukając schronienia w nieistniejących ramionach ścian. Nie było tu nic poza suchą farbą, urywanym oddechem i potokiem przekleństw Rosy.

– Zostaw ją – Hans Hubermann wtrącił się do potyczki. Jego ciepły głos torował sobie drogę do Liesel jak przez gęsty tłum. – Zostaw ją mnie.

Podszedł bliżej i usiadł na podłodze, opierając się o ścianę. Kafle były zimne i odpychające.

– Umiesz skręcać papierosy? – spytał. Przez następną godzinę siedzieli w basenie mroku, bawiąc się tytoniem i bibułkami, a Hans Hubermann palił skręcone papierosy.

Po godzinie Liesel całkiem nieźle nauczyła się robić skręty. Ale nie wykapała się.

GARŚĆ INFORMACJI O HANSIE HUBERMANNIE

Uwielbiał palić.

Jednym z powodów była przyjemność robienia skrętów.

Z zawodu był malarzem pokojowym, umiał też grać na akordeonie. Przydatny talent, szczególnie w zimie, kiedy mógł zarabiać, występując w barach w Molching, takich jak U Knollera.

Udało mu się oszukać mnie w czasie pierwszej wojny światowej, ale później miał trafić na drugą (perwersyjny rodzaj wyróżnienia). Znów jednak zdoła mi się wymknąć.

Większość ludzi w ogóle nie zauważała Hansa Hubermanna. Człowiek bez właściwości. Oczywiście był mistrzem w swoim zawodzie. Jako muzyk też plasował się powyżej przeciętnej. A jednak – jestem pewien, że wy też

natknęliście się na takich ludzi – zawsze pozostawał w tle, nawet stojąc w pierwszym szeregu. Po prostu był. Niezauważalny. Nieważny i niespecjalnie ceniony.

Frustracja z tego powodu, o ile możecie to sobie wyobrazić, kompletnie nie miałyby sensu. Otóż z całą pewnością miał on swoją wartość i wartość tę natychmiast wyczuła w nim Liesel Meminger (dzieci bardzo często wykazują większą przenikliwość niż tępi dorośli). Zauważyła to od pierwszej chwili.

Jego sposób bycia.

Jego spokój.

Kiedy wreszcie zapalił światło w małej, brzydkiej łazience, Liesel wpatrzyła się w jego niezwykle oczy. Były łagodne i srebrzyste, jak płynna rtęć. Kiedy Liesel przyjrzała się tym oczom, zrozumiała, że Hans Hubermann jest bardzo wiele wart.

GARŚĆ INFORMACJI O ROSIE HUBERMANN

Miała najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu i swoje ciemne, siwiejące włosy czesała w kok.

Żeby dorobić do pensji męża, zajmowała się praniem i prasowaniem dla pięciu najbogatszych rodzin w Molching.

Gotowała okropnie.

Miała wyjątkowy dar irytowania każdego, kogo spotkała na swej drodze.

Ale kochała Liesel Meminger.

Choć okazywała to w specyficzny sposób.

Najczęściej biła ją drewnianą chochlą, a w przerwach atakowała obraźliwymi słowami.

Kiedy po dwóch tygodniach pobytu u Hubermannów Liesel w końcu się wykapała, Rosa o mało nie udusiła jej w uścisku. Ściskając ją, powiedziała:

– *Saumensch, du dreckiges!* – już najwyższy czas!

Po kilku miesiącach nie było mowy o „panu” czy „pani Hubermann”. Z typową dla siebie lapidarnością Rosa powiedziała:

– Słuchaj, Liesel, od teraz możesz mi mówić „mamo”. – Zastanowiła się przez chwilę. – A jak mówiłaś do swojej prawdziwej matki?

– *Auch mama*. Też „mamo” – spokojnie odpowiedziała Liesel.

– No to ja będę twoją mamą numer dwa. – Rosa spojrzała na męża. – A tego tam... – wydawało się, że zbiera słowa, by jak kule potoczyć je po stole – tego *Saukerla*, brudną świnię, masz nazywać „papa”, *verstehst?* Zrozumiano?

– Tak – pospieszenie zgodziła się Liesel. Szybkość odpowiedzi była ceniona w tym domu.

– Tak, mamo – poprawiła ją mama. – Pamiętaj, *Saumensch*, że masz do mnie mówić „mamo”.

Hans Hubermann właśnie skończył skręcać papierosa – poślinił bibułkę i zawinął go. Spojrzał na Liesel i mrugnął. Nie będzie miała problemów z mówieniem do niego „papo”.

KOBIETA Z ŻELAZKIEM W GARŚCI

Najtrudniejsze były pierwsze miesiące.

Co noc Liesel śniły się koszmary.

Twarz brata.

Patrząca w podłogę pociągu.

Budziła się zrana potem, z krzykiem, tonąc w pościeli. Łóżko po drugiej stronie pokoju, przeznaczone dla jej brata, w ciemności unosiło się jak łódź. Stopniowo, wraz z powrotem świadomości, tonęło w podłodze. Ta wizja była tak przerażająca, że Liesel jeszcze długo wrzeszczała.

Dobre było jedynie to, że krzyki zwabiały do pokoju Hansa Hubermanna, nowego ojca, który przychodził, by ją uspokoić i utulić.

Siedział przy niej co noc. Na początku tylko siedział, obcy, ale żywy człowiek, który pomagał zabić samotność. Po kilku nocach zaczął ją szeptem uspokajać: „Szszz, jestem tutaj, wszystko w porządku”. Po trzech tygodniach tulił ją w ramionach. Szybko nabrała zaufania z powodu szorstkiej siły delikatności mężczyzny, jego bliskości.

Dziewczynka wiedziała od początku, że Hans Hubermann pojawi się na pierwszy jej krzyk i już nie odejdzie.

DEFINICJA, KTÓREJ NIE MA W SŁOWNIKU

Nie odchodzić: akt wiary i miłości,

prawidłowo rozszyfrowywany przez dzieci

Zaspany Hans Hubermann siedział na łóżku, a Liesel wypłakiwała mu się w kamizelkę i wdychała jego zapach. Dzięki temu zapachowi nad ranem, około drugiej, wreszcie zasypiała. Była to mieszanina wypalonych papierosów, starej farby malarskiej i ludzkiej skóry. Każdego ranka papa był blisko, zwinięty w paragraf na krześle. Nigdy nie położył się na drugim łóżku. Liesel wyskakiwała z pościeli i delikatnie całowała go w policzek, a on się budził i uśmiechał.

Czasami papa mówił, żeby się kładła, a sam szedł po akordeon i grał dla niej. Liesel siedziała na łóżku i nuciła, z podniecenia kuląc zimne palce u stóp. Nikt przedtem nie ofiarowywał jej muzyki. Uśmiechała się głupio, patrząc na zmarszczki na jego twarzy i miękkie metal oczu – póki z kuchni nie dobiegł wrzask:

– PRZESTAŃ RZĘPOLIĆ, SAUKERL!

Papa grał dalej.

Mrugał do dziewczynki, a ona, choć niewprawnie, mrugała do niego.

Parę razy, żeby jeszcze bardziej rozzłościć mamę, przyniósł instrument do kuchni i grał podczas śniadania.

Na wpół zjedzony chleb z dżemem i odciskami zębów leżał na jego talerzu, a muzyka zaglądała Liesel w oczy.

Może to brzmi dziwnie, ale ona tak właśnie to odbierała. Prawa ręka papy biegła po klawiaturze, lewa naciskała guziki (Liesel najbardziej podobał się srebrny, błyszczący guzik – C-dur). Porysowana, lecz lśniąco czarna obudowa akordeonu przesuwiała się wprzód i w tył, gdy jego ramiona naciskały miech zasysający powietrze i

wypuszczający je na powrót. W takie ranki w kuchni papa sprawiał, że akordeon ożywał. Co wydaje się całkiem zrozumiałe, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

Bo jak sprawdzamy, czy coś żyje?

Musi oddychać.

Dźwięk akordeonu był także sygnałem bezpieczeństwa. Światło dnia. W ciągu dnia nie mogła śnić o bracie. Tęskniła za nim i często cicho popłakiwała w łazience, ale cieszyła się, że nie śpi. Pierwszej nocy u Hubermannów ukryła pod siennikiem ostatnią rzecz, jaka ją wiązała z bratem – *Podręcznik grabarza*. Od czasu do czasu wyciągała go, żeby potrzymać w dłoniach. Patrząc na litery na okładce i dotykając zadrukowanych stron, nie miała pojęcia, o czym jest ta książka. Zresztą nie obchodziło jej to. Jej znaczenie polegało na czymś zupełnie innym.

ZNACZENIE KSIĄŻKI

1.Ostatni raz widziała brata.

2.Ostatni raz widziała matkę.

Czasem szeptała słowo „mama” i wtedy twarz matki ukazywała jej się w setkach przeblysków jednego popołudnia. Ale to było nic w porównaniu z horrorem jej snów. W nieograniczonym obszarze snu czuła się kompletnie opuszczona.

Jestem pewien, że zauważyliście brak innych dzieci w tym domu. Hubermannowie mieli dwójkę własnych, ale były one już dorosłe i wyprowadziły się. Hans Junior pracował w centrum Monachium, a Trudy była pokojówką i opiekunką do dzieci. Niebawem oboje mieli być powołani do wojska. Ona miała produkować pociski, a on z nich strzelać.

Szkoła, jak się możecie domyślić, okazała się fatalną porażką.

Choć państwowa, miała katolicki charakter, a Liesel była luteranką. To nie mogło dobrze wróżyć. A potem odkryto, że nie umie czytać ani pisać.

Upokorzoną Liesel posadzono z małymi dziećmi, które dopiero zaczynały się uczyć alfabetu. Mimo że była drobna i chuda, czuła się między maluchami jak olbrzymka i marzyła tylko o tym, by bladeść uczyniła ją niewidzialną.

Nawet w domu nie mogła liczyć na pomoc.

– Jego o to nie proś – podkreślała mama. – To *Saukerl*. – Papa, jak to miał w zwyczaju, patrzył przez okno. – Skończył szkołę na czwartej klasie.

W domu nie było żadnych książek (poza jedną, ukrytą pod siennikiem), więc Liesel uczyła się alfabetu, mamrocząc pod nosem, póki jej stanowczo nie powiedziano, że ma siedzieć cicho. Nie mamrotać. Dopiero później, gdy przerażona nocnymi koszmarami zmoczyła pościel, zaczęły się dodatkowe lekcje czytania. Nieoficjalnie nazywały się północnymi lekcjami, choć zwykle zaczynały się o drugiej nad ranem. Ale o tym później.

W połowie lutego, na dziesiąte urodziny, Liesel dostała używaną, kaleką lalkę z żółtymi włosami.

– Na nic lepszego nas nie stać – tłumaczył się papa.

– Co ty wygadujesz. Niech się cieszy, że ma chociaż to – skarciła go mama.

Hans badał jedyną lalczyną nogę, a Liesel mierzyła nowy mundurek. Dziesięć lat oznaczało Hitlerjugend. Hitlerjugend oznaczało brunatny mundurek. Jako dziewczynka Liesel musiała wstąpić do BDM*.

OBJAŚNIENIE SKRÓTU

**BDM to *Bund Deutscher Mädel* –
Związek Niemieckich Dziewcząt.**

Pierwszą rzeczą, jakiej tam uczono, było prawidłowe skandowanie pozdrowienia *Heil Hitler*. Poza tym uczono dziewczęta maszerować, związać bandaże i cerować odzież. Prowadzano je też na piesze wędrówki i kazano uprawiać sporty. Zajęcia odbywały się w środy i soboty od trzeciej do piątej.

W każdą środę i sobotę papa odprowadzał Liesel na miejsce, a po dwóch godzinach odbierał. Niewiele o tym rozmawiali. Trzymając się za ręce, słuchali dźwięku własnych kroków, a papa wypalał po drodze papierosa albo dwa.

Jedyną niepokojącą rzeczą było to, że papa często znikał. Prawie każdego wieczora wchodził do pokoju dziennego (który służył także jako sypialnia Hubermannów), zdejmował akordeon ze starej szafy i przeciskał się przez kuchnię do drzwi.

Kiedy ruszał Himmelstrasse, mama wychylała się przez okno i wołała:

– Nie wracaj zbyt późno!

– Ciszej! – odpowiadał, odwracając się do niej.

– *Sauker!!* Pocałuj mnie w dupę! Będę krzyczeć tak głośno, jak mi się podoba!

Echo jej wyzwisk ciągnęło się za nim ulicą. Nie oglądał się, a przynajmniej nie wtedy, kiedy żona jeszcze mogła stać w oknie. W te wieczory, kiedy był już na końcu ulicy ze swoim akordeonem, odwracał się dopiero na wysokości sklepu Frau Diller, gdy sylwetkę żony w oknie zastępowała drobna figurka. Unosił wtedy swą długą, chudą rękę, odwracał się i siedł dalej. Liesel mogła go zobaczyć ponownie dopiero o drugiej nad ranem, kiedy łagodnie uwalniał ją od koszmarów.

Wieczory w ciasnej kuchni były nieodmiennie wypełnione gadaniem. Rosa Hubermann mówiła bez przerwy, a jej gadanie przybierało formę *Schimpfen*. Stale narzekała i dążyła do kłótni. Nikt z obecnych nie chciał się z nią spierać, ale mama z talentem wykorzystywała każdą ku temu okazję. Potrafiła w swojej małej kuchni kłócić się z całym światem i czyniła to niemal co wieczór. Kiedy już było po kolacji i papa wychodził, Rosa i Liesel zostawały tam same, a Rosa zajmowała się prasowaniem.

Kilka razy w tygodniu Liesel po powrocie ze szkoły przemierzała z mamą ulice Molching, przyjmując i oddając pranie i prasowanie w bogatszych rejonach miasteczka. Na Knaupstrasse, na Heidestrasse i paru innych ulicach. Mama witała się z klientami ze służalczym uśmiechem, ale gdy tylko drzwi się zamknęły, a one odeszły kilka kroków, lżyła tych wszystkich bogaczy za ich bogactwo i lenistwo.

– Są za bardzo g'*schtinkerdt*, żeby prac własne ubrania – powtarzała, choć to od nich zależały jej dochody.

*XX

– Albo ten – oskarżała pana Vogla z Heidestrasse. – Cały kapitał ma po ojcu i teraz trwoni go na dziwki i wódkę. No i oczywiście na pranie i prasowanie.

Był to niekończący się strumień pogardy.

Herr Vogel, Herr i Frau Pfaffelhürver, Helena Schmidt, Weingartnerowie. Każdy był czemuś winien.

Według Rosy Ernst Vogel, poza pijaństwem i kosztowną rozpustą, miał zwyczaj drapać się w zawszone kłaki i lizać palce przed przeliczeniem pieniędzy.

– Powinnam je prac po przyjściu do domu – kwitowała Rosa.

Z kolei Pfaffelhürverowie kontrolowali jej pracę.

– „Te koszule mają być bez jednej zmarszczki” – przedrzeźniała ich. – „Ten garnitur ma być nieskazitelnie wyprasowany”. I jeszcze mają czelność stać tak nade mną i wytrząsać się nad moją robotą! Pod samym moim nosem! Co za *G’sindel* – co za hołota!

Weingartnerowie byli idiotami z głupio miauczącą kotką.

– Czy ty masz pojęcie, ile się muszę naskubać tych kocich kłaków? Są dosłownie wszędzie!

Helena Schmidt była bogatą wdową.

– Ta stara kaleka siedzi i tylko zatruwa powietrze. Nie przepracowała w swoim życiu ani dnia.

Ale najwięcej ze swych pretensji Rosa rezerwowała dla numeru ósmego przy Grandestrasse. Był to duży dom położony na wzgórzu, w górnej części Molching.

– Ten – wskazała Liesel posiadłość, kiedy poszły tam po raz pierwszy – to dom burmistrza, tego złodzieja. Jego żona całymi dniami nie wychodzi i jest za skąpa, żeby napalić w piecu. Dlatego można tam zamarznąć. To war-iatka – wyskandowała. – Absolutna wariatka. – A przy bramie skinęła na dziewczynkę: – Ty tam pójdziesz.

– Co? – Liesel była przerażona widokiem potężnych drzwi z mosiężną kołatką, wznoszących się nad schodami.

– Nie mówi się „co”. – Mama pchnęła ją mocno. – Idź, *Saumensch*, rusz się.

Liesel się ruszyła. Podeszła ścieżką, weszła na schody i niepewnie zastukała.

Otworzył jej szlafrok.

Okrywał kobietę ze zdziwionymi oczami i puchem zamiast włosów. Wyglądała na przestraszoną. Gdy zobaczyła mamę przy bramie, wcisnęła dziewczynce torbę z praniem.

– Dziękuję – powiedziała Liesel, ale nie usłyszała odpowiedzi. Tylko stuk zamykanych drzwi.

– Widzisz? – spytała mama, kiedy dziewczynka doszła do furtki. – I ja muszę znosić takie rzeczy. Te bogate sukinsyny, te leniwe świnię...

Liesel, idąc z tobołkiem bielizny, odwróciła głowę. Popatrzyła na nią mosiężna kołatka.

Gdy Rosa Hubermann kończyła obmawiać swoich pracodawców, przerzucała się z obelgami na drugi ulubiony temat, czyli swego męża. Patrząc na toboł z praniem i zapyziałą ulicę, nie przestawała mówić, mówić, mówić.

– Gdyby twój papa się do czegoś nadawał, nie musiałabym tego robić – informowała Liesel, kiedy szły przez Molching, prychając przy tym szyderczo. – Malarz! Po co ja wychodziłam za tego *Arschlocha*? Cała rodzina mnie ostrzegała – ciągnęła, tupiąc po chodniku. – No i teraz muszę się włóczyć po ulicach albo harować w domu jak niewolnica, bo ten *Saukerl* nie umie znaleźć sobie roboty. Żadnej porządnej roboty w każdym razie. Tylko wygrywa na tym beznadziejnym akordeonie w jakichś brudnych dziurach.

– Tak, mamó.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia? – Oczy mamy wyglądały jak dwa niebieskie guziki, przyszyte do twarzy.

Szły dalej.

Liesel dźwigała torbę.

W domu pranie lądowało w kotle przy piecu, było rozwieszane do suszenia przy kominku w pokoju dziennym i prasowane w kuchni. Kuchnia była najważniejszym polem działania.

– Słyszałaś? – pytała mama niemal każdego wieczoru. W jej dłoni dymiło rozgrzane na piecu żelazko. W domu panował mrok, a Liesel, usadowiona przy kuchennym stole, wpatrywała się w ogień.

– Co? – odpowiadała. – Co się stało?

– To ta Holtzapfel. – Mama podrywała się ze stołka. – *Saumensch!* Znów nam napluła na drzwi.

Plucie na drzwi Hubermannów należało do tradycji – sąsiadka, Frau Holtzapfel, czyniła to zawsze, przechodząc obok ich domu. Od furtki do drzwi było parę metrów i trzeba przyznać, że miała poczucie odległości i wyrobione oko.

Plucie wynikało stąd, że obie z Rosą Hubermann od lat toczyły wojnę na słowa. O początkowej przyczynie zwady nikt już nie pamiętał, nawet one same.

Frau Holtzapfel była kobietą żylastą i zawziętą. Nigdy nie wyszła za mąż, ale miała dwóch synów, parę lat starszych od potomstwa Hubermannów. Obaj byli w wojsku i obaj jeszcze przewiną się przez tę opowieść, nim dojrniemy do końca, zapewniam was.

Jeśli chodzi o złośliwości w tych zawodach, Frau Holtzapfel bardzo się starała. Nigdy, przechodząc ulicą, nie zapomniała splunąć na drzwi domu numer trzydzieści siedem z przekleństwem „*Schweine!*”. To jedno trzeba Niemcom oddać: żywią szczególne upodobanie do świń.

PYTANKO I ODPOWIEDŹ

Kto, waszym zdaniem, musiał każdego wieczoru wycierać ślinę z drzwi?

Gratuluje poprawnej odpowiedzi.

Kiedy kobieta z żelazkiem w garści mówi, żebyście poszli i wyczyścili oplute drzwi, lepiej bądźcie posłuszni. Szczególnie, gdy żelazko jest gorące.

W końcu stało się to rutyną, czymś normalnym.

Co wieczór Liesel wychodziła na schody, wycierała drzwi i patrzyła w niebo. Zwykle wyglądało jak kałuża rozlanej ropy – zimne, ciężkie, bure i śliskie, ale czasem zdarzało się, że pojawiało się na nim kilka co śmielszych gwiazd, choć trwało to krótko. W takie wieczory Liesel stała i wyczekiwała.

– Witajcie, gwiazdki.

Czekanie.

Na głos z kuchni.

Albo na zniknięcie gwiazd w oceanie niemieckiego nieba.

POCALUNEK

(WAŻNE DECYZJE DZIECIŃSTWA)

Jak każde małe miasto, także Molching zaludniały ciekawe typy. Kilka z tych osób mieszkało przy Himmelstrasse. Frau Holtzapfel nie była jedyna.

A oto inni:

- * Rudy Steiner – chłopiec z sąsiedztwa zafascynowany czarnoskórym amerykańskim sprinterem Jesse Owensem.
- * Frau Diller – stanowcza właścicielka aryjskiego sklepu na rogu.
- * Tommy Müller – wiecznie czerwony na twarzy dzieciak z tikiem i chronicznym zapaleniem ucha, które mu kilkakrotnie operowano.
- * Człowiek o przydomku „Pfiffikus”, tak ordynarny, że przy nim nawet Rosa Hubermann wydawała się złotoustą świętą.

Generalnie ulicę zamieszkiwali ludzie niezamożni, mimo ewidentnego wzrostu gospodarczego za Hitlera.

Dzielnice biedoty wciąż istniały.

Jak już powiedziano, w bezpośrednim sąsiedztwie Hubermannów wynajmowała mieszkanie rodzina nazwiskiem Steiner. Steinerowie mieli szóstkę dzieci. Jednym z nich był łobuziak Rudy, który szybko został najlepszym przyjacielem Liesel i współnikiem jej wybryków. Poznali się na ulicy.

Kilka dni po pierwszej kąpieli mama pozwoliła Liesel wyjść na dwór i pobawić się z dziećmi. Na Himmelstrasse przyjaźnie zawiązywano na ulicy, niezależnie od pogody. Dzieci rzadko odwiedzały się w domach, gdzie zazwyczaj było ciasno i biednie. Czas wolny spędzały więc na wolnym powietrzu, na grze w futbol. Drużyny były skompletowane. Bramki zostały oznaczone koszami na śmieci.

Liesel, jako nowa, natychmiast została wepchnięta między dwa takie kosze. Zastąpiła Tommy’ego Müllera, który trafił na boisko, choć był najbardziej beznadziejnym fajtlapą na całej Himmelstrasse.

Przez jakiś czas gra toczyła się gładko, aż nadszedł nieuchronny moment – Rudy Steiner został przewrócony w śnieg na skutek faul sfrustrowanego Tommy’ego Müllera.

– O rany! – wrzasnął Tommy, a twarz zaczęła mu drgać ze zdenerwowania. – Co ja zrobiłem?!

Ogłoszono rzut karny i Rudy Steiner stanął naprzeciw nowej dziewczynki, Liesel Meminger.

Ustawił piłkę na brudnym placu śniegu, pewny rezultatu. Ostatnio Rudy osiemnaście razy pod rząd strzelał karne, choć przeciwnicy nie pozwalali bronić Tommy’emu Müllerowi i zastępowali go kimś innym. Nieważne, kto stał na bramce, Rudy strzelał gola.

Tym razem drużyna chciała zmusić Liesel, żeby wyszła z bramki. Jak łatwo sobie wyobrazić, Liesel zaprotestowała, a Rudy przyznał jej rację.

– Dajcie jej spokój, niech broni – powiedział z uśmiechem, zacierając ręce.

Śnieg przestał padać i na brudnej nawierzchni między nimi widać było ślady butów. Rudy zamachnął się, strzelił, a Liesel rzuciła się szczupakiem i udało jej się odbić piłkę łokciem. Roześmiana, podniosła się z ziemi, a pierwszą rzecz, jaką zobaczyła, była śniegowa kula, w połowie ulepiona z błota, która roztrzaskała jej się na twarzy.

Zapieкло jak diabli.

- Podobalo się? – zaśmiał się drwiąco chłopak i pobiegł za piłką.
- *Saukerl* – wyszeptała Liesel. Szybko załapywała domowe słownictwo.

GARŚĆ INFORMACJI O RUDYM STEINERZE

Był o osiem miesięcy starszy od Liesel.

Miał chude nogi, szpiczaste zęby, łobuzerskie błękitne oczy i włosy żółte jak cytryna.

Będąc jednym z sześciorga dzieci Steinerów, bez przerwy chodził głodny.

Na Himmelstrasse miał opinię czubka.

Zasłużył na nią rzadko wspominaną,

ale dobrze pamiętaną aferą zwaną „sprawą Jesse Owensa”,

kiedy to uczernił sobie twarz węglem i wziął udział

w biegu na 100 metrów na lokalnym stadionie.

Przeznaczeniem Rudy’ego Steinera, czy był normalny, czy nie, było zostać najlepszym kumplem Liesel. A walnięcie kogoś prosto w twarz śnieżką jest idealnym sposobem zawarcia wiecznej przyjaźni.

Kilka dni po rozpoczęciu nauki Liesel poszła do szkoły ze Steinerami. Matka Rudy’ego, Barbara, kazała mu zaopiekować się nową dziewczynką, głównie dlatego, że dowiedziała się o śniegowej kuli. Trzeba oddać Rudy’emu, że zastosował się do tego polecenia z przyjemnością. Nie był taki, jak inni młodociani mizogini. Bardzo lubił dziewczyny i lubił Liesel (stąd ta śnieżka). W istocie Rudy Steiner był jednym z tych beczelnych małych drani, którzy uwielbiają towarzystwo kobiet. To się zdarza wśród dzieci. Trafiają się chłopcy, którzy nie okazują strachu przed płcią przeciwną, głównie dlatego, że cała reszta go okazuje. Nieustraszone typki wolne od wahań w swych decyzjach. Jeśli o to chodzi, Rudy Steiner od początku wiedział, czego chce od Liesel Meminger.

W drodze do szkoły pokazywał jej charakterystyczne punkty miasta, a przynajmniej próbował, miotając się między młodszym rodzeństwem, na które pokrzykiwał, żeby się zamknęło, a starszym, które z kolei pokrzykiwało na niego. Pierwszą rzeczą, jaką jej pokazał, było małe okno na pierwszym piętrze jednej z kamienic.

– Tam mieszka Tommy Müller – powiedział i od razu zauważył, że Liesel wcale go nie kojarzy. – No wiesz, ten nerwus. Jak miał pięć lat, starzy zgubili go na rynku, a było strasznie zimno. Kiedy go znaleźli po trzech godzinach, był prawie zamrożony i odmroził sobie uszy. Potem zrobiło mu się w tych uszach zakażenie. Miał trzy czy cztery operacje. Przez doktorów ma zszarpane nerwy. I dlatego tak mu twarz lata.

– No i źle gra – wtrąciła Liesel.

– Fatalnie.

Drugą rzeczą był sklep na rogu Himmelstrasse. Należał do Frau Diller.

WAŻNA INFORMACJA NA TEMAT FRAU DILLER

Miała jedną złotą zasadę.

Frau Diller była kanciąstą kobietą o nikczemnych oczach ukrytych za grubymi szklami. Wypracowała sobie to złe spojrzenie, żeby zniechęcić ewentualnych amatorów kradzieży dóbr zgromadzonych w sklepie, którego pilnowała niczym dragon. Mówiła lodowatym tonem i nawet jej oddech cuchnął jak *Heil Hitler*. Jej sklep był biały, zimny i

bezkrwisty. Przytulony do niego domek trząsł się od srogiego sąsiedztwa bardziej niż inne domy na Himmelstrasse. Frau Diller roztaczała wokół siebie chłód i był to jedyny artykuł, który rozdawała za darmo. Żyła dla swego sklepu, a jej sklep pracował na rzecz Trzeciej Rzeszy. Nawet gdy pod koniec roku wprowadzono racjonowanie żywności, sprzedawała spod lady reglamentowane dobra, by dofinansowywać partię nazistowską. Na ścianie za kontuarem, gdzie miała swe stanowisko, wisiała oprawiona w ramy fotografia Führera. Jeśli klient wchodząc nie powiedział *Heil Hitler*, nie obsługiwała go. Gdy dzieci przechodziły koło sklepu, Rudy zwrócił uwagę Liesel na kuloodporne oczy właścicielki, chytrze łypiące zza witryny.

– Zawsze, kiedy tam wejdiesz, mów *Heil Hitler* – ostrzegł ją twardym tonem. – Inaczej nie wpuści cię do środka. Kiedy już dobrze się oddalili, Liesel odwróciła głowę. Oczy w grubych, powiększających szklach wciąż były przylepione do szyby.

Za rogiem rozciągała się Münchenstrasse (główna ulica miasta Molching), pokryta błotnistą breją.

Tak jak co dzień, maszerowały nią oddziały na ćwiczeniach. Żołnierze szli w swych mundurach wyprężeni jak struny, a ich wysokie czarne buty jeszcze bardziej miesiły śnieg. Ich twarze zastygły w wyrazie skupienia.

Popatrzywszy za oddalającymi się żołnierzami, Steinerowie i Liesel minęli jeszcze kilka sklepów i imponujący ratusz, który później miał być rzucony na kolana i spalony. Kilka sklepów opuścili właściciele; wciąż znaczyły je żółte gwiazdy i obelżywe antysemityczne napisy. Dalej celował w niebo kościół ozdobiony dachówką we wzorki. Cała ulica była niczym długa szara rura, zawilgocony korytarz wypełniony przygarbionymi z zimna ludźmi, dźwięczący mokrym mlaskaniem kałuż roztrącanych ich krokami.

W pewnym momencie Rudy wybiegł naprzód, ciągnąc za sobą Liesel.

Zapukał do okna zakładu krawieckiego.

Gdyby Liesel potrafiła odczytać szyld, wiedziałaby, że sklep należał do ojca Rudy'ego. Był jeszcze zamknięty, ale w środku już krzątał się mężczyzna, rozkładający towary za ladą. Podniósł wzrok i pomachał im.

– To mój tata – poinformował Liesel Rudy. Zaraz otoczył ich tłumek różnego wzrostu Steinerów; młodszy przesyłali ojcu całusy, starsi zadowolili się kiwnięciem głową na przywitanie. A potem wszyscy ruszyli dalej, do ostatniego ważnego miejsca po drodze do szkoły.

OSTATNI PRZYSTANEK

Droga żółtych gwiazd

W tym miejscu nikt nie chciał przebywać ani na nie patrzeć, ale prawie wszyscy to robili. Przy drodze w kształcie złamanego ramienia stało kilka domów z powybijanymi szybami i poobijanymi ścianami. Na drzwiach były wymalowane gwiazdy Dawida. Domy wyglądały jak zarażone trędem. Zakażone rany na poranionym niemieckim terytorium.

– To Schillerstrasse – powiedział Rudy. – Droga żółtych gwiazd.

Na końcu ulicy widać było jakichś ludzi. Za zasłoną mżawki wyglądali jak duchy. Nie ludzie, lecz niewyraźne kształty poruszające się za ołowianymi chmurami.

– Ruszcie się – zawołał Kurt, najstarszy z rodzeństwa Steinerów. Rudy i Liesel szybko do niego podbiegli.

W szkole, na przerwach Rudy nie odstępował Liesel na krok. Nie zwracał uwagi na komentarze na temat głupoty tej nowej. Od początku stał po jej stronie, tak jak i później, gdy Liesel aż kipiała z frustracji. Ale nie robił tego za darmo.

CO MOŻE BYĆ GORSZE OD CHŁOPAKA, KTÓRY CIĘ NIENAWIDZI?

Zakochany chłopak.

Pod koniec kwietnia po powrocie ze szkoły Liesel i Rudy czekali na resztę dzieciaków, żeby pograć w piłkę. Przyszli wcześniej – nikt inny jeszcze się nie pokazał. Na ulicy zobaczyli tylko wulgarnego Pfiffikusa.

– Patrz – Rudy wskazał go palcem.

PORTRET PFIFFIKUSA

Drobny.

Siwy.

Miał czarny płaszcz przeciwdeszczowy, brązowe spodnie, dziurawe buty.

I niewyparzoną gębę.

– Hej, Pfiffikus!

Gdy oddalona postać obróciła się, Rudy zaczął gwizdać.

Starzec wyprostował się i zaczął kląć z gwałtownością, która świadczyła o wielkim talencie. Nikt nie wiedział, jakie było jego prawdziwe nazwisko, a nawet jeśli ktoś wiedział, i tak go nie używał. Przydomek Pfiffikus przylgnął do niego, bo lubił gwizdać. Stale pogwizdywał Marsz Radetzky’ego, a dzieci z miasteczka zaczepiały go i przedrzeźniały. Wówczas Pfiffikus przestawał maszerować (chodził nachylony do przodu, stawiając długie kroki, z rękami założonymi z tyłu) i prostował się, by przyjąć atak. Wrażenie spokoju w jednej chwili znikało, bo jego głos był nabrzmiały wściekłością.

Tym razem Liesel zareagowała jak echo Rudy’ego.

– Pfiffikus! – krzyknęła z okrucieństwem właściwym dzieciom. Nie umiała dobrze gwizdać, ale nie było czasu na ćwiczenia.

Starzec zaczął ich gonić i wyzywać. Zaczął od „*Geh’ scheissen!*”, a potem było już tylko gorzej. Najpierw skoncentrował swą złość na chłopcu, ale wkrótce przyszła kolej na Liesel.

– Ty wywłoko! – ryknął, a jego słowa bębniły jej po plecach. – Jeszcze cię tu nie widziałem!

Zastosowanie słowa „wywłoka” do dziesięcioletniej dziewczynki mogłoby się wydawać dziwne, ale to był cały Pfiffikus. Wszyscy na ulicy uważali, że on i Frau Holtzapfel stanowiliby dobraną parę.

– Wracać mi tu! – To były ostatnie słowa, jakie usłyszeli Rudy i Liesel, uciekający co sił w nogach. Biegli aż do Münchenstrasse.

– Chodź – powiedział Rudy, gdy złapali oddech. – To niedaleko.

Zabrał ją na Stadion Huberta, tam, gdzie miała miejsce sprawa Jesse Owensa. Stanęli z rękami w kieszeniach.

Przed nimi rozciągał się tor. Było tylko jedno do zrobienia.

– Bieg na sto metrów – rzucił wyzwanie Rudy. – Złożę się, że przegrasz.

– A ja się założę, że ty – odparła spokojnie Liesel.

– O co się zakładasz, *Saumensch*? Masz pieniądze?

– Jasne, że nie. A ty masz?

– Nie. – Rudy nie miał pieniędzy, ale miał pomysł. W tym momencie wylał z niego kochaś. – Jeśli wygram, to cię pocałuję. – Przykucnął i zaczął podwijać nogawki.

– Dlaczego chcesz mnie całować? – Liesel była co najmniej zaniepokojona, oględnie rzecz ujmując. – Jestem brudna.

– Ja też. – Rudy nie widział powodu, żeby odrobina brudu stanęła na przeszkodzie jego zamiarom. Oboje kapali się dość dawno.

Liesel zastanawiała się nad propozycją, obserwując cherlawe piszczele swego przeciwnika. Jej nogi wyglądały podobnie. Nie pokona mnie, pomyślała i zdecydowanie kiwnęła głową. Interes to interes.

– Dobra, jeśli wygrasz, możesz mnie pocałować. Ale jeśli ja wygram, to przestaję być bramkarzem.

– Zgoda – odparł po zastanowieniu Rudy. Uścisnęli sobie dłonie.

Było szaro, mgliście, a z nieba zaczęły kapać kropelki dżdżu.

Tor okazał się bardziej mulisty, niż wyglądał.

Zawodnicy ustawili się na starcie.

Sygnałem do startu był kamień, który Rudy podrzucił do góry. Gdy spadł, zaczęli wyścig.

– Nie widzę mety – poskarżyła się Liesel.

– A ja niby widzę?

Biegli blisko siebie, szturchając się łokciami, żeby wybić się do przodu. Śliski grunt i chlupiące błoto sprawiło, że wywrócili się jakieś dwadzieścia metrów przed metą.

– Jezus, Maria, Józefie święty! – wrzasnął Rudy. – Jestem cały w gównie!

– To nie gówno, tylko błoto – poprawiła go Liesel, choć wcale nie miała pewności. Przeczozłgali się przez ostatnie metry. – Możemy uznać, że jest remis?

Rudy odwrócił twarz – łyskały z niej tylko ostre zęby i błękitne oczy. Resztę pokrywał muł.

– A jak będzie remis, to dostanę mój pocałunek?

– Nie, nawet za milion lat. – Liesel podniosła się i zaczęła czyścić kurtkę z błota.

– Zdejmę cię z bramki.

– A wsadź sobie tę bramkę.

Gdy wracali na Himmelstrasse, Rudy zapowiedział Liesel:

– Przyjdzie dzień, kiedy będziesz błagała, żebym cię pocałował.

Ale Liesel wiedziała swoje.

Złożyła przysięgę.

Póki życia nie pocałuje tego nędznego, brudnego *Saukerla*, a na pewno nie dzisiaj. Miała zresztą poważniejsze zmartwienia

– Ona mnie zabije – stwierdziła oczywisty fakt, oglądając swoje ubłocone ubranie.

Ona to była naturalnie Rosa Hubermann, inaczej zwana mamą. I rzeczywiście, omal jej nie zabiła. Przy wtórze wyzwisk, wśród których najczęściej powtarzało się słowo *Saumensch*, Rosa stłukła Liesel na kwaśne jabłko.

SPRAWA JESSE OWENSA

Kiedy o tym myślała, Liesel zdawało się, że była naocznym świadkiem dziecięcej niesławy Rudy'ego. W jakiś sposób zawsze widziała się wśród jego wymaginowanej widowni. Być może po prostu lubiła myśl o pomalowanym na czarno chłopcu biegnącym po trawie.

Rok 1936. Olimpiada. Igrzyska Hitlera.

Jesse Owens pobiegł na dystansie 400 metrów i zdobył swój czwarty złoty medal. Cały świat zbulwersowały wypowiedzi, że jako czarnoskóry zalicza się do podludzi oraz fakt, że Hitler odmówił uściśnięcia mu ręki. Nawet najbardziej zdeklarowani rasiści byli pod wrażeniem jego sukcesu. Największym fanem sprintera był Rudy Steiner. Cała rodzina zgromadziła się w pokoju dziennym, tylko on wymknął się do kuchni, gdzie nabrał w dłonie sadzy z piecyka.

– Już – powiedział do siebie z uśmiechem. Był gotów.

Grubą warstwą rozsmarował węgiel na twarzy, przeciągnął nim nawet po włosach.

Przejrzał się w szybie i – ubrany tylko w szorty i koszulkę – na rowerze podkradzionym starszemu bratu popedałował na Stadion Huberta. W kieszeni miał zapasowe kawałki węgla, na wypadek gdyby pierwsze smarowidło się zużyło.

W wyobraźni Liesel tej nocy księżyc stał w pełni. Dokoła niego kłębiły się chmury.

Zardzewiały rower podjechał pod stadion. Rudy przelazł przez ogrodzenie. Powłócząc nogami, ruszył w kierunku startu biegu na setkę. Z entuzjazmem zaczął się rozgrzewać, potem wykopał w ziemi dołki.

Czekając na swój moment, maszerował dookoła, koncentrując się, pod ciemnym niebem zasłanym chmurami.

– Owens jest przygotowany – powtórzył radiowy komentarz. – To może być jego największy sukces...

Uściśnął dłonie wymaginowanych przeciwników i życzył im powodzenia, choć znał rezultat. Nie mieli z nim najmniejszych szans.

Sędzia zagwizdał. Na widowni stadionu zmaterializowali się kibice. Skandowali nazwisko Jesse Owensa, a Jesse Owensem był on, Rudy Steiner.

Zapadła cisza.

Gołe stopy Rudy'ego dotknęły ziemi. Czuł, jak błoto przeciska mu się między palcami.

Na polecenie sędziego przybrał pozycję startową. Ciszę nocy przeciął wystrzał.

Na jednej trzeciej dystansu zawodnicy wciąż biegli równo, ale było tylko kwestią czasu, kiedy uczerniony węglem Owens wyrwie się na pierwszą pozycję i odsadzi od reszty.

– Owens wygrywa! – wykrzyknął przenikliwy chłopięcy falset, gdy pędził pustą bieżnią po hałaśliwy aplauz i olimpijskie laury. Poczuł, jak jego pierś przecina taśmę mety, gdy zdobywał pierwsze miejsce. Najszybszy człowiek świata.

Tuż po ostatnim zwycięskim kroku sytuacja stała się nieciekawa. Przy mecie, wśród tłumu, stał jego ojciec, wyglądający jak zły duch. Istna z mora w garniturze. (Jak mówiłem wcześniej, ojciec Rudy'ego był krawcem i rzadko widywano go na ulicy bez garnituru i krawata. Tym razem był to tylko garnitur i wymięta koszula).

– Was ist los? – spytał syna, patrząc na jego czarną twarz. – Co się tu, do diabła, dzieje? – Tłum nagle znikł. Zerwał się wiatr. – Przysnąłem w fotelu, kiedy Kurt zauważył, że cię nie ma. Wszyscy cię szukają.

W normalnych okolicznościach pan Steiner był człowiekiem wyjątkowo uprzejmym i łagodnym. Jednak odkrycie, że jeden z jego potomków przemalował się w letnią noc na Murzyna, nie było dla niego normalną okolicznością.

– Ten chłopak zwariował – wymamrotał, choć, mając szóstkę dzieci, mógł coś podobnego przewidzieć.

Przynajmniej jedno z nich musiało się okazać czarną owcą. – No?

– Byłem Jesse Owensem – odparł zdyszany Rudy, opierając ręce na kolanach. Jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. W jego tonie było nawet coś bezczelnego, jakby miał pretensje o pytanie ojca. Uspokoił się jednak, widząc, jak resztki snu znikają z ojcowskich oczu.

– Jesse Owensem? – Pan Steiner był osobą zasadniczą, człowiekiem z drewna. Miał czysty, szczery głos, a ciało rozłożyste i twarde jak dąb. Jego włosy wyglądały jak drzazgi. – Kto to?

– No wiesz, tato, ten amerykański biegacz, Czarny Magik.

– Ja ci pokażę czarną magię! – Steiner złapał syna za ucho i wykręcił.

– Au, to boli – skrzywił się Rudy.

– Naprawdę? – Jego ojca zdziwił dotyk czarnej mazi na palcach. „Więc cały się usmarował – pomyślał. – Łącznie z uszami”. – Chodźmy.

Po drodze ojciec postanowił porozmawiać z synem o polityce i wytłumaczyć mu wszystko najlepiej, jak potrafił. Rudy miał to wszystko pojąć dopiero za kilka lat, kiedy już było za późno, by się przejmować zrozumieniem czegokolwiek.

SPRZECZNOŚCI POLITYCZNE ALEKSA STEINERA

Po pierwsze: Był członkiem partii nazistowskiej, ale nie czuł nienawiści do Żydów; ani do kogokolwiek innego, jeśli idzie o ścisłość.

Po drugie: W skrytości ducha nie umiał jednak powściągnąć poczucia ulgi (czy wręcz radości), gdy usunięto jego konkurencję w postaci żydowskich sklepów i zakładów – propaganda wciskała mu, że tryumf żydowskiej plagi był tylko kwestią czasu, nim odebrałaby mu wszystkich klientów.

Po trzecie: Ale czy to znaczyło, że ci ludzie mają zostać całkowicie wypędzeni?

Po czwarte: Rodzina. Oczywiście, musiał ją utrzymywać. Skoro warunkiem było członkostwo w partii, został członkiem partii.

Punkt piąty: Gdzieś w głębi serca miał swędzący punkt, ale zmuszał się, by go nie rozdrapywać. Bał się tego, co mogłoby wyjść na jaw.

Szli w stronę Himmelstrasse, aż wreszcie Alex powiedział:

– Synu, nie wolno ci się malować na czarno, rozumiesz?

Rudy był zarazem zadowolony i speszony. Księżyc zerwał się z uwięzi, gotów się unieść, spaść i rozpląnąć na twarzy chłopca, ukazując zmętnienie i przeczuwanie jego myśli.

– Dlaczego, tato?

– Bo cię aresztują.

– Ale dlaczego?

– Bo nie powinieneś chcieć wyglądać jak Murzyn ani jak Żyd, ani jak... ani jak nikt inny niż my.

– A kto to są Żydzi?

– Pamiętasz mojego najstarszego klienta, pana Kaufmanna? Tego, u którego kupowaliśmy ci buty?

– Tak.

– On jest Żydem.

– Nie wiedziałem. Czy żeby być Żydem, trzeba za to płacić? Trzeba mieć pozwolenie?

– Nie, Rudy. – Pan Steiner jedną ręką prowadził rower, drugą chłopca. Rozpraszało go to. Wciąż trzymał syna za ucho, o czym zupełnie zapomniał. – To tak, jak być Niemcem albo katolikiem.

– Aha. Czy Jesse Owens jest katolikiem?

– Nie mam pojęcia! – Ojciec potknął się o pedał i wreszcie puścił ucho. Przez chwilę maszerowali w ciszy.

– Chciałbym być jak Jesse Owens, tato – wyznał Rudy. Pan Steiner położył rękę na głowie chłopca i zaczął mu tłumaczyć:

– Wiem, synu, ale ty masz piękne blond włosy i duże niebieskie oczy. Powinieneś się cieszyć z tego, co masz, czy to jasne?

Nic nie było jasne.

Rudy niczego nie zrozumiał, a ta noc była tylko przygrywką do tego, co miało nadejść. Dwa i pół roku później sklep obuwniczy Kaufmanna zamienił się w kupę potłuczonego szkła, a wszystkie buty w swych pudełkach wylądowały na ciężarówce.

DRUGA STRONA PAPIERU ŚCIERNEGO

Ludzie, jak mi się wydaje, przeżywają różne momenty przełomowe, szczególnie gdy są dziećmi. Dla kogoś będzie to sprawa Jesse Owensa. Dla drugiego nerwicowe zmoczenie łóżka.

Był koniec maja 1939 roku, zupełnie zwyczajny wieczór. Mama potrzasała żelazkiem, papa wyszedł. Liesel, wyczyściwszy drzwi, gapiała się w niebo nad Himmelstrasse.

Wcześniej była parada.

Wystrojeni w brunatne koszule ekstremiści z NSDAP (inaczej zwanej partią nazistowską) maszerowali Münchenstrasse z dumnie powiewającymi flagami, z zadartymi nosami, wyprostowani, jakby kij połknęli. Śpiewali pełnym głosem, przykładając się szczególnie do ryczącego refrenu „*Deutschland über Alles*” – „Niemcy ponad wszystko”.

Dostali oklaski, jak zawsze.

Wywoływano ich, kiedy tak maszerowali, nie wiadomo dokąd.

Ludzie na ulicach stali i patrzyli. Jedni zadowalali się salutowaniem w milczeniu, inni mieli dłonie obrzękłe od klaskania. Niektóre twarze, jak Frau Diller, konwulsyjnie wykrzywiały duma i zapał, ale byli i tacy, jak na przykład Alex Steiner, którzy stali jak drewniane figury, klaszcząc wolno i obowiązkowo. I pięknie. I ulegle.

Liesel stała przy drodze z papą i Rudym. Hans Hubermann miał cienie pod oczami.

KILKA ZGRZYTLIWYCH DANYCH

Od 1933 roku 90 procent Niemców deklarowało

niewzruszone poparcie dla Adolfa Hitlera.

Pozostawało 10 procent

Należał do nich Hans Hubermann.

Miał ku temu powody.

W nocy Liesel miała te same sny co zawsze. Z początku patrzyła na marsz brunatnych koszul, a potem znalazła się przy pociągu, gdzie odkryła to co zwykle. Wpatrywał się w nią brat.

Obudziwszy się z krzykiem, Liesel natychmiast zrozumiała, że tym razem sen skończył się inaczej. Z pościeli wydobywał się ciepły, niezdrowy zapach. Z początku chciała udać, że nic się nie stało, ale gdy papa podszedł i ją przytulił, zaczęła mu szeptać do ucha:

– Papo, papo – powtarzała. I to wszystko. Zapewne sam poczuł.

Uniósł ją delikatnie i wyniósł do łazienki. Kilka minut później przyszedł ten moment.

– Trzeba zmienić pościel – powiedział papa. Kiedy sięgnął po prześcieradło, coś się obluźowało i z hukiem spadło na podłogę. Między stopami wysokiego mężczyzny wylądowała czarna książka ze srebrnym napisem.

Spojrzał na nią.

Potem na dziewczynkę, która zadrżała.

Głośno, powoli przeczytał tytuł: *Podręcznik grabarza*.

Ach, więc tak się nazywa – pomyślała Liesel.

Teraz zaległa między nimi cisza. Między mężczyzną, dziewczynką i książką. Papa podniósł książkę i odezwał się głosem miękkim jak jedwab.

ROZMOWA O DRUGIEJ NAD RANEM

– **To twoje?**

– **Tak, papo.**

– **Chcesz przeczytać?**

– **Tak, papo.**

Znużony uśmiech.

Metalowe oczy topnieją jak rtęć.

– **No to czytamy.**

Cztery lata później, kiedy Liesel zaczęła pisać w piwnicy, uderzyły ją dwie myśli, dwa wspomnienia z tamtej nocy. Po pierwsze, była ogromnie szczęśliwa, że to właśnie papa odkrył książkę. (Na szczęście po ostatnim praniu bielizny Rosa nauczyła Liesel samodzielnie zmieniać pościel. „Tylko się pośpiesz, *Saumensch!* Nie mam zamiaru stać nad tobą cały dzień!”). Po drugie, była dumna, że Hans Hubermann przyczynił się do jej edukacji. *Nikt by nie pomyślał* – napisała – *że wcale nie w szkole nauczyłam się czytać. Papa mnie nauczył. Ludzie uważają, że nie jest zbyt bystry, i to prawda, że nie czyta zbyt szybko, ale przekonałam się, że słowa i pisanie ocaliły mu kiedyś życie. A dokładniej: słowa i człowiek, który nauczył go grać na akordeonie...*

– Po pierwsze, najważniejsze – powiedział tej nocy Hans Hubermann i uprał i powiesił pościel. – A teraz – oznajmił po powrocie – zaczynamy północną lekcję.

Żółte światło pulsowało drobinkami kurzu.

Liesel usiadła na zimnym, świeżym prześcieradle trochę zawstydzona, ale i uradowana. Myśl o zmoczeniu łóżka bolała ją, ale chciała czytać. Zamierzała przeczytać książkę.

Była coraz bardziej podekscytowana.

Pojawiła się wizja dziesięcioletniego geniusza lektury.

Nie była to jednak taka łatwa sprawa...

– Szczerze mówiąc – powiedział papa na samym początku – sam nie jestem zbyt biegły w czytaniu.

Dla niej nie miało znaczenia, że czytał powoli. Było nawet dobrze, że czytał gorzej niż inni. Być może pomagało to zmniejszyć frustrację, którą mogły wywołać niewielkie umiejętności dziewczynki.

Z początku Hans otwierał książkę z nieufnością.

Kiedy usiadł na łóżku, oparł się o ścianę, zwieszając swe długie nogi. Jeszcze raz obejrzał książkę i położył ją na kocu.

– Dlaczego takie miłe dziecko jak ty chce czytać takie rzeczy?

Liesel znów się wzdrygnęła. Gdyby pomocnik grabarza miał ze sobą komplet dzieł Goethego lub innego znakomitego pisarza, to teraz te właśnie dzieła leżałyby tu przed nimi. Liesel usiłowała to wyjaśnić:

– Ja... Bo kiedy... To leżało w śniegu i... – wyszeptane słowa spłynęły z łóżka na podłogę jak fala kurzu. Papa znów znalazł właściwe słowa. Miał taki dar. Przejechał dłonią po swych śpiących włosach i rzekł:
– Przynajmniej, Liesel, obiecaj mi jedno. Jeśli niedługo umrę, zadбай o to, żeby mnie porządnie pogrzebali. Dziewczynka z powagą skinęła głową.
– Nie omijając rozdziału szóstego ani ustępu czwartego w rozdziale dziewiątym – zaśmiał się. Zaśmiała się też Liesel. – Cieszę się, żeśmy to ustalili. Możemy startować. – Ułożył się wygodniej, a kości zatrzęszczały mu przy tym jak wyschnięte klepki. – Zaczynamy zabawę.
Książka, powiększona przez nocną ciszę, otworzyła się – jak pod powiewem wiatru.

Wspominając te wydarzenia, Liesel mogła sobie dokładnie odtworzyć, co pomyślał papa, gdy przebiegł wzrokiem pierwszą stronę *Podręcznika grabarza*. Kiedy zobaczył, jak trudny jest tekst, jasno pojął, że ta książka nie będzie idealnym elementarzem. Znajdowały się tu słowa, z których zrozumieniem sam miał kłopoty, nie mówiąc o makabrycznym temacie. Jeśli chodziło o Liesel, czuła tak silne pragnienie przeczytania książki, że nawet nie wysiłała się, by cokolwiek rozumieć. Choć oczywiście męczyło ją pytanie, czy jej brat został prawidłowo pogrzebany. Tak czy inaczej, jej pragnienie przeczytania tej książki było tak wielkie, jak tylko mogła to odczuwać dziesięcioletnia istota.

Rozdział pierwszy nosił tytuł *Pierwszy krok: wybór właściwych narzędzi*. W krótkim wstępie omówiono tu cały materiał zawarty na kolejnych dwudziestu stronach. Wymieniono typy łopat, kilofów, rękawic i tym podobnych rzeczy oraz podkreślono konieczność utrzymywania ich we właściwym stanie. Kopanie grobów było poważnym zajęciem.

Papa czytał, czując na sobie wzrok Liesel. Jej oczy osaczały go i więziły, oczekując każdego słowa, czegokolwiek, co wypływało z jego ust.

– Trzymaj – powiedział i podał jej książkę. – Popatrz na tę stronę i powiedz mi, ile słów potrafisz odczytać.
– Prawie połowę – skłamała.
– To przeczytaj mi coś.

Nie umiała. Kiedy kazał jej wskazać słowa, które umie odczytać na głos, okazało się, że są tylko trzy – trzy niemieckie rodzajniki. Cała strona musiała liczyć około dwustu słów. Będzie ciężko, pomyślał, a ona go na tej myśli przylapała.

Podniósł się i wyszedł. Kiedy wrócił, powiedział:

– Mam lepszy pomysł. – W jego dłoniach tkwił gruby stolarski ołówek i arkusz papieru ściernego. – Będziemy rysować.

W rogu odwróconego arkusza narysował kwadracik wielkości jakichś dwóch centymetrów kwadratowych, a w środku drukowaną literę „A”. W drugim rogu postawił małe „a”. Na razie szło dobrze.

– A – powiedziała Liesel.

– „A” jak co?

– *Apfel* – uśmiechnęła się Liesel.

Napisał to słowo drukowanymi literami, a pod spodem niezgrabnie narysował jabłko. Nie był artystą, tylko malarzem pokojowym. Kiedy skończył, powiedział:

– Przechodzimy do „B”.

Kiedy tak przerabiali alfabet, oczy Liesel robiły się coraz większe. Przerabiała to w szkole, w klasie maluchów, ale tym razem było o wiele lepiej. Była sama i tu nie była olbrzymką. Lubiła patrzeć na rękę papy, piszącą litery i niepewnie wykonującą prymitywne rysunekzki.

– No, rusz głowę, Liesel – powiedział, kiedy się zacięła. – Wymyśl coś na literę „S”. To łatwe. Bo się pogniewam. Nie umiała nic wymyślić.

– No, dalej – zachęcił ją. – Pomyśl o mamie.

Słowo smagnęło ją po twarzy jak bat. Odruchowo zachichotała.

– *SAUMENSCH!* – wykrzyknęła, a papa ryknął śmiechem, po czym natychmiast się uspokoił.

– Sza, musimy siedzieć cicho – powiedział, po czym znów głośno się zaśmiał i napisał to słowo, uzupełniając je rysunkiem.

PRZYKŁAD TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ

HANSA HUBERMANN

[rysunek]

– Papo! – zaprotestowała szeptem. – Ja nie mam oczu!

Pogłaskał ją po głowie zadowolony, że dała się złapać w pułapkę.

– Z takim uśmiechem nie potrzebujesz oczu – powiedział. Przytulił ją i jeszcze raz popatrzył na rysunek, tymi swoimi oczami jak płynna rtęć. – Przechodzimy do „T”.

Kiedy skończyli alfabet i przerobili go jeszcze kilka razy, papa pochylił się i spytał:

– Wystarczy na dzisiaj?

– Jeszcze kilka słówek!

– Wystarczy – stwierdził stanowczo. – Kiedy się obudzisz, pogram ci na akordeonie.

– Dziękuję, papo.

– Dobranoc. – Zaśmiał się lekko. – Dobranoc, *Saumensch*.

– Dobranoc, papo.

Zgasił światło, wrócił i usiadł na krześle. Liesel leżała w ciemności z otwartymi oczami. Patrzyła na słowa.

ZAPACH PRZYJAŹNI

Tak to trwało.

Przez następne kilka tygodni i początek lata nocne lekcje zaczynały się, kiedy kończył się senny koszmar. Liesel jeszcze dwa razy zmoczyła łóżko, a Hans Hubermann znów powtórzył bohaterski rytuał prania i zmieniania bielizny, a potem było czytanie, rysowanie i powtarzanie. W środku nocy ich ciche rozmowy wydawały się głośne. W czwartek o trzeciej po południu mama kazała Liesel przygotować się do wyjścia. Dziewczynka miała jej pomóc w odniesieniu upranych i wyprasowanych rzeczy. Papa miał inny pomysł. Wszedł do kuchni i powiedział:

– Przykro mi, mamuśka, ale ona dzisiaj z tobą nie pójdzie.

– A kto ciebie o coś pytał, *Arschloch*? Szykuj się, Liesel – odparła mama, nie podnosząc nawet wzroku znad pakunku z praniem.

– Ona czyta – Papa posłał Liesel zachęcający uśmiech i mrugnął. – Ze mną. Uczę ją. Idziemy w górę Amper, tam, gdzie ćwiczyłem na akordeonie.

Teraz Rosa zareagowała. Położyła torbę na stole i z wigorem wzniosła się na właściwy poziom cynizmu:

– Coś ty powiedział?

– Myślę, że słyszałaś, Rosa.

Mama zaśmiała się.

– A czego ty do diabła mógłbyś ją nauczyć? – Tekturowy uśmiech. Cięty ton. – Tak jakbyś sam umiał czytać, *du Saukerl*.

Kuchnia czekała. Papa odparował cios:

– Odniesiemy za ciebie prasowanie.

– Ty zapluty... – urwała. Słowa stanęły jej w gardle, gdy rozważała propozycję. – Ale wracajcie, zanim się zrobi ciemno.

– Nie można czytać, jak jest ciemno, mamó – powiedziała Liesel.

– Co to miało znaczyć, *Saumensch*?

– Nic, mamó.

– Książka, papier, ołówek – zakomenderował papa z uśmiechem. – I akordeon.

Liesel była gotowa w sekundę i już po chwili szli Himmelstrasse, niosąc słowa, muzykę i pranie.

Idąc w kierunku sklepu Frau Diller, parę razy odwrócili się, żeby sprawdzić, czy mama ciągle stoi przy furtce i ich sprawdza. Była tam. W pewnej chwili zawołała:

– Liesel, trzymaj prosto to prasowanie! Nie pognieć!

– Tak, mamó!

I parę kroków dalej:

– Liesel, ubrałaś się ciepło?

– Co mówisz?

– *Saumensch*, uszu nie masz?! Ciepło się ubrałaś? Bo wieczorem będzie zimno!

Za rogiem papa przykucnął, żeby zawiązać sznurowadło.

– Liesel, możesz mi skrócić papierosa? – zapytał.

Nic nie mogło być dla niej większą przyjemnością.

Kiedy już odnieśli prasowanie, wrócili do rzeki Amper, która płynęła skrajem miasta. Prąd rwał w stronę Dachau, gdzie był obóz koncentracyjny.

Stał tam drewniany most.

Usiedli nieopodal na trawie, pisali słowa i głośno je odczytywali, a kiedy zaczęło zmierzchać, Hans wyciągnął akordeon. Liesel patrzyła na niego, słuchała i nie od razu zauważyła zmieszanie na jego twarzy tego wieczora, gdy dla niej grał.

TWARZ PAPY

**Była rozkojarzona, zdziwiona,
ale nie dawała odpowiedzi.**

Na razie.

Coś się w nim zmieniło. Prawie niedostrzegalnie.

Zauważyła to, ale nie zrozumiała, pojęła dopiero później, kiedy wszystkie sprawy zbiegły się razem. Patrząc na niego, nie miała pojęcia, że akordeon Hansa Hubermanna to cała historia. Historia ta miała zmaterializować się później przy Himmelstrasse 33, we wczesnych godzinach porannych, w złachanych spodniach i rozdygotanej marynarce. Miała przynieść ze sobą walizkę, książkę i dwa pytania. Historia. Historia po historii; historia wewnątrz historii.

Na razie była tylko jedna historia, historia Liesel, a ona była szczęśliwa.

Ułożyła się na plecach między długimi źdźbłami trawy.

Zamknęła oczy, a jej uszy łowiły nuty.

Czasami nie bywało tak różowo. Parę razy papa prawie na nią nakrzyczał:

– No już, Liesel, przecież znasz to słowo, przecież je znasz!

Skoro były widoczne postępy, pojawiły się też i problemy.

Kiedy pogoda była ładna, popołudniami chodzili nad Amper. Kiedy było brzydko, schodzili do piwnicy. Z powodu mamy. Próbowali uczyć się w kuchni, ale nie wyszło.

– Rosa – zaczął pewnego dnia Hans. Jego spokojne słowa przecięły na pół jedno z jej niekończących się zdań. – Możesz mi zrobić grzeczność?

– A co? – podniosła głowę znad pieca.

– Proszę, błagam cię, czy możesz się zamknąć chociaż na pięć minut?

Możecie sobie wyobrazić jej reakcję.

I tak skończyli w piwnicy.

Nie było tam oświetlenia, więc brali ze sobą lampę naftową i tak pomału, między szkołą a domem, między rzeką a piwnicą, między lepszymi i gorszymi dniami Liesel uczyła się czytać i pisać.

– Już niedługo – zapowiedział jej papa – będziesz umiała przeczytać tę okropną książkę o kopaniu grobów z zamkniętymi oczami.

– I przepiszą mnie z tej klasy dla maluchów.

Wypowiedziała te słowa z wisielczym poczuciem humoru.

Podczas jednej z piwnicznych lekcji papie zabrakło papieru ściernego (zużywali go szybko), więc wyciągnął pędzel. Różnych rzeczy brakowało w domu Hubermannów, ale farby było zawsze pod dostatkiem, co okazało się nader przydatne w toku nauki Liesel. Papa mówił jakieś słowo, dziewczynka powtarzała je na głos, po czym pisała na ścianie dotąd, aż zrobiła to bezbłędnie. Po miesiącu ściana była odmalowywana. Świeżą warstwą.

Bywały wieczory, po nauce w piwnicy, gdy Liesel, siedząc w wannie, słyszała znane sobie narzekania dochodzące z kuchni.

– Cuchniesz – mówiła mama do Hansa. – Cuchniesz tytoniem i naftą.

Zanurzona w wodzie Liesel wyobrażała sobie ten zapach ubrania papy. Dla niej był to przede wszystkim zapach przyjaźni, co więcej, czuła go także na sobie. Liesel uwielbiała ten zapach. Wąchała własną rękę i uśmiechała się. A woda stygła.

CZEMPION WAGI CIĘŻKIEJ ZE SZKOLNEGO BOISKA

Lato 1939 roku przebiegło szybko, a może to Liesel szybko je przebiegła. Spędzała czas, grając w piłkę z Rudym i innymi dziećmi z Himmelstrasse (całoroczna rozrywka), odnosząc z mamą prasowanie do miasta i ucząc się słów. Czas minął jak z bicza strzelił.

W dalszej części roku wydarzyły się dwie ważne rzeczy.

WRZESIEŃ-LISTOPAD 1939

1. Początek II wojny światowej.

2. Liesel zostaje czempionem wagi ciężkiej szkolnego boiska.

W Molching dzień był chłodny, kiedy zaczęła się wojna, a mnie przybyło pracy.

Cały świat o tym mówił.

Nagłówki gazet szalały.

Głos Führera ryczał ze wszystkich niemieckich radioodbiorników. Nie wycofamy się. Nie spoczniemy.

Zwyciężymy. Nadszedł nasz czas.

Rozpoczął się atak Niemiec na Polskę i ludzie gromadzili się, słuchając najnowszych wiadomości. Münchenstrasse, jak każda główna ulica w każdym niemieckim mieście, żyła wojną. Jej zapachem, jej odgłosami. Pogłoski rozeszły się już wcześniej – dzięki napisom na murach – a teraz zostało to oficjalnie ogłoszone. Anglia i Francja opowiedziały się przeciw Niemcom. Było jak w zdaniu wypowiedzianym przez Hansa Hubermanna:

Zaczęła się zabawa.

W dniu ogłoszenia wojny papa miał to szczęście, że ciężko pracował. Kiedy wracał do domu, podniósł z chodnika zmiętą gazetę i – zamiast przystanąć i wcisnąć ją między kubelki farby na wózku, zwinął ją i schował za koszulę. Nim doszedł do domu, pot rozmoczył litery i odcisnął je na skórze. Gazeta wylądowała na stole, ale on miał najświeższe wiadomości na piersi. Jak tatuaż. Z rozpiętą koszulą pochylił się nad gazetą w mdłym kuchennym świetle.

– Co piszą? – spytała Liesel. Patrzyła to na jego skórę z odcisniętymi czarnymi literami, to na papier.

– Hitler zajmuje Polskę – odparł Hans Hubermann i osunął się na krzesło. – *Deutschland über Alles* – wyszeptał, a w jego głosie nie było ani cienia patriotyzmu.

I znów zobaczyła tę jego twarz – akordeonowy wyraz twarzy.

Tak zaczęła się jedna wojna.

Liesel niebawem miała wziąć udział w innej.

Minął prawie miesiąc od rozpoczęcia szkoły, nim przeniesiono ją do właściwej klasy. Może wam się wydawać, że było to skutkiem postępów w czytaniu, ale wcale nie. Mimo poprawy nadal miała trudności. Zdania się rozsypywały. Słowa ją zwodziły. Przyczyna, dla której ją przeniesiono, leżała raczej w tym, że demoralizowała

młodszych uczniów. Niepytana odpowiadała na zadawane im pytania i musiała wychodzić z klasy. Parę razy dostała karę – *Watschen* – na korytarzu.

DEFINICJA

***Watschen* = porządne baty**

Zabierano ją, sadzano na krześle w kącie i zabraniano się odzywać. Robiła to nauczycielka, która była zakonnicą. Rudy patrzył na nią porozumiewawczo i machał. Liesel też do niego machała, próbując się nie śmiać.

W domu posuwała się coraz dalej w czytaniu *Podręcznika grabarza* z papą. Podkreślali słowa, których Liesel nie rozumiała, i przerabiali je następnego dnia w piwnicy. Uważała, że to w zupełności wystarczy. Nie wystarczało.

Gdzieś na początku listopada w szkole zorganizowano sprawdziany postępów uczniów. Jeden z nich polegał na czytaniu. Każde dziecko musiało wyjść przed tablicę i odczytać wskazany przez nauczyciela fragment tekstu.

Ranek był zimny, choć słoneczny. Dzieci mrużyły oczy. Wokół głowy jednej z siostr, surowej egzaminatorki zwanej kostuchą, pojawiła się aureola. (A tak w ogóle, to podoba mi się ludzka koncepcja kostuchy. Podoba mi się kosa. To naprawdę zabawne).

W załanej słońcem klasie wrywano do odpowiedzi przypadkowych uczniów.

– Waldenheim, Lehmann, Steiner.

Wszyscy wstawali i czytali zadany fragment, na bardzo różnym poziomie. Rudy wypadł wyjątkowo dobrze.

Liesel oczekiwała na sprawdzian z mieszaniną gorączkowego podniecenia i morderczego strachu. Bardzo chciała się sprawdzić, żeby nareszcie się przekonać, czy coś umie. Czy zda? Czy kiedykolwiek dorówna Rudy'emu i reszcie klasy?

Za każdym razem, kiedy siostra Maria wyszukiwała nazwisko na liście, Liesel martwiła ze zdenerwowania.

Zaczynało się w żołądku, ale zaraz wypełzało na wierzch. Niebawem sięgnie szyi, jak sznur wisielca.

Kiedy Tommy Müller zakończył swój mierny popis, obejrzała się dookoła. Wszyscy już czytali. Została tylko ona.

– Świetnie – kiwnęła głową siostra Maria, spoglądając na listę. – To już wszyscy.

Co takiego?

– Nie!

Głos zmaterializował się w drugim końcu klasy. Należał do chłopca o cytrynowych włosach, którego kościste kolana uderzały o pulpit ławki. Wyciągnął rękę i powiedział:

– Siostro Mario, zapomniała siostra o Liesel.

Siostra Maria.

Nie była zachwycona.

Rzuciła dokumenty na stół i popatrzyła z naganą na Rudy'ego. Nie było w niej agresji, tylko melancholia.

Dlaczego, zapytywała się w duchu, muszę się męczyć z tym Rudym Steinerem? On po prostu nie umie trzymać buzi na kłódkę! Dlaczego, Boże, dlaczego?

– Celowo – powiedziała zdecydowanie. Wsunęła do przodu swój pulchny brzuch, za którym podążyła reszta ciała.
– Obawiam się, że Liesel nie da rady tego zrobić, Rudy. – Rozejrzała się dookoła, szukając potwierdzenia. – Przeczyta dla mnie później.

– Dam radę, siostró – odezwał się buntowniczy głos dziewczynki.

Klasa patrzyła w milczeniu, przerywanym właściwym dzieciom prychnięciem. Siostra miała dość.

– Nie, nie dasz rady! Co robisz?

Liesel poderwała się z ławki i powoli, sztywno wyszła na front klasy. Wzięła książkę i otworzyła ją na przypadkowej stronie.

– No dobrze – skapitulowała siostra Maria. – Chcesz, to czytaj.

– Tak jest, siostró. – Liesel szybko musnęła wzrokiem Rudy'ego, po czym wpatrzyła się w książkę.

Kiedy podniosła oczy, pomieszczenie najpierw rozpadło się na kawałki, a potem złożyło w całość. Postacie dzieci zlewały się w jedną masę. W nagłym olśnieniu w wyobraźni ujrzała, jak czyta całą stronę i odnosi spektakularny tryumf.

SŁOWO – KLUCZ

w wyobraźni

– Zaczynaj, Liesel! – przerwał milczenie Rudy.

Złodziejka książek jeszcze raz popatrzyła na napisane słowa.

Dawaj, Liesel, wyszeptał bezgłośnie Rudy. Dawaj, Liesel.

Krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach, a zdania rozmazywać prze oczami.

Biała stronica wydawała się zapisana w obcym języku, a łzy w oczach dodatkowo utrudniały sprawę. Liesel w ogóle nie widziała już słów.

I jeszcze to słońce. Straszne słońce. Wdzierało się przez szyby i padało prosto na nią, beznadziejną dziewczynkę.

Jakby krzyczało jej prosto w twarz: „Umiesz ukraść książkę, ale żadnej nie potrafisz przeczytać!”.

Ale nagle samo przyszło. Rozwiązanie.

Oddychać, oddychać. Zaczęła czytać, ale nie tekst, który był napisany w trzymanej w rękach książce. Czytała fragmenty *Podręcznika grabarza* z rozdziału trzeciego *Co robić w razie śniegu*. Pamiętała każde słowo tekstu odczytywanego przez papę.

– „Kiedy spadnie śnieg – mówiła – musicie mieć pewność, że został wybrany właściwy szpadeł. Należy kopać głęboko, nie wolno się lenić ani podcinać brzegów. – Nabrała tchu. – Oczywiście korzystniej jest zaczekać, aż zaświeci słońce i...”

Skończyło się.

Ktoś wyrwał jej książkę z ręki i wydał polecenie:

– Liesel, wyjdź na korytarz.

Dostała niewielkie *Watschen*, a między klapsami wymierzanymi ręką siostry Marii dobiegały ją śmiechy kolegów z klasy. Śmiały się wszystkie tworzące jednolitą masę dzieci. Chichotały i prychały, oblane słońcem. Wszystkie, oprócz Rudy'ego.

W przerwie została sprowokowana. Podszedł do niej chłopak nazwiskiem Ludwig Schmeikl i podał jej książkę.

– Ty, Liesel – odezwał się. – Nie rozumiem jednego słowa. Możesz je przeczytać? – zachichotał śmiechem zadowolonego z siebie dziesięciolatka. – *Du Dummkopf* – ty idiotko.

Na dworze gromadziły się chmury, duże i poszarpane, a obok dzieci, cieszące się z jej zdenerwowania.

– Nie słuchaj ich – poradził Rudy.

– Łatwo ci mówić. Ciebie nie przezywają idiotą.

Do końca przerwy zniosła dziewiętnaście obelg. Dwudziesty był Schmeikl, ponownie.

– No i co, Liesel? Pomożesz mi? – podstawił jej książkę pod nos.

Pomogła mu, a jakże.

Wyprostowała się, wzięła od niego książkę, a kiedy on przez ramię uśmiechnął się do publiczności, cisnęła książką, a Schmeikla kopnęła w najbardziej bolesne miejsce w kroczu.

Jak łatwo możecie sobie wyobrazić, zgięty wpół Ludwig Schmeikl przewrócił się na ziemię, a upadając, został jeszcze walnięty w ucho. Potem został podniesiony, a następnie sprany na kwaśne jabłko przez kipiącą ze złości dziewczynkę. Jej małe, twarde palce wbijały się w jego delikatną, miękką skórę.

– *Du Saukerl* – smagała go głosem jak biczem. – *Du arschloch!* Umiesz przeliterować słowo *Arschloch*?

Te głupie czarne chmury kłębiły się po niebie.

Wielkie tłuste chmury.

Ciemne i nabite.

Wpadały na siebie. Przepraszały. Poruszały się, szukając wolnej przestrzeni.

Dzieciaki, które tam były, nie przepuściły okazji do bliskiej obserwacji walki. Gulasz z rąk i nóg, z krzyków i oklasków zagęszczał się wokół walczących. Patrzyli, jak Ludwig Schmeikl dostaje od Liesel Meminger największe lanie życia.

– Jezus, Maria, Józefie święty, ona go zabije! – wrzasnęła jedna z dziewcząt.

Liesel go nie zabiła go.

Choć mało brakowało.

W istocie tym, co ją powstrzymało, była dziwnie wykrzywiona twarz Tommy’ego Müllera. Wciąż kipiąca od adrenaliny Liesel zobaczyła jego głupi uśmiech i rzuciła się na niego.

– Co robisz? – zawył i wtedy ona, po trzecim lub czwartym ciosie, przestała bić.

Kłęcząc, wciągnęła w płuca powietrze i słuchała krzyków klasy. Popatrzyła na wir skłębionych twarzy.

– Nie jestem głupia – oświadczyła.

Nikt nie zaprotestował.

Walka naprawdę zakończyła się wówczas, gdy pojawiła się siostra Maria i zobaczyła, w jakim stanie jest Ludwig Schmeikl. Pierwszymi podejrzanymi byli Rudy Steiner i jego koledzy z paczki. Kazała im pokazać ręce. Były czyste.

– Niewiarygodne. Nie wierzę – wymruczała siostra, gdy ręce pokazała Liesel. Ludwig krwawił. – Na korytarz – zakomenderowała siostra po raz drugi w ciągu godziny.

Tym razem nie były to małe baty. Ani nawet średnie. Tym razem kara była prawdziwą karą, a Liesel przez tydzień po niej nie mogła siedzieć na tyłku. Ale z klasy nie dobiegał już śmiech. Panowała śmiertelna cisza.

Pod koniec dnia Liesel szła do domu z Rudym i innymi dziećmiakami Steinerów. Kiedy byli blisko Himmelstrasse, wróciło do niej wszystko: rozpacz z powodu deklamacji fragmentu *Podręcznika grabarza*, rozpad rodziny, nocne koszmary, poniżenie w szkole. Ukucnęła na chodniku i rozpłakała się.

Rudy stał obok.

Zaczął padać deszcz, mocny, ale wyzwalający.

Kurt Steiner zawołał ich, ale żadne się nie ruszyło. Ona siedziała, przeżywając swój ból, on stał obok i czekał.

– Dlaczego on musiał umrzeć? – spytała, ale Rudy nie odezwał się ani nie poruszył.

Kiedy się wreszcie pozbierała i wstała, objął ją gestem dobrego kumpla i ruszyli do domu. Nie było mowy o pocałunkach. Nic z tych rzeczy. Możecie pokochać Rudy'ego za jego zachowanie, jeśli chcecie.

Tylko nie kop mnie w jaja.

Tak myślał Rudy, choć nie powiedział tego Liesel. Powiedział jej to cztery lata później.

Na razie wracali we dwójkę w deszczu na Himmelstrasse.

On był szaleńcem, który pomalował się na czarno i chciał zwyciężyć cały świat.

Ona była złodziejką książek, której brakowało słów.

Ale wiercie mi: słowa były tuż-tuż, a gdy się pojawiają, Liesel weźmie je w dłonie i będzie wyzymać jak chmury, roniące krople deszczu.

CZEŚĆ DRUGA

WZRUSZENIE RAMION

Występują:

dziewczyna z ciemności – radość z papierosów – spacer po mieście – martwe listy – urodziny Hitlera –
stuprocentowy niemiecki pot – bramy złodziejstwa – i książka z ognia

TROCHĘ STATYSTYKI

Pierwsza ukradziona książka: 13 stycznia 1939.

Druga ukradziona książka: 20 kwietnia 1940.

Okres między jedną a drugą kradzieżą: 463 dni.

Gdybyście byli w figlarnym nastroju, moglibyście powiedzieć, że było przy tym trochę dymu i trochę krzyku. I że tego właśnie potrzebowała Liesel Meminger, żeby zdobyć drugą książkę, nawet jeśli paliła jej się w rękach i parzyła żebra.

Ale: to nie czas na figlarny nastrój.

To nie czas na odwracanie głowy, na gapiostwo albo sprawdzanie, czy piec dobrze działa. Na to, że wygłodniała złodziejka książek sięgnęła po swą drugą zdobycz, złożyło się wiele czynników. Akt kradzieży miał niezwykle ważne, wręcz kluczowe konsekwencje: Liesel ostatecznie zdecydowała się nadal kraść książki, zaś Hans Hubermann postanowił pomóc żydowskiemu bokserowi. Co do mnie, przekonałem się już nie pierwszy raz, że okazja czyni złodzieja, ryzyko skłania do jeszcze większego ryzyka, chęć życia budzi do życia, a zadawanie śmierci powoduje coraz więcej śmierci.

To musiało być przeznaczenie.

Ludzie twierdzą, że nazistowskie Niemcy były produktem antysemityzmu, nadgorliwego przywódcy, zakompleksionych bigotów, ale do niczego by to nie doprowadziło, gdyby Niemców nie łączyła jedna, wszechogarniająca namiętność: palenie.

Niemcy uwielbiali palić rzeczy. Sklepy, synagogi, Reichstagi, domy, dokumenty, zwłoki, no i oczywiście książki. Uwielbiali patrzeć na płonące stosy książek, co z kolei dawało niektórym okazję, żeby podkraść jakieś zakazane druki. Jedną z osób o takich właśnie skłonnościach była, jak wszyscy wiemy, chuda dziewczynka nazwiskiem Liesel Meminger. Wyczekała się 463 dni, ale było warto. Pod koniec pociągającego złem, podniecającego, krwawego i dopełnionego karą z zaufanej ręki popołudnia Liesel Meminger odniosła swój drugi życiowy sukces. Zdobyła *Wzruszenie ramion*, błękitną książkę z wytłoczonym na czerwono tytułem i niewielkim rysunkiem czerwonej kukłki umieszczonym poniżej. Liesel, wspominając później moment kradzieży, nie czuła się zawstydzona. Przeciwnie, była dumna i ta duma rozlewała jej się w żołądku jak małe jeziorko. Jej motywacją była złość i nienawiść. 20 kwietnia, w dniu urodzin Führera, w dniu, gdy Liesel wyciągnęła książkę z dymiących popiołów, stała się dziewczyną z ciemności.

Dlaczego?

Skąd jej gniew?

Co się zdarzyło w ciągu ostatnich miesięcy, co sprowokowało ją do takich uczuć?

Mówiąc w skrócie, odpowiedź nadeszła okrężną drogą – z Himmelstrasse, poprzez Führera, przez nieznany adres prawdziwej matki i z powrotem.

Jak niemal każde nieszczęście historia zaczęła się szczęśliwie.

RADOŚĆ Z PAPIEROSÓW

Pod koniec 1939 roku życie Liesel w Molching układało się całkiem dobrze. Wciąż śnił jej się w nocy brat i tęskniła za matką, ale zaczynała doceniać drobne codzienne przyjemności.

Kochała swego papę, Hansa Hubermanna, i kochała też przybraną mamę mimo jej trudnego charakteru i słownych ataków. Kochała i nienawidziła zarazem swego najlepszego przyjaciela, Rudy'ego Steinera, co było zjawiskiem całkowicie normalnym. Mimo porażek w szkole robiła wyraźne postępy w czytaniu i pisaniu i po paru miesiącach zaczęto ją za to doceniać. Wszystko to razem złożyło się w coś na kształt zadowolenia i katalog sukcesów zatytułowany „Być szczęśliwym”.

POWÓD DO SZCZĘŚCIA

1. **Ukończenie *Podręcznika grabarza*.**
2. **Uniknięcie gniewu siostry Marii.**
3. **Otrzymanie dwóch książek pod choinkę.**

17 grudnia.

Doskonale zapamiętała datę, bo było to równo tydzień przed świętami.

Jak zawsze przeżyła nocny koszmar i obudził ją Hans Hubermann. Poczula jego dłonie przez przepoconą piżamę. – Pociąg? – zapytał.

– Pociąg – potwierdziła Liesel.

Gwałtownie nabierała powietrza, póki oddech jej się nie wyrównał, a potem zaczęli czytać jedenasty rozdział *Podręcznika grabarza*. Skończyli po trzeciej. Pozostał ostatni rozdział, zatytułowany *Szacunek dla grobu*. Papa przymknął swoje metaliczne oczy w nadziei na sen. Sen nie przychodził. Przy zgaszonym świetle w pokoju zabrzmiał głos Liesel.

– Papo?

Mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi.

– Nie śpisz, papo?

– Nie.

– Możemy doczytać książkę?

Liesel usłyszała głośne westchnienie, a potem zapaliło się światło. Hans otworzył książkę. Rozdział dwunasty: *Szacunek dla grobu*.

Czytali, aż nastał świt, zakreślając i zapisując niezrozumiałe dla Liesel słowa. Papa parę razy niemal przysnął, potrząsając zmęczoną głową i pocierając swędzące oczy. Liesel budziła go, nie ukrywając swoich mieszanych uczuć. Było go jej żal, ale miała przed sobą szczyt do zdobycia.

Skończyli, gdy ciemność zaczęła się zamieniać w światło. Ostatni akapit brzmiał:

„Bawarskie Towarzystwo Cmentarne ma nadzieję, że zaspokoilo waszą ciekawość dotyczącą techniki, zasad bezpieczeństwa i obowiązków związanych z kopaniem grobów. Życzymy licznych sukcesów w uprawianiu zawodu grabarza i wierzymy, że nasz trud nie poszedł na marne”.

Książka się skończyła. Papa zamknął ją i porozumiewawczo spojrzał na Liesel.

– Udało się, co? – zapytał.

Owinięta w koc Liesel wpatrywała się w czarną okładkę ze srebrnymi literami. Kiwnęła głową, czując pragnienie i poranny głód. Była śmiertelnie zmęczona, nie tylko pisaniem, ale całą ciężką nocą.

Papa przeciągnął się z zamkniętymi oczami. Zapowiadał się ładny dzień. Wstali i poszli do kuchni. Mimo porannej mgły i mrozu wyraźnie widzieli zaróżowione dachy przeciwnych domów przy Himmelstrasse.

– Popatrz na kolory – powiedział papa. Trudno nie lubić człowieka, który nie tylko zauważa kolory, ale o nich mówi.

Liesel ścisnęła w rękach książkę i obserwowała śnieg, który w słońcu robił się pomarańczowy. Na jednym z dachów zauważyła małego chłopca, wpatzonego w niebo.

– Miał na imię Werner – powiedziała. Te słowa wymknęły jej się mimowolnie.

– Tak – potwierdził papa.

W szkole tego dnia nie przeprowadzano już testów, ale Liesel i tak nabrała pewności siebie, próbując z dobrym skutkiem odczytać jedną z porzuconych kartek. Umiała przeczytać każde słowo, choć nie tak szybko jak inne dzieciaki z klasy. Lepiej coś robić na próbę, niż naprawdę, pomyślała. Potrzeba mi czasu.

Kiedyś pod koniec lekcji kusiło ją, żeby ukraść książkę ze szkolnej półki, ale perspektywa kolejnych batów z rąk siostry Marii okazała się mocnym argumentem przeciw. Poza tym Liesel nie bawiła kradzież książek ze szkoły.

Być może miało to związek z listopadową wpadką, ale niekoniecznie. W każdym razie pamiętała o niej.

A w klasie się nie odzywała.

Najwyżej patrzyła złym wzrokiem.

W zimowym semestrze przestała być ofiarą wybuchów gniewu siostry Marii. Siedziała jak trusia, obserwując kary wymierzane innym uczniom. Dźwięki dochodzące z korytarza nie były miłe, ale fakt, że to nie ona, a kto inny dostawał baty, okazał się sporą ulgą.

Kiedy w szkole ogłoszono przerwę świąteczną, Liesel zdobyła nawet się na złożenie życzeń siostrze Marii.

Wiedząc, że jej opiekunowie toną w długach, nie spodziewała się żadnego prezentu, co najwyżej lepszego jedzenia.

Ku swojemu zaskoczeniu w dzień wieczery wigilijnej, w której brali udział mama, papa, Hans Junior i Trudy, znalazła pod choinką pakunek owinięty w gazetę.

– Od Świętego Mikołaja – powiedział papa, ale dziewczynka nie dała się nabrać. Uściskała serdecznie oboje przybranych rodziców.

Odwinąwszy papier, znalazła dwie książeczki. Pierwsza, zatytułowana *Pies Faust*, została napisana przez Mattheusa Otteleberga. Liesel przeczytała ją trzynastokrotnie. W Wigilię przeczytała pierwszych dwadzieścia stron, podczas gdy papa i Hans Junior kłócili się o coś, czego nie rozumiała. Coś zwanego polityką.

Potem czytała dalej w łóżku, podkreślając niezrozumiałe słowa i wypisując je, tak jak robiła to wcześniej z papą. Książka *Pies Faust* miała śliczne ilustracje, przedstawiające owczarka niemieckiego, który się okropnie ślinił i potrafił mówić.

Autorką drugiej książki, zatytułowanej *Latarnia morska*, była kobieta, Ingrid Rippin Stein. Książka była dłuższa, więc Liesel przeczytała ją tylko dziewięć razy.

Parę dni po świętach, kiedy siedzieli razem w kuchni i jedli, zdecydowała się zadać pytanie o książki. Gdy spojrzała na łyżkę mamy, niosącą grochówkę do ust, skierowała je do papy.

– Chciałabym o coś spytać.

Cisza.

– O co? – powiedziała mama z pełnymi ustami.

– Skąd wzięliście pieniądze, żeby mi kupić książki?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Papa uśmiechnął się w talerz.

– Tak.

Papa wyciągnął z kieszeni resztkę racjonowanego tytoniu i zaczął skręcać papierosa. Liesel zniecierpliwiła się.

– Powiesz mi czy nie?

– Przecież właśnie ci to mówię, dziecko – zaśmiał się papa. Skręcił papierosa, potem drugiego. – To wszystko.

Mama skończyła zupę, wytarła kartonowe usta i odpowiedziała za niego:

– Ten *Saukerl* poskręcał swoje cuchnące papierosy, poszedł na targ i sprzedał je Cyganom.

– Osiem za książkę – dodał papa. Z zadowoleniem zapalił papierosa. – Dzięki Bogu, że wymyślił tytoń. Co na to powiesz, mamuśka?

– *Saukerl* – mruknęła mama, oganiając się od dymu.

Liesel mrugnęła do papy i szybko skończyła zupę. Na stole obok jej łokcia jak zwykle leżała jedna z książek.

Liesel była szczęśliwa. Mało komu opłacano naukę skręcaniem papierosów.

Mama dorzuciła, że gdyby Hans Hubermann miał odrobinę przyzwoitości, to za swoje papierosy kupiłby jej nową sukienkę albo porządne buty.

– Ale nie... – wypłuła swoje słowa do zlewu – kiedy o mnie chodzi, to wypalisz i swoje, i sąsiada, co?

Parę dni później Hans Hubermann przyniósł do domu pudełko jaj.

– Nie gniewaj się, mamuśka, ale butów nie dawali.

Mama nie narzekała.

Wręcz przeciwnie, nawet nuciła pod nosem, kiedy przygotowywała potrawy z jajek. Okazało się, że palenie papierosów nie jest niczym złym, a atmosfera w domu Hubermannów znacznie się polepszyła.

Do czasu.

W MIEŚCIE

Kłopoty zaczęły się od prania i narastały w lawinowym tempie.

Pewnego dnia, gdy Liesel towarzyszyła Rosie Hubermann w dostarczaniu upranej i wyprasowanej bielizny, jeden z klientów, Ernst Vogel, powiedział, że nie stać go dłużej na korzystanie z ich usług.

– Takie czasy – tłumaczył się. – Co mam powiedzieć? Życie jest coraz cięższe. Wojna robi swoje. – Spojrzał na dziewczynkę. – Na pewno dostaje pani dodatek na jej utrzymanie, prawda?

Ku konsternacji Liesel mamie odebrało mowę.

Trzymała pustą torbę.

Idziemy, Liesel – te słowa nie zostały wypowiedziane, lecz wyrażone mocnym szarpnięciem.

– Przykro mi, pani Hubermann – zawołał ze schodów Vogel. Był niski, do czoła lepiły mu się pasemka tłustych włosów.

Liesel pomachała mu.

Odmachał.

Mama była oburzona.

– Nie machaj mu, to *Arschloch* – powiedziała. – I pospiesz się.

Tego wieczora podczas kąpieli mama szorowała Liesel szczególnie mocno, cały czas mrucząc pod nosem o tym łajdaku Voglu i przedrzeźniając go co dwie minuty:

– „Na pewno dostaje pani dodatek na jej utrzymanie”. – Szorowała dalej, wymyślając nagiemu ciału Liesel: – Nie jesteś aż tyle warta, *Saumensch*. Nie wzbogacę się na tobie.

Liesel pokornie przyjmowała wyrzuty.

Tydzień po tym zdarzeniu Rosa zawlokła ją do kuchni.

– Słuchaj, Liesel – powiedziała, posadziwszy ją za stołem. – Skoro masz czas, żeby pół dnia uganiać się po ulicy za piłką, to mogłabyś dla odmiany zrobić coś pożytecznego.

– Ale co, mam? – Liesel wpatrywała się w swoje dłonie.

– Od tej pory sama będziesz przynosić i odnosić pranie. Ci bogacze nie ośmielą się mi wypowiedzieć, kiedy zobaczą cię samą. A jak zapytają, co się stało, to im powiesz, że zachorowałam. Tylko musisz zrobić smutną minę. Jesteś taka blada i chuda, że na pewno wzbudzisz ich litość.

– Herr Vogel się nade mną nie zlitował.

– No tak... – Rosa była wyraźnie wzburzona. – Ale inni mogą. Więc się ze mną nie spieraj.

– Dobrze, mam.

Przez chwilę zdawało się, że przybrana matka pogłaszcze ją po ramieniu.

Nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego Rosa wzięła drewnianą chochlę i podstawiała ją Liesel pod nos, grożąc:

– Jak będziesz na mieście, to masz odnosić pakunek na miejsce i wracać prosto do domu z pieniędzmi, nawet jak tego będzie tyle co kot napłakał. Żadnego schodzenia do papy, jeśli akurat wyjątkowo pracuje. Żadnego szwendania się z tym małym łobuzem Rudym Steinerem. Prosto do domu.

– Tak, mam.

– A jak będziesz nieść torbę, rób to porządnie. Nie wymachuj, nie rzucaj, nie gniec i nie zakładaj na ramię.

– Tak, mammo.

– „Tak, mammo”. – Rosa świetnie potrafiła przedrzeźniać innych. – Lepiej mnie słuchaj, *Saumensch*. Bo jak cię przylapię, to wiesz, co będzie?

– Tak, mammo.

Te dwa proste słowa bywały najlepszą metodą przetrwania, podobnie jak posłuszne wykonywanie poleceń. Liesel wędrowała więc ulicami Molching, od biednej dzielnicy do bogatej, zanosząc i odbierając pranie. Była sama, więc nie narzekała. Za pierwszym razem, skręciwszy w Münchenstrasse, obejrzała się na boki i z całej siły zamachnęła się torbą. To była prawdziwa rewolucja. Szybko sprawdziła zawartość – na szczęście nic się nie pogniotło. Z uśmiechem postanowiła nigdy więcej tego nie robić.

Tak w ogóle to Liesel była bardzo uradowana. Nie dostawała za to ani grosza, ale samo wyjście z domu bez mamy wydawało jej się niebem. Nikt nie przeklinał, nie wymachiwał palcem. Nikt się na nią nie gapił jak wtedy, gdy mama wymyślała jej, że źle trzyma torbę. Święty spokój.

Z czasem polubiła też swoich klientów, czyli:

* Pfaffelhürverów, którzy sprawdzali bieliznę i powtarzali: „*Ja, ja, sehr gut, sehr gut*”. Liesel wyobrażała sobie, że wszystko robią po dwa razy.

* Łagodną Helenę Schmidt, która wręczała jej pieniądze dłonią wykręconą przez artretyzm.

* Weingartnerów, których kot o zakręconych wąsach zawsze pierwszy biegł do drzwi. Nazywali go Goebbelsikiem, na cześć prawej ręki Hitlera.

* No i Frau Hermann, żonę burmistrza, z pierzastymi włosami, drżącą w wielkim zimnym holu. Nigdy się nie odzywała. Zawsze była sama. Nie wydawała z siebie ani dźwięku.

Czasami szedł z nią Rudy.

– Ile masz forsy? – zapytał pewnego popołudnia. Było już ciemno, a oni mijali sklep na Himmelstrasse. –

Słyszałaś, co gadają o Frau Diller? Że ma pochowane słodycze i handluje nimi. Więc za dobrą cenę...

– Nawet o tym nie myśl – Liesel mocniej ścisnęła pieniądze w dłoni. – To nie ty musiałbyś potem wysłuchiwać mojej mamy.

– Tylko próbowałem – wzruszył ramionami Rudy.

W połowie stycznia w szkole zaczęto uczyć dzieci pisania listów. Po nauczeniu się zasad każdy z uczniów miał napisać dwa listy, jeden do najlepszego przyjaciela, drugi do kolegi z innej klasy.

List Rudy’ego do Liesel zaczynał się tak:

Droga Saumensch,

Czy ty zawsze będziesz taką fajtłapą na boisku jak ostatnim razem? Mam nadzieję. Wtedy na pewno cię prześcignę jak Jesse Owens na olimpiadzie...

Kiedy siostra Maria to przeczytała, miłym głosem zapytała:

PYTANIE SIOSTRY MARII:

Czy ma pan ochotę zwiedzić korytarz, panie Steiner?

Nie muszę chyba mówić, że odpowiedź była odmowna. List został podarty i Rudy musiał pisać od początku. Za drugim razem zwracał się do osoby o imieniu Liesel z grzecznym pytaniem o jej zainteresowania.

Gdy po powrocie do domu Liesel zasiadła do lekcji, uznała, że pisanie do Rudy'ego albo innego *Saukerla* jest czystym idiotyzmem. Taki list nic nie znaczył. Pisząc w piwnicy, zdecydowała się zagadnąć o to papę, który po raz kolejny odmalowywał ścianę. Pędzel i kłęb dymu odwróciły się ku niej.

– Was wuistz? – spytał, co jest możliwie najbardziej szorstką formą w języku niemieckim, w jakiej jedna osoba może zwracać się do drugiej, ale zostało wypowiedziane bardzo uprzejmym tonem. – No, czego tam?.

– Czy mogę napisać list do mamy?

Cisza.

– A po co masz do niej pisać? Widzisz ją codziennie. – Na twarzy papy pojawił się szelmowski uśmiech. – Nie dość ci jeszcze?

– Nie do tej mamy – przełknęła ślinę.

– A. – Papa odwrócił się i malował dalej. – Chyba tak. Możesz go przesłać do tej kobiety, zapomniałem nazwiska, która cię tu przywiozła i odwiedziła parę razy.

– Frau Heinrich.

– Zgadza się. Wyślij go do niej, może ona będzie mogła przekazać go twojej mamie... – Nie brzmiało to przekonująco, jakby coś przed Liesel ukrywał. Frau Heinrich podczas swoich wizyt też ani razu nie wspomniała o jej prawdziwej mamie.

Liesel nie pytała dalej, tylko zaczęła gorączkowo pisać, próbując zapomnieć o złym przeczuciu, jakie się w niej zaległo. Pisanie i przepisywanie sześć razy na czysto zajęło jej trzy godziny. Opisała mamie Molching, papę i jego akordeon, trudną przyjaźń z Rudym Steinerem i wyczyny Rosy Hubermann. Napisała też, jaka jest dumna, że nareszcie umie czytać i pisać. Następnego dnia zaniósła list ze znaczkiem, który wzięła z kredensu, do sklepu Frau Diller. I zaczęło się czekanie.

Tej nocy, kiedy napisała list, podsłuchiwała rozmowę Hansa i Rosy.

– Co jej przyszło do głowy, żeby pisać do matki? – spytała mama. Jej głos był zadziwiająco spokojny i pełen troski. Jak się można domyślić, właśnie to zdenerwowało dziewczynkę. Wolałaby, żeby się kłócili. Szepty dorosłych nigdy nie budziły jej zaufania.

– Spytała mnie, czy może. Powiedziałem, że tak, no bo co miałem powiedzieć?

– Jezus, Mario, Józefie święty – odezwał się stłumiony głos Rosy. – Powinna o niej po prostu zapomnieć. Kto może wiedzieć, gdzie ona jest? I co jej zrobili?

Leżąc w łóżku, Liesel objęła się ramionami i zwinęła w kłębek. Myślała o matce i powtarzała w myśli pytania Rosy Hubermann.

Gdzie ona jest?

Co jej zrobili?

I wreszcie chciałyby to wiedzieć raz i na pewno – kim byli ci o n i ?

MARTWE LISTY

Wybiegnijmy trochę w przyszłość. Piwnica, wrzesień 1943 roku.

Czternastoletnia dziewczyna pisze coś w notesie w ciemnej okładce. Jest chuda, ale silna, ma za sobą wiele doświadczeń. Papa siedzi z akordeonem u stóp.

– Wiesz, Liesel – mówi – mało brakowało, a napisałbym odpowiedź i podpisał się jako twoja mama. – Podrapał się po nodze tam, gdzie wcześniej był gips. – Ale nie mogłem. Nie dałem rady.

Wiele razy przez resztę stycznia i cały luty 1940 roku, gdy Liesel sprawdzała pocztę, czekając na list, jej przybranemu ojcu pękało serce.

– Przykro mi – mówił. – Nic dziś nie przyszło?

Z perspektywy czasu rozumiała, że wszystko to było bezsensowne. Gdyby tylko matka mogła, natychmiast skontaktowałaby się z tymi ludźmi z ośrodka dla dzieci, albo z nią, Liesel, albo z Hubermannami. A tak – nic.

Jakby tego wszystkiego było mało, w połowie lutego klienci, Pfaffelhürverowie z Heidestrasse, przekazali Liesel list. Para ludzi górowała nad nią w drzwiach, spoglądając smutnym wzrokiem.

– To dla twojej mamy – powiedział mężczyzna, wręczając jej kopertę. – Powtórz jej, że nam przykro. Naprawdę przykro.

To nie była dobra noc w domu Hubermannów.

Nawet w piwnicy, dokąd zesłała, by napisać piąty list do mamy (oprócz pierwszego żadnego jeszcze nie wysłała), Liesel słyszała wrzaski Rosy wyklinającej tych *Arschlöcher* Pfaffelhürverów i tę gnidę Ernsta Vogla.

– *Feuer soll'n's brunzen für einen Monat* – wołała. W tłumaczeniu: „Niechby przez miesiąc sikali ogniem”.

Liesel pisała.

Kiedy przyszły jej urodziny, już nie było prezentu. A nie było prezentu, bo nie było pieniędzy i papa nie miał już tytoniu.

– Mówiłam ci – wygrażała palcem mama. – Mówiłam, żebyś nie dawał jej książek na święta. Ale nie. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Oczywiście, że nie!

– Tak wyszło. – Papa odwrócił się spokojnie do Liesel. – Przepraszam, Liesel. Tym razem nas nie stać.

Liesel nie miała żalu. Nie płakała, nie krzyczała, nie tupała nogami. Po cichu przełknęła zawód i postanowiła – przy całym wkalkulowanym ryzyku – że sama zrobi sobie prezent. Postanowiła zebrać wszystkie listy do matki i podkraść pieniądze na znaczek z tych na pranie. Oczywiście dostanie za to w kuchni *Watschen*, ale zniesie lanie bez słowa.

Trzy dni później plan został zrealizowany.

– Coś mi tu brakuje. – Mama czwarty raz przeliczyła pieniądze. Liesel stała przy kuchni. Było jej bardzo gorąco, policzki piekły. – Co to ma znaczyć, Liesel?

– Musieli mi za mało dać – skłamała.

– Nie przeliczyłaś?

Liesel złamała się.

– Wydałam, mamó.

Rosa niebezpiecznie zbliżała się do stojaka z drewnianymi łyżkami.

– Co takiego?!

Zanim Liesel zdążyła odpowiedzieć, na jej ciało niby kopniak od Boga spadła drewniana łyżka. Pozostawiała czerwone ślady jak odciski stóp. Paliły. Ukarana dziewczynka, wciąż leżąc na podłodze, wyjaśniła, co się stało. Krew jej pulsowała, żółte światło oślepiało. Zamrugła oczami.

– Wysłałam moje listy.

I wtedy, na tej zakurzonej podłodze, zrozumiała, że to wszystko na próżno. Matka nigdy nie odpisze i nigdy się już nie zobaczą. Upamiętnienie sobie tego było jak drugie *Watschen*. Poczuła ból, który nie ustawał przez dłuższy czas.

Obraz stojącej nad nią Rosy wydawał się zamglony, ale szybko zrobił się wyraźniejszy, gdy kartonowa twarz pochyliła się nad Liesel. Strapiona, tłusta Rosa stała z łyżką w dłoni jak z maczugą. Wyciągnęła rękę i wreszcie się odezwała:

– Tak mi przykro, Liesel.

Liesel знаła ją wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie chodzi o lanie.

Czerwone ślady puchły coraz bardziej, kiedy tak leżała w kurzu, przy słabym świetle. Oddech jej się wyrównał, a po twarzy potoczyła się żółta, zblakana łza. Czuła na podłodze każdą cząstkę ciała. Ramię. Kolano. Łokieć. Policzek. Łydkę. Podłoga była chłodna, zwłaszcza pod policzkiem, ale ona nie mogła się ruszyć.

Już nigdy nie zobaczy matki.

Leżała tak na podłodze pod kuchennym stołem prawie godzinę, póki papa nie wrócił i nie zagrał jej na akordeonie. Dopiero wtedy usiadła i próbowała się pozbierać.

Kiedy potem opisywała ten wieczór, nie czuła niechęci ani do Rosy Hubermann, ani tym bardziej do własnej matki. Rozumiała, że stały się ofiarami okoliczności. Jedyna uprzejma myśl dotyczyła żółtej łzy. Gdyby było ciemno, myślała, łza byłaby czarna.

Ale przecież było ciemno.

Nieważne, ile razy próbowała wyobrazić sobie tę scenę w żółtym świetle, które przecież świeciło, musiała się namęczyć, żeby ją zwizualizować. Dostała cięgi w mroku i pozostała na ciemnej, zimnej kuchennej podłodze.

Nawet muzyka papy miała kolor ciemności.

Nawet muzyka papy.

Dziwne, ale ta myśl trochę ją pocieszała, zamiast przygnębiać.

Ciemność, światło.

Jaka jest różnica?

Nocne koszmary nasiliły się, kiedy złodziejka książek wreszcie w pełni zrozumiała, jak się rzeczy mają i jakimi już zawsze będą. Skoro nie mogła zrobić nic innego, pozostało jej przynajmniej przygotowanie się na najgorsze. I może dlatego, kiedy wreszcie nadszedł dzień urodzin Führera, kiedy tajemnica cierpień matki wreszcie w pełni jej się ukazała, Liesel była zdolna do reakcji mimo bezradności i gniewu.

Liesel Meminger była gotowa.

Wszystkiego najlepszego, Herr Hitler.

Sto lat.

URODZINY HITLERA, ROK 1940

Mimo braku nadziei Liesel codziennie sprawdzała skrzynkę na listy, przez cały marzec i większą część kwietnia. Mimo wymuszonej przez Hansa wizyty Frau Heinrich, która wyjaśniła Hubermannom, że jej biuro zupełnie straciło kontakt z Paulą Meminger. Dziewczynka jednak nie ustępowała, choć oczywiście każdego dnia skrzynka była pusta.

Molching, podobnie jak reszta Niemiec, było w wirze przygotowań do urodzin Hitlera. Tego akurat roku, gdy wojna postępowała jak burza, a Hitler stale zwyciężał, jego nazistowscy zwolennicy z Molching chcieli je uczcić w sposób szczególny. Szykowali paradę, marsze z muzyką i masowymi pieśniami. I wielki ognisty stos.

Podczas gdy Liesel przemierzała ulice miasta, odnosząc i odbierając pranie, członkowie NSDAP gromadzili opał. Liesel kilka razy była świadkiem, jak mężczyźni i kobiety stukają do drzwi i pytają, czy ludzie nie mają przypadkiem niepotrzebnych rzeczy, których chcieliby się pozbyć. Zakupiony przez papę „Molching Express” ogłosił, że z okazji święta na centralnym placu będzie urządzone ognisko, na które przybędą także młodzieżowe oddziały hitlerowskie. Będzie to uczczenie nie tylko urodzin Führera, ale także chwalebnych zwycięstw nad jego wrogami i końca pohańbienia Niemiec po I wojnie światowej. Zażądano, by na miejsce zbiórki w siedzibie NSDAP przy Münchenstrasse przynosić „wszelkie wrogie materiały propagandowe z tamtych czasów, takie jak gazety, plakaty, książki i flagi”. Nawet Schillerstrasse – ulica żółtych gwiazd – która czekała na odbudowę, została po raz kolejny splądrowana w poszukiwaniu wszystkiego, co nadawałoby się do spalenia na chwałę Führera. Można by sądzić, że wielu członków partii gotowych było wyjechać za granicę i opublikować tonę zatruwających umysły materiałów propagandowych po to tylko, by je unicestwić w ogniu.

Wszystko było gotowe, by dzień 20 kwietnia wypadł jak najwspanialej. Miał to być dzień ognia i radości. I kradzieży książek.

W domu Hubermannów ranek przebiegał jak zwykle.

– *Saukerl*, ty się znowu gapisz przez okno – klęła Rosa Hubermann. – Co dzień to robisz. Na co się gapisz tym razem?

– Och – westchnął papa z rozmarzeniem. Flaga w oknie jak peleryna okrywała jego plecy. – Żebyś ty widziała tę seksowną kobitkę. – Odwrócił głowę i mrugnął do Liesel. – Aż chciałoby się ją zjeść. Biję cię na głowę, mamuska.

– *Schwein!* – Pogroziła mu drewnianą łyżką.

Papa wciąż wpatrywał się z okna w nieistniejącą kobietę i jak najbardziej realny korytarz niemieckich sztandarów.

Tego dnia każde okno w każdym domu w Molching było udekorowane flagami na cześć Führera. W niektórych domach, na przykład u Frau Diller, wymyte szyby błyszczały jak kryształ, a swastyka na czerwono-białym tle wyglądała jak klejnot. W innych flagi zwisały z gzymsów jak suszące się pranie.

Ale były wszędzie.

Wcześniej u Hubermannów zapanowała panika, bo nie mogli znaleźć swojej flagi.

– Oni po nas przyjdą – ostrzegła mama męża. – Przyjdą i nas wywiozą. – „Oni”. – Musimy ją znaleźć!

Wydawało się, że papa będzie musiał zejść do piwnicy i wymalować flagę na jednej ze swych płacht malarskich. Na szczęście znalazła się w szafie, wciśnięta za akordeon.

– Ten przeklęty akordeon! Przez niego nie zauważyłam! – piekliła się mama. – Liesel!

Liesel powierzono honorową misję przytwierdzenia flagi do framugi.

Hans Junior i Trudy przyjechali do rodzinnego domu na wspólny posiłek, podobnie jak przyjeżdżali na Wielkanoc czy Boże Narodzenie. To dobry moment, żeby przybliżyć nieco ich postacie.

Trudy, czy raczej Trudel, była niewiele wyższa od mamy. Miała nieszczęście odziedziczyć po matce kaczy chód, ale poza tym wyglądała znacznie łagodniej. Pracując na stałe jako pokojówka w bogatym domu w Monachium była znudzona dziećmi, ale wobec Liesel zawsze potrafiła się zdobyć na kilka uśmiechów. Miała miękkie usta i cichy głos.

Hans Junior odziedziczył wzrost i oczy swego ojca. Jednak srebro w nich nie miało ciepłego blasku – jego oczy były zhitleryzowane. Był też znacznie potężniejszy, miał sterczące blond włosy i skórę jakby wypraną z koloru. Przyjechali jednym pociągami. Nie trzeba było wiele czasu, by powróciły dawne konflikty.

KRÓTKA HISTORIA KONFLIKTU

HANSA HUBERMANN I JEGO SYNA

Zdaniem Hansa Juniora jego ojciec był częścią starych, zmurszałych Niemiec – kraju, który się dawał robić w konia, podczas gdy naród cierpiał. Od wczesnej młodości wiedział, że ojca przezywano „Der Juden Maler” – żydowskim malarzem, bo malował żydowskie domy. A potem doszło do tego – szczegóły zdradzę wam wkrótce – że Hans wszystko popsul, a było to wtedy, gdy próbował wstąpić do partii. Każdy wie, że nie wolno zamalowywać napisów na żydowskich sklepach. To źle dla Niemiec i źle dla samego przestępcy.

– Przyjęli cię już? – spytał Hans Junior, podejmując temat tam, gdzie przerwali na Boże Narodzenie.

– Gdzie?

– Zgadnij! Do partii.

– Nie. Chyba o mnie zapomnieli.

– A nie próbowałeś drugi raz? Nie możesz tak po prostu siedzieć na tyłku i czekać, aż przyjdzie nowy świat.

Musisz go współtworzyć, musisz działać – mimo że kiedyś popełniałeś błędy.

– Błędy? – Papa podniósł wzrok. – Popełniłem w życiu wiele błędów, ale to, że nie wstąpiłem do partii, nie jest jednym z nich. Poza tym ciągle mają moje podanie, o czym świetnie wiesz. Ale nie mogłem tam znowu iść po prośbie. Ja...

I wtedy nadszedł wielki wstrząs.

Wtańcował przez okno wraz z przecigiem. Może był to oddech Trzeciej Rzeszy, nabierającej coraz więcej sił. A może była to stara Europa, która wciąż oddychała. Tak czy inaczej wpadł między nich, aż dwie pary metalicznych oczu zderzyły się jak puszki konserw w kredensie.

– Nigdy ci nie zależało na tym kraju – rzucił Hans Junior. – A przynajmniej tak, jak trzeba. – Oczy papy zaczęły rdzewieć, co nie powstrzymało Hansa Juniora. Z sobie tylko znanych powodów popatrzył na dziewczynkę. Mając

trzy książki ustawione pionowo na stole, jak w kółku towarzyskim, Liesel w milczeniu poruszała ustami, czytając jedną z nich. – I co za bzdury to dziecko czyta? Ona powinna czytać *Mein Kampf*.

Liesel uniosła oczy.

– Nie denerwuj się, Liesel – powiedział papa. – Czytaj sobie. On nie wie, co mówi.

Ale Hans Junior jeszcze nie skończył. Podeszedł bliżej i powiedział:

– Albo jesteś za Führerem, albo przeciw. Widzę, że jesteś przeciw. Zawsze byłeś. – Liesel wpatrywała się w twarz Hansa Juniora, zafascynowana jego wąskimi wargami i górzystą linią dolnych zębów. – To żalosne. Jak prawdziwy mężczyzna może nic nie robić, kiedy cały naród wymiata śmiecie i dąży do wielkości.

Trudy i mama, tak jak i Liesel, siedziały w milczeniu i przestachu. W powietrzu unosił się zapach grochówki, świeżej spalenizny i walki.

Czekały na następne słowa.

I te słowa padły z ust syna. Tylko dwa.

– Ty tchórze! – rzucił papie w twarz, po czym natychmiast opuścił i kuchnię, i dom.

Papa, nie zważając, że to daremny trud, ruszył korytarzem i zawołał za nim:

– Tchórz? Mnie nazywasz tchórzem? – I pobiegł za synem do furtki i dalej, żeby to odkręcić. Mama podbiegła do okna, zerwała flagę i otworzyła je. Wszystkie trzy, mama, Liesel i Trudy, stłoczyły się, patrząc, jak ojciec dogania syna i łapie go, błagając, by się zatrzymał. Nic nie słyszały, ale sposób, w jaki Hans Junior odtrącił rękę ojca, był aż nazbyt wymowny. Niemy obraz papy, który patrzył za nim, aż krzyczał.

– Hans! – zawołała w końcu mama. – Wracaj!

Ale chłopak zniknął.

Tak, chłopak zniknął, ale choć chciałbym was zapewnić, że młodemu Hansowi Hubermannowi wszystko ułożyło się dobrze, to nie mogę.

Kiedy tamtego dnia zniknął z Himmelstrasse w imię Führera, przeniósł się do zupełnie innej bajki, która krok po kroku prowadziła go do tragedii w Rosji.

Pod Stalingrad.

KILKA FAKTÓW DOTYCZĄCYCH STALINGRADU

1.W 1942 i na początku 1943 roku każdy ranek w tym mieście był blady jak chusta.

2.Jak dzień długi transportowałem dusze, patrząc, jak ta chusta barwi się krwią, którą spływała też ziemia.

3.Wieczorem chusta była wyżęta i wybielona na następny dzień.

4.Tak się działo, dopóki walki toczono tylko w dzień.

Po odejściu syna Hans Hubermann stał jeszcze trochę na ulicy. Wydawała się taka szeroka.

Kiedy zjawił się w domu, mama wlepiła w niego oczy, ale nie padło ani jedno słowo. Nie karmiła go, nie pouczała, co, jak wiecie, było niezwykle. Zapewne stwierdziła, że dość się nacierpiał, kiedy własny syn oskarżył go o tchórzostwo.

Po jedzeniu przez chwilę siedział w milczeniu przy stole. Czy rzeczywiście był tchórzem, co syn tak brutalnie mu wytknął? Jak uważał, w czasie I wojny faktycznie zachował się jak tchórz, ale to uratowało mu życie. Ale czy słuchanie własnego strachu jest tożsame z tchórzostwem? Czy tchórzostwem jest radość z tego, że żyjemy?

Wpatrywał się w stół, a jego myśli krzyżowały się na blacie.

– Papo – odezwała się Liesel, ale Hans nie podniósł głowy. – O czym on mówił? Co miał na myśli?

– Nic. Zapomnij o tym, Liesel. – Przerwał na dłuższą chwilę. – Czy ty się nie powinnaś szykować? – Tym razem popatrzył na nią. – Nie musisz iść na ognisko?

– Muszę, papo.

Złodziejka książek przebrała się w swój hitlerowski mundur i pół godziny później wyszli razem, zmierzając do kwatery BDM. Stamtąd dziewczynki miały oddziałami wyruszyć na centralny plac.

Będą przemówienia.

Zapłonie ogień.

Zostanie ukradziona książka.

Ludzie stali na chodnikach wzdłuż ulicy, gdy niemiecka młodzież maszerowała w kierunku ratusza. Była to jedna z niewielu chwil, gdy Liesel zapomniała o matce i swoich licznych problemach. Serce puchło jej z dumy, gdy widzowie oklaskiwali oddziały. Niektóre dzieciaki machały do rodziców, ale ukradkiem, bo wydano im kategoryczne instrukcje, że mają maszerować, patrząc prosto przed siebie, a nie popisywać się przed tłumem. Gdy oddział Rudy'ego wkroczył na plac i otrzymał komendę „Stój!”, zrobiło się zamieszanie. Tommy Müller się zagapił i kiedy reszta już stała, on wpadł prosto na chłopca przed sobą.

– *Dummkopf!* – prychnął chłopak, zanim jeszcze się odwrócił.

– Przepraszam. – Tommy bezradnie rozłożył ręce. Jego twarz drgała w skurczach. – Nie usłyszałem. – Incydent trwał tylko chwilę, ale zwiastował przyszłe kłopoty. Kłopoty Tommy'ego i Rudy'ego.

Gdy dywizje Hitlerjugend znalazły się u celu, pozwolono im się rozejść. Byłoby niemożliwością utrzymać dyscyplinę, bo ogień ekscytował dzieciaki. Po chóralnym *Heil Hitler!* mogły poruszać się swobodnie. Liesel rozglądała się za Rudym, ale wkrótce pochłonął ją tłum biegających, nawołujących się głośno dzieci.

Do w pół do piątej znacznie się ochłodziło. Ludzie żartowali, że trzeba się rozgrzać.

– Nareszcie te stare graty na coś się przydadzą.

Rzeczy przeznaczone do spalenia zwożono wózkami i zrzucano na środek placu. Były polewane czymś słodkim. Książki i inne papierowe materiały też wysypywano z wózków i rzucano na stos. Z daleka przypominało to stożek wulkaniczny albo dziwny, nieznany obiekt latający, który cudownym sposobem wylądował na środku placu i teraz trzeba go szybko zniszczyć.

Zapach substancji palnej docierał nawet do tych, którzy stali daleko, zbici w tłum. Zebrało się ponad tysiąc ludzi. Stali wszędzie: na ziemi, na schodach ratusza, nawet na dachach domów otaczających plac.

Gdy Liesel usiłowała się przedrzeć bliżej, usłyszała trzask. Pomyślała, że już zapalono ogień, ale to były tylko odgłosy falującej, napierającej tłuszczy.

Zaczęli beze mnie!

Choć głos wewnętrzny mówił jej, że dzieje się zbrodnia – w końcu trzy książki były najcenniejszymi rzeczami, jakie posiadała – coś ją zmuszało do tego, by zobaczyć, jak stos zaczyna płonąć. Nie mogła opanować tego uczucia. Wydaje mi się, że ludzie lubią oglądać akty destrukcji. Zamki z piasku, domki z kart – od tego się zaczyna. Mają specjalny talent do pomnażania dzieła zniszczenia.

Uczucie zawodu zelżało, kiedy znalazła przesmyk w tłumie i zobaczyła, że stos hańby stoi nietknięty jak stał. Ludzie szturchali go, polewali, nawet pluli. Przypominał klasową ofiarę, samotną i prześladowaną, niezdolną do walki ze swym losem. Dzieciaka, którego nikt nie lubi. Spuszczona głowa. Ręce w kieszeniach. Koniec. Amen. Rzeczy do spalenia wciąż przybywało, a Liesel wypatrywała Rudy'ego. Gdzie ten *Saukerl* się podziewa? Spojrzała w górę. Niebo się obniżyło.

Wznoszący się horyzont hitlerowskich flag i mundurów zasłaniał jej widok za każdym razem, gdy próbowała się wychylić nad głowę niższego dziecka. Sprawa była beznadziejna. Tłum żył własnym życiem. Nie sposób było go

wyminąć, precyzyjnie się, pertraktować. Oddychało się jego oddechem, śpiewało jego głosem. Czekano na jego ogień.

Mężczyzna na trybunie kazał się wszystkim uciszyć. Jego mundur lśnił brunatną barwą, jakby wciąż jeszcze nosił ślady żelazka. Zapadła cisza.

– *Heil Hitler!* – brzmiały jego pierwsze słowa.

Salut na cześć Führera był jego pierwszym gestem.

– Mam dzisiaj wielki dzień – mówił. – To nie tylko dzień urodzin naszego wielkiego przywódcy, ale dzień kolejnego tryumfu nad wrogami. Nie pozwolimy im zatruwać naszych umysłów...

Liesel wciąż usiłowała się precyzyjnie bliżej.

– Położyliśmy kres zarazie, która toczyła Niemcy przez ostatnie dwadzieścia lat, jeśli nie więcej! – ryczał.

Schreierei – pokazowy, wieczowy krzyk. Ostrzegał rzeszę ludzi, że trzeba być czujnym, baczny, żeby wykryć i zniszczyć złowrogi, choć żalosne machinacje i spiski nieprzyjaciół ojczyzny. – Zniszczyć zboczeńców!

Komunistów! – Liesel rozpoznała dawno słyszane słowo. Ciemne pokoje. Mężczyźni w garniturach. – *Juden!* Żydów!

W połowie przemówienia Liesel skapitulowała. Gdy dotarło do niej słowo „komuniści”, popis nazistowskiej propagandy trwał w najlepsze, wylewał się jak wodospad prosto w otaczające ją zbiorowisko. Dziewczynka stała w tej wodzie. W głowie dzwięczało jej słowo „komuniści”.

Na zbiórkach BDM uczono, że Niemcy należą do wyższej rasy, ale o innych jakoś nie wspomniano. Oczywiście wszyscy wiedzieli o Żydach, którzy mieli być głównymi sprawcami gwałtu na niemieckim terenie. Ale ani razu aż do dzisiaj nie było mowy o komunistach, w tym znaczeniu, że ludzie o takich przekonaniach też zasługiwali na karę.

Musiała się wydostać.

Tuż przed nią tkwiła nieruchomo na swych ramionach blond głowa o włosach rozdzielonych w dwa warkocze.

Patrząc na nią, Liesel przypominała sobie ciemne klitki z przeszłości i matkę, odpowiadającą na pytania składające się z jednego słowa.

Widziała to jak na dłoni.

Głodującą matkę, zaginionego ojca. *Kommunisten*.

Martwego brata.

– A teraz rozprawimy się z tym całym śmieciem, z tą trucizną.

Zanim ogarnięta mdłościami Liesel Meminger wydostała się z tłumu, lśniąca brunatna postać zeszła z mównicy i zbliżyła do stosu. Adiutant podał mężczyźnie pochodnię, a on podpalił pochylony przed nim w poczuciu winy stos.

– *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler!* – odpowiedział tłum.

Grupa ludzi zbiegła z podium i otoczyła stos, podpalając go ze wszystkich stron przy aplauzie widowni. Głosy wznosiły się nad ramionami, a potem owionął wszystko smród czystego germańskiego potu. Rozlał się po placu,

docierając do każdego zakątka, aż wszyscy się w nim skąpali. Słowa. Pot. Uśmiechy. Nie zapominajmy o uśmiechach.

Padło wiele dowcipnych komentarzy, a po nich ponowny chóralny ryk *Heil Hitler!*. Ciekawi mnie, czy ktoś przy okazji nie stracił oka albo się nie poparzył. Wystarczyło przez chwilę nie uważać lub stanąć odrobinę za blisko innych. Prawdopodobnie byli ranni. Wiem jednak, że nikt nie stracił życia, przynajmniej nie dosłownie. Ogólny bilans mojego żniwa po tym, jak wszystko się już skończyło, wynosił jakieś czterdzieści milionów dusz, ale to prawie abstrakcja. Wracajmy do naszego ogniska.

Pomarańczowe płomienie machały do tłumu, zasilane papierem i farbą drukarską. Palone słowa odrywały się od zdań.

Zza drgającego żaru widać było brunatne koszule i swastyki. Nie ludzi, tylko mundury i emblematy.

Po niebie kołowały ptaki.

Krążyły, przyciągane ogniem, póki nie poczuły gorąca zbyt blisko. A może to byli ludzie? Oni nie zważali na żar.

Jakiś głos zatrzymał Liesel przy próbie ucieczki, wołając jej imię.

Nie był to Rudy, ale Liesel знаła ten głos.

Odwróciła się. O nie. Ludwig Schmeikl. Ale wbrew temu, czego mogłaby się spodziewać, tym razem nie drwił ani nie żartował. W ogóle nic nie powiedział. Przyciągnął ją do siebie i gestem pokazał kostkę. Była skaleczona, krwawiła. Skarpeta barwiła się złowrogą czerwienią. Na twarzy chłopca, pod potarganą blond czupryną malowała się bezradność. Jak u zwierzęcia. Ale nie u jelenia złapanego w światła samochodu. Nic tak banalnego. Był zwierzęciem poturbowanym przez swoje własne stado, bliskim zatarowania.

Jakimś cudem Liesel zdołała go odciągnąć tam, gdzie było świeże powietrze.

Pokuśtykali do stopni kościoła. Było trochę miejsca, mogli usiąść i z ulgą odpocząć.

Schmeikl nie mógł złapać tchu. Z najwyższym trudem usiłował coś wykrztusić przez ściśnięte gardło.

Trzymając się za kostkę, poszukał wzrokiem Liesel.

– Dzięki – powiedział, raczej do jej ust niż oczu. Nabrał parę razy powietrza. – I... – Przed oczami obojga przesunęły się szkolne wspomnienia i walka na podwórku. – Przepraszam za... no wiesz.

W głowie Liesel znów zabrzączało to słowo.

Kommunisten.

Wołała się skupić na Ludwigu Schmeiklu.

– Ja też.

Dochodzili do siebie, wyrównywali oddech. Nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Sprawa się skończyła.

Na skarpecie chłopca rosła czerwona plama.

Na sercu dziewczynki leżało słowo.

Na lewo od nich przy wtórze radosnych okrzyków buchały płomienie i płonęły książki.

WROTA ŻŁODZIEJSTWA

Siedziała na schodach, czekając na papę, i obserwowała wirujący popiół ze zwłok zgromadzonych książek. Czerwone i pomarańczowe węgielki wyglądały jak zgubione cukierki. Ścisk się przerzedził. Zobaczyła, jak Frau Diller (bardzo zadowolona) i Pfiffikus (siwe włosy, hitlerowski mundur, te same rozdeptane buty i tryumfalny gwizd) opuszczają plac. Teraz wszystko trzeba będzie uprzątnąć i niedługo po stosie nie zostanie nawet ślad. Poza swędem spalenizny.

– Co robisz? – Hans Hubermann pojawił się przed kościołem.

– Cześć, papo.

– Miałś być przed ratuszem.

– Przepraszam, papo.

Usiadł na betonie obok niej, zginając wpół swą wysoką postać, i ujął pasmo włosów Liesel. Jego palce delikatnie założyły włosy za ucho.

– Co się stało, Liesel?

Na razie nie była zdolna do odpowiedzi. Przeprowadzała w myśli działanie matematyczne, choć wszystko już wiedziała.

DODAWANIE

Słowo „komunista” + wielkie ognisko + zbiór martwych listów + cierpienie matki + śmierć brata = Führer

Führer.

To on był „onymi”, o których mówili Hubermannowie tego wieczora, kiedy napisała pierwszy list do matki.

Wiedziała to, ale musiała się upewnić.

– Czy moja mama jest komunistką? – Patrzyła. Prosto przed siebie. – Zanim tu przyszedłem, ciągle zadawali jej pytania.

– Nie mam pojęcia. – Hans pochylił się lekko, inicjując kłamstwo. – Nigdy jej nie spotkałem.

– Czy to Führer ją zabrał?

Pytanie zaskoczyło ich oboje, papa poczuł się zmuszony wstać. Popatrzył na grupę mężczyzn w brunatnych koszulach, którzy łopatami zbierali popiół. Słyszał, jak spluwają. W ustach rosło mu drugie kłamstwo, ale nie czuł się na siłach, by je wypowiedzieć. Zamiast tego rzekł:

– Tak, myślę, że to on.

– Wiedziałaś. – Słowa upadły na schody, a Liesel poczuła w brzuchu gorącą falę wściekłości. – Nienawidzę Führera – dodała. – Nienawidzę.

A Hans Hubermann?

Co zrobił? Co powiedział?

Czy schylił się i objął przybraną córkę, jak tego pragnął? Czy powiedział, jak bardzo jej współczuje z powodu tego, co stało się z jej matką, co stało się z jej bratem?

Niezupełnie.

Zacisnął oczy. Potem je otworzył. Uderzył Liesel Meminger prosto w twarz.

– Nigdy tak nie mów! – Jego głos był spokojny, lecz ostry.

Gdy roztrzęsiona dziewczynka upadła na schody, usiadł obok i schował twarz w dłoniach. Najłatwiej byłoby stwierdzić, że jakiś wysoki człowiek, załamany i zdruzgotany, siedzi na stopniach kościoła, ale to nie było tak. W tym momencie Liesel nie miała pojęcia, że jej przybrany ojciec Hans Hubermann ma przed sobą dylemat, najbardziej niebezpieczny dylemat, przed jakim mógł stanąć obywatel Niemiec. I że przeżywa go od blisko roku.

– Papo?

Zdziwienie we własnym głosie zelektryzowało ją, ale jednocześnie pokazało bezradność. Chciała uciec, ale nie mogła. Dłonie znikły z twarzy papy. Znow był zdolny do mówienia.

– Możesz mówić to w domu – powiedział, z powagą patrząc w twarz Liesel – ale nigdy nie wolno ci tego wypowiedzieć na ulicy, w szkole czy w BDM, nigdy! – wstał i podniósł ją za łokieć. Potrząsnął. – Słyszałaś? Z oczami rozszerzonymi jak spodki Liesel kiwnęła głową.

W istocie była to tylko próba do przyszłych wykładów, kiedy najgorsze obawy Hansa Hubermann zmaterializowały się na Himmelstrasse pod koniec tego roku, w listopadzie nad ranem.

– W porządku. – Puścił ją. – A teraz poćwiczmy... – Papa stanął na baczność i wyprostował ramię pod kątem czterdziestu pięciu stopni. – *Heil Hitler*.

Liesel stanęła i także wyciągnęła ramię. W poczuciu ostatecznego nieszczęścia powtórzyła:

– *Heil Hitler*.

To był szczególny widok – jedenastoletnia dziewczynka, która powstrzymuje płacz, z hitlerowskim pozdrowieniem przy akompaniamencie głosów ludzi rozwalających w tle ciemną piramidę stosu.

– Dalej jesteśmy przyjaciółmi?

Mniej więcej kwadrans później papa wyciągnął gałązkę oliwną – bibułki i tytoń, który właśnie udało mu się zdobyć. Nachmurzona Liesel bez słowa sięgnęła po nie i zaczęła skręcać papierosa.

Jeszcze trochę posiedzieli razem.

Nad ramieniem papy unosił się kłęb dymu.

Już za dziesięć minut miały się uchylić wrota złodziejstwa, które Liesel Meminger otworzy szerzej i przecisnę się na drugą stronę.

DWA PYTANIA

Czy wrota się za nią zatrzasną?

Czy będą na tyle łaskawe, by ją jednak wypuścić?

Liesel odkryje, że dobry złodziej potrzebuje wielu talentów.

Sprytu. Opanowania. Zwinności.

Ale najważniejszy jest jeszcze jeden czynnik.

Szczęście.

To fakt.

Minęło dziesięć minut.

Wrota otworzą się teraz.

Stopniowo nadciągała ciemność, więc gdy Hans Hubermann dopalił papierosa, zaczęli się zbierać do domu. Żeby wyjść z placu, musieli minąć zgliszcza i skręcić w małą uliczkę dochodzącą do Münchenstrasse. Ale nie zdążyli tam dojść.

Zawołał na nich cieśla Wolfgang Edel, mężczyzna w średnim wieku, z długimi bokobrodami sięgającymi kącików ust. Z okazji uroczystości zbudował dla wojskowej elity podium i teraz je rozbierał.

– Hans Hubermann? – rozległ się jego tubalny głos. – Hansie!

– Sie masz, Wolfal – odparł Hans. Przedstawił dziewczynkę, która powiedziała *Heil Hitler*. – Dobrze, Liesel.

Przez kilka minut Liesel stała w zasięgu ich głosów. Docierały do niej fragmenty rozmowy, ale nie bardzo słuchała.

– Dużo masz roboty?

– Nie bardzo, ciężkie czasy. Wiesz, jak jest, zwłaszcza jak nie jesteś w partii.

– Mówiłeś, że wstąpisz, Hansie.

– Próbowałem, ale pomyliłem się w podaniu. Ciągłe rozpatrują.

Liesel podeszła do góry popiołów. Magnetyzowała ją swoją pokracznością, nieodparcie przyciągała, podobnie jak ulica żółtych gwiazd.

Podobnie jak wtedy, gdy stos płonął, nie mogła oderwać od niego wzroku. Jako że była sama, nie była w stanie zmusić się do zachowania bezpiecznej odległości. Zgliszcza przyciągały ją, więc zaczęła obchodzić je wkoło.

W górze, na niebie, było już zupełnie ciemno, ale w dali, za zarysem popiołów, migotało zamglone światelko.

– *Pass auf, Kind* – odezwał się do niej mundur ładujący popioły na wózek. – Uważaj, dziecinko.

Przy ratuszu majaczyły cienie, rozprawiające zapewne o tym, jak udało się ognisko. Z miejsca, gdzie stała Liesel, słysząc było tylko niewyraźne dźwięki. Słowa nie dochodziły.

Przez kilka minut obserwowała ludzi z łopatami, odgarniającymi popiół z boków, żeby góra zapadła się do środka.

Chodzili w tę i z powrotem od stosu do ciężarówki, a po trzecim nawrocie, kiedy z popiołów mało co już pozostało, na ziemi ukazały się szczątki ocalałe z pożogi.

SZCZĄTKI

Połowa czerwonego sztandaru, dwa plakaty reklamujące żydowskiego poetę, trzy książki i drewniana tabliczka z hebrajskim napisem.

Być może były zawilgocone. Być może ogień zgasł zbyt szybko, żeby ogarnąć wszystko aż do głębi. Jakakolwiek była przyczyna, ocalały wśród zgliszcz. Przetrwały.

– Trzy książki – cicho powiedziała Liesel i obejrzała się na odchodzących mężczyzn.

– Pospieszcie się, umieram z głodu – odezwał się jeden z nich. Ruszyli do ciężarówki.

Trzy książki kusząco wystawiały grzbiety.

Liesel podeszła bliżej.

Żar był wciąż dość silny, by ogrzać ją, kiedy stanęła na skraju pogorzeliska. Kiedy wyciągnęła rękę, cofnęła ją zaraz od gorąca. Za drugim razem musiała być szybsza. Sięgnęła po najbliższą książkę. Była gorąca, przypalona na brzegach, z nietkniętym środkiem.

Okładka była niebieska.

Wyglądała, jakby zrobiono ją z setek gęsto tkanych, a potem sprasowanych nitek. Wytłoczono na nich czerwone litery. Jedyne słowo, jakie Liesel zdołała odczytać, to „ramion”. Nie miała czasu doczytać reszty. Problemem był dym.

Okładka dymiała, kiedy podrzucając ją w rękach, odbiegła od stosu. Szła ze spuszczonej oczami, a w środku, za każdym krokiem, szarpały ją nerwy. Zdołała zrobić czternaście kroków, kiedy za plecami usłyszała głos.

– Hej!

Była bliska tego, żeby zawrócić i rzucić książkę tam, skąd ją wzięła, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Jedyne, do czego była zdolna, to odwrócić głowę.

– Są tu resztki, które się nie dopaliły – zawołał jeden ze sprzątających. Nie patrzył na dziewczynkę, tylko w stronę ludzi przy ratuszu.

– To je dopal! – padła odpowiedź. – I przypilnuj, żeby tym razem było dobrze!

– Ale one są mokre!

– Jezus, Mario, Józefie święty, czy ja wszystko muszę robić sam?! – głosowi towarzyszył tupot kroków. To nadchodził burmistrz, w czarnym płaszczu narzuconym na mundur. Nie zauważył dziewczynki stojącej jak słup soli zaledwie o parę metrów od niego.

STWIERDZENIE

Posąg złodziejki książek stojący na placu...

Nie uważacie, że to dziwne, że posąg pojawił się, zanim osoba, którą przedstawiał, stała się sławna?

Znikła.

Co za radość, być niezauważalnym!

Wydawało się, że książka ostygła na tyle, by dało się ją wepchnąć pod mundurek. Na początku Liesel czuła na piersi miłe ciepło. Ale gdy szła dalej, książka znów zaczęła parzyć.

Nim doszła do papy i Wolfganga Edla, wydawało jej się, że zaraz spłonie.

Mężczyźni spojrzeli na nią.

Ona się uśmiechnęła.

Kiedy uśmiech spelzł z jej warg, poczuła czyjąś obecność. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Przeczucie potwierdziło się, gdy ośmieliła się podnieść twarz i spojrzeć na cienie przy ratuszu. Na skraju zbioru sylwetek stała jedna, osobno. Liesel pojęła wówczas dwie rzeczy.

DWA KAWAŁKI ROZPOZNANIA

1.Tożsamość cienia.

2.Fakt, że cień wszystko widział.

Cień trzymał ręce w kieszeniach płaszcza.

Miał pierzaste włosy.

Gdyby miał twarz, nosiłaby wyraz krzywdy.

– *Gottverdamm*t – zaklęła Liesel pod nosem. – Cholera jasna.

– Idziemy?

Gdy Liesel przeżywała swoje zagrożenie, papa żegnał się z Wolfgangiem Edlem. Teraz gotów był odprowadzić Liesel do domu.

– Idziemy – odparła.

Zaczęli oddalać się od sceny zbrodni. Książka dosłownie paliła jej ciało. Tytuł *Wzruszenie ramion* odcisnął się na jej żebrach.

Kiedy mijali złowróżbne cienie przy ratuszu, twarz złodziejki książek wykrzywił grymas.

– Co jest? – spytał papa.

– Nic.

Ale parę spraw nie wyglądało najlepiej:

Zza kołnierza Liesel unosił się dym.

Gardło ścisnęła jej obręcz potu

Ukryta pod bluzą książka pożerała ją żywcem.

CZEŚĆ TRZECIA

MEIN KAMPF

Występują:

droga do domu – załamana kobieta – wojownik – kuglarz – atrybuty lata – aryjska sklepikarka – chrapanie – para oszustów – zemsta jak mieszanka cukierków

DROGA DO DOMU

Mein Kampf .

Książka autorstwa samego Führera.

Trzecia ważna książka w życiu Liesel Meminger, choć tym razem niekradzioną. Książka ta objawiła się przy Himmelstrasse 33 mniej więcej w godzinę po tym, jak Liesel zapadła w spokojny sen po swoim codziennym koszmarze.

Można powiedzieć, że posiadanie przez nią tej książki było cudem.

Jej podróż zaczęła się w drodze do domu, w dniu ognia.

Byli już w połowie Himmelstrasse, kiedy Liesel dłużej nie wytrzymała. Pochyliła się i wyciągnęła dymiącą książkę, przerzucając ją z ręki do ręki.

Kiedy dostatecznie ostygła, patrzyli na nią w milczeniu, szukając słów.

– Co to ma być, do diabła? – spytał papa.

Sięgnął po *Wzruszenie ramion*. Nie trzeba było nic wyjaśniać. Dziewczynka po prostu ukradła ją z ogniska.

Książka była gorąca i mokra, błękitna i czerwona – może ze wstydu. Hans Hubermann otworzył ją na stronie trzydziestej ósmej.

– Jeszcze jedna?

Liesel tarła obolałe zębra.

Tak.

Jeszcze jedna.

– Wygląda na to, że nie będę musiał sprzedawać papierosów, co? – powiedział papa. – Skoro tak szybko i zgrabnie kradniesz książki.

Liesel nie odzywała się. Być może po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że przestępstwo mówi samo za siebie.

Niezbicie.

Papa uważnie przestudiował tytuł, zapewne próbując zrozumieć, jaki rodzaj zagrożenia książka stanowi dla narodu niemieckiego. Oddał ją Liesel. Coś się wydarzyło.

– Jezus, Maria, Józefie święty. – Każde słowo padało jak cios. Łamało się, formując następne.

– Co, papo? Co się stało? – przestępczyni nie umiała dłużej zachować milczenia.

– Jasne.

Jak większość ludzi w obliczu objawienia, Hans Hubermann osłupiał. Następne słowo mógł tylko wykrzyczeć.

Było powtórzeniem.

– Jasne. – Zabrzmiało to jak uderzenie pięścią w stół. Zobaczył coś. To coś mignęło jak wyścig, zbyt szybko, by zdołała uchwycić to Liesel.

– Papo, co jest? – spytała błagalnie. Martwiła się, że powie mamie o książce. Myślała tylko o sobie, jak to zwykle ludzie. – Powiesz?

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Wiesz co. Powiesz mamie?

– O czym? – Hans Hubermann wciąż patrzył w dal, wysoki i odległy.

– O tym – uniosła książkę. Zamachała nią jak pistoletem.

– A dlaczego miałbym? – Papa był zdezorientowany.

Liesel nienawidziła takich pytań. Zmuszały ją do przyznania ohydnej prawdy, do ujawnienia własnej, parszywej natury złodziejki.

– Bo znowu ukradłam.

Papa ukucnął przed nią, potem wstał i pogładził ją po głowie. Przeczesał twardymi, zniszczonymi palcami jej włosy.

– Oczywiście, że nie, Liesel. Nie bój się.

– To co zrobisz?

Oto pytanie.

Co za cud miał uczynić Hans Hubermann, mając do dyspozycji tylko rzadkie powietrze na Himmelstrasse?

Zanim wam to przedstawię, powinniśmy zapoznać się z wizją, która poprzedziła jego decyzję.

WIZJA PAPY

Najpierw zobaczył książki dziewczynki: *Podręcznik grabarza*, *Psa Fausta*, *Latarnię morską* i jeszcze *Wzruszenie ramion*. Potem ujrzał kuchnię, a w niej zagniewanego Hansa Juniora, patrzącego na książki ustawione na stole. Jego syn powiedział: „Co za bzdury czyta to dziecko?”. Powtórzył swoje pytanie trzykrotnie, po czym zaproponował odpowiedniejszą lekturę.

– Posłuchaj, Liesel. – Papa objął ją ramieniem. – Ta książka to nasza tajemnica. Przeczytamy ją w piwnicy, tak jak tamtą. Ale musisz mi coś obiecać.

– Wszystko, co chcesz, papo.

Noc była cicha i aksamitna. Wszystko nasłuchiwało.

– Jeśli poproszę cię, żebyś dotrzymała mojej tajemnicy, zrobisz to.

– Obiecuję.

– Dobrze. Idziemy. Jeśli się jeszcze bardziej spóźnimy, mama nas pozabija, a przecież nie o to chodzi, prawda? I nie będziemy już kraść książek, co?

Liesel uśmiechnęła się.

Nie wiedziała, że za kilka dni jej przybrany ojciec przehandluje swoje papierosy za inną książkę, choć przeznaczoną nie dla niej. Zapukał do drzwi biura NSDAP w Molching i zapytał o losy swego podania o członkostwo. Podczas rozmowy wyciągnął z kieszeni wszystkie drobne i tuzin papierosów. W zamian otrzymał podniszczony egzemplarz *Mein Kampf*.

– Miłej lektury – powiedział jeden z partyjnych.

– Dziękuję – kiwnął głową Hans.

Już na ulicy usłyszał fragment rozmowy. Jeden z głosów brzmiał niezwykle wyraźnie.

– On się nigdy nie dostanie, nawet jakby kupił sto egzemplarzy *Mein Kampf*. – Głosowi towarzyszył szmer aprobaty.

Hans trzymał książkę w prawej ręce, myśląc o drobnych na znaczki, o papierosach i przybranej córce, która podrzuciła mu ten genialny pomysł.

– Dziękuję – powtórzył, a przypadkowy przechodzień zaczął się dopytywać, o co chodzi.

– To nic, nic takiego. *Heil Hitler* – odparł Hans i ruszył Münchenstrasse w stronę domu, dzierżąc w ręku słowa Führera.

Targały nim mieszane uczucia, bo pomysł nasunęła mu nie tylko Liesel, ale i własny syn. Czy już się obawiał, że go nigdy więcej nie zobaczy? Z drugiej strony cieszył go ów pomysł. Nie myślał jeszcze o związanych z nim komplikacjach, zagrożeniach i absurdach. Na razie sam pomysł wystarczał. Wcielenie go w życie to zupełnie co innego. Pozwólmy mu się cieszyć.

Dajmy mu siedem miesięcy luzu.

A potem po niego przyjdziemy.

O tak.

Z pewnością jakaś ważna sprawa miała się wydarzyć na Himmelstrasse 33, coś, czego Liesel jeszcze nie była świadoma. Zresztą – że posłużyć się nadużywanym przez ludzi wyrażeniem – miała teraz co innego na głowie.

Ukradła książkę

Ktoś ją na tym nakrył.

Złodziejka zareagowała. Prawidłowo.

Każdą godzinę i minutę wypełniało zdenerwowanie, a właściwie paranoja. Tak się dzieje z przestępcami, szczególnie gdy kryminalistą jest dziecko. Wyobraża sobie ono wszelkie możliwe okoliczności przyłapania. Na przykład ludzi goniących je w ślepej uliczce albo nauczycieli znających wszystkie jego grzeszki. Każdy szelest liści lub trzaśnięcie odległej bramy bierze za policję u drzwi.

Dla Liesel już sama ta paranoja była dostateczną karą, podobnie jak strach przed dostarczeniem bielizny do domu burmistrza. Jak łatwo sobie wyobrazić, kiedy przyszło co do czego, Liesel najwygodniej było pominąć dom przy Grandestrasse. Poszła do zreumatyzowanej Heleny Schmidt i do kochających koty Weingartnerów, ale zignorowała dom należący do *Bürgermeistera* Heinza Hermanna i jego żony Ilsy.

SZYBKIE TŁUMACZENIE

Bürgermeister – burmistrz

Za pierwszym razem stwierdziła, że po prostu zapomniała – nędzne to było wytłumaczenie, jako że dom stał na wzgórzu nad miastem i trudno go było przeoczyć. Kiedy poszła jeszcze raz i wróciła z pustymi rękami, powiedziała, że nie zastała nikogo w domu.

– Nie było nikogo? – nie dowierzała mama. A kiedy nie dowierzała, miała ochotę użyć drewnianej łyżki.

Pomachała nią przed nosem Liesel i powiedziała: – Leć tam natychmiast, a jeśli nie przyniesiesz pieniędzy, możesz w ogóle nie wracać do domu.

– Naprawdę? – spytał Rudy, gdy Liesel zwierzyła mu się z zapowiedzi mamy. – Jak chcesz, to z tobą ucieknę.

– Pomrzemy z głodu.

– Ja już umieram z głodu – odpowiedział i oboje wybuchli śmiechem.

– Nie – stwierdziła Liesel. – Muszę to zrobić.

Przeszli przez miasto jak zwykle, kiedy Rudy szedł razem z nią. Zawsze po dżentelmeńsku oferował, że poniesie torbę, ale Liesel konsekwentnie odmawiała. Tylko jej groziło manto i tylko ona wiedziała, jak prawidłowo obchodzić się z praniem. Ktoś inny mógłby przekrzywić torbę i wygnieść bieliznę – nie było to warte ryzyka. Poza tym, gdyby pozwoliła Rudy'emu wyświadczyć tę przysługę, na pewno oczekiwałby nagrody w postaci pocałunku, a to jej wcale nie urzędało. Ponadto przywykła do swego ciężaru. Co jakieś sto kroków przerzucała torbę z ręki do ręki, żeby trochę odpocząć.

Rudy szedł po jej prawej ręce i cały czas gadał – o meczu na Himmelstrasse, o pracy u ojca, i co mu tam ślina na język przyniosła. Liesel próbowała się skupić, ale nie bardzo jej to wychodziło. Słyszała tylko szum w uszach, własny strach narastający z każdym krokiem, który przybliżał ich do Grandestrasse.

– No coś ty?! Czy to nie tutaj? – Liesel kiwnęła głową. Rudy miał rację, znów chciała ominąć dom burmistrza, żeby zyskać na czasie. – Idziemy – popędził ją. W Molching już zmierzchało i od ziemi ciągnęło zimnem. – Rusz tyłek, *Saumensch* – przypomniał jej przy bramie.

Po przejściu ścieżki pozostawało osiem schodków, które prowadziły do głównego wejścia. A główne drzwi straszyły jak potwór. Liesel wzdrygnęła się na widok mosiężnej kołatki.

– Na co czekasz? – popędził ją Rudy. Liesel odwróciła głowę i spojrzała na ulicę. Czy było jakieś wyjście, jakaś szansa ucieczki? Czy istniało jeszcze jakieś kłamstwo, które mogła wykorzystać? – Nie mamy czasu – dobiegał z dala głos chłopaka. – Na co ty, do cholery, czekasz?

– Zamkniesz jadaczkę, Steiner? – miał to być okrzyk, ale zabrzmiał jak szept.

– Co?

– Powiedziałam, żebyś się zamknął. Głupi *Saukerl*!

Liesel spojrzała na drzwi i powoli zastukała trzy razy. Za drzwiami zaszurały kroki.

Z początku Liesel nie patrzyła na kobietę, tylko na torbę trzymaną w ręku. Nim oddała ją właścicielce, sprawdziła, czy sznurek jest dobrze zaciągnięty. Otrzymała należność. I nic. Żona burmistrza jak zwykle się nie odzywała, po prostu stała w szlafroku, z pierzastymi włosami ściągniętymi w kitkę. Z wewnątrz czuć było lekki przeciąg. Jakby wyobrazić sobie oddech trupa. Cisza. Kiedy Liesel wreszcie zdobyła się na odwagę i podniosła wzrok na twarz kobiety, wyrażała ona nie wyrzut, lecz całkowity dystans. Przez sekundę kobieta popatrzyła ponad ramieniem Liesel na chłopca, po czym skinęła głową i zrobiła krok do tyłu, zamykając za sobą drzwi.

Liesel stała przed drewnianą powierzchnią drzwi.

– Hej, *Saumensch*! – Nie zareagowała. – Liesel!

Liesel odwróciła się.

Ostrożnie.

Zrobiła kilka kroków po schodach, intensywnie myśląc.

Być może ta kobieta niczego nie zauważyła. Było dość ciemno. Być może był to jeden z tych przypadków, kiedy wydaje ci się, że ktoś patrzy prosto na ciebie, a tymczasem wpatruje się w coś innego, albo o czymś rozmyśla.

Jakkolwiek było, Liesel nie wdawała się w dalsze rozważania. Upiekło jej się i tyle.

Oparła się o poręcz i pokonała ostatnie trzy schodki jednym skokiem.

– W drogę, *Saukerl*! – zaśmiała się. Paranoja jedenastolatki jest przytłaczająca. Ulga jedenastolatki graniczy z euforią.

DROBIAZG ZAKŁÓCAJĄCY EUFORIĘ

Upiekło się jej.

Ale żona burmistrza ją widziała.

Teraz tylko czeka na właściwy moment.

Minęło kilka tygodni.

Liesel grała w piłkę na Himmelstrasse .

Co dzień między drugą a trzecią nad ranem, gdy koszmar się kończył, czytała *Wzruszenie ramion*. Albo popołudniami w piwnicy.

Nastąpiła druga niegroźna wizyta w domu burmistrza.

Wszystko było cudownie.

Do czasu.

Przy następnych odwiedzinach Liesel, tym razem bez Rudy'ego, sytuacja się wyjaśniła. Był to dzień odbierania prania.

Żona burmistrza otworzyła drzwi, ale w jej ręku tym razem nie było torby. Zamiast tego odsunęła się na bok i swą kredowobiałą dłonią zrobiła gest zapraszający dziewczynkę do środka.

– Przyszłam tylko po pranie – Liesel czuła, jak krew tężeje jej w żyłach. Miała wrażenie, że zaraz, tu, na schodach, rozpadnie się na kawałki.

Wtedy kobieta po raz pierwszy w życiu się do niej odezwała. Dotknęła jej zimnymi palcami i powiedziała:

– *Warte* – czekaj.

Kiedy była pewna, że dziewczynka posłuchała, odwróciła się szybko i zniknęła w głębi domu.

– Bogu dzięki – odetchnęła Liesel. – Zaraz to przyniesie. – „To” odnosiło się do prania.

Ale kobieta wróciła z czymś zupełnie innym. Trzymała w rękach stos książek, sięgający od pępka do piersi. Na tle wielkich drzwi wyglądała niesamowicie bezbronnie. Na twarzy o jasnych, długich rzęsach malował się leciutki wyraz zachęty.

Ta twarz mówiła: chodź i zobacz.

Zamierza mnie torturować, pomyślała Liesel. Chce mnie zwabić do domu, rozpalić w kominku i wepchnąć mnie tam razem z książkami. Albo zamknąć mnie w piwnicy bez wody i jedzenia.

Z jakiegoś powodu jednak – zapewne znęcona widokiem książek – sama nie wiedząc jak, znalazła się w środku.

Skrzyp butów na drewnianym parkiecie sprawił, że się skuliła. A kiedy jedna z obluźwanych klepek wydała wyjątkowo głośny dźwięk, prawie się zatrzymała. Żona burmistrza szła dalej, rzuciwszy jej tylko kontrolne spojrzenie przez ramię. Wreszcie doszła do pomalowanych na orzechowo drzwi. Teraz jej twarz wyrażała pytanie. Jesteś gotowa?

Liesel wyciągnęła szyję, jakby to umożliwiała jej przeniknięcie wzrokiem drzwi. Zostało to odebrane jako sygnał do otwarcia.

– Jezus, Maria...

Wypowiedziała te słowa na głos, w pokoju wypełnionym chłodnym powietrzem i książkami. Książki były dosłownie wszędzie! Przy każdej ścianie stały wypchane nimi, schludne półki. Zza książek nie widać było koloru ścian. Na okładkach – czarnych, czerwonych, szarych i w ogóle we wszystkich możliwych kolorach pyszniły się litery wszelkich krojów i wymiarów. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką Liesel Meminger widziała w swym życiu. Uśmiechnęła się na widok cudu.

Że też taki pokój w ogóle istniał!

Tego uśmiechu nie potrafiła zmazać z twarzy, choć bardzo się starała. Czuła na ciele spojrzenie kobiety, a kiedy na nią spoglądała, ujrzała oczy wlepione w swoją twarz. Cisza była nie do wytrzymania. Rozciągała się jak elastyczna tkanina, gotowa w każdej chwili pęknąć. Dziewczynka przerwała ją.

– Mogę?

To słowo stało pośrodku wielkiego pustego obszaru pokrytego drewnianą podłogą. Książki wydawały się niedosięgłe.

Kobieta skinęła głową.

Tak, możesz.

Pokój skurczył się do normalnych rozmiarów, a złodziejka książek mogła ich dotknąć robiąc zaledwie parę kroków. Przejechała dłonią po pierwszej półce, słuchając szelestu, z jakim jej paznokcie dotykają kręgosłupa każdego z tomów. Brzmiało to jak muzyka lub tupot biegnących stóp. Użyła obu dłoni. Przyspieszyła. Jedna półka po drugiej. Zaśmiała się. Jej głos podszedł wysoko do gardła i rozszedł się po całym pokoju, a kiedy przestała się śmiać i stanęła pośrodku, spędziła długie minuty, patrząc to na półki, to na swoje palce.

Ilu książek dotknęła?

Ile poczuła?

Znów podeszła do półek i zrobiła to ponownie, tym razem wolniej, wyciągniętą dłonią, pozwalając opuszkom poczuć twardość każdego grzbietu. To było jak magia, jak czyste piękno, jak światło padające z kandelabru. Kilka razy kusilo ją, by wyciągnąć jakiś tom, ale nie śmiała zaburzać porządku. Był zbyt idealny.

Po lewej, przy biurku, stała kobieta, wciąż trzymając przed sobą stosik książek. Jej twarz wyrażała zachwyt i przebiegłość. Wydawało się, że uśmiech sparaliżował jej wargi.

– Czy mam...?

Liesel nie dokończyła zdania, tylko pokazała, co chce zrobić, podchodząc bliżej i biorąc książki z rąk właścicielki. A potem postawiła je na puste miejsce na półce, tej przy uchylonym oknie. Z zewnątrz wpelzał do domu chłód. Przez moment zastanawiała się, czy nie domknąć okna, ale stwierdziła, że lepiej nie. To nie był jej dom, a sytuacja była zbyt delikatna, by ją zakłócać. Zamiast tego wróciła do pani domu, której uśmiech wyglądał teraz jak szrama, a ręce, cienkie jak u dziewczynki, zwiisały bezwładnie po bokach.

Co teraz?

W pokoju pojawiło się skrępowanie. Liesel obrzuciła książki ostatnim, szybkim spojrzeniem. Obracała w ustach słowa, które w końcu same wystrzeliły.

– Muszę iść.

Trzy razy podchodziła do wyjścia.

Przez jakiś czas czekała w holu, ale kobieta nie nadchodziła. Gdy Liesel wróciła do drzwi biblioteki, zastała ją przy biurku, z nieobecnym wzrokiem wlepionym w jedną z książek. Postanowiła nie przeszkadzać i wróciła do holu po pranie.

Tym razem, maszerując długim korytarzem, unikała zdradliwych szpar w podłodze, wybierając drogę przy lewej ścianie. Kiedy wyszła z praniem i z głośnym brzękiem mosiądzu zamknęła za sobą drzwi, pogłaskała ich drewnianą fakturę.

– Trzeba iść – powiedziała.

Na początku drogi była w szoku.

Surrealistyczne doświadczenie z pokojem pełnym książek i załamaną kobietą wciąż chodziło jej po głowie.

Oglądała wszystko na ścianach mijanych budynków jak projekcję filmową. Być może to samo czuł papa przy okazji objawienia z *Mein Kampf*. Gdziekolwiek Liesel spojrzała, wszędzie widziała żonę burmistrza z naręczem książek. A na każdym rogu słyszała siebie, przebiegającą rękami po ich grzbietach. Zobaczyła uchylone okno, kandelabr wysyłający miękkie światło i siebie, opuszczającą ten dom bez podziękowania.

Wkrótce stan oszołomienia przerodził się w samoobwinianie. Strofowała się w duchu.

– Nic nie powiedziałaś – kręciła w zdenerwowaniu głową, niesiona szybkimi krokami do domu. – Nawet do widzenia. Ani dziękuję. Ani, że to był najpiękniejszy widok świata. Nic!. Owszem, była złodziejką książek, co jednak nie znaczyło, że była źle wychowana i że nie stać jej było na uprzejmość.

Szła dalej, wciąż pełna wahań, co zrobić.

Na Münchenstrasse podjęła decyzję.

Nie dochodząc do szyldu STEINER – SCHNEIDERMEISTER, odwróciła się i pognała z powrotem.

Bez śladu wahania.

Załomotała w drzwi, aż rozległo się mosiężne echo.

Scheisse!

Otworzyła nie żona burmistrza, lecz burmistrz we własnej osobie. W pośpiechu Liesel nie zauważyła auta zaparkowanego na ulicy przed wejściem.

– Czym mogę służyć? – spytał wąsaty mężczyzna w ciemnym garniturze.

Liesel nie mogła wykrztusić ani słowa. Pochyliła się, łapiąc powietrze, i na szczęście kiedy już trochę przysła do siebie, za mężem, z boku, stanęła Ilsa Hermann.

– Zapomniałam – zwróciła się do niej Liesel, przeciskając słowa skierowane do kobiety nad głową jej męża. Była zbyt zdyszana, by mówić płynnie – mogła wydusić z siebie najwyżej jedno słowo naraz. – Zapomniałam...

Znaczy... Chciałam... Po... Podziękować.

Żona burmistrza przesunęła się do przodu, stając obok męża. Leciutko skinęła głową, a potem zamknęła drzwi.

Liesel odczekała chwilę, nim odeszła.

Na schodach uśmiechnęła się.

WOJOWNIK

Zmieńmy scenerię.

Do tej pory szło zbyt łatwo, przyjaciele. A więc na razie zapomnijmy o Molching.

To nam nie zaszkodzi.

I będzie ważne dla tej opowieści.

Przenieśmy się do sekretnego schowka i zobaczmy, co jest do zobaczenia.

WYCIECZKA PO CIERPIENIU

Na lewo,

a może po prawej,

a może naprzeciwko was

jest mała ciemna komórka.

Siedzi w niej Żyd.

To śmieć.

Umiera z głodu.

Boi się.

Proszę nie odwracać wzroku.

Wiele kilometrów na północny zachód, w Stuttgarcie, daleko od złodziejek książek, żon burmistrzów i Himmelstrasse, w ciemności siedział człowiek. Tak zostało postanowione. W ciemności trudniej znaleźć Żyda. Siedział na walizce. Ile to już dni?

Od tygodni żywił się tylko własnym cuchnącym od głodu oddechem i wciąż nic się nie działo. Czasami słyszał ludzkie głosy i wręcz pragnął, by załomotano do drzwi, otwarto je i wywleczono go na niemożliwe do zniesienia światło. Ale na razie mógł tylko siedzieć na swym łóżku z walizki, z rękami pod brodą, z łokciami wypalającymi dziury w udach.

Był też sen, sen głodującego, rozdrażnienie pólśnu i męka podłogi.

Zapomnij o swędzących stopach.

Nie drap się w podeszwy.

Nie ruszaj się.

Niech zostanie tak, jak jest, za wszelką cenę. Być może wkrótce nadejdzie dzień wyjścia. Światło jak błysk pistoletu, oślepiające oczy. Być może nadejdzie dzień wyjścia. Być może nadejdzie ten dzień, nie prześpij go. Obudź się. Obudź się natychmiast, do jasnej cholery.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Pochyliła się nad nim czyjaś postać. Ręka zaczęła gmerać w zimnych fałdach jego ubrania i po kościstym ciele. Za ręką pojawił głos.

– Max – rozległ się szept. – Max, obudź się.

Jego oczy nie zareagowały tak, jak normalnie reagują oczy człowieka w szoku. Nie mrugały, nie zaciskały się, nie drgały. Tak dzieje się, gdy budzisz się ze złego snu, ale nie wtedy, gdy budzisz się w złym śnie. Nie, jego powieki rozchyliły się, oczy z ciemności spojrzały w mrok. To ciało pierwsze zareagowało, rzucając się naprzód i rozkładając ramiona dla nabrania tchu.

– Wybacz, że to tyle trwało – uspokoił go głos. – Śledzili mnie. A człowiek, który miał wyrobić dokumenty, guzdrał się. Ale teraz – głos na chwilę przerwał. – Teraz papiery są twoje. Nie jest to może idealna podróbka, ale powinno wystarczyć, jak przyjdzie co do czego. – Mężczyzna pochylił się i wskazał na walizkę. W drugiej ręce trzymał coś ciężkiego i płaskiego. – No, rusz się. – Max posłusznie wstał, przeciągając obolałe kości, i wziął pakunek. – Dowód osobisty jest w środku. – Przedmiot okazał się książką. – Możesz w niej ukryć także mapę i instrukcje. Klucz jest przyklejony do wewnętrznej strony okładki. – Mężczyzna otworzył walizkę i wsadził do niej książkę, ostrożnie niczym ładunek wybuchowy. – Wróć za parę dni.

Zostawił niewielką torbę z chlebem, słoniną i trzema małymi marchewkami oraz butelkę wody. Nie przeproszał.

– To wszystko, co mogłem zdobyć.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Znowu samotność.

A potem dźwięk. W ciemności każdy odgłos brzmiał niesamowicie głośno. Za każdym razem, gdy wykonywał jakiś ruch, wydawało mu się, że skrzypi i szeleści. Czuł się jak człowiek w kartonowym garniturze.

Jedzenie.

Max podzielił chleb na trzy części i dwie z nich odłożył. W tę trzecią wgryzł się natychmiast, żując i przełykając, zmuszając się do przepchnięcia jedzenia suchym korytarzem gardła. Słonina, zimna i twarda, pokonała tę samą drogę, od czasu do czasu utykając. Wielkie kęsy, gwałtownie przełykane, przepychały się dalej.

Teraz marchewki.

Znów, jak z chlebem, dwie odłożył, a trzecią pochłoniął. Hałas był przy tym niebywały. Z pewnością odgłos żucia pomarańczowej pulpy docierał aż do uszu Führera. Max czuł, jak za każdym kęsem wyłamują mu się zęby. Kiedy popił, miał wrażenie, że je połknął. Następnym razem, uznał, trzeba najpierw pić, potem jeść.

Później, gdy zdobył się na odwagę i sprawdził palcami, stwierdził, że każdy ząb, nienaruszony, był na swoim miejscu. Spróbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło. Wyobrażał sobie za to swoje usta pełne połamanych zębów. Macał je godzinami.

Otworzył walizkę i wyjął książkę.

W ciemności nie dało się odczytać tytułu, a ryzyko zapalenia zapalki było w tej sytuacji zbyt wielkie.

Kiedy przemówił, z jego ust wydobył się szept.

– Proszę – powiedział. – Proszę.

Mówił do człowieka, którego nigdy nie widział na oczy. Ale znał jego nazwisko i kilka innych szczegółów. Hans Hubermann. Znów się odezwał do dalekiego, obcego człowieka. Błagał go.

– Proszę.

ATRYBUTY LATA

No więc tak to wygląda.

Wiecie doskonale, co miało nadciągnąć na Himmelstrasse pod koniec 1940 roku.

Ja wiem.

Wy wiecie.

Tylko Liesel Meminger nie należy do tej kategorii.

Dla złodziejki książek lato tego roku było nieskomplikowane. Składało się z czterech elementów, czy raczej miało cztery atrybuty. Czasami Liesel zastanawiała się, który był najważniejszy.

NOMINACJE W KATEGORII ATRYBUTÓW

1. Postępująca każdej nocy lektura *Wzruszenia ramion*.

2. Czytanie na podłodze biblioteki burmistrza.

3. Gra w piłkę na Himmelstrasse.

4. Okazje do kolejnych kradzieży.

Zdaniem Liesel *Wzruszenie ramion* było wspaniałą książką. Co noc, po obudzeniu z sennego koszmaru, szybko się pocieszała i była bardzo zadowolona, że nie śpi, mogąc czytać. „To co, parę stroniczek?” pytał papa, a Liesel przytakiwała. Czasem kończyli rozdział następnego popołudnia w piwnicy.

To, dlaczego władzom nie podobała się ta książka, było oczywiste. Głównym bohaterem był Żyd, przedstawiony w bardzo korzystnym świetle. Błąd nie do wybaczenia. Był bogatym człowiekiem znużonym tym, że życie przecieka mu przez palce. Określał to jako wzruszenie ramionami na problemy i przyjemności tego świata.

W Molching było wczesne lato. Liesel i papa przedzierali się przez karty książki, tymczasem jej bohater podróżował w interesach do Amsterdamu w drżącym śniegu. Dziewczynce bardzo podobał się ten drżący śnieg.

– Śnieg drży, kiedy pada, właśnie tak – powiedziała do Hansa Hubermanna. Siedzieli razem na jej łóżku, papa w półśnie, ona całkowicie rozbudzona.

Czasem obserwowała papę we śnie, dowiadując się o nim więcej i zarazem mniej, niż sobie z tego oboje zdawali sprawę. Często słyszała, jak rozmawia z mamą o braku pracy lub ponuro wspomina próbę odwiedzenia syna, która skończyła się fiaskiem. Młody człowiek opuścił swoje miejsce zamieszkania i prawdopodobnie był już w drodze na front.

– *Schlaf gut*, papa – szeptała dziewczynka. – Śpij dobrze. Prześlizgiwała się nad nim, żeby wyskoczyć z łóżka i zgasić światło.

Następnym atrybutem lata była, jak już wspomniałem, biblioteka burmistrza.

Żeby zrozumieć tę szczególną sprawę, musimy wrócić do pewnego chłodnego dnia pod koniec czerwca. Rudy był, delikatnie mówiąc, zagniewany.

Co ta cała Liesel Meminger sobie myśli, mówiąc, że dziś sama odniesie pranie? Czy on był kimś gorszym od niej, żeby nie mogli razem chodzić po mieście?

– Przestań marudzić, *Saukerl* – ochrzaniła go. – Nie mam humoru, a ty stracisz mecz.

– Skoro tak to ujmujesz, to się zabieraj z tym praniem – rzucił jej przez ramię i popędził co sił w nogach do swojej drużyny. Kiedy przy końcu Himmelstrasse Liesel odwróciła się, zobaczyła go, jak wymachuje do niej rękami, stojąc przy prowizorycznej bramce.

– *Saukerl* – mruknęła ze śmiechem i podniosła rękę, wiedząc doskonale, że w tej samej chwili on woła do niej „*Saumensch*”. Moim zdaniem był to jeden z najoczywistszych dowodów miłości, jakie można okazać jedenastoletniej dziewczynce.

Liesel ruszyła biegiem na Grandestrasse, do domu burmistrza.

Oczywiście była spocona i zadyszana, kiedy rzuciła się na podłogę.

Ale mogła czytać.

Żona burmistrza, która wpuściła ją tu już czwarty raz, siedziała przy biurku wpatrzona w grzbiety książek. Podczas drugiej wizyty pozwoliła Liesel wyjąć z półki jeden tom i przejrzeć go, co poskutkowało wyjęciem następnych, póki dziewczynka nie trzymała w rękach i pod pachą jakiegoś pół tuzina książek.

Kiedy Liesel tak stała w chłodnej ramie pokoju, burczało jej w brzuchu, co nie wywołało jednak żadnej reakcji ze strony niemej, załamanej kobiety. Znów była w szlafroku i znów rzucała dziewczynce przelotne spojrzenia.

Bardziej jednak zajmowało ją to coś niewidocznego, czego jej brakowało. Okno było szeroko otwarte jak zimne, prostokątne usta, z których od czasu do czasu wydobywały się podmuchy.

Liesel siadła na podłodze, otoczona książkami.

Po czterdziestu minutach wyszła, odkładając każdą z nich na półkę.

– Do widzenia, Frau Hermann. – Własne słowa zawsze ją zaskakiwały. – Dziękuję.

Kobieta zapłaciła, a Liesel pobiegła do domu.

Kiedy lato było już w pełni, w pokoju z książkami zrobiło się cieplej, a na podłodze – z każdą wizytą przy okazji odbierania i odnoszenia prania – znacznie przyjemniej. Liesel siadała z kupką książek i z każdej czytała po kilka akapitów, próbując zapamiętać słowa, których nie rozumiała, żeby w domu zapytać papę o wyjaśnienie. Później, kiedy nastoletnia Liesel pisała o tych książkach, okazało się, że nie pamięta żadnego tytułu. Zapewne gdyby je ukradła, nie byłoby z tym problemu.

Zapamiętała jednak, że na stronie tytułowej jednej z książek z obrazkami wypisane było niezgrabnymi kulfonami:

NAZWISKO CHŁOPCA

Johann Hermann

Liesel przygryzła wargę, ale nie mogła powstrzymać ciekawości. Uniosła głowę znad podłogi i spytała kobietę w szlafroku:

– Kim jest Johann Hermann?

Kobieta spojrzała w bok.

– Przepraszam, nie powinnam pytać... – nie dokończyła zdania Liesel.

Twarcz kobiety nie zmieniła wyrazu, ale jakimś cudem zmusiła się ona do mówienia.

– On jest stracony dla świata – wyjaśniła. – Był moim...

PRZYPOMNIENIE

Och tak, bardzo dobrze go pamiętam.

Niebo było mętne i zdradliwe jak lotne piaski.

Młody człowiek zaplątany w drut kolczasty, jakby w koronie cierniowej.

Odplątałem go i uniosłem.

Wysoko nad ziemią zapadliśmy się w niebo po kolana.

To było całkiem niedawno, w 1918 roku.

– Poza wszystkim zamarzł tam na śmierć – powiedziała, załamując ręce. I powtórzyła: – Zamarzł na śmierć, jestem tego pewna.

Żona burmistrza nie była wyjątkiem. Jest na świecie mnóstwo takich ludzi, na pewno się z nimi zetknęliście. W waszych książkach, wierszach, filmach. A skoro są wszędzie, to dlaczego nie tutaj, na ślicznym wzgórzu niemieckiego miasteczka? Takie samo dobre miejsce do cierpienia jak inne.

Problem w tym, że Ilsa Hermann pokochała swoje cierpienie. Skoro nie chciało jej opuścić, uległa mu całkowicie, wtuliła się w nie.

Mogła się postrzelić, mogła się drapać do krwi lub uprawiać inne formy samookaleczenia, ale wybrała opcję najmniej skuteczną – zносиła niedogodności złej pogody. Na ile Liesel zdołała ją poznać, kobieta ta modliła się nawet latem, by jej dni były zimne i mokre. Przez większość roku skutecznie.

Kiedy tego dnia Liesel odchodziła, powiedziała coś niepewnie. Trzy słowa, sczeplone ze sobą jak w walce, padły do stóp Ilsy Hermann. Rozbiegły się, gdy Liesel nie potrafiła już dłużej zdzierżyć ich ciężaru. Przycupnęły na podłodze wielkie, ciężkie, głośnie i niezdarne.

TRZY WIELKIE SŁOWA

Bardzo mi przykro.

Żona burmistrza znów spojrzała w jej kierunku, ale trochę obok, obróciwszy twarz, białą i bez wyrazu jak kartka papieru.

– Dlaczego? – spytała, ale było za późno. Dziewczynka już prawie dobiegała do wyjścia. Kiedy usłyszała głos, zatrzymała się, lecz nie zawróciła. Wolała wymknąć się bezszelestnie z domu. Zanim zbiegła do Molching i roztopiła się w nim, popatrzyła na panoramę miasta i użaliła się w duchu nad żoną burmistrza.

Czasem Liesel myślała, że powinna sobie dać spokój z tą kobietą, ale Ilsa Hermann była zbyt intrygująca, a pociąg do książek nazbyt silny. Kiedyś słowa czytane przez Liesel były bezużyteczne, ale teraz, kiedy siadywała na podłodze w towarzystwie żony burmistrza usadowionej za biurkiem jej męża, czuła w sobie wewnętrzną moc. Było tak za każdym razem, kiedy udało jej się rozszyfrować nowe słowo albo zrozumieć całe zdanie.

Była dziewczynką.

W hitlerowskich Niemczech.

Jak dobrze było odkrywać potęgę słów.

I jak strasznie (a zarazem śmiesznie) Liesel poczuła się wiele miesięcy później, kiedy uwolniła potęgę swego nowego odkrycia w chwili, gdy żona burmistrza ją zawiodła. Jak szybko opuściło ją wtedy uczucie litości, jak błyskawicznie zmieniło się w coś zupełnie przeciwnego...

Ale na razie, latem 1940 roku, nie mogła przewidzieć, co zdarzy się później. Na razie patrzyła tylko na zboląłą kobietę, którą uwielbiała odwiedzać w pokoju pełnym książek. I tyle. Był to druga część jej życia tego lata. Trzeci atrybut lata kojarzył się, dzięki Bogu, z wesołością i bez troską. Była to gra w nogę na Himmelstrasse.

Jeśli pozwolicie, przedstawię wam to obrazowo:

Szuranie i tupot stóp na ulicy.

Gorączkowe chłopięce oddechy.

Wrzaski: „Dawaj tu! Podaj! *Scheisse!*”

Twardy stuk piłki o ziemię.

Wszystko to działo się na Himmelstrasse, tak samo jak letnie przeprosiny.

Ich nadawczynią była Liesel Meminger.

Ich adresatem – Tommy Müller.

Na początku lipca udało jej się wreszcie przekonać go, że wcale nie zamierzała go zabić. Od czasu lania, które mu spuściła w listopadzie, Tommy panicznie się jej bał. Podczas meczy rozgrywanych na Himmelstrasse dawał to jasno do zrozumienia.

– Nigdy nie wiesz, kiedy taka się wścieknie – zwierzał się Rudy’emu z twarzą wykrzywioną niekontrolowanym drganiem.

Na korzyść Liesel trzeba zapisać, że nie ustawała w wysiłkach, by go oswoić. Martwiło ją, że w końcu doszła do ładu z Ludwigiem Schmeiklem, a nie udawało jej się to z Bogu ducha winnym Tommym Müllerem. Na jej widok zawsze się wycofywał.

– Skąd mogłam wiedzieć, że wtedy nie śmiałeś się ze mnie, ale do mnie? – powtarzała.

Zabiegała też, żeby znów był bramkarzem, aż cała drużyna zaczęła go błagać, by się zgodził.

– Wracaj do bramki – zakomenderował wreszcie Harald Mollenhauer po tym, jak Tommy podciął go akurat w chwili, gdy mógł strzelić gola – a byli w tej samej drużynie. – Tu jesteś do niczego.

Liesel wkroczyła na boisko, gdzie ona i Rudy wciąż sobie docinali. Blokowali się i podcinali, obrzucając się wyzwiskami.

– Tym razem spaprze akcję, głupia. *Saumensch Arschgrobber*. Nie ma najmniejszych szans – powtarzał Rudy. Nazywanie Liesel drapidupą sprawiało mu mnóstwo frajdy. Takie są rozkosze dzieciństwa.

Inną – zakazaną – przyjemnością były oczywiście kradzieże. Odsłona czwarta, lato 1940 roku.

Wiele łączyło Liesel i Rudy’ego, ale ostatecznie ich przyjaźń scementowała namiętność do złodziejstwa. Okazało się to przypadkiem, a siłą sprawczą był głód Rudy’ego. Chłopak permanentnie umierał z głodu.

W okresie racjonowania żywności interes jego ojca mocno kulał (wprawdzie znikła żydowska konkurencja, ale znikła też żydowska klientela). Steinerowie ledwo wiąźali koniec z końcem. Jak wielu ludzi z Himmelstrasse i okolic musieli parać się handlem wymiennym. Liesel chętnie podkarmiałaby Rudy’ego, ale w jej domu też się nie

przelewało. Mama zwykle gotowała grochówkę. Gotowała ją w niedzielę wieczorem, nie na dwa czy trzy dni, ale na cały tydzień, do soboty musiało wystarczyć. W następną niedzielę gotowała kolejny gar. Do tego chleb, czasem odrobina kartofli czy mięsa. Zjadało się swój talerz bez skarg i bez prośby o repetę.

Z początku starali się oszukać głód.

Rudy nie czuł głodu, gdy grali w piłkę ani gdy pożyczali rowery i jechali do sklepu Aleksa Steinera lub odwiedzić przybranego ojca Liesel, jeśli akurat miał robotę. Hans Hubermann odpoczywał z nimi w ostatnich blaskach popołudnia i opowiadał dowcipy.

Kiedy przyszły gorące dni, głód dawało się oszukać podczas nauki pływania w Amper. Woda był wciąż dość zimna, ale i tak wybrali się nad rzekę.

– No, chodź – przymilnie namawiał Rudy. – Tylko dotąd. Tu nie jest głęboko. – Liesel nie mogła zobaczyć wielkiego dołu w dnie, w który wpadła, zanurzając się z głową. Uratowało ją machanie rękami na pieska, choć i tak porządnie opila się wody.

– *Saukerl!* – powiedziała oskarżycielsko, padając na brzeg. Rudy miał dość rozumu, by trzymać się od niej z daleka. Dobrze pamiętał, co wycierpiał Ludwig Schmeikl.

– No ale przynajmniej umiesz już pływać, nie?

Liesel to wcale nie rozbawiło. Odeszła, z włosami przyklepionymi do twarzy i glutem zwisającym z nosa. Rudy zawołał za nią:

– Czy to znaczy, że nie dostanę całusa za naukę?

– *Saukerl!*

To dopiero była bezczelność!

Nadeszło nieuniknione.

Ohydna grochówka i wilczy głód Rudy'ego skłoniły ich do złodziejstwa. Podczepili się do bandy starszych chłopaków, którzy okradali rolników. Byli to złodzieje owoców. Po meczu w nogę Liesel i Rudy przekonali się, że warto mieć oczy szeroko otwarte. Siedząc na schodkach domu Rudy'ego, zauważyli, jak starszy od nich Fritz Hammer je jabłko. Była to jedna z odmian dojrzewających w lipcu i sierpniu. W dłoni Fritza jabłko wyglądało wyjątkowo apetycznie. Trzy lub cztery podobne owoce wyraźnie wypychały mu kieszenie kurtki. Liesel i Rudy podeszli bliżej.

– Skąd to masz? – zapytał Rudy.

– Szszsz – szepnął chłopak i uśmiechnął się. Wyciągnął jabłko z kieszeni i rzucił im. – Możecie sobie popatrzeć, ale jeść nie wolno.

Kiedy następnym razem natknęli się na tego samego chłopaka w tej samej kurtce – zbyt ciepłej jak na upalny dzień, zaczęli go śledzić. Prowadził ich w górę rzeki, blisko miejsca, gdzie Liesel czasami uczyła się czytać z papą. Czekalo tam pięciu chłopaków. Niektórzy byli wyrośnięci, inni chudzi i niscy.

W Molching nie brakowało takich band, których członkowie liczyli sobie i po sześć lat. Szefem tej grupy był równy chłopak, piętnastoletni nicpoń Arthur Berg. Rozejrzał się i zauważył czających się jedenastolatków.

– *Und?* – zapytał. – I?

– Zdycham z głodu – odparł Rudy.

– On szybko biega – dodała Liesel.

– Nikt cię nie pytał o zdanie – Berg zaszczycił ją spojrzeniem. Był po szczenięcemu patykowaty, o długiej szyi. Twarz ozdabiał mu pryszcze. – Ale podobasz mi się. – Zachowywał się po przyjacielsku i miał gadane. – Te, Anderl, czy to nie ona stłukła twojego brata? – Jak widać, sprawa się rozniosła. Wieść o dobrym laniu przekracza podziały wiekowe.

Inny chłopak, blady blondyn z tych niskich i chudych, zmierzył ją wzrokiem.

– Chyba tak.

– To ona – potwierdził Rudy.

Andy Schmeikl podszedł bliżej i otaksował Liesel od góry do dołu. Długo myślał, po czym twarz wykrzywiła mu się w szerokim uśmiechu.

– Dobra robota, mała – poklepał ją po ramieniu, wyczuwając palcami sterczący obojczyk. – Gdybym ja to zrobił, daliby mi popalić.

– A ty jesteś Jesse Owens? – Arthur wyciągnął rękę do Rudy’ego. Rudy przytaknął. – No to jesteś idiotą, ale takim samym jak my. Idziemy.

Zostali przyjęci.

Kiedy doszli do gospodarstwa, Liesel i Rudy dostali worek. Arthur trzymał własną jutową torbę. Przejechał dłonią po swych miękkich kosmykach.

– Czy kradliście już przedtem?

– No jasne, cały czas – zapewnił go Rudy. Nie zabrzmiało to przekonująco.

– Ja ukradłam dwie książki – bardziej szczegółowo zwierzyła się Liesel, a Arthur Berg zaczął się śmiać tak, że aż pryszcze mu się trzęsły.

– Książek się nie je, kotku.

Z odległości przyjrzeni się jabłoniom, posadzonym w równych rzędach. Arthur Berg wydawał rozkazy.

– Po pierwsze, nie wolno dać się złapać na płocie. Kogo złapią na płocie, tego zostawiamy. Jasne? – Wszyscy przytaknęli. – Po drugie, obowiązuje zasada: jeden na drzewie, jeden na dole. Ktoś musi zbierać jabłka. – Zatarł ręce. Widać było, że ta akcja sprawia mu przyjemność. – Po trzecie, jeśli kogoś zauważycie, to macie się drzeć tak, żeby zbudzić umarłego. A wtedy wszyscy wiejemy. *Richtig?*

– *Richtig* – odparli chórem.

NARADA DWOJGA MŁODOCIANYCH

ZŁODZIEI JABŁEK

– Liesel, jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– **Popatrz lepiej na ten drut kolczasty, Rudy. Kolce są strasznie długie.**

– **Nie martw się, zarzucimy worek. Widzisz? Tak jak oni.**

– **Dobra.**

– **No to jazda!**

– **Nie, ja nie mogę, Rudy...**

– **Ruszaj tylek, *Saumensch!***

Popchnął ją do ogrodzenia, na drut kolczasty zarzucił pusty worek i przeskoczyli przez płot, biegnąc zaraz ku pozostałym. Rudy wlaź na najbliższe drzewo i zaczął zrzucać jabłka. Liesel zbierała je do worka. Kiedy był już pełen, powstał nowy problem.

– I jak teraz przeleziemy przez płot?

Odpowiedź znaleźli, obserwując Arthura Berga, który poszukał drogi jak najbliżej słupka ogrodzenia.

– Drut tutaj mocniej trzyma – stwierdził Rudy. Przerzucił worek przez płot, podsadził Liesel, a potem sam za nią przeskoczył, lądując wśród rozsypanych jabłek. Nad nimi stały długie nogi Arthura Berga.

– Nieźle. Całkiem nieźle – rozległ się głos z wysoka.

Kiedy wrócili nad rzekę, kryjąc się po krzakach, zabrał worek, a im dał tuzin jabłek do podziału.

– Dobra robota – skomentował akcję.

Tego popołudnia przed powrotem do domu Rudy i Liesel zjedli w pół godziny po sześć jabłek. Z początku mieli zamiar zanieść łup do domu, ale w tym kryło się niebezpieczeństwo. Nie bardzo im się paliło do tłumaczeń, skąd wzięli owoce. Liesel pomyślała, że mogłaby się podzielić tylko z papą, ale nie chciała, żeby uważał, że trzyma pod swym dachem nieuleczalną kryminalistkę. Więc sama wszystkie zjadła.

Jabłkowa uczta odbyła się nad rzeką, tam, gdzie uczyli się pływać. Nieprzywykli do takich luksusów, obawiali się, że się pochorują.

Ale i tak zjedli.

– *Saumensch!* – obsobaczyła ją wieczorem mama. – Co ty tak rzygasz jak kot?

– To pewnie przez tę grochówkę – zasugerowała Liesel.

– Na pewno – potwierdził papa, jak zwykle wpatrzony w okno. – To musi być to. Mnie też trochę mdli.

– Pytał cię ktoś o coś, *Saukerl!*? – Mama błyskawicznie znów spojrzała na wymiotującą Liesel. – No i co? Co to było? Gadaj, co to było, ty parszywa świni!

A Liesel? Liesel milczała.

To były jabłka, pomyślała uszczęśliwiona. Jabłka. I zwymiotowała jeszcze raz. Na dobry początek.

ARYJSKA SKLEPIKARKA

Stali przed sklepem Frau Diller pod wybieloną wapnem ścianą.

Liesel Meminger ssła cukierek.

W oczach miała słońce.

Mimo tych przeszkód wciąż była zdolna do rozmowy i kłótni.

KOLEJNA ROZMOWA

RUDY'EGO I LIESEL

– Pośpiesz się, *Saumensch*, to już dziesiąty raz.

– Nie, dopiero ósmy, mam jeszcze dwa.

– Pośpiesz się lepiej. Mówiłem ci, że powinniśmy wziąć nóż i przeciąć go na pół... Dawaj, dwa razy już były.

– Dobra. Masz. Tylko nie polykaj.

– Czy ja wyglądam na idiotę?!

Krótką przerwa.

– Pycha, co?

– No pewnie, *Saumensch*.

Pod koniec sierpnia znaleźli na ulicy feniga. Oszaleli z radości.

Był do połowy zagrzebany w ziemi i zardzewiał. Znaleźli go po drodze z praniem. Samotną, zniszczoną monetę.

– Popatrz tylko!

Rudy rzucił się na pieniążek. Radość aż ich parzyła, kiedy zawrócili do Frau Diller, nie zastanawiając się nawet, czy jeden fenig to będzie właściwa suma. Wpadli przez drzwi i stanęli naprzeciw aryjskiej sklepikarki, która patrzyła na nich z naganą.

– Czekam – powiedziała. Włosy miała ściągnięte do tyłu, a czarna suknia opinała jej ciało. Na fotografii wiszącej na ścianie czuwał Führer.

– *Heil Hitler* – pierwszy powiedział Rudy.

– *Heil Hitler* – odpowiedziała, prostując się za ladą. – A ty? – zwróciła się do Liesel, która natychmiast powiedziała:

– *Heil Hitler*.

Rudy w mgnieniu oka wyciągnął z kieszeni monetę i zdecydowanym gestem położył ją na ladzie. Spojrzał prosto w schowane za okularami oczy Frau Diller i zażądał:

– Poproszę mieszanych cukierków.

Frau Diller uśmiechnęła się. Zęby rozpychały się w jej ustach i ta niespodziewana serdeczność zmusiła Liesel i Rudy'ego do odwzajemnienia uśmiechu. Nie trwało to długo.

Sklepiarka schyliła się, pogmerała pod ladą i wychynęła z powrotem.

– Proszę – położyła na ladzie jeden cukierek. – Zmieszajcie sobie sami.

Na ulicy odwinęli karmelek z papierka i próbowali go przegryźć, ale był twardy jak szkło. Za twardy nawet na zwierzęce zębiska Rudy'ego. Postanowili go zatem ssać na zmianę, aż do końca. Dziesięć razy Rudy i dziesięć razy Liesel. I od nowa.

– To dopiero jest słodkie życie – oznajmił w pewnym momencie Rudy, z cukierkowym uśmiechem. Liesel musiała się z tym zgodzić. Kiedy zjedli cukierek, oboje mieli krwistoczerwone usta. Po drodze do domu przypominali sobie nawzajem, że muszą bacznie patrzeć, to może znajdą drugą monetę.

Oczywiście niczego nie znaleźli. Nie można mieć aż takiego szczęścia dwa razy w roku, nie mówiąc o jednym popołudniu.

Ale i tak byli szczęśliwi, maszerując Himmelstrasse z czerwonymi językami i zębami, wypatrując na ziemi pieniędzy.

Był to wspaniały dzień, a nazistowskie Niemcy były cudowną krainą.

WOJOWNIK, CIĄG DALSZY

Przenieśmy się trochę do przodu, w zimną noc walki o przetrwanie. Do złodziejki książek wrócimy w swoim czasie.

Był trzeci listopada, podłoga pociągu lepiła mu się do stóp. Trzymał przed sobą egzemplarz *Mein Kampf*. Swoje zbawienie. Ręce pociły mu się obficie. Palce kurczowo trzymały książkę.

FIRMA „ZŁODZIEJKA KSIĄŻEK” PREZENTUJE

Mein Kampf

Moja walka

Autor:

Adolf Hitler

Za plecami Maksa Vandenburga miasto Stuttgart otwierało ramiona w geście kpiny.

Nikt go tam nie chciał, a i on nie próbował się oglądać, trawiąc spleśniały chleb. Kilka razy zmienił pozycję, łowiąc kątem oka znikające światła miasta.

Zachowuj się z godnością, pouczał sam siebie. Nie możesz wyglądać na spłoszonego. Czytaj książkę. Uśmiechaj się do niej. To wspaniała książka – najlepsza, jaką w życiu czytałeś. Nie zwracaj uwagi na tę kobietę naprzeciwko. I tak zasnęła. Trzymaj się, Max, zostało tylko parę godzin.

Jak się okazało, obiecana wizyta w ciemnej komórce nie nastąpiła szybko. Dopiero po upływie półtora tygodnia. A potem kolejny samotny tydzień, i jeszcze jeden, aż stracił rachubę godzin i dni. Jeszcze raz zmienił kryjówkę na podobną. Było tam jednak więcej światła, więcej odwiedzin, więcej jedzenia. Ale czas uciekał.

– Niedługo wyjeżdżam – powiedział mu przyjaciel, Walter Kugler. – No wiesz, wojna.

– Współczuję, Walter.

– Mogło być gorzej. – Walter Kugler, przyjaciel Maksa od dzieciństwa, położył rękę na jego ramieniu i spojrzał w żydowskie oczy swego przyjaciela. – Mogłem być na twoim miejscu.

Wtedy widzieli się ostatni raz. W ostatniej paczce był bilet na pociąg. Walter otworzył *Mein Kampf* i wsunął go tam obok mapy.

– Strona trzynasta – uśmiechnął się. – Na szczęście.

– Na szczęście – odparł Max i mężczyźni uścisnęli się.

Kiedy drzwi się zamknęły, Max sprawdził bilet. Stuttgart – Monachium – Pasing. Data wypadła za dwa dni, nocny pociąg, akurat na czas, by złapać ostatnie lokalne połączenie. Potem będzie musiał iść pieszo. Mapę miał już w głowie, podzieloną na kwadraty. Klucz wciąż tkwił przy okładce.

Siedział z pół godziny, nim sięgnął po torbę. Oprócz jedzenia było tam kilka innych rzeczy.

DAR WALTERA KUGLERA

Mała brzytwa.

Łyżka – mogąca zastąpić lusterko.

Krem do golenia.

Nożyczki.

Kiedy odchodził, zostawił za sobą tylko pustą podłogę.

– Cześć – wyszeptał.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była kupka włosów wciśnięta koło ściany.

Do widzenia.

Z ogoloną twarzą i krzywo obciętymi, ale gładko zaczesanymi włosami wychodził z budynku jako nowy człowiek.

Wychodził jako Niemiec. Bo przecież był Niemcem. Albo raczej byłym Niemcem.

W jego żołądku młodości walczyły z pokarmem.

Poszedł na stację.

Okazał bilet i dokumenty, a teraz siedział w małym pudełku przedziału, w samym centrum zagrożenia.

– Dokumenty.

Tego się obawiał najbardziej.

Już i tak ciężko przeżył kontrolę na peronie. Wiedział, że po raz drugi tego nie wytrzyma.

Roztrzęsione ręce.

Zapach – właściwie smród – winy.

Po prostu nie zniosłby tego.

Na szczęście kontrolerzy przyszedli szybko i sprawdzili tylko bilety. Teraz pozostał mu tylko widok przez okno – na miasteczka, na latarnie – i na kobietę pochrapującą po drugiej stronie przedziału.

Przez większą część podróży czytał, usiłując nie patrzeć, nie podnosić głowy.

Słowa leniwie przelewały się w jego ustach.

To dziwne, ale kiedy tak obracał strony i zaliczał kolejne rozdziały, spodobały mu się tylko dwa słowa.

Mein Kampf. Moja walka.

Smakował ten tytuł w kółko, mijając w turkoczącym pociągu kolejne niemieckie miasta.

Mein Kampf.

To musi go uratować.

OSZUŚCI

Trudno byłoby się upierać, że Liesel Meminger miała w życiu łatwo. Ale oczywiście było jej łatwiej niż Maksowi Vandenburgowi. Jest prawdą, że rodzony brat umarł na jej oczach. I że matka ją opuściła. Ale to nic w porównaniu z byciem Żydem.

Mniej więcej w okresie przyjazdu Maksa Hubermannowie stracili kolejnych klientów. Weingartnerów. W kuchni rozegrała się zwyczajowa scena z *Schimpferei*, a Liesel uprzytomniła sobie, że zostało im tylko dwoje klientów, w tym burmistrz, jego żona i książki. Tym lepiej.

Jeśli chodzi o inne aktywności Liesel, to nadal oddawała się kradzieży w towarzystwie Rudy'ego Steinera. Mało tego, wciąż doskonalili swoje złodziejskie umiejętności.

W celu sprawdzenia swego talentu i nabrania technicznej wprawy odbyli jeszcze kilka wypraw z Arthurem Bergiem i jego bandą. W jednym gospodarstwie kradli ziemniaki, w drugim cebulę. Ale swój największy wyczyn wymyślili tylko we dwójkę.

Jak już było powiedziane, korzyścią z włóczenia się po ulicach mogło być znajdowanie różnych rzeczy na ziemi. Drugą korzyścią było obserwowanie ludzi, którzy stale, tydzień po tygodniu, robili to samo.

Jedną z takich osób był ich kolega szkolny Otto Sturm. Każdego piątkowego popołudnia woził na rowerze do kościoła żywność dla księży.

Obserwowali go przez miesiąc, a kiedy pogoda się popsuka i w październiku zrobiło się bardzo zimno, Rudy gotów był się założyć, że Otto nie dojedzie.

– Ci wszyscy księża – tłumaczył Rudy Liesel, kiedy szli razem przez miasto – i tak są za tłuści. Mogą się obejść przez tydzień bez wałówki.

Liesel nie mogła się z tym nie zgodzić. Po pierwsze, nie była katoliczką. Po drugie, była głodna jak wilk. Jak zwykle niosła pranie. Rudy dźwigał dwa wiadra wody, lub, jak mówił, dwa wiadra przyszłego lodu.

Tuż przed drugą zabrał się do roboty.

Bez wahania wylał wodę dokładnie na zakręcie, który miał pokonać Otto.

Liesel uważała, że to świetny pomysł.

Najpierw było jej trochę wstyd, ale generalnie plan był doskonały, prawie idealny. W każdy piątek po drugiej Otto Sturm skręcał w Münchenstrasse z jedzeniem umieszczonym w koszyku z przodu, przy kierownicy. Tego piątku w tym akurat miejscu jego podróż miała się zakończyć.

Droga już była oblodzona, a zadowolony z siebie Rudy tylko ją w tym względzie ulepszył. Uśmiech przebiegł przez jego twarz.

– Chodź – powiedział – schowamy się w tych krzakach.

Po kwadransie diaboliczny plan wydał swoje owoce.

– Jedzie – powiedział Rudy, wyglądając przez dziurę w chaszczach.

Nieświadomy jak cielę Otto wychynął zza rogu.

W mgnieniu oka spadł twarzą na lód, całkowicie tracąc kontrolę nad rowerem.

Nie ruszał się.

– O Boże – Rudy spojrział z przerażeniem na Liesel – może go zabiliśmy? – Z wolna podczołgał się do roweru i zabrał koszyk z jedzeniem. A potem uciekli.

– Oddychał? – spytała Liesel, kiedy już byli daleko.

– *Keine Ahnung* – odpowiedział Rudy. Nie miał pojęcia.

Obejrzeni się i zobaczyli, jak Otto wstaje, drapie się w głowę, potem w krocze, no i szuka koszyka.

– Dureń. Scheisskopf. – Rudy roześmiał się. Obejrzeni łupy. Chleb, rozbite jajka i wielki kawał bekonu. Rudy przytknął tłuste wędzone mięso do nosa.

– Cudo!

Mieli chęć zachować całą sprawę w sekrecie, ale zwyciężyło poczucie lojalności wobec Arthura Berga. Skierowali się ku ubogim domkom na Kempfstrasse i pokazali swoją zdobycz. Arthur nie mógł wyjść z podziwu.

– Kogo obrobiliście?

– Ottona Sturma – odparł Rudy.

– Kimkolwiek jest – powiedział Arthur – jestem mu wdzięczny. – Wszedł do domu i wrócił z nożem, patelnią i kurtką. Trójka złodziei ruszyła w drogę.

– Musimy zwołać resztę – powiedział Arthur Berg. – Jesteśmy złodziejami, ale mamy swoją moralność. – Tak jak złodziejka książki potrafił wytyczyć sobie granicę.

Zapukali do kolejnych drzwi, niektórych zawołali z podwórka. Niedługo banda Arthura Berga w pełnym składzie ruszyła nad Amper. Rozpalili ognisko i usmażyli resztki pozostałe z rozbitych jaj. Pokroili chleb i bekon. Zżarli wszystko do ostatniego okruszka. Żaden książdz nie został zaproszony.

Na końcu wynikła dyskusja na temat koszyka. Większość chłopaków chciała go spalić. Fritz Hammer i Andy Schmeikl chcieli go zatrzymać. Arthur Berg, moralista, miał lepszy pomysł.

– Może wy dwoje – powiedział do Liesel i Rudy’ego – odnieście go do tego Sturma. Chociaż tyle mu się od nas należy.

– Daj spokój, Arthur.

– Nie kłóć się, Andy.

– Boże!

– On też cię nie chce słuchać.

Cała banda się roześmiała. Rudy Steiner wziął koszyk.

– Powieszę go na ich skrzynce pocztowej – powiedział.

Nie uszedł nawet dwudziestu metrów, kiedy dogoniła go Liesel. Wiedziała, że spóźni się do domu, ale miała poczucie, że musi iść razem z Rudym do gospodarstwa Sturmów.

Długo szli w milczeniu.

– Masz wyrzuty sumienia? – spytała w końcu Liesel. Już wracali do domu.

– W jakiej sprawie?

– Już ty wiesz.

– Wiem, ale teraz jestem wreszcie najedzony i założę się, że on też nie głoduje. A księża nie dostawaliby od nich żarcia, gdyby im samym brakowało.

- Ale się strasznie potłukł.
- Daj spokój. – Rudy Steiner nie mógł powstrzymać uśmiechu. Niebawem będzie dawał chleb, zamiast go kraść – to kolejny dowód na pełną przeciwieństw ludzką naturę. Trochę w niej dobra, trochę zła. Wystarczy dodać wody i zmieszać.

Pięć dni po ich dwuznacznym sukcesie Arthur Berg przedstawił swój nowy złodziejski projekt. Wpadli na niego na Münchenstrasse w środę, wracając ze szkoły. Był ubrany w mundur Hitlerjugend.

- Akcja jutro po południu. Idziecie z nami?
- Gdzie?
- Na kartofle.

Dobę później Liesel i Rudy pokonali druczany płot i napełnili worek. Problem pojawił się przy wyjściu.

- O cholera! – zawołał Arthur. – Gospodarz! – Ale dopiero kolejne słowo przeraziło ich nie na żarty. Arthur wykrzyczał je, jakby już został zaatakowany. Usta miał rozdziawione. – Siekiera! – zawołał.

Gdy obrócili głowy, zobaczyli biegnącego człowieka z siekierą wzniesioną nad głową.

Cała banda ruszyła biegiem do płotu i pokonała go. Rudy, który biegł na końcu, szybko dopędził pozostałych, choć i tak był ostatni. Gdy przerzucił nogę przez płot, zakleszczył się.

- Hej! – zawołał.

Banda zatrzymała się. Liesel instynktownie zawróciła.

- Pospiesz się – przynaglał Arthur. Jego głos był przytłumiony, jakby zdławiony.

Białe niebo.

Tupot uciekających nóg.

Liesel przy płocie próbowała przerwać materiał spodni spanikowanego Rudy'ego.

- Pospiesz się! – błagał. – On już tu jest!

Wciąż słyszeli kroki uciekających chłopców, gdy nagle jakaś dodatkowa ręka pomogła Liesel uwolnić Rudy'ego Steinera. Kawałek spodni został na drucie kolczastym, lecz chłopak był zdolny do ucieczki.

- No, ruszać tyłki – poradził im Arthur, a zaraz potem do siatki dopadł rolnik, dysząc i klnąc. Z wściekłością wbił siekierę w ziemię. Wykrzykiwał daremne pogróżki pokrzywdzonego:

- Każę was aresztować! Dopadnę was! Dowiem się, kim jesteście!

I tu padła odpowiedź Arthura Berga.

- Owens! – wrzasnął, oddalając się za Liesel i Rudym – Jesse Owens!

Kiedy już byli bezpieczni i siedząc na ziemi, łapali powietrze, nadszedł Arthur. Rudy nie chciał na niego patrzeć.

- To zdarzyło się już każdemu z nas – powiedział Arthur, wyczuwając ich niezadowolenie z siebie. Kłamał? Tego nie mieli się dowiedzieć nigdy.

Kilka tygodni później rodzina Bergów przeprowadziła się do Kolonii.

Zobaczyli go jeszcze tylko raz, podczas wędrówki Liesel z praniem. W uliczce odchodzącej od Münchenstrasse wręczył Liesel brązową torbę z tuzinem jadalnych kasztanów. – Ma się te kontakty w branży pieczeniowej” – zachichotał złośliwie. Poinformował ich o swoim wyjeździe, a potem, z ostatnim pryszczatym uśmiechem dał każdemu blachę w czoło. – Tylko nie pożryjcie wszystkiego od razu – poradził i tyle widzieli Arthura Berga. Jeżeli o mnie chodzi, to oczywiście jeszcze go spotkałem.

SKROMNY HOLD DLA ARTHURA BERGA,

KTÓRY JESZCZE ŻYJE

Niebo nad Kolonią było żółto-rdzawe

i luszczyło się na brzegach.

Siedział pod murem z dzieckiem na ręku.

Z siostrą.

Kiedy przestała oddychać, pozostał przy ciele

i widziałem, że mógłby tak siedzieć godzinami.

W kieszeni miał dwa kradzione jabłka.

Tym razem zachowali rozsądek. Zjedli po jednym kasztanie, a resztę sprzedali, chodząc od drzwi do drzwi.

– Jeśli macie państwo na zbyciu parę fenigów, to ja mam kasztany – oferowała Liesel. Uzyskali szesnaście monet.

– A teraz zemsta – powiedział Rudy.

Tego popołudnia wrócili do Frau Diller i po zwyczajowym *Heil Hitler* czekali.

– Znowu mieszanka? – zażartowała, a oni przytaknęli. Gdy monety rozsypały się na ladzie, Frau Diller zrobiła głupią minę.

– Tak, Frau Diller – zażądali chórem. – Prosimy mieszanych cukierków.

Wydawało się, że oprawny w ramki Führer jest z nich dumny.

Słodki tryumf przed burzą.

WOJOWNIK, KONIEC DROGI

To był koniec sztuczek, ale nie koniec walki. W jednej ręce trzymam Liesel Meminger, w drugiej Maksa Vandenburga. Niebawem ich połączę. Za kilka stron.

Wojownik. Gdyby zabito go tego wieczora, przynajmniej umarłby żywy.

Za sobą miał podróż pociągiem, a chrapiąca kobieta z przedziału z pewnością nadal spała w najlepsze. Między Maksem a ocaleniem było ledwo kilka kroków. Kilka kroków, myśli, wątpliwości.

Przeszedł z Pasing do Molching wedle wyuczonej na pamięć mapy. Było już późno, gdy wyłoniło się przed nim miasto. Nogi potwornie go bolały, ale już był prawie na miejscu – najbardziej niebezpiecznym ze wszystkich. Na wyciągnięcie ręki.

Odnalazł Münchenstrasse i zaczął iść chodnikiem.

Wszystko zamarło.

Jarzące się kule latarni.

Ciemne, nieruchome budynki.

Ratusz wyglądał jak umięśniony młodzieniec, zbyt wyrośnięty na swoje lata. Kościół tylko mignął w ciemności.

Wszystko go obserwowało.

Zadrżał.

Miej oczy otwarte, przestrzegł się w duchu.

(Niemieckie dzieci bystro poszukiwały zgubionych na ziemi monet. Niemieccy Żydzi wypatrywali, czy ktoś ich nie łapie).

Myśląc o trzynastce, tej szczęśliwej, liczył po drodze kroki, zaczynając od nowa po każdej trzynastce. Jeszcze tylko trzynaście kroków – powtarzał. No i jeszcze trzynaście. Zanim doszedł do rogu Himmelstrasse, uzbierało się około dziewięćdziesięciu trzynastek.

W jednej ręce trzymał walizkę. W drugiej *Mein Kampf*.

Obie były ciężkie, obie trzymał w przepoconych dłoniach.

Zboczył do numeru trzydziestego trzeciego. Hamował uśmiech, hamował szloch, hamował samo wyobrażenie, że teraz czeka go bezpieczeństwo. Nie był to dobry czas na nadzieję, choć była niemal namacalna. Wyczuwał ją, ale mimo wszystko zbyt słabo. Zamiast rozpływać się w nadziejach, zajął się podejmowaniem decyzji, co ma zrobić, jeśli w ostatniej chwili zostanie złapany albo jeśli oczekuje go niewłaściwa osoba.

Poza tym miał jeszcze swędzące poczucie winy.

Jak mógł się do tego posunąć?

Jak mógł żądać od ludzi, by ryzykowali dla niego życiem?

Jak mógł być tak samolubny?

Trzydzieści trzy. Max i dom spojrzeli na siebie nawzajem.

Dom był wyblakły, jakby zzarty chorobą, z żelazną furtką i brązowymi, oplutymi drzwiami,.

Wyciągnął klucz. Nie błysnął. Leżał matowo i bezwładnie w jego dłoni. Przez chwilę ścisnął go, jakby klucz miał się wtopić w ciało. Tak się nie stało. Metal był twardy i płaski, z ostrymi zębami, które go ukłuły, gdy tak je ścisnął.

Wojownik powoli pochylił się ku drzwiom i wyciągnął ku nim klucz.

CZEŚĆ CZWARTA

ZBĘDNY CZŁOWIEK

Występują:

akordeonista – obietnica – dobra dziewczynka – żydowski bokser – gniew Rosy – wykład – śpiący – wymiana
koszmarów – stronice z piwnicy

AKORDEONISTA

(Sekretne życie Hansa Hubermanna)

W kuchni stał młody człowiek. Klucz jakby przrósł mu do dłoni. Nie powiedział dzień dobry ani „proszę o pomoc”, ani żadnego zdania, którego można by oczekiwać w takiej sytuacji. Zadał dwa pytania.

PYTANIE NUMER JEDEN

Hans Hubermann?

PYTANIE NUMER DWA

Czy ciągle gra pan na akordeonie?

Hans patrzył z konsternacją na ludzką sylwetkę, której głos z ciemności wydawał się wszystkim, co z niej pozostało.

Czujny i poruszony postąpił o krok.

– Oczywiście, że tak – wyszeptał.

A zaczęło się to wszystko dawno, w czasie I wojny światowej.

Dziwna sprawa z tymi wojnami.

Pełno tam krwi i przemocy, ale też pełno trudnych do zrozumienia historii. „To święta prawda – mamrocą ludzie. – Możecie nie wierzyć, ale wtedy to lis ocalił mi życie”. Albo: „Zginęli ci z prawej i z lewej, tylko ja jeden nie oberwałem kuli między oczy. Dlaczego właśnie ja? Ja, a nie oni?”.

Historia Hansa Hubermanna była z tego gatunku. Kiedy znalazłem jej opis w dzienniku złodziejki książek, zdałem sobie sprawę, że w tamtym czasie minęliśmy się o włos, choć żaden z nas nie planował tego spotkania. Osobiście miałem ręce pełne roboty. Jeśli chodzi o Hansa, to sądzę, że wychodził ze skóry, by do naszego spotkania nie doszło.

Ten pierwszy raz, gdy byliśmy tak blisko, Hans miał dwadzieścia dwa lata i walczył z Francuzami. Większość kolegów z jego plutonu aż się paliła do wojaczki. Hans nie. Zabrałem ich kilku ze sobą, ale nie miałem nawet okazji, by tknąć Hansa Hubermanna. Albo miał dużo szczęścia, albo zasługiwał na to, aby żyć, albo miał wyższą misję do spełnienia.

W armii niczym się nie wyróżniał. Biegał w środku i umiał strzelać na tyle, by nie narazić się na niezadowolenie przełożonych. Nie pchał się na afisz i na pewno nie jego pierwszego by wybrano, by pobiegł prosto do mnie.

DROBNA, LECZ WAŻNA UWAGA

**Przez całe lata widziałem mnóstwo młodych mężczyzn,
którym się zdawało, że atakują innych młodych mężczyzn.**

Ale tak nie było.

Biegli prosto do mnie.

Hans był na froncie już prawie pół roku, kiedy przerzucono go do Francji, gdzie, jak się mogło wydawać, dziwny przypadek ocalił mu życie. Z drugiej jednak strony, w nonsensie całej wojny, ta historia miała głęboki sens.

Ogólnie rzecz biorąc, odkąd wstąpił do wojska, Wielka Wojna nie przestała go zaskakiwać. Była jak serial. Dzień za dniem, dzień za dniem, dzień za dniem.

Świst pocisków.

Mężczyźni odpoczywający w okopach.

Najlepsze świńskie dowcipy na świecie.

Zimny pot – ten złośliwy mały przyjaciel – zagnieżdżający się pod pachami i w spodniach.

Najbardziej lubił grę w karty albo w szachy, choć w tej konkurencji był zupełnie beznadziejny. I muzykę. Muzykę przede wszystkim.

Poznał o rok starszego chłopaka, niemieckiego Żyda nazwiskiem Erik Vandenburg, który nauczył go grać na akordeonie. Stopniowo się zaprzyjaźniali, także na skutek tego, że żaden z nich nie miał serca do walki. Zamiast pełzać po śniegu i błocie woleli skręcać papierosy. Woleli puszczać bąki, zamiast wystrzeliwać kule. Hazard, palenie i muzyka były mocnym fundamentem przyjaźni, nie wspominając o wspólnej woli przeżycia. Problem tylko w tym, że jakiś czas później Erika Vandenburga odnaleziono w kawałkach na trawiastym wzgórzu. Jego ślubna obrączka została skradziona. Zabrałem go wraz z innymi i odpłynęliśmy. Horyzont był mlecznobiały. Zimny i świeży. Oblewał martwe ciała.

Po Eriku Vandenburgu tak naprawdę zostało parę drobiazgów i poplamiony palcami akordeon. Wszystko poza instrumentem odesłano do domu. Akordeon uznano za zbyt duży. Jakby z wyrazem samooskarżenia leżał na jego pryczy w obozie i w końcu dano go Hansowi Hubermannowi, przyjacielowi, jedynemu, który przeżył.

DLACZEGO PRZEŻYŁ?

Bo tego dnia nie poszedł na pole walki.

Dlatego miał dług wdzięczności wobec Erika Vandenburga lub, mówiąc ściślej, wobec niego i szczoteczki do zębów należącej do sierżanta.

Tego dnia tuż przed wymarszem do sali sypialnej wmaszerował sierżant Stephan Schneider i kazał nastawić uszu. Jego ludzie lubili go za poczucie humoru i skłonność do żartów, ale przede wszystkim dlatego, że nigdy nie chował się za plecami żołnierzy. Zawsze był w pierwszym szeregu.

Czasami wpadał do sypialni i zadawał pytania w rodzaju: „Kto pochodzi z Pasing?” albo: „Kto jest dobry z matematyki?”, albo – w przypadku rozstrzygającym dla Hansa Hubermanna – „Kto ma ładny charakter pisma?”.

Po pierwszej próbie nikt się nigdy nie zgłaszał. Za pierwszym razem nadgorliwy młody żołnierz nazwiskiem Philipp Schlink wstał z dumą i powiedział: „Ja pochodzę z Pasing, panie sierżancie”. Natychmiast otrzymał szczoteczkę do zębów wraz z rozkazem wyczyszczenia nią latryn.

Kiedy więc sierżant spytał, kto najładniej pisze, było całkiem zrozumiałe, że nikt się nie zgłosi. Żołnierze przypuszczali, że sierżant zafunduje im pełną inspekcję higieniczną albo każe przed wymarszem czyścić swoje upačkane gównem buty.

– No, nie wstyďte się, chłopcy – podpuszczał ich Schneider. Jego nasmarowane brylantyną włosy lśniły. Na czubku głowy zawsze sterczał niesforny kosmyk. – Co najmniej jeden z was, durne sukinsyny, musi umieć porządnie pisać.

W oddali grzmiały armaty.

Schneider się ożywił.

– Słuchajcie – przekonywał – teraz będzie zupełnie inaczej. To zajmie cały ranek, może dłużej. – Zaśmiał się. – Schlink czyścił kible, kiedy wy rznąliście w karty, ale teraz idziemy *tam*.

Życie czy godność osobista?

Najwyraźniej miał nadzieję, że choć jeden z jego ludzi będzie miał dość oleju w głowie, by wybrać życie.

Erik Vandenburg i Hans Hubermann spojrzeli sobie w oczy. Jeśli w tym momencie ktokolwiek by wystąpił, nie miałby już co robić w tym plutonie. Nikt nie lubi tchórzy. A z drugiej strony, jeśli sierżant zamierza sam kogoś wyznaczyć...

Nikt nie wystąpił, tylko spokojny głos popłynął ku sierżantowi i opadł na podłogę, oczekując porządnego kopniaka. – Hubermann, panie sierżancie.

Głos należał do Erika Vandenburga, który najwyraźniej uznał, że nie jest to dobry dzień na śmierć dobrego przyjaciela.

Sierżant przeleciał jak burza przed szpalerem żołnierzy.

– Kto to powiedział?

Stephan Schneider był bardzo szybki. Ten mały człowieczek mówił, ruszał się i działał zawsze w najwyższym pośpiechu. Kiedy tak przebiegał w tę i z powrotem wzdłuż dwóch rzędów żołnierzy, Hans zastanawiał się, co go czeka. Może jeden z pielęgniarzy zachorował, a trzeba opatrzyć i zmienić bandaż rannym żołnierzom. A może trzeba będzie lizać i zaklejać tysiące kopert z zawiadomieniami o śmierci, a potem wysyłać je do domów.

W tym momencie głos odezwał się znowu, a za nim kilka innych powtórzyło jak echo

– Hubermann. – Erik dodał jeszcze: – Ma piękny charakter pisma, po prostu doskonały.

– Więc sprawa załatwiona – tym słowom towarzyszył nieznaczny uśmiezek. – Angażuję cię, Hubermann.

Niepewny młody żołnierz wystąpił naprzód i zapytał o swoje obowiązki. Sierżant westchnął.

– Kapitan ma atak artretyzmu i potrzebuje, żeby ktoś za niego napisał kilkadziesiąt listów. Ty to zrobisz.

Nie był to moment na wymówki, szczególnie po tym, jak Schlink wyczyścił latryny szczoteczką do zębów, a inny żołnierz, Pflegger, omal się nie otruł, liżąc koperty. Język miał potem zupełnie siny.

– Tak jest, panie sierżancie – przytaknął Hans i na tym się skończyło. Jego umiejętności pisarskie były co najmniej wątpliwe, ale uważał się za szczęściarza. Pisał listy najlepiej, jak umiał, podczas gdy reszta kolegów ruszyła do walki.

Żaden z nich nie wrócił.

I tym to sposobem Hansowi Hubermannowi udało się uniknąć spotkania ze mną podczas Wielkiej Wojny.

Po raz drugi uda mu się to w przyszłości, w 1943 roku w Essen.

Dwie wojny, dwie ucieczki.

Raz w młodości, raz w średnim wieku.

Niewielu ludziom udaje się mnie przechytryć dwa razy.

Akordeon miał ze sobą aż do końca wojny. Kiedy po powrocie odszukał rodzinę Erika Vandenburga w Stuttgarcie, jego żona powiedziała, że może zatrzymać instrument. W jej mieszkaniu było wiele akordeonów, więc widok akurat tego, feralnego, przynębiałby ją jeszcze bardziej. Jako pamiątka wystarczały te, które miała, zwłaszcza że sama była nauczycielką muzyki.

– To on nauczył mnie grać – poinformował ją Hans, jakby to coś zmieniało.

Może jednak zmieniało, bo zrozpaczona kobieta poprosiła, by jej coś zagrał, a potem cicho łkała, słuchając walca „Nad pięknym modrym Dunajem”. To była ulubiona melodia jej męża.

– Wie pani – zaczął Hans. – On uratował mi życie. – W pokoju było ciemno i duszno. – On... Gdyby pani kiedykolwiek czegoś potrzebowała... – położył na stole kawałek papieru z adresem. – Z zawodu jestem malarzem pokojowym. Jeśli pani chce, odmaluję pani mieszkanie. – Zdawał sobie sprawę, że to żaden ekwiwalent, a mimo to złożył swoją propozycję.

Kobieta schowała kartkę. Do pokoju wszedł mały chłopczyk i usiadł jej na kolanach.

– To Max – powiedziała. Chłopiec był za mały i zbyt nieśmiały, żeby się odezwać. Był chudy, miał miękkie włoski, a jego wielkie ciemne oczy pilnie obserwowały nieznanego, który zagrał jeszcze jedną melodię w ich dusznym pokoju. Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą; mężczyzna grał, kobieta płakała. Każda nuta odbijała się w jej oczach. Wielki smutek.

Hans odszedł.

– Nigdy mi nie mówiłeś – powiedział do martwego Erika Vandenburga i do nieba nad Stuttgartem. – Nigdy mi nie powiedziałeś, że masz syna.

Po tym pełnym zadumy postoju Hans wrócił do Monachium, nie spodziewając się powtórnego kontaktu z tymi ludźmi. Nie mógł przewidzieć, że jego pomoc będzie bardzo potrzebna. Ale nie przy malowaniu mieszkania i dopiero dwadzieścia lat później.

Minęło kilka tygodni, nim wrócił do pracy. Przy dobrej pogodzie miał mnóstwo zamówień i nawet zimą mawiał do Rosy, że chociaż interes idzie marnie, to jednak idzie.

I tak się to kręciło przez ponad dziesięć lat.

Na świat przyszedł Hans Junior i Trudy. Dorastali, odwiedzając tatę przy pracy, chlapiąc farbą po ścianach i myjąc pędzle.

Kiedy w 1933 roku Hitler doszedł do władzy, malarski interes zaczął podupadać. W przeciwieństwie do większości, Hans nie wstąpił do NSDAP. Była to głęboko przemyślana decyzja.

PROCES MYŚLOWY HANSA HUBERMANN

Nie był może zbyt wykształcony i nie znalazł się na polityce,

ale był z gruntu uczciwy. Żyd uratował mu życie i o tym nie mógł zapomnieć.

Nie mógł wstąpić do partii, która dzieliła ludzi na lepszych i gorszych.

Poza tym jego najlepsi klienci, podobnie jak klienci Aleksa Steinera,

byli Żydami. I podobnie jak oni wierzył, że nienawiść nie będzie

trwać wiecznie. Dlatego całkiem świadomie nie został nazistą.

Pod wieloma względami była to fatalna decyzja.

Kiedy zaczęły się prześladowania, prawie zupełnie nie miał pracy. Na początku było jeszcze jako tako, a potem, we wzburzonej nazistowskiej atmosferze, zaczął tracić klientów.

Kiedy zobaczył na Münchenstrasse starego znajomego Herberta Bollingera – gościa z brzuchem jak piłka, który mówił *Hochdeutsch*, literacką niemieczyzną, bo pochodził z Hamburga – podszedł do niego. Mężczyzna, pokonując obwód w pasie, najpierw wbił oczy w ziemię, ale potem musiał spojrzeć na Hansa. Jego pytanie wprowadziło go w zakłopotanie. Hans z kolei nie musiał go zadawać, lecz zrobił to.

– O co w tym wszystkim chodzi, Herbert? Tracę klientów szybciej, niż liczę.

Bollinger przestał się wykręcać. Wyprostował się i odparł pytaniem na pytanie:

– Dobrze, Hans, pogadajmy. Czy jesteś członkiem?

– Czego? – udał zdziwienie Hans Hubermann, choć doskonale wiedział, o czym mowa.

– Daj spokój, Hansie – powiedział Bollinger. – Czy mam ci przeliterować?

Wysoki malarz pomachał mu ręką i odszedł.

W miarę upływu lat terror wobec Żydów ogarnął cały kraj. Wiosną 1937 roku Hans Hubermann, ku swemu wstydkowi, załamał się. Popytał tu i tam i złożył podanie o przyjęcie do partii.

Przy wejściu do kwatery NSDAP na Münchenstrasse zobaczył czterech mężczyzn obrzucających cegłami magazyn odzieżowy Kleinmana. Był to jeden z nielicznych żydowskich sklepów, które jeszcze działały w Molching. W środku miotał się mały człowieczek, deptając rozbite szkło. Usiłował zamiatać. Na drzwiach była nasmarowana gwiazda Dawida musztardowego koloru. Napis kulfoniastymi, brudnymi literami głosił: ŻYDOWSKA ZARAZA. Słowa rozmywały się na brzegach. Ruch w sklepie zmniejszał się z gorączkowego w ospały, wreszcie całkiem zamarł. Hans podszedł i wsadził głowę przez okno.

– Potrzebuje pan pomocy?

Pan Kleinman podniósł wzrok. W jego ręce bezwładnie zwisała szczotka.

– Nie, Hans. Proszę, odejść. – Rok wcześniej Hans odnawiał dom Joela Kleinmana. Pamiętał trójkę jego dzieci.

Miał w oczach ich twarze, choć nie umiał sobie przypomnieć imion.

– Przyjdę jutro i odmaluję drzwi – obiecał.

Tak też zrobił.

To była druga pomyłka.

Pierwsza nastąpiła zaraz po tym ulicznym incydencie. Hans wrócił do gmachu NSDAP i mocno zastukał pięścią w drzwi, a potem w okno. Szyba aż zadrżała, ale nikt się nie pojawił. Wszyscy już poszli do domu. Ostatni z

członków partii oddalał się w przeciwnym kierunku. Kiedy usłyszał brzęk szyby, odwrócił głowę i zauważył malarza. Zawrócił i spytał, o co chodzi.

– Jednak nie chcę się zapisać – oświadczył Hans.

– Czemu? – mężczyzna był oburzony. Hans spojrzał na swoje kłykcie i przełknął ślinę. Poczuł w ustach smak swojej pomyłki niczym metaliczną tabletkę.

– Zapomnijmy o tym.

– Proszę przemyśleć sprawę, Herr Hubermann – doleciał go głos. – Niech pan przyjdzie i da nam znać o swoim postanowieniu.

Hans nie potwierdził, że to usłyszał.

Następnego ranka wstał wcześniej niż zwykle, ale nie dość wcześnie. Drzwi Magazynu Odzieżowego Kleinmana wciąż były mokre od rosy. Hans osuszył je, a potem dobrał kolor i pokrył solidną warstwą farby.

Minął go przypadkowy przechodzień.

– *Heil Hitler!* – powiedział.

– *Heil Hitler!* – odparł Hans.

TRZY DROBNE, LECZ ISTOTNE FAKTY

**1.Człowiekiem, który go minął, był Rolf Fischer,
jeden z najbardziej zagorzałych nazistów w Molching**

**2.Na drzwiach po kilkunastu godzinach
pojawiło się nowe obelżywe hasło**

**3.Hans Hubermann miał małe szanse,
by zostać członkiem NSDAP.**

A na pewno nie teraz.

Hans miał szczęście, że oficjalnie nie wycofał podania. Wielu ludzi przyjmowano natychmiast, a jego nazwisko wpisano na listę oczekujących i traktowano go podejrzliwie. Pod koniec 1938 roku, kiedy po Nocy Kryształowej miasto zupełnie oczyszczono z Żydów, przyszło do niego gestapo. Przeszukali dom, ale nie znaleźli niczego podejrzanego. Hans Hubermann był szczęściarzem.

Pozwolono mu zostać w Molching.

Uratowało go zapewne to, że ludzie wiedzieli, iż oczekuje na rozpatrzenie podania. Dlatego był tolerowany, a poza tym cieszył się świetną opinią jako fachowiec.

Ale było jeszcze jedno źródło zbawienia.

Od całkowitego wykluczenia z pewnością wybawiał go akordeon. Malarzy można było znaleźć wszędzie, w całym regionie wokół Monachium, ale po krótkiej nauce u Erika Vandenburga i blisko dwudziestu latach stałej praktyki, w grze nikt w Molching nie mógł się z Hansem równać. Jego styl nie polegał na perfekcji, lecz na uczuciu. Nawet pomyłone nuty brzmiały słodko.

Hans mówił przepisowe *Heil Hitler*, gdy musiał, i wywieszał flagę w odpowiednie dni. Nie stanowiło to specjalnego problemu.

I nagle, szesnastego czerwca 1939 roku (datę wbił sobie do głowy na zawsze), mniej więcej pół roku po tym, jak Liesel zamieszkała przy Himmelstrasse, los nieodwracalnie odmienił życie Hansa Hubermanna.

Tego dnia wybierał się do roboty.

Wyszedł z domu punktualnie o siódmej.

Ciągnął swój wózek z farbami i pędzlami nieświadom tego, że jest śledzony.

Kiedy dotarł na miejsce, podszedł do niego nieznajomy młodzieniec. Był to wysoki blondyn, bardzo poważny.

Przyglądali się sobie nawzajem.

– Pan Hans Hubermann?

– Tak – Hans skinął głową, sięgając po pędzel.

– Czy przypadkiem nie gra pan na akordeonie?

Hans przestał się szykować do pracy. Odłożył pędzel i znów skinął głową.

Obcy potarł szczękę, obejrzał się czujnie dookoła i powiedział spokojnie, ale jasno:

– Czy jest pan człowiekiem, który dotrzymuje obietnic?

Hans wyciągnął dwie puszki z farbą i zaprosił obcego, by usiadł obok niego. Zanim ten przyjął zaproszenie, wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Jestem Kugler. Walter Kugler. Przyjechałem ze Stuttgartu.

Usiedli i rozmawiali cicho przed dobrym kwadrans, umawiając się na spotkanie gdzie indziej, późnym wieczorem.

DOBRA DZIEWCZYNNKA

W listopadzie 1940 roku, kiedy Max Vandenburg wszedł do kuchni domu przy Himmelstrasse 33, miał dwadzieścia cztery lata. Ubranie wydawało się ciągnąć go do ziemi i był tak zmordowany, że mógłby złamać się na pół, gdyby go choćby podrapać. Stał w drzwiach, cały roztrzęsiony.

– Czy nadal gra pan na akordeonie?

Oczywiście pytanie to znaczyło: „Czy nadal chce mi pan pomóc?”.

Przybrany ojciec Liesel podszedł do frontowych drzwi i otworzył je. Ostrożnie wyjrzał na ulicę. Spokój.

Żyd Max Vandenburg przymknął oczy, zanurzając się nieco głębiej w bezpieczeństwo. Sama myśl o nim była absurdałna, ale i tak ją zaakceptował.

Hans sprawdził, czy okna są dokładnie zasłonięte. Nie mogła pozostać nawet szczelinka. Kiedy skończył, Max nie wytrzymał. Kucnął i zacisnął ręce.

Głaskała go ciemność.

Jego palce cuchnęły walizką, metalem, książką *Mein Kampf* i szansą przeżycia.

Podniósł głowę i jego oczu dosięgło przytłumione światło z holu. Stała tam dziewczynka w piżamie.

– Papo?

Max podniósł się i stanął jak słup soli. Znów otoczyła go ciemność.

– Wszystko w porządku, Liesel, wracaj do łóżka – powiedział Papa.

Zwlekąła przez chwilę, nim Max usłyszał za plecami powolne szuranie stóp. Kiedy przystanęła, by rzucić ostatnie spojrzenie na nieznajomego, zobaczyła na stole zarys książki.

– Nie bój się – usłyszała szept papy. – To dobra dziewczynka.

Przez następną godzinę dobra dziewczynka leżała z otwartymi oczami w łóżku, nasłuchując odgłosów cichej rozmowy w kuchni.

Do gry wchodził dzoker.

KRÓTKA HISTORIA ŻYDOWSKIEGO BOKSERA

Max Vandenburg urodził się w 1916 roku, w Stuttgarcie. Kiedy był mały, nic nie rajcowało go bardziej niż dobre walki bokserskie.

Pierwszą walkę stoczył, mając jedenaście lat. Był chudy jak ostrugany kij od szczotki.

Wenzel Gruber.

To z nim walczył.

Mały Gruber o włosach jak druciane pierścionki był bardzo wygadany. Kiedy całe podwórko zażądało, żeby się boksowali, żaden z chłopców nie odmówił.

Walczyli jak czempioni.

Przez całą minutę.

I kiedy walka nabierała rumieńców, czujni rodzice odciągnęli chłopców za kołnierze.

Z ust Maksa sączyła się strużka krwi.

Polizał ją. Zasmakowało.

Niewielu ludzi z sąsiedztwa Maksa miało waleczną naturę, a jeśli już walczyli, to nie na pięści. W tamtych czasach Żydzi woleli przyjmować wszystko biernie. Nie reagowali na zniewagi, spokojnie robili swoje. Oczywiście są Żydzi i Żydzi.

Max miał prawie dwa lata, kiedy jego ojciec porozrywany na strzępy poległ na trawiastym wzgórzu.

Kiedy miał lat dziewięć, jego matka znajdowała się na skraju nędzy. Sprzedała studio muzyczne, w którym przemieszkiwali, i przeniosła się do domu wuja Maksa. Chłopiec dorastał z szóstką swoich kuzynów, którzy go bili, lżyli i kochali. Głównym partnerem do treningów w boksie był najstarszy, Isaac. Max lał go prawie każdego wieczora.

Kiedy miał trzynaście lat, znów wydarzyło się nieszczęście, bo umarł jego wuj.

Inaczej niż Max wuj nie był w gorącej wodzie kąpany. Był spokojnym, skromnym człowiekiem, który dużo pracował za małą zapłatę. Nie sięgał po to, co należało do kogoś innego. Umarł od czegoś, co urosło mu w żołądku. Czegoś w rodzaju zatrutej piłki.

Jak to było w zwyczaju, rodzina zebrała się przy łóżku chorego i patrzyła, jak ten poddaje się i umiera.

Max Vandenburg, nastoletni chłopak o czarnych oczach, twardych pięściach i bolących zębach, mimo poczucia smutku i straty, czuł także cień niezadowolenia. A może nie cień. Kiedy tak patrzył, jak wuj zapada się w pościel, przyrzekł sobie, że nigdy nie pozwoli sobie umrzeć w taki sposób.

Twarz chorego wyrażała całkowite pogodzenie z losem.

Była poślizgła i bardzo statyczna mimo niespokojnej architektury czaszki – niekończącego się zarysu szczęki, wysuniętej na milę, sterczących kości policzkowych i ziejących oczodołów. Wuj był tak spokojny, że chłopaka korciło, by o coś zapytać.

A co z walką? – dziwił się.

A gdzie wola przetrwania?

Oczywiście jako trzynastolatek miał prawo do pewnej przesady. Nie miał wtedy jeszcze okazji, by spojrzeć w twarz komuś takiemu jak ja.

Jeszcze nie.

Wraz z resztą rodziny stał przy łóżku i patrzył na proces umierania, płynne przechodzenie od życia do śmierci. Światło padające z okna było szare i pomarańczowe, koloru opalonej na słońcu skóry. Jego wuj chyba czuł ulgę, wydając ostatnie tchnienie.

Kiedy śmierć po mnie przyjdzie – poprzysiągł sobie chłopiec – to dam jej pięścią po gębie.

Osobiście byłem dość wzruszony. Takie szczeniackie maniery.

Tak.

Spodobało mi się to. Nawet bardzo.

Od tamtej chwili Max bił się coraz częściej. Grupa wiernych przyjaciół i zaprzysięgłych wrogów zbierała się na małym placu przy Steberstrasse, gdzie walczyli w zapadającym zmierzchu. Prawdziwi Niemcy, jeden dziwny Żyd, Słowianie. Skład nie miał znaczenia. Nie ma na świecie nic lepszego do rozładowania młodzieńczej energii niż dobra bójka. Nawet wrogowie są wtedy prawie przyjaciółmi.

Max lubił, jak się zbliżali w ciasnym kręgu, i lubił słodko-gorzki smak niewiadomej.

Wygra czy przegra?

Czuł takie mrowienie w żołądku, że aż nie mógł tego znieść. Jedynym lekarstwem było rzucić się naprzód i rozdawać ciosy. Max nie był typem chłopca, który snułby refleksje o śmierci.

Jego ulubioną walką, kiedy to sobie później przypominał, była walka numer pięć, z wysokim i smukłym, wytrzymałym Walterem Kuglerem. Mieli po piętnaście lat. Cztery poprzednie walki wygrał Walter, ale za piątym razem Max czuł, że będzie inaczej. Jakby w jego żyłach płynęła nowa krew – krew zwycięstwa. To go trochę przerażało, ale i podniecało.

Jak zwykle utworzył się wokół nich ciasny krąg widzów. Brudna ziemia, uśmiechy od ucha do ucha. Pieniądze w spoconych dłoniach, okrzyki zachęty. Wszystko to miało w sobie tyle życia, że nic innego się nie liczyło.

Boże, ile radości i strachu było w tym radosnym zgiefku.

Obaj zawodnicy czuli intensywność tej chwili, ich twarze wyrażały skupienie podszyte lękiem. Szeroko otwarte, skoncentrowane oczy.

Po jakiejś minucie rozgryzania przeciwnika zaczęli podchodzić do siebie ryzykownie blisko. Była to przecież walka uliczna, a nie regularny, godzinny mecz bokserski o tytuł mistrza. Nie można było tracić czasu.

– No, dawaj Max! – zawołał na jednym oddechu jeden z jego przyjaciół. – Walcz, Maxi-Taxi, już jest twój! Żydzie, jest twój! Już go masz!

Max, nieduży dzieciak z miękkimi włosami, obitym nosem i bezdennie głębokimi oczami, był o głowę niższy od przeciwnika. Jego technika nie miała w sobie za grosz klasy – skulony rzucał się do przodu i walił szybkimi

W ciągu następnych paru lat widywali się od przypadku do przypadku. Max, podobnie jak reszta Żydów, cierpiał nasilające się prześladowania, a Walter od świtu do nocy pracował w drukarni.

Dla tych, których interesują takie rzeczy, mam informację, że przewinięły się przez życie Maksa dziewczyny. Tania i Hilda. Żaden ze związków nie przetrwał. W tych latach niepewności i rosnącej opresji nie było czasu na miłość. Max cały czas szukał jakiegokolwiek możliwości zarobku. Co miał do zaproponowania tym dziewczętom? Do 1938 roku trudno sobie było wyobrazić, że może być jeszcze ciężiej.

Ale dziewiątego listopada przyszła Noc Kryształowa. Noc pogromu, noc rozbitych szyb.

Ta noc zniszczyła wielu Żydów, ale dla Maksa Vandenburga stała się okazją do ucieczki. Miał dwadzieścia dwa lata.

Wiele żydowskich mieszkań zostało tej nocy zdewastowanych i splądrowanych, zanim i u nich rozległo się łomotanie do drzwi. Max z ciotką, matką, kuzynami i ich dziećmi tłoczyli się w największym pokoju.

– *Aufmachen!*

Członkowie rodziny patrzyli po sobie. Kusiło ich, by się rozdzielić po pokojach, ale lęk dziwnie wpływa na ludzi. Nie mogli się ruszyć.

I znowu:

– Otwierać!

Isaac wstał i podszedł do drzwi. Drzewo żyło, wciąż drgając od razów, które otrzymało. Obejrzał się na twarze pełne lęku i przekręcił zasuwkę.

Jak można się było spodziewać, stali tam ludzie w hitlerowskich mundurach.

– Nigdy. – Taka była pierwsza reakcja Maksa. Uczepił się ręki matki i Sary, stojącej najbliżej kuzynki. – Nie odejdę. Jeśli wszyscy nie możemy uciec, i ja nie ucieknę.

Kłamał.

Kiedy reszta rodziny wypchnęła go spomiędzy siebie, poczuł nieprzyzwoitą wprost ulgę. Wstydził się tego, co czuje, ale nic nie mógł poradzić, to było silniejsze od niego. Aż mu się chciało rzygać. Jak tak mógł? Jak tak mógł? Ale mógł.

– Nic nie zabieraj – powiedział Walter. – Idź, jak stoisz. Ja ci coś zorganizuję.

– Max – powiedziała matka.

Wyciągnęła z szafy poólkły papier i wcisnęła mu do kieszeni. – Gdybyś kiedyś... – Dotykała go ostatni raz, trzymała za łokcie. – To może być twoja ostatnia deska ratunku.

Popatrzył na jej postarzałą twarz i mocno ucałował.

– Chodź już – Walter pociągnął go za sobą. Rodzina żegnała się, wciskając mu jakieś pieniądze i trochę biżuterii. – W mieście jest piekło i tego nam właśnie trzeba.

Wyszli, nie oglądając się za siebie.

To był tortura.

Gdyby się chociaż raz obrócił, żeby popatrzeć na swoich bliskich. Być może bagaż winy nie byłby taki ciężki. Nie obciążałby go brak ostatniego pożegnania. Ostatniego spojrzenia.

A tak nie było nic.

Przez kolejne dwa lata Max ukrywał się w opustoszałym magazynie. Był to budynek, w którym Walter kiedyś pracował. Jedzenia było tyle, co kot napłakał, za to podejrzliwości co niemiara. Żydzi z sąsiedztwa, którzy mieli pieniądze, uciekli za granicę. Żydzi bez pieniędzy też próbowali, ale bez sukcesów. Rodzina Maksa zaliczała się do tej drugiej kategorii. Od czasu do czasu Walter wpadał do nich ukradkiem. Któregoś razu drzwi otworzył ktoś obcy.

Gdy Max usłyszał tę nowinę, poczuł się tak, jakby ktoś wepchnął go do wnętrza kuli. Był jak kartka papieru najeżona błędami. Był śmieciem.

Jednak każdego dnia na nowo usiłował się prostować psychicznie, pełen obrzydzenia i wdzięczności zarazem. Był wrakiem, ale jeszcze się nie rozpadł na kawałki.

Gdzieś w połowie 1939 roku, mniej więcej po pół roku ukrywania się, postanowili zrealizować nowy plan. Sprawdzili kartkę papieru, którą Max dostał na pożegnanie od matki w dniu swej dezercji. Tak, dezercji, nie tylko ucieczki. Sam tak to oceniał, w groteskowej otoczce ulgi. My już wiemy, co było napisane na tej kartce:

NAZWISKO I ADRES

Hans Hubermann

Himmelstrasse 33, Molching

– Robi się coraz gorzej – powiedział Maksowi Walter. – Mogą nas nakryć w każdej chwili. – Max skulił się jeszcze bardziej. – Trudno przewidzieć, co się zdarzy. Mogą mnie złapać. Musisz znaleźć to miejsce. Tutaj boję się prosić o pomoc. Wsadzą mnie do pudła. – Nasuwało się jedno rozwiązanie. – Pojadę tam i znajdę tego człowieka. Jeżeli przystał do nazistów, co jest bardzo prawdopodobne, po prostu wrócę. Ale przynajmniej będziemy wiedzieli, *richtig?*

Max dał mu na podróż swoje ostatnie pieniądze i parę dni później Walter wrócił i rzucił mu się na szyję, ściskając do utraty tchu.

– No i co?

– To dobry człowiek – powiedział Walter. – Wciąż gra na tym akordeonie, który dostał od twojej matki, na tym, który odziedziczył po twoim ojcu. Nie należy do partii. Dał mi pieniądze. – Jak dotąd, Hans Hubermann był tylko kartką papieru. – Jest biedny, ma żonę i jest tam dzieciak.

– Ile ma lat? – Kolejne informacje coraz bardziej rozpały ciekawość Maksa.

– Dziesięć. Nie można mieć wszystkiego.

– Tak. Ale dzieci to puple.

– Ciesz się z tego, co jest.

Dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Przerwał ją Max.

– Ten facet pewnie już mnie nienawidzi, co?

– Nie wydaje mi się. W końcu dał mi pieniądze i powiedział, że słowo to słowo.

Tydzień później nadszedł list. Hans informował Waltera Kuglera, że przy pierwszej okazji dośle mu potrzebne rzeczy. Mapę okręgu Monachium i Molching, wyrysowaną pieszą trasę z Pasing (to bezpieczniejsze niż wysiąść na docelowej stacji) i drogę do swego domu. Ostatnie słowa listu były oczywiste.

Bądźcie ostrożni.

W połowie maja 1940 roku przyszedł egzemplarz *Mein Kampf* z kluczem w środku.

Ten facet to geniusz, pomyślał Max, choć sama myśl o podróży do Molching przyprawiała go o dreszcze.

Najbardziej chciałby w ogóle nie jechać.

Ale nie zawsze mamy to, czego chcemy.

Zwłaszcza w Trzeciej Rzeszy.

Mijał czas.

Wojna się rozprzestrzeniała.

Max zmienił kryjówkę.

Aż nadeszło nieuniknione.

Walter dostał wezwanie do wojska. Miał być wysłany do Polski, by manifestować niemiecką władzę nad Żydami i Polakami. Jedno gorsze od drugiego. Przyszedł czas.

Max przez Monachium pojechał do Molching, a teraz siedział w kuchni obcego człowieka, prosząc o pomoc, której łaknął, i o potępienie, na które zasłużył.

Hans Hubermann uścisnął mu rękę i przedstawił się.

Zaparzył kawy.

Dziewczynka odeszła, ale teraz słyhać było inne kroki. Dżoker.

Wszyscy troje byli w ciemności zupełnie sami. Wszyscy patrzyli. Mówiła tylko kobieta.

GNIEW ROSY

Liesel już znowu zasypiała, gdy obudził ją dobiegający z kuchni niepowtarzalny głos Rosy Hubermann.

Gwałtownie się rozbudziła.

– *Was ist los?*

Liesel umierała z ciekawości. Wyobrażała sobie tyradę, w postaci której objawi się gniew Rosy. Na razie usłyszała szuranie krzesel.

Po dziesięciu minutach męczącej samodyscypliny Liesel wymknęła się do korytarza i zobaczyła niezwykle widok. Rosa Hubermann stała nad Maksem Vanderburgiem, obserwując, jak się zajada jej sławetną grochówką. Na stole stała świeca. Nie migotała.

Mama była poważna.

Z jej krępej postaci biła obawa.

Ale gdzieś pod spodem czaił się tryumf. Lecz nie był to tryumf kogoś, kto ratuje życie drugiego człowieka. To było coś innego, coś w rodzaju: „Ten przynajmniej nie narzeka”. Patrzyła to na zupę, to na Maksa, na Maksa, znów na zupę.

Otworzyła usta tylko po to, żeby zapytać, czy chce dokładkę.

Max odmówił. Zamiast tego podbiegł do zlewu i zwymiotował. Plecy mu drgały, rozłożył ręce. Palce chwyciły metal.

– Jezus, Maria, Józefie święty – mruknęła Rosa. – Jeszcze jeden.

Max zaczął przeproszać. Jego słowa były śliskie i małe, zdławione żółcią.

– Tak mi przykro. Myślę, że zjadłem za dużo naraz. Mój żołądek się skurczył, odkąd... Mam kłopot z normalnym jedzeniem.

– Odejdź – zakomenderowała Rosa. Zaczęła myć zlew.

Kiedy skończyła, spojrzała na młodego człowieka za stołem. Wyglądał jak półtora nieszczęścia. Naprzeciw niego siedział Hans z rękami splecionymi na blacie.

Liesel dostrzegła z korytarza wyniszczoną twarz nieznajomego, a za nią zatroskaną twarz mamy.

Popatrzyła na swych przybranych rodziców.

Co to byli za ludzie?

Rzeczywiście, trudno precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie, jakimi ludźmi byli Hans i Rosa Hubermannowie. Dobrymi ludźmi? Poczciwymi naiwniakami? Wariatami? Dużo łatwiej określić położenie, w jakim się znaleźli.

SYTUACJA HANSA I ROSY HUBERMANNÓW

Bardzo kłopotliwa.

Przeraźliwie kłopotliwa.

Kiedy Żyd wchodzi nad ranem do twego domu, w samym maceczniku ruchu nazistowskiego, masz prawo czuć dyskomfort, i to na wielu poziomach. Strach, niedowierzanie, paranoja. Każdy z tych czynników gra swoją rolę i każdy sprawia, że spodziewasz się jak najgorszych konsekwencji. Pulsujący strach. Bezlitosny.

Zadziwiające, że mimo tego migotliwego strachu, jarzącego się w ciemności, udało im się nie popaść w histerię. Mama odesłała Liesel do łóżka.

– *Bett, Saumensch* – jej głos był spokojny i stanowczy. Niezwykły.

Po kilku minutach papa przyniósł pościel na drugie łóżko.

– *Alles gut, Liesel?* Wszystko gra?

– Tak, papo.

– Jak widzisz, mamy gościa. – Liesel widziała w mroku tylko zarys jego wysokiej postaci. – Będzie tu dzisiaj nocował.

– Tak, papo.

Po chwili w pokoju pojawił się Max Vandenburg, bezszelestnie i skrycie. Nie oddychał. Nie poruszał się. Jednak jakimś cudem przemierzył drogę od drzwi do łóżka i znalazł się pod przykryciem.

– Wszystko w porządku? – tym razem pytanie papy było skierowane do Maksa. Odpowiedź wypłynęła z ust gościa i przybrała kształt plamy na suficie. Kształt wstydu.

– Tak, dziękuję. – Powtórzył to jeszcze raz, podczas gdy Hans Hubermann zajmował swe stałe stanowisko na krześle koło łóżka Liesel. – Dziękuję.

Minęła godzina, nim Liesel usnęła.

Spała twardo i długo.

Obudziła się, potrząsana za ramię, o w pół do dziewiątej rano następnego dnia. Została poinformowana, że nie pójdzie dzisiaj do szkoły, bo jest chora.

Kiedy się całkiem rozbudziła, popatrzyła na nieznanego na przeciwległym łóżku. Spod koca wystawała tylko jego czupryna. Nie wydawał żadnego dźwięku, jakby nauczył się spać bez oddychania. Liesel ostrożnie minęła go i wyszła za papą na korytarz.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyła śpiącą kuchnię i cichą mamę. Panowała otępiała, inauguracyjna cisza. Trwała jednak, ku uldze Liesel, zaledwie parę minut.

Potem było śniadanie, odgłosy jedzenia. Mama oznajmiła, co jest tego dnia najważniejsze:

– Posłuchaj, Liesel. Dzisiaj papa powie ci coś ważnego. – Mówiła absolutnie serio. Nie dodała nawet „*Saumensch*”. Osobisty sukces w abstynencji. – On będzie mówił, a ty będziesz słuchać. Zrozumiano?

Dziewczynka przełykała jedzenie.

– Zrozumiano, *Saumensch*?

Już lepiej.

Dziewczynka przytaknęła.

Kiedy wróciła po ubranie, zobaczyła, że ciało obcego przekreśliło się i skuliło. Już nie wyglądało jak kłoda, przybrało kształt litery „Z” i tym zygzakiem pokryło łóżko na skos.

Teraz, w mętym świetle, mogła się przyjrzeć jego twarzy. Usta miał otwarte, a jego skóra była koloru skorupki jajka. Zarost porastał jego policzki i podbródek, pokaźne uszy przylegały płasko. Jego nos nie był duży, ale zdeformowany.

– Liesel!

Odwróciła się.

– Ruszaj się!

Ruszyła do łazienki.

Kiedy wyszła na korytarz, zorientowała się, że daleko nie pójdą. Papa stał przy drzwiach do piwnicy. Uśmiechnął się blado, zapalił lampę i wskazał jej zejście.

Papa powiedział, żeby usiadła wygodnie, co też zrobiła, między wzgórkami bielizny i pachnącymi farbą ścianami, na których były napisane dawno wyuczone słowa.

– Muszę ci coś powiedzieć, Liesel. – Liesel usadowiła się na metrowej kupie prześcieradeł, papa na piętnastolitrowej puszcze z farbą. Przez parę chwil szukał właściwych słów. Kiedy napłynęły, wstał, by je wypowiedzieć. Potarł ręką oczy. – Nie wiedziałem, czy to się kiedykolwiek zdarzy, więc ci o tym nie opowiadałem. Nie opowiadałem o sobie ani o tym człowieku na górze – mówiąc, chodził z kąta w kąt, a jego powiększony przez lampę cień chybotął się na ścianie. Kiedy przystanął, cień wyczekująco przyczął się za nim. Obserwował. Zawsze ktoś kogoś obserwował. – Znasz mój akordeon? – zapytał papa i opowiedział całą historię.

Opowiedział o I wojnie, o Eriku Vandenburgu i o odwiedzinach u żony zmarłego żołnierza.

– Ten chłopiec, który wtedy wszedł do pokoju, to jest właśnie ten pan na górze. *Verstehst?* Rozumiesz?

Złodziejka książek siedziała i słuchała historii Hansa Hubermanna przez dobrą godzinę, aż do puenty, którą skończył się obowiązkowy wykład.

– Musisz uważnie posłuchać, Liesel. – Papa podał jej rękę, zmuszając do powstania.

Odwrócili się do ściany.

Ciemne sylwetki i próba słów.

Mocno trzymał jej palce.

– Pamiętasz tamten dzień – urodziny Führera – kiedy wracaliśmy z domu po ognisku? Pamiętasz, co mi wtedy obiecałaś?

– Że dotrzymam tajemnicy – Liesel kiwnęła głową do ściany.

– Właśnie. – Na ścianie, między połączonymi dłońmi cieniami, rozrzucone były malowane słowa; siedziały im na ramionach, spoczywały na głowach, zwisały z rąk. – Liesel, jeśli komukolwiek powiesz słowo o tym człowieku, wszyscy będziemy mieć poważne kłopoty. – Hans umiejętnie balansował między zastraszaniem a uspokajaniem, żeby się nie zdenerwowała. Karmił ją słowami i przyglądał się jej swymi metalicznymi oczami. Desperacja i spokój. – W najlepszym wypadku ja i mama zostaniemy wywiezieni. – Hans obawiał się trochę, czy nie przestraszy jej za bardzo, ale wykalkulował sobie, że lepiej postraszyć za bardzo niż za mało. Uległość dziewczynki musiała być całkowita i niewzruszona.

Pod koniec Hans Hubermann popatrzył na Liesel Meminger, zmuszając ją do najwyższego skupienia.

Przedstawił jej listę konsekwencji.

Jeśli powiesz o nim komukolwiek...

Wychowawczyni.

Rudy'emu.

Komukolwiek.

Wszystko groziło karą.

– Na początek wezmę wszystkie twoje książki – zagroził – i spalę je w piecu albo w kominku. – To było bezduszne, ale konieczne, zachowywał się więc jak tyran. – Rozumiesz?

Szok zrobił w niej dziurę jak pocisk, gładką i celną.

Potoczyły się łzy.

– Tak, papo.

– Potem – twardo ciągnął dalej – zabiorą cię ode mnie. Chcesz, żeby cię zabrali?

– *Nein*. – Szlochała już głośno.

– To dobrze – mocniej zacisnął dłoń na jej ręce. – Bo wywloką stąd tego człowieka, a potem mamę i mnie i nigdy, przenigdy nie wrócimy.

To ostatecznie poskutkowało.

Dziewczynka popadła w taką histerię, że papie serce się krajało, chciał ją wziąć w ramiona i utulić. Nie zrobił tego.

Przykucnął, i spojrzał jej prosto w oczy. Najłagodniej, jak potrafił, zapytał:

– *Verstehst du mich?* Rozumiesz mnie?

Dziewczynka przytaknęła. Płakała, była załamana, zgnębiona i teraz dopiero papa wzniosł ją w pomalowane powietrze i w światło naftowej lampy.

– Rozumiem, papo, ja wszystko rozumiem.

Jej głos był stłumiony dotykiem jego ciała. Stali tak, Liesel wstrząsana spazmami, papa gładzący jej plecy.

Kiedy wrócili na górę, zastali mamę samą w kuchni, bardzo zadumaną. Na ich widok wstała i przywołała do siebie zapłakaną Liesel. Objęła ją właściwym sobie, szorstkim gestem.

– *Alles gut, Saumensch?*

Nie trzeba było czekać na odpowiedź.

Wszystko było w porządku.

Choć było też strasznie.

ŚPIĄCY

Max Vandenburg spał przez trzy dni.

Liesel obserwowała go okazjonalnie. Na trzeci dzień przerodziło się to w obsesję – stale go sprawdzała, patrzyła, czy oddycha. Świetnie rozpoznawała oznaki życia – drgnienie warg, skurcz brody, włosy poruszające się na poduszce pod wpływem ruchów głowy.

Często, kiedy tak nad nim stała, bała się, że nagle się obudzi, otworzy oczy i przyłapie ją na podpatrywaniu. Myśl, że może zostać nakryta, jednocześnie ją prześladowała i zachwycała. Bała się, ale chciała tego. Wychodziła z pokoju tylko wtedy, gdy przywoływał ją głos mamy, jednocześnie podbudowana i niezadowolona z tego, że nie będzie świadkiem jego przebudzenia.

Czasem, już pod koniec maratonu w spaniu, mówił.

Była to lista imion.

Isaac, ciotka Ruth, Sara, mama, Walter, Hitler.

Rodzina, przyjaciel, wróg.

Wszyscy byli wraz z nim w łóżku. Raz wydawało się, że walczy ze sobą. *Nein* – wyszeptał. Siedem razy powtórzył słowo „nie”.

Liesel w trakcie podglądania zauważyła podobieństwa między sobą a nieznajomym. Oboje przybyli na Himmelstrasse w stanie najwyższego wzburzenia. Oboje mieli koszmary.

Kiedy przyszedł czas, obudził się z przykrym poczuciem dezorientacji. Chwilę po otwarciu oczu poderwał się do pozycji siedzącej, a z jego ust wydobył się okrzyk:

– Aj!

Kiedy zobaczył pochyloną nad sobą do góry nogami twarz dziewczynki, przeżył przykry moment obcości, zastąpiony zaraz rozpoznaniem sytuacji. Podrapał się w głowę i spojrzał na nią. Poruszał się niezgrabnie, jego otwarte oczy okazały się głębokie i brunatne, o ciężkim spojrzeniu.

Reakcją Liesel była ucieczka.

Zbyt wolna.

Obcy wychylił się i przytrzymał ją za rękę.

– Proszę.

Głos trzymał ją równie mocno jak wpijające się w ciało palce. Zaciśnął je jeszcze mocniej.

– Papo. – Głośno.

– Proszę. – Cicho.

Było późne popołudnie, szare i migotliwe, ale do pokoju wpadało jedynie brudne światło. Na jego kolor wpływały zasłony. Optymiści mogliby określić ich barwę jako brązową.

Kiedy papa wszedł, zatrzymał się w progu i patrzył na zaciśnięte palce Maksa Vandenburga, na jego zrozpaczoną twarz na ramieniu Liesel.

– Widzę, że się poznaliście – powiedział.

Palce Maksa rozluźniły się.

WYMIANA KOSZMARÓW

Max Vandenburg poprzysiągł, że już nigdy nie będzie spać w pokoju Liesel. Co sobie myślał tamtej, pierwszej nocy? Samo przypomnienie paraliżowało go.

Wy tłumaczenie było jedno – oszołomienie po podróży. Teraz wiedział, że jedynym miejscem, w którym może przebywać, jest piwnica. Nie szkodzi, że jest tam zimno i samotnie. Był Żydem, więc przysługiwała mu tylko piwnica lub podobna kryjówka pozwalająca na przetrwanie.

– Przepraszam was – wyznał swe myśli Rosie i Hansowi, schodząc do piwnicy. – Odtąd stąd nie wyjdę. Będę siedział cicho jak mysz, nawet mnie nie usłyszycie.

Hans i Rosa, przygnieceni nowym kłopotem, nie oponowali, choć w piwnicy rzeczywiście było chłodno. Znieśli tam koce i lampę naftową. Rosa uprzedziła, że nie mają zbyt wiele żywności. Max gorliwie zapewnił, że wystarczą mu resztki i poprosił, żeby sobie niczego nie odmawiali z uwagi na niego.

– No, no – powiedziała Rosa. – Będę cię karmić najlepiej, jak potrafię.

Znieśli na dół materac z zapasowego łóżka w pokoju Liesel, a górę wnieśli bieliznę – doskonała zamiana.

W piwnicy Hans i Max ułożyli materac pod schodami i obudowali go z boku barykadą z prześcieradeł, na tyle wysoką, by zakrywała trójkątny otwór. Można je było łatwo odsunąć, gdyby Maksowi brakowało powietrza.

– To nędzne warunki – tłumaczył się papa. – Zdaję sobie z tego sprawę.

– Lepšie to niż nic – stwierdził Max. – Nawet na to nie zasługuję. Dziękuję.

Zaaranżowawszy ściankę z puszek farby, Hans uznał, że całość wygląda jak stos rupieci niechlujnie zwalonych w kącie, żeby nie zawadzały. Problem w tym, że wystarczyło odsunąć kilka puszek i szmat, by wyczuć obecność Żyda.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy – powiedział.

– Musi – Max wczółgał się do legowiska i powtórzył: – Dziękuję.

Dziękuję.

Dla Maksa Vandenburga było to najbardziej żalosne słowo na świecie, z którym konkurować mógł jedynie zwrot „bardzo mi przykro”. Odczuwał przymus, by w kółko je powtarzać. Bodło go poczucie winy.

Ileż to razy w kilka godzin po przebudzeniu chciał opuścić piwnicę i ten dom? Setki.

Za każdym razem na planach się kończyło.

Pozostawał rwący ból.

Chciał odejść. Boże, jak strasznie chciał (albo przynajmniej chciał chcieć), choć wiedział, że tego nie zrobi. Było to podobne uczucie jak wtedy, kiedy opuszczał swą rodzinę w Stuttgarcie, pod płaszczykiem udawanej lojalności. Żeby żyć.

Bo życie warte jest życia.

Choćby ceną była wina i wstyd.

Przez pierwsze dni w piwnicy Liesel nie miała z nim kontaktu. Chciała wyprzeć z pamięci fakt, że istnieje. Jego szeleszczące włosy, jego zimne śliskie palce.

Jego udręczoną obecność.

Mama i papa.

Leżał między nimi wielki ciężar, mnóstwo niepodjętych decyzji.

Rozważali, czy nie można by go wyprowadzić z domu.

Ale dokąd?

Nie było dobrej odpowiedzi.

W tej sytuacji byli zdani tylko na samych siebie. Sparaliżowani. Max Vandenburg nie miał dokąd iść. Byli jego ostatnią nadzieją. Hans i Rosa Hubermann. Liesel nie widziała nigdy, by tak często na siebie spoglądali, z tak uroczystą powagą.

To oni nosili Maksowi jedzenie i wynosili puszkę po farbie z ekskrementami. Zadaniem Hansa było ostrożnie się ich pozbyć. Za każdym razem Rosa szycowała kilka wiader wody, by mógł się obmyć. Żyd był brudny.

Na zewnątrz, za każdym razem kiedy Liesel wychodziła z domu, czekała na nią góra zimnego listopadowego powietrza.

Mżawka padała jak pikowe serduszka.

Na drogę spadały zeschłe liście.

Jednak i na złodziejkę książek przyszła kolej, by zejść do piwnicy. Zmusili ją.

Szła ostrożnie po schodach, wiedząc, że nie musi nic mówić. Dźwięk kroków zaanonsował jej przyjście.

Stała pośrodku piwnicy i czekała, czując się jak na wielkim burym polu. Słońce zachodziło za stóg zżętych prześcieradeł.

Max wypełził, trzymając w ręku *Mein Kampf*. Po przyjeździe chciał oddać książkę Hansowi Hubermannowi, ale ten powiedział, że może ją zatrzymać.

Oczywiście Liesel, która trzymała tacę z jedzeniem, nie mogła oderwać od niej oczu. Widziała tę książkę w BDM, ale nie używano jej bezpośrednio na szkoleniach ani ćwiczeniach. Czasem mówiono, że to wielkie dzieło, i obiecywano, że dziewczęta będą miały okazję przeczytać je w niedalekiej przyszłości, kiedy podrosną i przejdą do starszej grupy.

Podążając za jej wzrokiem, Max także spojrzał na książkę.

– Czy...? – wyszeptała.

Głos jej zamarł i zwinął się w gardle.

– *Bitte?* Proszę? – Żyd wysunął ku niej głowę. Podała mu grochówkę i wróciła na górę, czerwona, zdyszana i ogłupiała.

– Czy to dobra książka?

To, co chciała powiedzieć, ćwiczyła przed lusterkiem w łazience. Wciąż jeszcze była przesiąknięta odorem moczu, widocznie Max użył swej puszkę po farbie tuż przed jej przyjściem. *So ein G'schtank*, pomyślała, co za smród.

Tylko zapach własnego moczu nie drażni człowieka.

Dni kuśtykały.

Każdego wieczoru przed zaśnięciem Liesel słyszała głosy mamy i papy, którzy podsumowywali to, co zostało zrobione, mówili o tym, co robią teraz i co trzeba zrobić w przyszłości. Nie opuszczał jej obraz Maksa. Była to zawsze twarz pełna bólu i wdzięczności, twarz z oczami jak otchłanne bagno.

Tylko raz w kuchni wybuchła kłótnia.

– Wiem! – to był głos papy. Głos nieprzyjemny, szorstki, który jednak po chwili zniżył się do pospiesznego szeptu.

– Ale muszę wychodzić z domu, przynajmniej parę razy w tygodniu. Nie mogę tu siedzieć. Potrzebujemy pieniędzy i jeśli przestanę tam grać, nabiorą podejrzeń. Będą się zastanawiać, co mnie zatrzymuje. W zeszłym tygodniu powiedziałem im, że jesteś chora, ale teraz wszystko musi być tak, jak było.

Tu był pies pogrzebany.

Ich życie obróciło się do góry nogami, a ich obowiązkiem było zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Wyobraźcie sobie uśmiech po tym, jak dostaliście w twarz. I tak przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Na tym polegało ukrywanie Żyda.

Dni przeszły w tygodnie i pojawiła się problematyczna akceptacja tego, co zaszło – a wszystko to w związku z wojną, dotrzymaniem obietnicy, akordeonem. W tym samym czasie, w przeciągu pół roku, Hubermannowie stracili syna i otrzymali ekwiwalent w heroicznie niebezpiecznej skali.

Liesel najbardziej była zszokowana zmianą, jaka zaszła w mamie. Czy chodziło o rozważną metodę dzielenia pożywienia, czy pohamowanie potoku przekleństw, czy nawet łagodniejszy wyraz jej tekturowej twarzy, jedno było pewne.

GLÓWNA CECHA ROSY HUBERMANN

Była dobrą kobietą na ciężkie czasy.

Nawet gdy zreumatyzowana Helena Schmidt zrezygnowała z usług pralniczo-prasowalniczych, w miesiąc po zamieszkaniu Maksa na Himmelstrasse, Rosa spokojnie usiadła za stołem i przysunęła sobie talerz.

– Dzisiaj mamy dobrą zupę.

Zupa była obrzydliwa.

Każdego ranka kiedy Liesel szła do szkoły albo grać w piłkę, albo roznosić pranie, Rosa napominała:

– Tylko pamiętaj, Liesel... – i przykładła palec do ust. To wystarczało. Liesel kiwała głową, a Rosa mówiła: – Dobra dziewczynka. *Saumensch*, możesz iść.

Tak jak mówił papa, a teraz nawet mama, była dobrą dziewczynką. Trzymała buzię na kłódkę. Sekret był głęboko ukryty.

Jak zwykle chodziła po mieście z Rudym i słuchała jego paplaniny. Czasem porównywali notatki z zebrania organizacji niemieckiej młodzieży. Rudy po raz pierwszy powiedział jej o młodym sadystycznym przywódcy nazwiskiem Franz Deutscher. Jeśli nie gadał o Deutscherze i jego metodach, powtarzał jak zdarta płyta informacje o swoich golach strzelonych na Himmelstrasse.

– Wiem – przytakiwała Liesel. – Przecież tam byłam.

– I co z tego?

– Widziałam na własne oczy, *Saukerl*.

– A skąd mam mieć pewność? Pewnie leżałaś na ziemi i lizałaś miejsce, z którego strzeliłem.

Być może to Rudy utrzymywał ją przy zdrowych zmysłach – swoimi głupotami, swoim wyglądem, swoją zwariowaną osobowością.

Zdawał się uważać, że życie to tylko jeden wielki żart, pełen celnych goli, oszustw i częściej gadaniny.

Była jeszcze żona burmistrza i możliwość czytania w bibliotece jej męża. Znowu zrobiło się zimno, ale Liesel nie była w stanie z tego zrezygnować. Wybierała stosik książek, a potem czytała z każdej po kawałku, aż znalazła taką, od której nie mogła się oderwać. Nosila tytuł *Świstak*. Pierwszy powód był taki, że kojarzyła się Liesel z charakterystyczną postacią z Himmelstrasse, Pfiffikusem. Pamiętała jego przygarbioną sylwetkę z ogniska z okazji urodzin Führera.

Książka opisywała morderstwo – zakłucie nożem na wiedeńskiej ulicy, niedaleko katedry św. Stefana.

URYWEK ZE ŚWISTAKA

*Leżała tam przerażona,
w kałuży krwi, a w jej uszach
brzmiał dziwny dźwięk. Przypomniała
sobie nóż i uśmiech. Świstak zawsze
się uśmiechał, a potem znikał w ciemnej
zbrodniczej nocy...*

Liesel nie wiedziała, dlaczego drży – czy od słów książki, czy od przeciągu z otwartego okna. Za każdym razem kiedy odnosiła pranie do domu burmistrza, czytała trzy strony i drżała. Nie mogła jednak zostawać tam dłużej. Podobnie było z Maksem Vandenburgiem, który nie mógł już wytrzymać w piwnicy. Nie skarżył się – nie miał do tego prawa – ale czuł, że ginie od chłodu. Jak się okazało, jego ratunkiem była możliwość pisania i czytania oraz książka po tytule *Wzruszenie ramion*.

– Chodź, Liesel – powiedział Hans pewnego wieczora.

Od przybycia Maksa przerwali wspólne czytanie. Hans wyczuł, że to właściwy moment na powrót do tradycji. –

No, chodź – przynaglił. – Nie leń się. Przynieś książkę. Może poczytamy *Wzruszenie ramion*?

Zdziwiło ją, że papa kazał jej iść do dawnego miejsca ich wspólnych ćwiczeń, czyli do piwnicy.

– Ale papo, nie możemy... – wzbraniała się.

– A dlaczego? Czy tam mieszka potwór?

Był początek grudnia, pojawił się lód. Z każdym stopniem w dół piwnica ziała coraz większą obcością.

– Tam jest zimno, papo.

– Jak dotąd nie narzekałaś.

– Ale nigdy nie było aż tak zimno.

Kiedy zeszli na dół, papa wyszeptał:

– Możemy pożyczyć lampę?

Bielizna i puszki poruszyły się bojaźliwie i lampa przeszła z ręki do ręki. Patrząc na płomień, Hans potrząsnął głową.

– *Es ist ja Wahnsinn, net?* To szaleństwo, prawda? – Schwycił wyciągniętą rękę, nim zdążyła się cofnąć. – Chodź do nas, Max. Proszę.

Zasłony poruszyły się wolno i pojawiło się wyniszczone ciało Maksa Vandenburga. Stał, stremowany, w pełgającym świetle. Cały się trząsł.

Hans dotknął jego ramienia i przyciągnął do siebie.

– Jezus, Maria, Józefie święty. Nie możesz tu zostać, bo zamarznieś na śmierć. – Odwrócił się. – Liesel, przyszykuj kąpiel. Nie za gorącą. Wystarczy letnia woda.

Liesel wybiegła.

– Jezus, Maria, Józefie święty – usłyszała po raz drugi z korytarza.

Kiedy siedział już w ciasnej wannie, Liesel podsłuchiwała pod drzwiami łazienki, wyobrażając sobie, jak ciepła woda rozgrzewa przemarznięte ciało. Mama i papa pogrążeni byli w rozmowie. Siedzieli w pokoju, który był ich sypialnią i zarazem salonikiem. Przytłumione głosy ledwo przenikały ścianę korytarza.

– Przysięgam ci, on tam umrze.

– A co będzie, jak ktoś przyjdzie?

– Ja chcę tylko, żeby wychodził na noc. W dzień wszystkie drzwi będą otwarte, jakbyśmy nie mieli nic do ukrycia. I będzie w tym pokoju, nie w kuchni. Najlepiej trzymać się z dala od wejścia.

Cisza.

– Tak, masz rację, zgadzam się – odezwał się głos mamy.

– Jeśli już ryzykujemy coś za Żyda, wolę ryzykować za żywego – powiedział papa i od tej pory zapanowały nowe zwyczaje.

Każdego wieczora w pokoju papy i mamy palono w kominku. Bezszelestnie zjawiał się Max. Siadał w kącie, skulony i zakłopotany ludzką dobrocią, torturą przeżycia, a przede wszystkim cudownym ciepłem.

Zasłony były szczelnie zaciągnięte, a on spał na podłodze z poduszką pod głową, podczas gdy ogień przemieniał się w popiół.

Rankiem wracał do piwnicy.

Bezgłośny człowiek.

Żydowski szczur, znów w swojej norze.

Boże Narodzenie przyszło i minęło w atmosferze wzmożonego zagrożenia. Jak można się było spodziewać, Hans Junior nie odwiedził rodziców (co było przykre, ale i dogodne), ale Trudy przyjechała jak zwykle. Wszystko poszło gładko.

GLADKO, CZYLI:

Max siedział w piwnicy.

Trudy przyjechała i odjechała bez najmniejszego podejrzenia.

Postanowiono, że Trudy, mimo swego łagodnego usposobienia, nie zostanie wtajemniczona.

– Ufamy tylko tym, którym musimy – powiedział papa. – A to obejmuje nas troje.

Było więcej jedzenia i przeprosiny wobec Maksa, że choć wyznaje inną religię, bierze udział w ich rytuale.

Nie narzekał.

Bo i dlaczego?

Wyjaśnił, że był wychowywany w rodzinie żydowskiej i jest Żydem z urodzenia, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek cała żydowskość to dla niego tylko etykieta – mogąca prowadzić do zguby.

Wyraził współczucie, że syn Hubermannów nie przyjechał do domu. W odpowiedzi papa wyjaśnił mu, że te sprawy są obecnie poza ich kontrolą.

– W końcu sam dobrze o tym wiesz: młodzi mężczyźni pozostają chłopcami, a chłopcy bywają uparci i mają do tego prawo.

Na tym sprawa została zamknięta.

Przez pierwsze tygodnie siedzący naprzeciw kominka Max pozostawał milczący. Teraz, kiedy co tydzień brał porządną kąpiel, jego włosy nie przypominały już gniazda, raczej piórka. Liesel wciąż się wstydziła obcego, więc wyszeptwała to papie na ucho.

– On ma włosy jak piórka.

– Co mówisz? – Jej wypowiedź zagłuszył trzask płonącego drewna.

– Powiedziałam – przytuliła się mocniej – że on ma włosy jak piórka.

Hans Hubermann popatrzył przez pokój i kiwnął głową. Chciałby mieć oczy tak bystre jak Liesel. Nie mieli pojęcia, że Max to wszystko słyszy.

Czasami przynosił egzemplarz *Mein Kampf* i czytał przy świetle płomieni, wzburzony treścią książki. Za trzecim razem Liesel zdobyła się na odwagę i zadała swoje pytanie.

– Czy to dobre?

Podniósł wzrok i zacisnął dłoń w pięść, a potem wyprostował palce. Odpędzając gniew, uśmiechnął się do dziewczynki. Podniósł do oczu postrzępioną okładkę, po czym spojrzał na papę i Liesel.

– To najlepsza książka ze wszystkich. Uratowała mi życie.

– Jak? – spytała Liesel, siadając ze skrzyżowanymi nogami.

Tak się zaczął etap wieczornego opowiadania historii. Cicho, że ledwo dało się słyszeć. Kawalki układanki jego życia składały się w całość na ich oczach.

Czasem w głosie Maksa Vandenburga dało się słyszeć śmiech. Można by go porównać do tarcia małym kamyczkiem o potężną skałę. Najczęściej wtedy, kiedy opowiadał żart albo mówił o swoich porażkach.

– O święty Jezu! – była to najczęstsza reakcja na opowieści Maksa Vandenburga, a potem następowało pytanie.

PYTANIA DO MAKSA

Jak długo siedziałeś w tamtym pomieszczeniu?

Gdzie jest teraz Walter Kugler?

Czy wiesz, co się stało z twoją rodziną?

Dokąd jechała ta pani, co chrapała?

Dziesięć do trzech to beznadziejny wynik!

Po co się z nim ciągle bileś?

Kiedy Liesel wracała myślą do tamtych chwil, wieczory w sypialni rodziców były najjaśniejszymi punktami wspomnień. Stawała jej przed oczami blada, oświetlona płomieniami twarz Maksa i czuła ludzką woń jego słów. Cała historia jego przetrwania układała się z kawałków, tak jakby sam siebie kroił i kładł na talerzu.

– Jestem taki samolubny. – Po tych słowach zasłonił twarz ramieniem. – Zostawiłem swoich. Przyjechałem tutaj. Narażam was wszystkich na niebezpieczeństwo... – Nadeszła chwila, kiedy mógł już wszystko z siebie wyrzucić. I zrobił to, z wyrazem najgłębszego smutku i opuszczenia na twarzy. – Tak mi przykro. Wierzycie mi? Jest mi strasznie, strasznie przykro!

Wyciągnięta ręka trafiła do kominka. Natychmiast ją cofnął.

Wszyscy patrzyli na to w ciszy, wreszcie papa wstał i usiadł obok Maksa.

– Oparzyłeś sobie łokieć?

Pewnego wieczora Hans, Max i Liesel siedzieli przed kominkiem. Mama była w kuchni. Max znowu czytał *Mein Kampf*.

– Wiesz co? – Hans pochylił się w stronę ognia. – Liesel bardzo lubi czytać. – Max opuścił książkę. – Macie ze sobą wiele wspólnego. – Hans sprawdził, czy Rosa nie słyszy. – Liesel też lubi się boksować.

– Papo! – Liesel niebawem miała skończyć jedenaście lat i wciąż była chuda jak patyk. – Ja się nigdy nie biję!

– Szszsz – zaśmiał się papa i pokazał jej gestem, żeby ściszyła głos. Tym razem pochylił się ku dziewczynce. – A co powiesz o tym laniu, które spuściłaś Ludwigowi Schmeiklowi? No?

– Ja nigdy... – zaczęła Liesel, ale nie było sensu się zapierać. – Skąd wiesz?

– Spotkałem u Knollera jego ojca.

Liesel zakryła oczy dłońmi.

– Powiedziałeś mamie?

– Żartujesz chyba! – mrugnął do Maksa i wyszeptał do dziewczynki. – Przecież wciąż żyjesz, nie?

Tego wieczora papa po raz pierwszy od miesiący zagrał w domu na akordeonie. Grał dobre pół godziny, po czym zapytał Maksa:

– Uczyłeś się grać?

– Uczyłem – twarz w kącie wpatrzyła się w płomienie. – Do dziewiątego roku życia, ale wtedy mama musiała sprzedać nasze studio i przestałem. Zachowała jeden instrument, ale szybko dała sobie ze mną spokój, bo odmówiłem nauki. Ale byłem głupi.

– Nie byłeś głupi – powiedział papa. – Byłeś małym chłopcem.

Noce pokazały, że Liesel Meminger i Maksa Vandenburga łączy coś jeszcze. Leżąc w oddzielnych pokojach, obydwójce przeżywali senne koszmary i budzili się nagle – ona z krzykiem, on z westchnieniem.

Czasami, gdy Liesel i papa czytali książki, około trzeciej nad ranem słyszeli, jak Max się budzi.

– Ma takie sny jak ty – mówił papa. Pewnego razu Liesel zaniepokojona ciężkim oddechem Maksa zdecydowała się wstać. Po wysłuchaniu jego historii mogła sobie wyobrazić, co mu się śni. Przeszła cicho korytarzem aż do sypialni.

– Max?

Jej szept był cichy, wprost z gardła snu.

Nie odpowiedział, ale usiadł, badając wzrokiem ciemność.

Zostawiwszy papę w swoim pokoju, Liesel przysiadła po drugiej stronie kominka. W głębi pokoju głośno sapała Mama. Ostra konkurencja dla chrapiącej kobiety z pociągu.

Ogień już wygasł, pozostał tylko rozplywający się dym. I ludzkie głosy.

WYMIANA KOSZMARÓW

Dziewczynka: – Powiedz mi, co ci się śni.

Żyd: – Widzę siebie, jak macham im na pożegnanie.

Dziewczynka: – Ja też mam koszmary.

Żyd: – Co widzisz?

Dziewczynka: – Pociąg i mojego umarłego brata.

Żyd: – Miałś brata?

Dziewczynka: – Umarł, kiedy tu jechaliśmy.

Po drodze.

Dziewczynka i Żyd (chórem) : – *Ja. Tak.*

Byłoby miło stwierdzić, że po tej rozmowie Liesel i Max nie mieli już złych snów. Byłoby miło, ale to nie byłaby prawda. Koszmary pojawiały się tak jak przedtem, podobnie jak najlepszy gracz z drużyny przeciwnika, o którym chodziły plotki że jest chory lub kontuzjowany, a tymczasem rozgrzewa się razem z resztą drużyny, gotów wbiec na płytę boiska. Albo jak pociąg jadący wedle rozkładu, przybywający w nocy na peron ze wspomnieniami uczepionymi z tyłu na linie. Ciągnie je, telepie się, turkocze.

Ale jedna rzecz się zmieniła: Liesel powiedziała papie, że jest dość duża, by sama dawała sobie radę z koszmarami. Przez chwilę wydawał się urażony, ale jak zwykle zaraz znalazł właściwe słowa.

– I Bogu dzięki – uśmiechnął się krzywo. – Nareszcie się dobrze wyśpię. To krzesło to jedna wielka tortura. – Objął dziewczynkę ramieniem i poszli do kuchni.

Czas mijał, a przepaść między dwoma światami – tym domowym przy Himmelstrasse 33 i tym na zewnątrz – pogłębiała się. Cała sztuka polegała na tym, by je rozdzielać.

Liesel rozglądała się po zewnętrznym świecie, próbując wycisnąć zeń jakieś korzyści. Raz, kiedy wracała z pustą torbą, zauważyła w kubie na śmieci sobotni numer „Molching Express”. Wzięła go do domu i sprezentowała Maksowi.

– Pomyślałam, że może lubisz rozwiązywać krzyżówki – powiedziała.

Max docenił ten gest i – żeby go uzasadnić – przeczytał gazetę od deski do deski i w parę godzin później zademonstrował rozwiązana krzyżówkę, w której brakowało jednego słowa.

– Cholerne siedemnaście pionowo – powiedział.

W lutym 1941 roku na swoje dwunaste urodziny Liesel otrzymała kolejną używaną książkę. Była bardzo wdzięczna. Tytuł brzmiał *Ludzie z błot*, a książka opowiadała o bardzo dziwnym ojcu i synu. Liesel uściskała mamę i papę. Speszony Max stał w kącie.

– *Alles Gute zum Geburtstag* – uśmiechnął się blado, z rękami wciśniętymi w kieszenie. – Najlepsze życzenia na urodziny. Gdybym wcześniej wiedział, coś bym ci dał. – Wierutne kłamstwo, bo nie miał niczego poza *Mein Kampf*, a nie chciał karmić parszywą propagandą małej niemieckiej dziewczynki. To tak, jakby jagnię oferowało nóż rzeźnikowi.

Zapadła niezręczna cisza.

Liesel obejmowała mamę i papę.

Max był strasznie samotny.

Liesel przełknęła ślinę.

Podeszła i objęła Maksa.

– Dzięki, Max.

Z początku stał jak kołek, ale gdy poczuł blisko jej ciało, ręce same mu się uniosły, obejmując chude łopatki.

Później Liesel zrozumiała, skąd się wziął tak bezradny wyraz na twarzy Maksa Vandenburga. Odkryła też, że w tamtej chwili postanowił jej coś ofiarować. Wyobrażam sobie, że tej bezsennej nocy leżał i myślał, co mógłby jej dać.

Po tygodniu okazało się, że podarunek będzie papierowy.

Przyniósł jej swój prezent nad ranem, a potem wrócił po betonowych schodach tam, gdzie był teraz jego dom.

STRONICE Z PIWNICY

Przez cały tydzień mama i papa trzymali Liesel z dala od piwnicy. To oni nosili Maksowi jedzenie.

– Nie, *Saumensch* – mówiła mama za każdym razem, kiedy Liesel ofiarowywała swoje usługi. Znajdowała różne argumenty. – A może byś poprasowała, skoro tak się rwiesz do pomocy? Uważasz, że odnoszenie bielizny to ciężka praca? Spróbuj poprasować! – Kiedy się ma taką niewyparzoną gębę i taką reputację jak Rosa, można potajemnie świadczyć dobro, nikt nie zauważy. Podziało.

W ciągu tego tygodnia Max wyciął trochę kartek z *Mein Kampf* i pomalował je białą farbą. Rozwiesił je do suszenia na sznurku, od jednego końca piwnicy do drugiego. Potem zaczęły się trudności. Jego edukacja była wystarczająca, żeby dał sobie radę w życiu, nie był jednak ani pisarzem, ani rysownikiem. Ale tak długo przepowiadał sobie słowa w głowie, aż był pewien, że napisze je bez błędu. Dopiero wtedy – na papierze, który wyrzucił się i pomarszczył w procesie suszenia, zaczął małym pędzelkiem malować czarną farbą wymyśloną historię.

Zbędny człowiek

Wyliczył sobie, że potrzebuje trzynastu stron, więc pomalował czterdzieści na zapas, przewidując, że będzie musiał robić poprawki. Próbne wersje malował na stronach „*Molching Express*”, doskonaląc swą sztukę do momentu, kiedy mógł zaakceptować rysunki. Pracując, miał w uszach słowa dziewczynki: „Jego włosy są jak piórka”. Kiedy skończył, przedziurawił strony czubkiem noża i przeciągnął przez nie sznurek. W rezultacie powstała następująca, trzynastostronicowa książka:

[strony z ilustracjami – 244-256]

Przez całe życie bałem się mężczyzn, którzy nade mną stali.

[kolejna str.]

Myślę, że pierwszym z nich był mój ojciec, ale przepadł, zanim zdołałem go zapamiętać.

[kolejna str.]

Tak się złożyło, że gdy byłem chłopcem, lubiłem walczyć. Przeważnie przegrywałem. Wtedy stał nade mną inny chłopak z zakrwawionym nosem.

[kolejna str.]

Wiele lat później musiałem się ukrywać. Próbowalem nie spać, bo bałem się, kogo zobaczę, kiedy się obudzę. Ale miałem szczęście. Zawsze przychodził mój przyjaciel.

[kolejna str.]

Kiedy się ukrywałem, śnił mi się pewien mężczyzna. Najtrudniej było do niego dotrzeć.

[kolejna str.]

Miałem szczęście – po wielu krokach udało mi się dojść.

[kolejna str.]

Długo tam spałem. Powiedzieli, że całe trzy dni. I co zobaczyłem, jak się obudziłem? Ktoś nade mną stał, ale to nie był mężczyzna.

[kolejna str.]

Mijał czas. Okazało się, że ja i ta dziewczynka mamy wiele wspólnego.

POCIĄG

SNY

PIĘŚCI

[kolejna str.]

Dziwna sprawa.

Dziewczynka mówi, że wyglądam na kogoś innego.

[kolejna str.]

Teraz mieszkam w piwnicy. Złe sny ciągle we mnie żyją.

Pewnej nocy kiedy skończył się koszmar, stanął nade mną jej cień. Powiedziała: „Opowiedz mi, co ci się śniło”.

Opowiedziałem.

[kolejna str.]

Wtedy ona opowiedziała mi, co jej się śni.

[kolejna str.]

Teraz myślę, że ta dziewczynka i ja jesteśmy przyjaciółmi. W swoje urodziny to ona ofiarowała mi prezent.

Dlatego zrozumiałem, że najbardziej zbędny człowiek, jakiego znam, wcale nie jest człowiekiem...

[kolejna str.]

NAJWAŻNIEJSZE

NAJWAŻNIEJSZE

~~NAJWŻA~~

NAJWAŻNI

ŚWIATŁO

WODA

RUCH

ŚWIATŁO

ŚWIATŁO

[koniec]

Pod koniec lutego, kiedy Liesel ocknęła się nad ranem, zobaczyła, jak ktoś zakrada się do jej pokoju. Typowe dla Maksa zachowanie – być jak bezszelestny cień.

Liesel, macając w ciemnościach, wyczuwała zbliżającego się człowieka.

– Hej – powiedziała.

Nie było odpowiedzi.

Słyszała bardzo ciche kroki, kiedy podszedł do łóżka i położył swoje stronice na podłodze, koło skarpetek. Papier zaszeleścił. Leciutko.

– Hej?

Tym razem doczekała się odpowiedzi.

Nie umiała wyczuć, z której strony padły słowa. Najważniejsze, że je usłyszała. Przyszły i uklękły przy łóżku:

– Spóźniony prezent urodzinowy. Obejrzyj go rano. Dobranoc.

Przez chwilę dryfowała w półśnie, niepewna, czy Max tu był, czy tylko jej się przyśnił.

Rano, kiedy się obudziła i przekręciła na łóżku, zobaczyła kartki na podłodze. Sięgnęła i podniosła je, słuchając szelestu papieru w swych niedobudzonych dłoniach.

Przez całe życie bałem się mężczyzn, którzy nade mną stali...

Kiedy przewracała strony, wydawały elektryczne trzaski, skupione wokół opowiadanej historii.

Powiedzieli, że całe trzy dni. I co zobaczyłem, jak się obudziłem?

Wyrwane z *Mein Kampf* strony dusiły się, zakneblowane białą farbą.

Dlatego zrozumiałem, że najbardziej zbędny człowiek, jakiego znam...

Liesel trzykrotnie przeczytała i obejrzała prezent od Maksa Vandenburga, bacznie przypatrując się każdej linii, każdemu słowu. Kiedy skończyła, cicho wyskoczyła z łóżka i poszła do sypialni mamy i papy. Miejsce legowiska przy kominku było puste.

Pomyślała, że lepiej, wręcz idealnie będzie, kiedy podziękuje mu za prezent w miejscu, skąd pochodziły pomalowane strony.

Zeszła po schodach. Wyobraziła sobie, że widzi na ścianie fotografię w ramach – uśmiechniętą tajemnicę.

Mimo że było to ledwie parę metrów, droga do zapory z bielizny i puszek chroniących Maksa Vandenburga wydawała się długa. Liesel odsunęła prześcieradło przy ścianie, żeby móc zajrzeć do środka.

Zobaczyła kawałek ramienia i przez wąską szczelinę wolno wyciągnęła rękę, by go dotknąć. Ubranie było zimne. Nie obudził się.

Czuła jego oddech, ramię leciutko się poruszało. Obserwowała go jakiś czas, po czym się wycofała.

Ogarnęło ją śpiące powietrze.

Na ścianach widniały słowa wypisywane podczas nauki, szczerbate, dziecinne i słodkie. Patrzyły na ukrytego Żyda i dziewczynkę, którzy spali, ramię w ramię.

Oddychali.

Niemieckie i żydowskie płuca.

Pod ścianą spoczywał *Zbędny człowiek*, zdrętwiały i usatysfakcjonowany jak stopy Liesel Meminger.

CZEŚĆ PIĄTA

ŚWISTAK

Występują:

pływająca książka – gracje – duszek – dwukrotne postrzyżyny – Rudy i Hitlerjugend – pechowcy i rysunki –
świstak i buty – trzy akty głupoty – przestraszony chłopak z odmrożonymi nogami

PLYWAJĄCA KSIĄŻKA

(Część I)

Książka płynęła na falach Amper.

Chłopak wskoczył do rzeki, złapał ją i uniósł prawą ręką. Zaśmiał się.

Stał po pas w lodowatej, grudniowej wodzie.

– Będzie pocałunek, *Saumensch*? – zapytał.

Powietrze było cudownie, wspaniale, aż do mdłości zimne, nie mówiąc o wodzie, ogarniającej go od palców po biodra.

Będzie pocałunek?

Będzie pocałunek?

Biedny Rudy.

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE

RUDY’EGO STEINERA

Nie zasłużył na taką śmierć, jaka go spotkała.

Możecie sobie wyobrazić rozłazące się stronice przylepione do jego palców. Drżącą blond czuprynę. Może wam się zdawać, że Rudy umarł tego samego dnia z wychłodzenia. Ale nie. Wspomnienia takie jak to uprzytomniają mi, że nie zasłużył na los, jaki spotkał go niecałe dwa lata później.

Z wielu powodów zabieranie takiego chłopaka jak Rudy było gospodarką rabunkową – tyle w nim było życia, tyle żywotności – a jednak jestem przekonany, że podobałaby mu się groza gruzów i puchnące niebo tej nocy, kiedy odchodził. Gdyby zobaczył, jak złodziejka książek na czworakach lamentuje nad jego poszarpanym ciałem, na pewno by do niej zawołał i uśmiechnął się. Cieszyłby się, widząc, jak całuje jego zapiaszczone, zbombardowane usta.

Tak, wiem to.

W głębi mego czarno bijącego serca wiem. Byłby szczęśliwy, na pewno.

Widzicie?

Nawet śmierć ma serce.

GRACZE

(Siedmioboczna kostka)

Jestem grubiański. Spaprałem puentę, nie tylko całej książki, ale przed wszystkim tego fragmentu. Opowiedziałem wam o dwóch zdarzeniach z przyszłości, bo nie zależy mi na zachowaniu tajemnicy i budowaniu napięcia.

Tajemnice nudzą mnie i męczą. Wiem, co nastąpi, i wy też wiecie. To mechanizmy, które napędzają wydarzenia interesują mnie, zadziwiają, konsternują i denerwują.

Wiele trzeba przemyśleć.

Wiele opowiedzieć.

No i jest do omówienia książka pod tytułem *Świstak* – co się stało, że płynęła rzeką tuż przed Bożym Narodzeniem 1941 roku. Jak myślicie, od tego zaczniemy?

Sprawa postanowiona.

Zaczynamy.

Wszystko zaczęło się od hazardu. Rzuć kostką, ukrywając Żyda, a zaczniesz grę. Tak to jest.

[kostka: 1 oczko]

POSTRZYŻYNY, POŁOWA KWIETNIA 1941

Życie zaczęło się coraz bardziej normalizować:

Hans i Rosa Hubermannowie kłócili się w pokoju dziennym, choć nieco ciszej niż kiedyś. Liesel, co było dla niej typowe, przyjęła rolę obserwatora.

Kłótnia zaczęła się poprzedniego wieczora w piwnicy, gdzie Hans i Max siedzieli wśród puszek, słów i bielizny pościelowej. Max spytał, czy Rosa nie mogłaby obciąć mu włosów, które wpadały już do oczu. Hans powiedział, że zobaczy, co się da zrobić.

Teraz Rosa myszkowała po szufladach.

– Gdzie są te cholerne nożyczki?! – wrzasnęła do papy.

– Może w tej dolnej?

– Tam już sprawdzałam.

– Może nie zauważyłaś.

– Czy ja jestem ślepa?! – ryknęła. – Liesel!!!

– Jestem.

Hans aż się cofnął.

– Do diabła, kobieto, ogłuchnę przez ciebie!

– Zamknij się, *Saukerl!* – Rosa wróciła do przeszukiwania szuflad. – Liesel, gdzie nożyczki? – Ale Liesel nie miała pojęcia. – Do niczego się nie nadajesz, *Saumensch*, wiesz o tym?

– Zostaw ją w spokoju!

Nastąpiła dalsza wymiana zdań między kobietą o ściągniętych włosach i mężczyzną o srebrnych oczach. Wreszcie Rosa z hukiem zamknęła szufladę.

– Na pewno i tak go źle ostrzygę.

– Żle? – w tym stadium kłótni papa wyglądał, jakby miał zamiar wyrwać sobie resztki włosów z głowy. – A kto, do cholery, będzie go oglądać? – dodał ledwo słyszalnym szeptem. Chciał mówić dalej, ale przeszkodziło mu pojawienie się Maksa Vandenburga, który stał grzecznie, zażenowany, w drzwiach pokoju. Przyniósł własne nożyczki i teraz postąpił naprzód, wręczając je nie Hansowi czy Rosie, ale dwunastoletniej dziewczynce. Ona była najspokojniejsza ze wszystkich.

– Zechcesz? – spytał drżącymi wargami.

Liesel rozwarła nożyczki, trochę błyszczące, trochę zardzewiałe. Spojrzała na papę, który kiwnął głową, po czym zeszła z Maksem do piwnicy.

Żyd usiadł na puszcze po farbie. Liesel nakryła mu ramiona ścierką.

– Możesz obcinać najgorzej, jak potrafisz – powiedział Max.

Papa przystanął na schodach.

Liesel ujęła pierwszy pukiel włosów Maksa Vandenburga.

Kiedy obcinała pierzastą czuprynę, dziwiła się dźwiękowi nożyczek. Nie było to zwykłe ciachanie, tylko zgrzytanie metalu o metal.

Kiedy strzyżenie było skończone (a wyszło trochę krzywo i nierówno), Liesel wróciła na górę z dłońmi pełnymi włosów i wrzuciła je do pieca. Zapaliła zapałkę i patrzyła, jak drżąca kupka znika w pomarańczowo-czerwonych płomieniach.

– Dzięki, Liesel – powiedział Max ze schodów i natychmiast znikł pod ziemią.

[kostka: 2 oczka]

GAZETA, POCZĄTEK MAJA

„Mamy Żyda w piwnicy”.

„Mamy Żyda w piwnicy”.

Siedząca na podłodze w bibliotece burmistrza Liesel usłyszała te słowa. Obok niej leżała torba z praniem, a za biurkiem siedziała przygarbiona żona burmistrza. Liesel czytała *Świstaka*, strony dwudziestą drugą i dwudziestą trzecią. Podniosła głowę. Wyobraziła sobie siebie, jak wstaje, odsuwa na bok pierzaste włosy i szepcze kobiecie na ucho:

– Mamy Żyda w piwnicy.

Książka zadrżała jej w ręku, kiedy sekret umościł się w jej ustach. Było mu wygodnie. Założył nogę na nogę.

– Muszę iść do domu – powiedziała. Ręce jej się trzęsły. Gdzieś w oddali widać było ślad słońca, przez okno wpadał wiatr i mżawka przypominająca trociny.

Kiedy Liesel odłożyła książkę, zaszurało krzesło i żona burmistrza wstała. Zawsze się tak kończyło. Sieć zmartwionych zmarszczek wyprostowała się nieco, kiedy kobieta sięgnęła po książkę i wręczyła ją dziewczynce. Liesel odsunęła się.

– Nie, dziękuję – powiedziała. – Mam w domu dość książek. Może innym razem. Czytamy teraz z papą inną. Wie pani, tę, którą zabrałam z ogniska.

Żona burmistrza kiwnęła głową. Jeśli już mowa o złodziejstwie Liesel, to nie kradła książek dla zabawy, a tylko wtedy, kiedy czuła, że było to konieczne. Na razie jej wystarczały. Czterokrotnie przeczytała *Ludzi z błot*, a teraz znów z przyjemnością sięgnęła po *Wzruszenie ramion*. Ponadto każdej nocy otwierała przed zaśnięciem *Podręcznik grabarza*, w którym został ukryty *Zbędny człowiek*. Czytała głośno słowa i dotykała ptaków, powoli odwracając szeleszczące stronicę.

– Do widzenia, Frau Hermann.

Wyszła z biblioteki, przeszła korytarz i wyszła monstrualnymi drzwiami. Jak to miała w zwyczaju, przystanęła na schodach i parę chwil oglądała panoramę rozciągającego się poniżej Molching. Tego dnia miasto było skąpane w żółtawej mgle, która gładziła dachy, jakby były domowymi zwierzakami, i wypełniała ulice jak woda w wannie. Złodziejka książek doszła do Münchenstrasse, przeskakując między schowanymi pod parasolami przechodniami. Przemoczona dziewczynka, która bezwstydnie grzebała w każdym śmietniku z regularnością nakręcanej zabawki.

– Jest!

Zaśmiała się do miedzianych chmur, świętując tę chwilę, i sięgnęła po zmiętą gazetę. Choć pierwsza i ostatnia strona pokryte były czarnymi łzami z tuszu, złożyła ją porządnie na pół i wcisnęła pod pachę. Tak było od kilku miesięcy w każdy czwartek.

Czwartki były teraz jedynym dniem dostarczania bielizny, a Liesel Meminger zawsze osiągała wówczas jakieś korzyści. Za każdym razem, kiedy znalazła „Molching Express” albo jakąś inną publikację, rozpierało ją uczucie tryumfu. Znalezienie gazety czyniło dzień udanym, a gdy jeszcze w dodatku była w niej nierozwiązana krzyżówka – szczęśliwym. Wracła do domu, zatrzaskiwała drzwi i zanosila gazetę Maksowi Vandenburgowi.

– Krzyżówka?

– Nierozwiązana.

– Super.

Żyd uśmiechał się, przyjmując papierowy dar, i zaczynał czytać przy nędznym piwnicznym świetle. Liesel często obserwowała, jak w skupieniu czytał gazetę od pierwszej do ostatniej strony, rozwiązywał krzyżówkę, a potem zaczynał czytać od początku.

Kiedy się ociepliło, Max przestał opuszczać piwnicę. W ciągu dnia drzwi na górę zostawiano otwarte, żeby miał trochę dziennego światła z korytarza. Nie żeby hol był skąpany w słońcu, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Skąpe światło było lepsze niż żadne, poza tym musieli oszczędzać. Ilość nafty jeszcze nie osiągnęła zerowego poziomu, ale lepiej było się ograniczać.

Liesel zwykle siadała na stosie prześcieradeł. Czytała, podczas gdy Max rozwiązywał krzyżówkę. Siedzieli o kilka metrów od siebie, rzadko się odzywali, a jedyny dźwięk był odgłosem przewracanych stron. Czasem Liesel zostawiała Maksowi swoje książki na czas, kiedy była w szkole. O ile Hansa Hubermanna i Erika Vandenburga jednoczyła muzyka, Maksa i Liesel łączyła namiętność do gromadzenia słów.

– Cześć, Max.

– Cześć, Liesel.

Siadali i czytali.

Czasem Liesel obserwowała Maksa. Stwierdziła, że najlepiej określa go sformułowanie „błada koncentracja”. Poszarzała skóra. Bagienna otchłań w oczach. Oddech uciekiniera, nerwowy, lecz bezgłośny. Jedynie oddychająca pierś przekonywała, że to żyjąca istota.

Z czasem Liesel zaczęła zamykać oczy, prosząc Maksa, by przepytawał ją ze słów, które stale pisała z błędami, jakby chciały przed nią uciec. Potem malowała te słowa na ścianie, nawet po kilkanaście razy. Razem wdychali zapach farby i cementu.

– Na razie, Max.

– Na razie, Liesel.

Leżąc w łóżku, wyobrażała go sobie tam, na dole. W jej wyobrażeniach zawsze spał w ubraniu i butach, jakby się szykował do ucieczki. Spał z jednym okiem otwartym.

[kostka: 3 oczka]

PROGNOZA POGODY, POŁOWA MAJA

Liesel jednocześnie otworzyła drzwi i usta.

Jej drużyna rozgromiła na Himmelstrasse drużynę Rudy’ego 6 do 1. Tryumfująca Liesel wpadła do kuchni, informując mamę i papę o голу, który zdobyła. Potem pobiegła do piwnicy, by szczegółowo opisać całą akcję Maksowi. Odłożył gazetę, słuchał uważnie, a potem śmiał się razem z dziewczynką. Kiedy historia celnej bramki została zakończona, po kilkuminutowej ciszy Max podniósł wolno głowę i zapytał:

– Zrobisz coś dla mnie, Liesel?

Podniecona zwycięstwem dziewczynka zeskoczyła ze stosu bielizny. Nic nie mówiła, ale po jej ruchach widać było, że zrobi wszystko, czego zechce Max.

– Opowiedziałś mi o голу, a nawet nie wiem, jaki jest dzisiaj dzień. Nie wiem, czy strzeliłaś bramkę w słońcu, czy niebo było zachmurzone – przesunął palcami po krótko ostrzyżonej głowie, a jego bagienne oczy zaczęły błagać o rzecz najprostszą z najprostszych. – Czy możesz wyjrzeć i powiedzieć mi, jaka jest pogoda?

Liesel popędziła na górę. Stanęła przed oplutymi drzwiami i zaczęła patrzeć w niebo. Kiedy wróciła, zameldowała:

– Niebo jest dzisiaj niebieskie, Max, a pośrodku jest długa biała chmura, rozciągnięta jak lina. A na końcu słońce, taka żółta dziura...

Max pojął natychmiast, że tylko dziecko potrafiłoby tak skonstruować prognozę pogody. Namalował na ścianie długą grubą linię, a na końcu słońce, do którego można z niej wskoczyć. Na linie namalował dwie figurki – chudą dziewczynkę i wyniszczzonego Żyda. Szli z rozpostartymi rękami w stronę kapiącego farbą słońca. Pod obrazkiem napisał:

PODPIS MAKSA VANDENBURGA

**Był poniedziałek, a oni szli
po linie prosto do słońca.**

[kostka: 4 oczka]

BOKSER, KONIEC MAJA

Max Vandenburg spędzał nieograniczone ilości czasu w towarzystwie zimnego betonu.

Minuty były okrutne.

Godziny były surowym wyrokiem.

W każdym momencie świadomości wisiała nad nim nieubłagana dłoń czasu, gotowa zdusić. Uśmiechnięta, ściskająca, a jednak pozwalająca przeżyć. Jakże okrutne może być pozostawienie kogoś przy życiu.

Hans Hubermann schodził do piwnicy co najmniej raz dziennie, na rozmowę. Rosa przynosiła okrawki chleba. Ale to Liesel trzymała Maksa przy życiu. Z początku nie chciał tego zaakceptować, ale to uczucie nasilało się z każdym dniem, gdy dziewczynka zjawiała się z prognozą pogody. Opowiadała o błękitnym niebie, o kartonowych chmurach albo o słońcu, które siedziało nad horyzontem jak przejeżdżony Bóg na kozetce.

Gdy przebywał sam, chciał nie istnieć. Jego ubranie było szare i wyblakłe – począwszy od spodni, przez sweter, aż do kurtki, która spływała po jego ciele jak woda. Często sprawdzał, czy skóra mu wiotczeje, czy wyparowuje i znika.

Potrzebował nowych pomysłów. Na przykład ćwiczeń. Zaczął od pompek – kładł się brzuchem na zimnym betonie, i unosił. Bolały go łokcie, serce o mało nie wyskakiwało z piersi, by rozpaczliwie paść na ziemię. Kiedy był nastolatkiem w Stuttgarcie, umiał zrobić pięćdziesiąt pompek z rzędu. Teraz, mając dwadzieścia cztery lata, odchudzony o co najmniej siedem kilo w stosunku do normalnej wagi, ledwo dociągał do dziesięciu. Po tygodniu robił już trzy serie po szesnaście pompek i dwadzieścia wyprostów z pozycji leżącej. Po ćwiczeniach siadał wyczerpany pod ścianą ozdobioną rysunkami. Każde uderzenie serca czuł w zębach. Mięśnie miał miękkie jak ciasto.

Zastanawiał się czasem, czemu się tak katuje. Wtedy gasił lampę i stawał wyprostowany w ciemności piwnicy. Miał dwadzieścia cztery lata, ale wciąż nie opuściła go fantazja.

W niebieskim narożniku – mówił do siebie – mamy aryjskiego mistrza świata, Führera. – Obracał się i mówił dalej: – W czerwonym narożniku mamy agresywnego żydowskiego zawodnika, Maksa Vandenburga.

Wizje się materializowały.

Jasne światło reflektorów oświetlało ring. Ze szmerem głosów napływała publiczność – magiczny dźwięk rozgadanego tłumu. Jak to możliwe, żeby tylu ludzi w jednym czasie miało tyle do powiedzenia? Ring był piękny. Piękny namiot, pięknie napięte sznury. Nawet sterzące włókna lin były piękne i na swoim miejscu. Sala pachniała dymem tytoniowym i piwem.

Adolf Hitler stał w narożniku ze swoją ekipą. Spod czerwono-białego szlafroka ze swastyką na plecach sterczały mu nogi. Wąsik przyklejony do twarzy. Słowa trenera Goebbelsa szeptane na ucho. Z uśmiechem przeskakiwał z nogi na nogę. Roześmiał się w głos z towarzyszeniem aplauzu tłumu, kiedy sprawozdawca wymieniał jego liczne osiągnięcia:

– Niezwyciężony! – ogłosił. Pokonał wielu Żydów i inne niebezpieczeństwa zagrażające niemieckiemu ideałowi. Pozdrawiamy Cię, Führerze!

Tłum klaskał.

Potem, kiedy przygotowania zostały zakończone, przyszła pora na walkę.

Sprawozdawca odwrócił się do Maksa, który stał w drugim narożniku. Bez szlafroka. Bez ekipy. Samotny młody Żyd z brzydkim oddechem, gołą piersią, wychudłymi rękami i nogami. W szarych spodenkach, co oczywiste. On

także przeskakiwał z nogi na nogę, ale niezbyt energicznie, żeby zachować siły. Za dużo wypocił na siłowni, by zyskać należytą wagę.

– Przeciwnik! – zapiał sprawozdawca i przerwał dla lepszego efektu – Jest żydowskiej krwi! – Tłum zawył. – Waży...

Reszta mowy utonęła w hałasie i wyzwiskach płynących z trybun. Max patrzył, jak pomocnicy rozbierają jego przeciwnika ze szlafroka. Obaj wyszli na środek ringu, by ucisnąć sobie dłonie.

– *Guten Tag*, Herr Hitler – powiedział Max, na co Führer tylko odsłonił na chwilę swoje pożółkłe zęby.

– Panowie – zaczął gruby arbiter w czarnych spodenkach i niebieskiej koszuli ozdobionej muszką. – Przede wszystkim proszę o czystą, uczciwą walkę. Oczywiście pod warunkiem – tu zwrócił się do Hitlera – że nie zacznie pan przegrywać. Gdyby tak się jednak zdarzyło, obiecuję przymknąć oko na wszelkie pańskie taktyczne sztuczki, byle tylko udało się powalić tego smrodliwego żydowskiego śmiecia na deski. – Skłonił się uprzejmie. – Czy to jasne?

– Jak słońce – wypowiedział pierwsze słowo Führer.

– A jeśli chodzi o ciebie, Żydzie, to na twoim miejscu bardzo bym uważał – przestrzegł sędzia Maksa. – Bardzo. – I odesłał zawodników do narożników.

Na chwilę zapadła cisza.

Dzwonek.

Pierwszy wybiegł Führer na swych niezgrabnych chudych nogach. Rzucił się na Maksa, waląc go prosto w twarz. Przez tłum, wciąż mający w uszach wibracje dzwonka, przeleciała iskra. Zadowolone uśmiechy przeskakiwały liny ringu. Z ust Hitlera wydobywał się przepalony oddech, kiedy kolejnymi ciosami masakrował nos, wargi i podbródek Maksa, który nie ruszył się ze swego narożnika. Żeby uniknąć bólu, osłonił rękami twarz, odsłaniając jednocześnie żebra i płuca. Ach, te oczy, te oczy Führera. Były aksamitnie brunatne jak oczy Żydów i tak zdeterminowane, że wręcz paraliżowały Maksa zza osłony boksujących rękawic.

Runda trwała wieki i nic się nie zmieniało.

Führer walił w Żyda jak w worek treningowy.

Krew bryzgała na wszystkie strony, rozlewając się na kształt chmur z purpurowego deszczu na białym niebie ringu. Nogi ugięły się pod Maksem, a obita twarz lamentowała w milczeniu. Zadowolone oblicze Führera doskakiwało i odskakiwało, póki pokonany, złamany Żyd nie padł na deski.

Wpierw rozległ się ryk.

Potem zapadła cisza.

Sędzia rozpoczął odliczanie. Miał złoty ząb i gęszcz włosów w nozdrzach.

Żyd Max Vandenburg powoli wyprostował się do pionu. Drżącym głosem wycharczał zachętę:

– No, dalej, Führerze.

Kiedy tym razem Adolf Hitler zbliżył się do przeciwnika, Max zepchnął go do rogu i zaczął zadawać ciosy.

Wyprowadził ich siedem, każdy wycelowany w jeden tylko punkt – w wąsik.

Za siódmym razem chybił i cios wylądował na brodzie Führera. Hitler poleciał na liny, odbił się i padł na kolana.

Tym razem nie było odliczania. Sędzia cofnął się do rogu. Publiczność straciła animusz, wracając do kufla z piwem. Führer macał swą twarz, szukając śladów krwi, i przyczesywał włosy z przedziałkiem po prawej stronie.

Kiedy wreszcie wstał przy ponownym aplauzie tłumu, zrobił rzecz zadziwiającą. Odwrócił się tyłem do Żyda i zdjął rękawice.

Tłum ogłupiał.

– Poddał się – wyszeptał ktoś, ale Adolf Hitler już był przy linach, już zaczynał przemawiać.

– Bracia Niemcy – ryknął – widzieliście, co się dzisiaj stało. Z nagą piersią i zwycięskim spojrzeniem wskazał palcem Maksa. – Widzicie, że mamy do czynienia ze zbrodniczą zarazą na taką skalę, jakiej nie przewidywaliśmy. Jesteście tego świadomi?!

– Tak, Führerze! – odkrzyknął tłum.

– Widzicie przebiegłość przeciwnika, jego nikczemność, jak przebija się przez nasz pancerz? Jasne, że sam go nie pokonam! – słowa materializowały się, spadając z ust mówcy jak klejnoty. – Patrzcie na niego! Przyjrzyjcie się dobrze! – Widzowie popatrzyli na zakrwawionego Maksa Vandenburga. – Powtarzam wam, że on chce przeniknąć do naszych domów, do domów naszych sąsiadów, skazić niemieckie rodziny, odebrać nasze dobra. On – tu Hitler ze wstrętem spojrzał na Maksa – on chce was zawłaszczyć, poniżyć, bo on nie będzie harował za ladą, tylko palił fajkę na zapleczu. Zanim się obejrzyjecie, będziecie pracować na tego wyzyskiwacza za najniższą stawkę, a on ledwo się będzie ruszał, z kieszeniami ciężkimi od złota. Czy pozwolicie, by tak się działo? Czy będziecie stali bezczynnie, jak w przeszłości wasi przywódcy, kiedy w zamian za kilka podpisów dali sobie odebrać naszą ojczyznę? Będziecie to bezradnie znosić czy – podniósł głos – czy pod moim przewodem wskoczycie na ring? Max zaczął się trząść. Przerazenie ścisnęło mu żołądek. Adolf Hitler już się z nim rozprawił:

– Przyjdziecie na ring, żeby ramię w ramię pokonać wroga?

W piwnicy przy Himmelstrasse 33 Max Vandenburg czuł na sobie pięści całego narodu. Jeden po drugim ludzie wchodzili na ring i zadawali mu ciosy. Krwawił. Sprawili, że cierpiał. Były ich miliony, aż po raz ostatni pozbierał się z desek.

Patrzył, jak przez liny przeciska się dziewczynka ze łzą spływającą po policzku. W dłoni miała gazetę.

– Krzyżówka – powiedziała cicho. – Jest pusta. – Wyciągnęła do niego rękę.

Ciemność.

Nic, tylko ciemność.

Tylko piwnica. W piwnicy tylko Żyd.

[kostka: 5 oczek]

NOWY SEN, KILKA DNI PÓŹNIEJ

Liesel zeszła do piwnicy po południu. Max był w połowie serii pompek.

Nie był świadomy, że jest obserwowany. Kiedy podeszła i usiadła obok, wstał i oparł się o ścianę.

– Opowiadałem ci, że ostatnio śni mi się nowy sen? – zapytał.

Liesel przysunęła się bliżej, żeby lepiej widzieć jego twarz

– Ten sen mam na jawie. – Podeszedł do pozbawionej klosza lampy naftowej. – Czasem gaszę światło, wstaję i czekam.

– Na co?

- Nie na co, tylko na kogo – skorygował ją Max.
- Na kogo? – zapytała Liesel po dłuższym milczeniu. Rozmowa nie była z gatunku pospiesznych.
- Na Führera – bez drgnienia i bez emocji powiedział Max. – Dlatego trenuję.
- Pompki?
- Tak jest. Każdej nocy czekam w ciemności, aż Führer zejdzie po tych schodach. I schodzi, a potem długo walczymy.

– Kto wygrywa? – poderwała się Liesel.

Z początku miał zamiar powiedzieć, że nikt, ale popatrzył na puszki farby, stare prześcieradła i coraz wyższą kupkę gazet, a potem na słowa wymalowane na ścianie, długą chmurę i dwie sylwetki.

– Ja – odparł, i to było tak, jakby wziął jej rękę, odgiął palce, włożył w nią słowa i powtórnie zamknął.

Pod ziemią w mieście Molching, w Niemczech, dwoje ludzi stało i rozmawiało w piwnicy. Brzmi to jak początek dowcipu:

– Żyd i Niemiec stoją naprzeciw siebie w piwnicy, łapiasz...?

Ale to nie był żart.

[kostka: 6 oczek]

MALOWANIE, POCZĄTEK CZERWCA

Kolejny pomysł Maksa wiązał się ze szczątkami *Mein Kampf*. Każda strona została wycięta z okładki i ułożona na podłodze, do pomalowania. Potem zostały rozwieszone do wyschnięcia i powtórnie włożone w okładkę. Kiedy pewnego dnia Liesel wróciła po lekcjach, zobaczyła, jak Max, Rosa i papa malują kartki. Sporo już wisiało na sznurach do suszenia, podobnie jak wcześniej kartki *Zbédnego człowieka*.

Cała trójka obejrzała się na Liesel, mówiąc jednocześnie:

- Cześć, Liesel.
- Masz tu pędzel, Liesel.
- Gdzie się włóczyłaś do tej pory, *Saumensch*?

Podczas malowania Liesel myślała o walce Maksa Vandenburga z Führerem i widziała ją, tak dokładnie wszystko opisał.

PIWNICZNA WIZJA, CZERWIEC 1941

Padają ciosy, tłum kłębi się pod ścianami.

Max i Führer walczą do upadłego, o życie,

objając się o beton. Na wąsie Führera widać krew,

na przedziałku też. – No, dalej, Führerze – mówi

Żyd. – Dawaj, Führerze – przyzywa przeciwnika.

Wizja znikła, gdy Liesel pomalowała swą pierwszą stronę. Papa mrugnął do niej. Mama objechała ją za niechlujstwo. Max uważnie oglądał stronicę, jakby planując, co na nich powstanie. Wiele miesięcy później pomaluje także okładkę, nadając książce nowy tytuł, będący też tytułem jednej z historii, które napisze i zilustruje. Tego popołudnia w piwnicy pod Himmelstrasse 33 Hubermannowie, Liesel Meminger i Max Vandenburg przygotowali strony do *Strząsaczki słów*.

Fajnie było być malarzem.

[kostka: 7 oczek]

OSTATECZNA ROZGRYWKA, 24 CZERWCA

Pokazała się siódma strona kostki. Dwa dni po najeździe Niemiec na Rosję. Trzy dni przed połączeniem sił przez Anglię i Rosję.

Siedem.

Rzucasz kostką, patrzysz, jak wypada siódemka, i już wiesz, że to nie jest normalna kostka. Mówisz, że to pech, ale ten pech był łatwy do przewidzenia. Ty go sprowadziłeś. Stół wyczuł to po twoim oddechu. Żyd od początku sterczał ci z kieszeni. W momencie rzutu już wiesz, że wypadnie siedem, że ta siódemka cię skrzywdzi. Wypada. Patrzy ci w oczy, dziwna i obmierzła, a ty się odwracasz, trzymając ją przy piersi.

To tylko pech.

Tak mówisz.

Rzecz bez znaczenia.

Chcesz w to uwierzyć, choć w głębi serca dobrze wiesz, że ten mały przedmiot zwiastuje odmianę losu. Ukrywasz Żyda. Płacisz cenę. Musisz, nie tak, to inaczej.

Dużo później Liesel próbowała przekonywać samą siebie, że naprawdę nic wielkiego się nie stało. Może dlatego, że kiedy zaczęła pisać w piwnicy swój pamiętnik, zdążyło się już zdarzyć tyle innych rzeczy. Z dalszej perspektywy uznała, że rezygnacja burmistrza z usług Rosy wcale nie była pechem. I nie miała nic wspólnego z ukrywaniem Żydów. Miała za to wiele wspólnego z całym szerokim kontekstem wojny. Na razie jednak zostało odebrane jako kara.

Wszystko zaczęło się jakiś tydzień przed 24 czerwca. Liesel, jak zawsze, szukała gazety dla Maksa. Wygrzebała ją ze śmietnika przy samej Münchenstrasse. Kiedy przyniosła ją do domu i Max skończył pierwszą lekturę, postukał w zdjęcie na pierwszej stronie.

– Czy to nie jemu nosisz pranie i prasowanie?

– Tak, to on – przytaknęła Liesel, odrywając się od ściany, na której obok figurek i słońca sześć razy napisała słowo „argument”. Przebiegła wzrokiem tekst. Burmistrz Heinz Hermann powiedział, że choć wojna to szereg wspaniałych zwycięstw, ludność Molching, podobnie jak inni odpowiedzialni obywatele Rzeszy, musi być przygotowana na cięższe czasy, bo, jak stwierdził: „Nigdy nic nie wiadomo. Nie wiemy, co myślą nasi wrogowie i jak będą próbowali nas przechytrzyć”.

Po tygodniu słowa burmistrza zmaterializowały się w paskudny sposób. Liesel jak zwykle przyszła na Grandestrasse i zaczęła na podłodze w bibliotece czytać fragmenty *Świstaka*. Żona burmistrza nie wykazywała żadnych objawów szaleństwa (żadnych dodatkowych objawów, jeśli chodzi o ścisłość). Aż do pożegnania.

Gdy tym razem zaczęła wciskać dziewczynce *Świstaka*, powtarzała:

– Proszę cię, weź książkę, weź, proszę.

Liesel wzruszona dziwnym zachowaniem kobiety nie chciała jej ponownie zawieść. Pożółkła książka w szarej okładce trafiła do jej rąk. Kiedy przy wyjściu chciała zapytać o pranie, żona burmistrza rzuciła jej znad szlafroka rozpaczliwe spojrzenie. Sięgnęła do szuflady i wyciągnęła kopertę. Jej zardzewiały od nieużywania głos powiedział:

– Przykro mi. To dla twojej mamy.

Liesel przestała oddychać.

Wydało jej się nagle, że stopy w butach są wydrążone. Coś ścisnęło ją za gardło. Zadrżała. Kiedy wreszcie wzięła kopertę, dotarł do niej dźwięk zegara z biblioteki. Ale zaraz zdała sobie sprawę, że zegary wydają dźwięk przypominający „tik-tak”. A to był raczej dźwięk młotka metodycznie spuszczanego na ziemię. Dźwięk kopania grobu. Chciałabym mieć grób, pomyślała, bo w tamtej chwili Liesel Meminger marzyła tylko o śmierci. Przedtem, przy poprzednich odmowach, nie było jej tak smutno. Pocieszała ją obecność domu burmistrza, jego biblioteki, jego żony. A teraz znikła ostatnia nadzieja. Odebrała to jak najgorszą zdradę.

Jak ma stanąć przez Rosą?

Dla Rosy ważny był każdy grosz, bo oznaczał dodatkową garść mąki, kawałek słoniny.

Ilsa Hermann też dręczyła się, że musi się jej pozbyć. Widać to było po sposobie, w jaki mocniej otulała się szlafrokiem. Widać też było, że chce, by ta scena jak najszybciej się skończyła.

– Powiedz mamie – odezwała się znowu – że obojgu nam jest bardzo przykro. – Poprowadziła Liesel w stronę drzwi.

Liesel czuła teraz ból w kręgosłupie. Ból na skutek ostatecznego odrzucenia.

Więc to tak? – pytał jej wewnętrzny głos. – Tak po prostu wykopujecie mnie?

Powoli wzięła pustą torbę i podeszła do drzwi. Odwróciła się i ostatni raz obrzuciła wzrokiem żonę burmistrza.

Popatrzyła jej prosto w oczy, dziko, z dumą.

– *Danke schön* – powiedziała, a Ilsa Hermann uśmiechnęła się do niej uśmiechem ofiary.

– Jeśli będziesz kiedyś chciała przyjść poczytać, jesteś zawsze mile widziana – skłamała kobieta, a przynajmniej zszokowana Liesel odebrała to jako kłamstwo. Patrzyła na drzwi, znów zaskoczona ich szerokością. Po co ludziom tyle miejsca, żeby przejść przez drzwi? Gdyby Rudy był przy niej, wyzwałby ją od idiotek – szerokie wejście potrzebne było do wnoszenia mebli.

– Do widzenia – powiedziała dziewczynka. Drzwi zamknęły się za nią z żalobną powagą.

Ale Liesel nie odeszła.

Długo siedziała na schodach, patrząc na Molching. Nie było ani za zimno, ani za gorąco. Miasto wydawało się jasne i spokojne. Jak zamknięte pod kloszem.

Otworzyła list. Burmistrz Heinz Hermann dyplomatycznie informował Rosę Hubermann, dlaczego musi zrezygnować z jej usług. W większej części listu wyjaśniał, że byłoby z jego strony obłądą cieszyć się codziennymi luksusami, podczas gdy innym radził, by przygotowali się na cięższe czasy.

Kiedy wreszcie wstała i ruszyła do domu, zatrzymała się raz jeszcze, przed szyldem STEINER – SCHNEIDERMEISTER na Münchenstrasse. Smutek opuścił ją, a zastąpił go gniew.

– Ten sukinsyn burmistrz – wyszeptała. – I to żalosne babsko.

Fakt, że nadciągały cięższe czasy, powinien być argumentem za zatrudnianiem Rosy Hubermann, nie zaś jej zwalnianiem. Ale nie, oni postąpili inaczej. W takim razie niech sobie sami robią to cholerne pranie, niech prasują jak inni. Jak biedni ludzie.

Świstak zaciążył jej w rękę.

– Dałaś mi to z litości – powiedziała do siebie dziewczynka. – Żeby mieć czyste sumienie. – To, że żona burmistrza wielokrotnie przedtem oferowała jej książkę, nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Liesel odwróciła się na pięcie i pomaszzerowała z powrotem na Grandestrasse 8. Kusiło ją, by pobiec jak najszybciej, ale rozsądnie oszczędzała energię na słowa.

Na miejscu poczuła się rozczarowana, że burmistrz jeszcze nie wrócił – nie było jego samochodu. Ale może to i lepiej, bo trudno powiedzieć, jak mogłaby potraktować auto w tej chwili protestu biedaków przeciw bogaczom. Przeskakując po dwa schodki, dopadła drzwi i zaczęła walić w nie z całej siły, aż poczuła wyzwalający ból. Żona burmistrza była bardzo zdziwiona jej widokiem. Jej pierzaste włosy były wilgotne, a zmarszczki pogłębiły się, gdy ujrzała furię na spokojnej zwykle twarzy Liesel. Otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku, co było dogodne dla Liesel, która sama przygotowała przemowę.

– Myślała pani, że mnie pani przekupi tą książką? – zaczęła. Jej głos, choć drżący, wczepił się w gardło kobiety. Wielobarwny gniew otumaniał ją i rozpraszał, ale przedarła się przezeń. Posunęła się jeszcze dalej, co ją kosztowało łzy w oczach. – Dała mi pani tę durną książkę i myśli pani, że wszystko jest w porządku, że pójdę do mamy i powiem jej, że straciłyśmy ostatnią robotę, a pani będzie sobie tu siedzieć w tym pałacu?

Ramiona kobiety opadły.

Rysy twarzy się rozjechały.

Ale Liesel była nieugięta. Sypnęła słowami prosto w oczy tamtej.

– Pani i ten pani mąż. Tak sobie tu siedzicie – rzuciła mściwie. Odkryła w sobie większe pokłady mściwości i złości, niż mogła przypuszczać.

Rany od słów.

Brutalność słów.

Zebrała je i obrzuciła nimi Ilsę Hermann.

– Już czas, żebyście sami sobie prali te śmierdzące łachy. Już czas, żeby do pani dotarło, że wasz syn nie żyje. Został zabity! Został zamordowany i poszarpany ponad dwadzieścia lat temu. Albo zamarzł w śniegu! Tak czy inaczej, on nie żyje! Jest trupem, a pani jest żalosna, kiedy tak pani siedzi i marznie, żeby to odpokutować. Myśli pani, że jest pani jedyna na świecie?

I nagle pojawił się przy niej brat.

Wyszeptał, żeby przestała, ale i on był martwy, więc niewart słuchania.

Umarł w pociągu.

Pochowano go w śniegu.

Liesel popatrzyła na niego, ale nie umiała się powstrzymać. Nie w tej chwili.

– Ta książka... – powiedziała, skopując chłopca ze schodów, tak że upadł. – Nie chcę jej. – Głos Liesel był spokojniejszy, ale słowa nadal paliły jak żelazo. Cisnęła *Świstaka* pod stopy kobiety. Usłyszała plaśnięcie okładki.

– Nie chcę tej beznadziejnej książki.

To było wszystko. Skończyła. Mogła zamilknąć.

W jej gardle nie było więcej słów.

Brat, trzymając się za kolano, znikł.

Po niezręcznej pauzie żona burmistrza schyliła się po książkę. Została pobita i pokonana, nie stać jej już było na uśmiech. Z nosa ciekła jej krew, skapując na wargi. Oczy jej pociemniały. Otworzyły się stare rany. A wszystko od słów Liesel.

Podnosząc się z książką w dłoniach, Ilsa Hermann zamierzała powtórzyć proces przepraszania, ale słowa nie przeszły jej przez gardło.

Uderz mnie, myślała Liesel. No, podejdź i uderz.

Ale Ilsa Hermann jej nie uderzyła. Wycofała się w trującą aurę swego pięknego domu i Liesel znów została sama na schodach. Bała się odwrócić, bo wiedziała, że szklany klosz nad Molching został strzaskany, a ona jest z tego rada.

Przeczytała list jeszcze raz, a kiedy była już przy bramie, zgmiotła go w twardą kulkę i z całych sił rzuciła w drzwi, jakby to był kamień. Nie mam pojęcia, czego oczekiwała złodziejka książek, ale kulka odbiła się od drewna i spadła u jej stóp.

– Typowe – skomentowała, kopiąc ją w trawę. – Do niczego.

Idąc do domu, wyobrażała sobie los papieru, gdy spadnie deszcz, gdy uchyli się szklane wieko nad Molching.

Widziała, jak słowa rozmazują się od wody, litera po literze, aż nic już nie zostanie. Tylko papier. Tylko ziemia.

W domu Liesel zastała Rosę w kuchni.

– Gdzie pranie?

– Dzisiaj nie ma prania.

Rosa usiadła przy stole. Już wiedziała. Postarzała się w ciągu jednej chwili. Liesel zastanawiała się, co by było, gdyby rozpuściła kok, a włosy jak szary ręcznik opadłyby jej na ramiona.

– Co robiłaś tyle czasu, *Saumensch*? – spytała Rosa głucho. Cały zwykły wigor ją opuścił.

– To przeze mnie – odparła Liesel. – Tylko przeze mnie. Obraziłam żonę burmistrza. Powiedziałam, żeby przestała się zapłakiwać z powodu nieżywego syna. Że jest żałosna. To dlatego nas wylali. Masz – podeszła do gara z drewnianymi łyżkami i wyjęła ich całą garść. – Wybierz sobie.

Rosa wprawdzie wybrała łyżkę, ale jej nie podniosła.

– Nie wierzę ci.

Liesel była rozdarta między rozpaczą a totalną mistyfikacją. Ten jeden raz desperacko pragnęła dostać baty, a nie mogła na nie liczyć.

– To moja wina.

– To nie twoja wina. – Mama wstała i pogłaskała przetłuszczone, niemyte włosy Liesel. – Wiem, że nie potrafiłabyś powiedzieć takich słów.

– Ale powiedziałam!

– Niech będzie, żeś powiedziała.

Wychodząc z kuchni, Liesel usłyszała odgłos łyżki odkładanej do metalowego gara. Zanim doszła do swego pokoju, gar wraz z zawartością został z całej siły ciśnięty o kuchenną podłogę.

Później poszła do piwnicy, gdzie Max stał w ciemności, zapewne walcząc z Führerem.

– Max? – W kącie zaświeciło słabe światło, jak mała czerwona moneta. – Nauczysz mnie robić pompki?

Max pokazał jej technikę i parę razy podtrzymał ciało, ale okazało się, że chuda Liesel jest silna i z łatwością sama się unosi. Złodziejka książek nie liczyła, ile pompek zrobiła, ale tego wieczora w poświacie lampy tak się zmordowała, że przez tydzień wszystko ją bolało. I nawet gdy Max doradził jej, by się nie forsowała, ona dalej robiła swoje.

W łóżku czytała z papą, który przyszedł do niej po raz pierwszy od miesiąca. Wyczuł, że coś jest nie tak i chciał ją choć trochę pocieszyć. Hans Hubermann zawsze wiedział, co jej powiedzieć. Być może Liesel była jedyną dziedziczką, w której był prawdziwym ekspertem.

– Chodzi o pranie? – zapytał.

Kiwnęła głową.

Papa zaczął pocierać swe szorstkie jak szczecina, od paru dni niegolone policzki. Jego srebrne oczy były nieruchome i spokojne, z odrobiną ciepła, jak zawsze w obecności Liesel. Lektura uspiła go, a wtedy Liesel powiedziała na głos to, co chciała wyznać od początku.

– Papo – wyszeptała. – Myślę, że pójdę do piekła.

Stopy miała ciepłe, a kolana zimne. Przypomniła sobie tę noc, kiedy zmoczyła łóżko, a papa uprał pościel i uczył ją liter. Teraz, wsłuchana w jego oddech, ucałowała szczeciniasty policzek.

– Musisz się ogolić – powiedziała.

– Nie pójdziesz do piekła – odparł.

Patrzyła na jego twarz, a potem się położyła, przytulona do niego, i tak razem spali, częściowo w Molching, a częściowo na siódmym boku siedmiobocznej niemieckiej kostki.

RUDY I HITLERJUGEND

W końcu musiała mu go dać.

Wiedział, jak się do tego zabrać.

PORTRET RUDY'EGO STEINERA

LIPIEC 1941

Smugi brudu na twarzy. Krawat jak

wahadło niechodzącego zegara.

Żółte jak cytryna włosy potargane.

Na twarzy smutny, trochę absurdalny uśmiech.

Stał i z wielkim przekonaniem radośnie wygłaszał swoje credo:

– *Alles ist Scheisse*. Wszystko to gówno.

W pierwszej połowie 1941 roku, gdy Liesel była zajęta ukrywaniem Maksa Vandenburga, szukaniem dla niego gazet i obrażaniem żony burmistrza, Rudy przeżywał w Hitlerjugend własne przygody. Od początku lutego wracał z zebrań w dużo gorszym stanie, niż się na nie wybierał. Towarzyszył mu będący w podobnej formie Tommy Müller. Powody były trzy.

POTRÓJNY PROBLEM

- Uszy Tommy'ego Müllera.
- Franz Deutscher – gniewny dowódca Hitlerjugend.
- Talent Rudy'ego do wsadzania nosa w nie swoje sprawy

Gdybyż tylko Tommy nie zgubił się sześć lat wcześniej na siedem godzin w najmroźniejszy dzień zimy w Monachium. Jego wiecznie zainfekowane uszy i nerwowe tiki wciąż powodowały zakłócenia rytmu marszów Hitlerjugend, co nie budziło entuzjazmu dowódców.

Konflikty narastały, a biedny Tommy Müller stał się obiektem nienawiści liderów organizacji. Pamiętacie incydent z przemarszem podczas urodzin Hitlera w poprzednim roku? Potem choroby uszu Tommy'ego Müllera nasiliły się do tego stopnia, że słyszał bardzo słabo. Nie wykonywał zatem komend, kiedy wszyscy maszerowali na ćwiczeniach. I nie miało znaczenia, czy działo się to w budynku, czy na zewnątrz, zimą, czy w strugach deszczu. Celem drużyny było, by wszyscy zatrzymywali się w jednym momencie.

– Stajemy na baczność w jednym rytmie – powtarzano chłopcom. – Tego właśnie pragnie Führer. Wszyscy zjednoczeni, wszyscy jak jeden mąż.

No, ale był Tommy.

Myślę, że gorzej było z jego lewym uchem. Gdy więc rozlegał się przenikliwy okrzyk „Stój!”, wszyscy się zatrzymywali, tylko Tommy groteskowo maszerował dalej. Potrafił w jednej chwili zmienić równy szereg w dzikie kłębowisko.

Pewnej soboty w początkach lipca, o pół do czwartej, po wielu próbach okielznania Tommy'ego i zaprowadzenia porządku, Franz Deutscher (idealne nazwisko dla idealnego nastoletniego nazisty) miał tego kompletnie dość.

– Müller, *du Affe!* Ty małpo, co jest z tobą? – zawołał blondyn, potęgując tylko tiki na twarzy Tommy'ego. Tommy odskoczył, ale jego lewy policzek nadal żył własnym życiem, wykrzywiony w maniacko-komicznym skurczu. Wydawało się, że nie tylko śmieje się złośliwie, ale wręcz cieszy do upadłego ze swych wyczynów. Franz Deutscher nie mógł na to pozwolić. Jego blade oczy przeszywały ofiarę.

– No i co? – zapytał. – Co masz na swoje usprawiedliwienie? – Mięśnie na twarzy Tommy'ego zaczęły się dziko wić pod skórą. – Drwisz sobie ze mnie?

– *Heil* – zaczął Tommy, usiłując zaskarbić sobie przychylność, ale do „Hitler” już nie dociągnął. I wtedy z szeregu wystąpił Rudy. Spojrzał Deutscherowi prosto w twarz.

– On ma problem, panie komendancie...

– Tyle to sam widzę!

– Ma problem z uszami – ciągnął Rudy. – On nie...

– Rozumiem. – Deutscher zatarł ręce. – Obaj po sześć okrążeń boiska. – Posłuchali, ale nie dość szybko – *Schnell!* – gonął ich gniewny głos.

Kiedy skończyli z biegami, dostali serię przysiadów. Po bardzo długim kwadransie miało się odbyć ostatnie ćwiczenie.

Rudy spojrzał na ziemię.

Krąg rozgniecionej błota uśmiechał się do niego.

No i co się tak gapisz? – zdawało się pytać.

– Padnij – rozkazał Franz.

Rudy przeskoczył błoto i padł na brzuch.

– Powstań – uśmiechnął się Franz. – Krok w tył. Padnij!

Komunikat był jasny i tym razem Rudy go zaakceptował. Rzucił się w błoto, wstrzymując oddech, i kiedy tak leżał z uchem w mokrej ziemi, kara nagle się skończyła.

3. *Vielen Dank, meine Herren* – uprzejmie podziękował Franz Deutscher.

Rudy ukląkł i zaczął grzebać w brudnym uchu. Tommy leżał z zamkniętymi oczami, a jego twarz wykrzywiały skurcze.

Kiedy wrócili na Himmelstrasse, Liesel, także w mundurku, grała w klasy z młodszymi dziećmi. Kątem oka złowiła dwie zbliżające się, żałosne sylwetki. Jedna coś do niej zawołała.

Kiedy spotkali się później przed szarym klockiem betonowego domu Steinerów, Rudy opowiedział jej, co się wydarzyło.

Po dziesięciu minutach Liesel usiadła. W jedenastej minucie Tommy usiłował przekonać ją, że to wszystko jego wina, ale Rudy uciszył go jednym machnięciem ręki.

– Daj spokój, Tommy – powiedział z dziwnym wyrazem zadowolenia na twarzy. Liesel nigdy jeszcze nie widziała, żeby ktoś w tak fatalnym położeniu miał w sobie tyle radości życia. – Siedź sobie spokojnie. Teraz możesz mieć tyle tików, ile zechcesz – i ciągnął opowieść.

Maszerował.

Walczył z własnym krawatem.

Słowa fruwały obok Liesel, lądując na betonowych schodkach.

– Ten Deutscher dał nam w kość, co, Tommy? – podsumował pogodnie.

– To przeze mnie – wykrzywił się Tommy.

– Tommy, co ja ci mówiłem?

– Kiedy?

– Przed chwilą! Masz się zamknąć.

– Dobrze, Rudy.

Kiedy niepokieszony Tommy poszedł niebawem do domu, Rudy wypróbował na Liesel swą nową i, jak sądził, mistrzowską taktykę.

Współczucie.

Już na schodach strząsnął z koszuli resztki zaschniętego błota i rozżalonym spojrzeniem wpił się w twarz Liesel.

– No to jak będzie, *Saumensch*?

– Z czym?

– Dobrze wiesz.

– *Saukerl!* – rutynowo odparła Liesel i zaśmiała się, będąc już blisko domu. Błoto i współczucie to jedno, ale całowanie się z Rudym Steinerem to całkiem inna sprawa.

Uśmiechnięty smutno chłopak jeszcze ze schodów zawołał, przeczesując ręką żółte włosy:

– Doczekam się! Przyjdzie ten dzień, Liesel!

Siedząc w piwnicy dwa lata później, Liesel często marzyła o tym, żeby go odwiedzić, nawet jeśli pisała o świecie.

Zrozumiała wtedy, że to owe podłe dni w Hitlerjugend podsycaly jego – a zarazem i jej – skłonność do przestępstw.

W końcu po porze deszczowej słońce zaczęło należycie przygrzewać. Dojrzewały papierówki i nie tylko. Idealna pora na kradzieże.

PECHOWCY

Jeśli chodziło o kradzieże, Liesel i Rudy wierzyli, że im większa banda, tym bezpieczniej. Andy Schmeikl zaproponował im spotkanie nad rzeką. W planach było omówienie wypadu na owoce.

– Więc teraz ty jesteś szefem? – zapytał Rudy, a Andy z niezadowoleniem potrząsnął głową. Najwyraźniej uważał, że ominął go słuszny awans.

– Nie – jego ostry głos wyraźnie zmiękł, jak na wpół ugotowany. – Kto inny.

NOWY ARTHUR BERG

Miał rozwiane włosy i chmurne oczy.

Był młodocianym przestępcą,

który kradł dlatego, że

sprawiało mu to przyjemność.

Nazywał się Viktor Chemmel.

Inaczej niż innym złodziejom Viktorowi Chemmelowi niczego nie brakowało. Mieszkał w najlepszej dzielnicy Molching, na wzgórzu, w willi zdezynfekowanej po wysiedleniu Żydów. Miał pieniądze i papierosy, ale chciał czegoś więcej.

– Nie ma nic złego w tym, że człowiek chce mieć więcej – klarował, leżąc na plecach w trawie, otoczony wianuszkami chłopaków. – Chcieć więcej to fundamentalne prawo każdego Niemca. Co mówi nasz Führer? – dodał retorycznie. – Że musimy sobie wziąć to, co nam się słusznie należy.

Viktor Chemmel był typowym przedstawicielem nieuzdolnionej młodzieży o ambicjach artystycznych. Na nieszczęście posiadał także rodzaj charyzmy, czegoś, co przekładało się na „chodźcie za mną”.

Kiedy Liesel i Rudy zbliżali się do bandy nad rzeką, Liesel usłyszała jego słowa:

– No to gdzie jest ta dwójka zboczonych gówniarzy, których żeście tak wychwalali? Już dziesięć po czwartej.

– Nie na moim zegarku – powiedział Rudy.

– Przecież nie masz zegarka – uniósł się na łokciu Viktor Chemmel.

– A co bym tu robił, gdyby mnie było stać na zegarek?

Nowy przywódca pokazał w uśmiechu równe białe zęby. Teraz jego uwaga zwróciła się ku dziewczynie.

– Kim jest ta mała dziwka? – Liesel, przyzwyczajona do wyzwisk, po prostu wpatrywała się w jego jakby przymglone oczy.

– Zeszłego roku – zaczęła wymieniać – ukradłam ze trzysta jabłek i mnóstwo kartofli. Nie sprawia mi kłopotu skakanie przez drut kolczasty i mogę dotrzymać kroku każdemu chłopakowi.

– To prawda?

– Tak – odpowiedziała bez wahania. – Poza tym zadowolam się małą częścią wspólnych łupów. Wystarczy od czasu do czasu tuzin jabłek dla mnie i mojego przyjaciela. I jakieś resztki żarcia.

– Jak tak, to się dogadamy. – Viktor zapalił papierosa i dmuchnął dymem w twarz Liesel. Nawet nie drgnęła.

Grupa działała w tym samym składzie co w ubiegłym roku, z wyjątkiem nowego przywódcy. Liesel zastanawiała się, dlaczego żaden z chłopaków mu się nie sprzeciwił, ale gdy popatrzyła na ich twarze, zrozumiała, że żaden nie miał żyłki wodzowskiej. Nie mieli skrupułów, by kraść, ale wszystko trzeba było za nich zaplanować. Lubili, kiedy im rozkazywano, a Viktor Chemmel lubił rozkazywać. Pełna symbioza.

Przez moment Liesel zatęskniła za Arthurem Bergiem. Czy on też poddałby się rozkazom Chemmela? To nie miało znaczenia. Arthur nie miał w sobie nic z tyrana, za to nowy szef aż za dużo. Zeszłego roku miała pewność, że gdyby utknęła na drzewie, Arthur wróciłby z pomocą, choć zapowiadał coś zupełnie innego. Tego roku Viktor Chemmel zapewne nawet by się nie obejrzał.

Nowy przywódca wstał, patrząc na chudego chłopca i niedożywioną dziewczynkę.

– Chcecie ze mną kraść?

Cóż mieli do stracenia? Przytaknęli.

– Chcę to usłyszeć – rzekł, łapiąc Rudy’ego za włosy.

– Jasne – powiedział chłopak, uprzedzając atak.

– A ty?

– Oczywiście – Liesel była wystarczająco szybka, by udało jej się uniknąć podobnego potraktowania.

Viktor uśmiechnął się. Zdusił niedopałek, nabrał powietrza i podrapał się w pierś.

– Moi panowie oraz ty, dziwko, wygląda na to, że wybierzemy się na zakupy.

Grupa ruszyła. Liesel i Rudy, jak to mieli w zwyczaju, szli na samym końcu.

– Podoba ci się? – spytał Rudy.

– A tobie?

– Myślę, że to straszny sukinsyn – odrzekł po zastanowieniu Rudy.

– Ja tak samo.

Grupa zaczęła się oddalać.

– Biegnijmy, bo nas zostawią – powiedział Rudy

Po kilku kilometrach doszli do pierwszego gospodarstwa. Doznali szoku. Drzewa, które wyobrażali sobie obsypane owocami, były słabe i rachityczne, z zaledwie kilkoma jabłkami zwisającymi z gałęzi. W następnym sadzie było to samo. Może trafił się zły rok, a może po prostu się pospieszyli.

Pod wieczór, kiedy rozdzielano łupy, Rudy i Liesel dostali tylko jedno mizerne jabłko na spółkę. Szczerze mówiąc, skok nie bardzo się udał, ale też Viktor Chemmel okazał się dość bezwzględny.

– Co to ma być? – Rudy wyciągnął jabłko na dłoni. Viktor nawet się nie odwrócił.

– O co ci chodzi? – rzucił przez ramię.

– Jedno parszywe jabłko?

– Masz – na wpół zjedzone jabłko wylądowało nadgryzioną stroną w kurzu. – Najedz się.

– Idź do diabła – wściekł się Rudy. – Chyba nie leżliśmy szesnastu kilometrów dla półtora nędznego jabłka, co, Liesel?

Liesel milczała, nie miałyby zresztą szansy się odezwać, bo Viktor Chemmel już dopadł Rudy’ego, zanim ten zdążył jeszcze coś dodać. Przygwoździł ręce chłopca kolanami i zaczął go dusić. Podziału jabłek dokończył – na prośbę szefa – Andy Schmeikl.

– Zrobisz mu krzywdę – powiedziała Liesel.

– Naprawdę? – Viktor uśmiechnął się. Znienawidziła go za ten uśmiech.

– Nic mi nie robi – wydusił Rudy, a z nosa pociekła mu krew.

Pod długiej chwili narastającego napięcia Viktor puścił Rudy'ego.

– Wstawaj, chłopcze – powiedział, a Rudy wypełnił polecenie. Viktor znów zbliżył ku niemu twarz i poklepał po ramieniu. Rozległ się szept: – Jeśli nie chcesz, żebym ci z nosa zrobił fontannę krwi, to się zabieraj, chłopaczku. I weź ze sobą tę małą dziwkę.

Nikt się nie ruszył.

– Na co czekacie?

Liesel pociągnęła Rudy'ego za rękę, ale chłopak zdążył się jeszcze odwrócić i napluć Viktorowi Chemmelowi na buty. W odpowiedzi usłyszał tylko jedno zdanie.

GROŹBA VIKTORA CHEMMELA

WOBEC RUDY'EGO STEINERA

Zapłacisz kiedyś za to, przyjacielu.

Różne rzeczy można by mówić o Viktorze Chemmelu, ale z pewnością miał dobrą pamięć. I spełnienie zapowiedzi zajęło mu nie więcej niż pięć miesięcy.

RYSUNKI

O ile lato 1941 roku rosło wokół Rudy'ego czy Liesel, dla Maksa Vandenburga to samo oznaczało pisanie i rysowanie. W najbardziej samotnych momentach w piwnicy słowa same zaczynały się wokół niego gromadzić. Podobnie jak wizje, które od czasu do czasu materializowały się pod jego dłońmi.

Wypożyczenie miał skromne:

Pomalowaną książkę.

Garść ołówków.

Głowę pełną myśli.

Zestawił je razem jak prostą układankę.

Początkowo Max chciał opisać swoją historię.

Pomysł wstępny polegał na tym, by zarejestrować wszystko, co go doprowadziło do piwnicy przy Himmelstrasse, ale ta praca jakoś się nie kleiła. Samotność Maksa doprowadziła go do czegoś całkiem innego. Był to zbiór oderwanych myśli, które postanowił połączyć. Były bowiem realne, bardziej realne niż listy do rodziny czy przyjaciela, które wysyłał bez nadziei, że ich jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Na sprofanowanych stronicach *Mein Kampf* zaczęła powstawać seria szkiców, które dla Maksa były historią o tym, jak jego życie zmieniło swój bieg o 180 stopni. Niektóre rysunki powstawały błyskawicznie. Inne tworzył godzinami. Postanowił, że ofiaruje książkę Liesel, kiedy będzie duża i kiedy ten cały koszmar się skończy.

Od chwili, kiedy wypróbował ołówek na pierwszej stronie, trzymał książkę zawsze zamkniętą. Często pilnował jej nawet we śnie.

Któregoś popołudnia, po serii pompek i przysiadów, zmęczony usnął pod ścianą. Kiedy Liesel zeszła, natychmiast zauważyła leżącą przy nim książkę. Ciekawość zatryumfowała. Sięgnęła po nią, oczekując, że Max się poruszy, ale tak się nie stało. Siedział oparty o ścianę, z trudem wyławiała dźwięk jego oddechu. Przejrzała kilka pierwszych stron...

[rysunek]

To nie Wódz, tylko dyrygent!

[rysunek]

Jaki piękny dzień!

Przerażona Liesel odłożyła książkę na miejsce, dokładnie tam, skąd ją wzięła, koło nogi Maksa.

Spłoszył ją głos.

– *Danke schön* – powiedział. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła na żydowskich ustach Maksa uśmiech wyrażający satysfakcję.

– O Boże – westchnęła Liesel. – Przeraziłeś mnie, Max.

Spał dalej, a dziewczynka wchodziła po schodach, wlokąc za sobą tę jedną myśl.

Przeraziłeś mnie, Max.

Tak toczyło się życie do końca lata i jeszcze do połowy jesieni. Rudy walczył o przeżycie w Hitlerjugend, Max robił pompki i rysował, a Liesel szukała mu gazet i pisała słowa na piwnicznej ścianie.

Warto odnotować, że i w tym wzorcu, jak w każdym innym, pojawiło się niewielkie odchylenie, które miało spowodować, że pewnego dnia wszystko się zawali lub przeleje. W tym przypadku czynnikiem sprawczym był Rudy. A dokładniej Rudy i świeżo użyźnione boisko przed siedzibą organizacji.

Dzień pod koniec października wydawał się taki jak zwykle. Brudny chłopak szedł Himmelstrasse. Za kilka minut powita oczekującą go rodzinę i skłamał, że w jego oddziale Hitlerjugend wszyscy musieli za karę odbyć dodatkową musztrę na boisku. Jego rodzice spodziewają się nawet żartów. Na próżno.

Dziś Rudy'emu w ogóle nie było do śmiechu i kłamstw.

Tej właśnie środy Liesel zauważyła, że Rudy Steiner idzie bez koszuli. I jest potwornie wściekły.

– Co jest? – spytała, gdy włókł się obok jej domu. Zawrócił i podał jej koszulę.

– Powąchaj.

– Co?

– Głucha jesteś? Powiedziałem, że masz powąchać.

Liesel niechętnie pochyliła się nad brunatną koszulą i wciągnęła nosem bijący z niej odór.

– Jezus, Maria, Józefie święty! Czy to...?

– Na twarzy też to mam – przytaknął chłopak. – Na twarzy! I tak miałem szczęście, że się tego nie naźarłem!

– Jezus, Maria, Józefie święty.

– Rozręcili nawóz po naszym boisku – pokiwał głową nad koszulą. – Myślę, że to krowie łajno.

– Czy ten wasz... jak mu tam... Deutscher wiedział?

– Mówi, że nie wiedział. Ale się śmiał.

– Jezus, Maria, Józefie...

– Możesz przestać w kółko to powtarzać?!

W tym momencie życia Rudy najbardziej potrzebował smaku zwycięstwa. Przegrał z Viktorem Chemmelem. W Hitlerjugend miał tyły. Musiał to sobie czymś wynagrodzić. Koniecznie.

Ruszył znowu do domu, ale zanim dotknął betonowego stopnia, zawrócił wolnym, ale zdecydowanym krokiem do dziewczynki.

– Wiesz, co by mi poprawiło humor? – zapytał spokojnym, cichym głosem.

– Jeśli myślisz, że w takim stanie mogłabym cię... – skrzywiła się Liesel.

– Nie o to mi chodzi. – Był zły, że go nie zrozumiała. Westchnął i podszedł bliżej. – O coś innego. – Pomyślał chwilę i uniósł głowę. Minimalnie. – Popatrz na mnie. Jestem usmarowany. Cuchnę krowim gównem, albo psim, co za różnica, no i konam z głodu. Potrzebuję zwycięstwa, Liesel. Serio.

Liesel go rozumiała.

Podeszłaby bliżej, gdyby nie nieznośny fetor.

Złodziejstwo.

Musieli koniecznie coś ukraść.

I koniecznie szybko.

– Tylko ty i ja – powiedział Rudy. – Zero Chemmelów, zero Schmeiklów. Ty i ja.

Dziewczynka nie mogła opanować podniecenia. Ręce ją swędziały, puls przyspieszył, na twarzy pojawił się uśmiech.

– Bardzo dobrze.

– No to postanowione – na ubrudzonej łajnem twarzy Rudy’ego też pojawił się mimowolny, zadowolony uśmiech.

– Jutro?

– Jutro.

Plan był genialny, poza jednym szczegółem.

Nie mieli pojęcia, od czego by zacząć.

Owoce nie wchodziły w grę. Rudy zignorował też kartofle i cebulę. Ottona Sturma i jego płody rolne odkreślili grubą kreską. Jeden napad podpadał pod niemoralność. Dwa to już by było kompletne draństwo.

– To gdzie, do cholery, pójdziemy? – spytał Rudy.

– A skąd mam wiedzieć? To był twój pomysł, nie mój.

– Co nie znaczy, że nie możesz trochę pomyśleć. Nie mogę brać na siebie wszystkiego.

– Ty to nigdy o niczym nie pomyślisz...

I tak dalej, i tak dalej. Kłócili się, idąc przez miasto. Na przedmieściach zobaczyli pierwsze zabudowania gospodarskie i drzewa sterczące jak pogruhotane posągi. Były szare i gdy się im przyjrzeni, nie zobaczyli nic prócz powykręcanych gałęzi i pustego nieba.

Rudy splunął.

Wracali przez Molching, przerzucając się pomysłami.

– A może Frau Diller?

– Co z nią?

– Gdybyśmy tak weszli i powiedzieli *Heil Hitler*, a potem coś ukradli, to byłoby w porządku.

Po godzinnej włączdze przez Münchenstrasse słońce zaczęło zachodzić, a oni gotowi byli dać za wygraną.

– To bez sensu – powiedział Rudy. – Jestem jeszcze bardziej głodny niż przedtem. Zdycham, na Boga. – Przeszedł kilka kroków i obrócił głowę. – Co jest? – zapytał, bo Liesel stanęła jak słup soli, a na jej twarzy malowało się objawienie.

Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

– No, co jest? – denerwował się Rudy. – Gadaj, *Saumensch*, co się dzieje?

W tym momencie Liesel była gotowa podjąć decyzję. Ale czy powinna opowiedzieć, co jej przyszło do głowy?

Czy powinna szukać zemsty na takiej osobie? Czy wolno jej było kogoś aż tak nienawidzić?

Zawróciła. Gdy Rudy się z nią zrównał, zwolniła nieco, by zebrać myśli. Już czuła się winna. Było to jak wilgoć.

Nasienie wykiełkowało i wydało kwiat o czarnych płatkach. Rozważała, czy sobie z tym poradzi. Na skrzyżowaniu przystanęła.

– Znam miejsce.

Przekroczyli rzekę i zaczęli się wspinać na wzgórze.

Na Grandestrasse zanurzyli się w splendor zabudowy. Frontowe drzwi domów błyszczały od polerowania, a dachówki układały się niczym idealnie zaczesane peruki. Ściany i okna były wymanikiowane, a kominy dyszały, wypuszczając kółka dymu.

– Dom burmistrza? – Rudy na chwilę wrósł w ziemię, a Liesel kiwnęła głową.

– Wylali moją mamę – odparła z powagą.

Za zakrętem Rudy zaczął się dopytywać, jakim cudem dostaną się do środka. Liesel wiedziała. Ale kiedy zakradli się pod okno biblioteki na drugim końcu domu, stanęła jak wryta. Okno było zamknięte.

– No i? – powiedział Rudy. Liesel zawróciła i pobiegła przed siebie.

– Dzisiaj nici z tego – powiedziała, a Rudy się roześmiał.

– Wiedziałem – zawołał, doganiając ją. – Wiedziałem, parszywa *Saumensch*. Nie wlaźłabyś tam, nawet gdybyś miała klucz.

– Tak uważasz? – Zaczęła biec szybciej, jakby chcąc z siebie strząsnąć komentarz Rudy’ego. – Musimy po prostu poczekać na lepszą okazję. – Wewnętrznie otrząsała z siebie zadowolenie, że okno okazało się zatrzaśnięte.

Oskarżała się w duchu. Dlaczego, Liesel? Dlaczego wybuchłaś, kiedy zwolnili mamę? Dlaczego nie trzymałaś gęby na kłódkę? Z tego co wiesz, po ostatniej awanturze żona burmistrza zupełnie się zmieniła. Może się całkiem pozbierała. Może już nigdy nie będzie marznąć przy oknie, a ono zawsze będzie zamknięte... Ty głupia *Saumensch*!

Po tygodniu, podczas ich piątej wizyty w górnym Molching, okno było podniesione do góry.

Wdychało małe hausty powietrza.

Nic więcej nie zamierzało wpuścić do środka.

Pierwszy zatrzymał się Rudy. Szturchnął Liesel pod zębra.

– Czy to okno jest... otwarte? – szepnął. Radosna nadzieja w jego głosie ułożyła się na ramieniu Liesel jak przyjazna ręka.

– *Jawohl* – odparła. – Najwyraźniej tak.

Serce waliło jej jak młotem.

Poprzednio kiedy zastawali okno zamknięte, Liesel udawała zawód, by ukryć uczucie ulgi. Czy wystarczy jej odwagi? I po co właściwie to robi? Dla Rudy’ego? Żeby zdobyć jedzenie?

A oto jak przedstawiała się odrażająca prawda:

Liesel nie zależało na jedzeniu. Rudy też plasował się gdzieś na drugim planie. Tak naprawdę, pragnęła książki. Konkretnie *Świstaka*. Nie mogła przyjąć jej jako prezentu od samotnej, pożałowania godnej kobiety. Już lepiej było ją ukraść. Kradzież ta mogła być, w pewnym – chorym – sensie tego słowa, uznana za zasługę.

Światło przechodziło w smugi cienia.

Złodziejska parka chyłkiem zmierzała w stronę wielkiego, nieskazitelnego domu. Porozumiewali się szeptem.

- Głodna jesteś? – spytał Rudy.
- Umieram z głodu – odparła Liesel, mając na myśli książkę.
- Patrz. Zapaliło się światło na górze.
- Widzę.
- Ciągłe jesteś głodna, *Saumensch*?

Zachichotali nerwowo, a potem zaczęli dyskutować, kto ma się włamać, a kto stać na czatach. Rudy uważał, że jako mężczyzna to on powinien dokonać kradzieży, ale z drugiej strony Liesel знаła wnętrze domu. Więc to ona powinna pójść. Wiedziała, co się mieści za oknem.

- Ja idę – stwierdziła.

Mocno zacisnęła powieki.

Zmusiła się do wywołania wizji burmistrza i jego żony. Widziała swoją przyjaźń z Ilsa Hermann, a potem zobaczyła jej odrzucenie. Podziało. Nienawidziła ich.

Rozejrzeli się po ulicy i bezszelestnie przebiegli przed podwórze.

Teraz kulili się pod otwartym oknem. Oddychali coraz głośnie.

- No, jazda – powiedział Rudy. – Zdejmij buty, będzie ciszej.

Liesel bez protestu rozwiązała czarne sznurówki i zostawiła buty na ziemi. Wstała, a Rudy szerzej otworzył okno, by mogła się wślizgnąć. Nie narobili więcej hałasu niż silnik nisko przelatującego samolotu.

Liesel podciągnęła się na parapet. Zdjęcie butów, stwierdziła, było fantastycznym pomysłem, bo przy skoku wylądowała na podłodze mocniej, niż przewidywała. Aż rozbolały ją stopy.

Pokój wyglądał jak zawsze.

Liesel, stojąc wśród kurzu i mroku, pozwoliła sobie na chwilę nostalgii.

- Co robisz? – wyszeptał Rudy z drugiej strony, ale machnęła tylko ręką, co oznaczało „*halt's Maul*” – morda w kubeł. – Żarcie, tylko pamiętaj o żarciu – przypomniał jej. – I papierosy, jak znajdziesz.

Ale ona nie o tym myślała. Wreszcie znów była w domu, wśród różnobarwnych książek burmistrza ze złotymi i srebrnymi literami na grzbietach. Czula zapach papieru i smak słów zgromadzonych dookoła. Nogi zaniosły ją ku prawej ścianie. Wiedziała, gdzie stał upragniony *Świstak*, ale nie znalazła go na właściwym miejscu. Była tam tylko szpara.

Usłyszała kroki nad głową.

- Światło! – szepnął Rudy, a jego słowa wpłynęły przez otwarte okno. – Zgasło!
- *Scheisse!*
- Schodzą na dół.

W przedłużającej się ciszy Liesel omiotła oczami pokój i zobaczyła *Świstaka* leżącego spokojnie na biurku burmistrza.

- Szybciej – ponaglał ją Rudy. Liesel z najwyższym spokojem podeszła do biurka i wzięła książkę, po czym zabrała się do wychodzenia. Najpierw głowa, potem reszta ciała i skok na stopy. Poczuła ból w kostkach.

- Lecimy – polecił Rudy. – Biegiem, *schnell!*

Za rogiem, na ulicy prowadzącej w stronę rzeki i do Münchenstrasse, przystanęli, żeby odetchnąć. Liesel zgięła się wpół, z zamrznętym oddechem na ustach i sercem bijącym jak oszalałe. Rudy był w podobnym stanie. Kiedy spojrzął i zobaczył książkę, z trudem zmusił się, żeby wykrztusić parę słów.

– Co... Co to? Książka?

– To wszystko, co znalazłam – powiedziała Liesel z głębokiego już teraz mroku. Usta jej odtajały.

Na jej nieszczęście Rudy zawsze potrafił wywęszyć, czy ktoś kłamie. Uniósł głowę i stwierdził oczywisty dla siebie fakt.

– Wcale tam nie poszłaś po jedzenie. Ale dostałaś, co chciałaś...

Liesel wyprostowała się i wtedy na jaw wyszła druga okropna prawda.

Buty.

Popatrzyła na nogi i ręce Rudy'ego, potem na ziemię.

– Co? – zapytał. – Co się stało?

– To przez ciebie, *Saukerl* – powiedziała oskarżycielsko. – Gdzie moje buty? – Rudy pobladł, co nie pozostawiało żadnych wątpliwości. – Pod domem? Zostały?

Rudy rzucił się do tyleż bezładnych, co bezsensownych poszukiwań, mając nadzieję, że jakimś cudem je zabrał. W wyobraźni widział, jak podnosił je z ziemi, ale butów nie było. Leżały beużytecznie albo, co gorsza, niczym dowód oskarżenia, pod ścianą domu przy Grandestrasse 8.

– *Dummkopf!* – sklął Rudy sam siebie i pacnął się w ucho. Idiota! Popatrzył nieszczęśliwym wzrokiem na obwarzanki pończoch Liesel. Decyzja przyszła błyskawicznie. – Zaczekaj – powiedział i zaraz zniknął za rogiem.

– Tylko nie daj się złapać – wołała za nim Liesel, lecz już jej nie słyszał.

Minuty oczekiwania wlokły się jak nieszczęście.

Zapadła czarna noc i Liesel była pewna, że czeka ją w domu lanie.

– Pospiesz się – szeptała, ale Rudy się nie pojawiał. Wyobrażała sobie dźwięk policyjnych syren jadących na miejsce przestępstwa.

Ciągle nic.

Dopiero kiedy w swych brudnych i mokrych pończochach podreptała z powrotem na skrzyżowanie, zobaczyła dumnie uniesioną głowę Rudy'ego, który truchtał w jej kierunku. Zęby błyskały mu w uśmiechu, kiedy tak biegł, wymachując butami.

– Prawie mnie ukatrupili – powiedział. – Ale udało się.

Za rogiem Liesel rzuciła buty na ziemię i usiadła, by je włożyć i zasznurować.

– *Danke* – powiedziała. – Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie – skłonił się dwornie Rudy. – Chyba nie mam co pytać, czy otrzymam za to buziaka? – spróbował wykorzystać okazję.

– Za to, że przyniosłeś mi buty, które sam tam zostawiłeś?

– No dobra – poddał się bez walki, unosząc ręce. Po drodze trzepał jak najęty, a Liesel próbowała go nie słuchać.

Dotarło do niej jednak ostatnie zdanie. – I tak bym się nie chciał z tobą całować, jeśli twój oddech cuchnie tak, jak twoje buty.

– Jesteś obrzydliwy – stwierdziła, zadowolona, że jest ciemno. Dzięki temu nie zobaczył uśmiechu wykwitającego na jej twarzy.

Na Himmelstrasse Rudy wyrwał jej książkę. Przeczytał pod latarnią tytuł i zaczął się zastanawiać, o czym może być.

– O mordercy – powiedziała rozmarzona Liesel.

– I to wszystko?

– Jest jeszcze policjant, który go ściga.

– Skoro o tym mowa – Rudy wręczył jej książkę – to możemy się w domu spodziewać tego samego. Zwłaszcza ty.

– A dlaczego ja?

– No wiesz... Ta twoja mama...

– A co jest z nią nie tak? – rzuciła się Liesel w obronę mamy. Członkowi rodziny wolno narzekać i krytykować innych jej członków, ale obcym od tego wara. Wtedy człowiek się usztywnia i demonstruje całą swą lojalność. – No, co ci się w niej nie podoba?

– Wybacz mi, *Saumensch* – wycofał się Rudy. – Nie chciałem cię obrazić.

Nawet w nocy było widać, jak bardzo Rudy wyrósł. Twarz mu się wydłużyła, a blond włosy zaczynały lekko ciemnieć. Rysy nabierały nowego wyrazu. Ale jedna rzecz nie zmieniła się absolutnie. Na Rudy'ego nie sposób się było długo gniewać.

– Macie coś dobrego na kolację? – spytał.

– Wątpię.

– Ja też. Szkoda, że książki nie są jadalne. Pamiętasz, Arthur Berg raz coś takiego powiedział?

Przez pozostałą część drogi wspominali dawne, dobre czasy. Liesel co krok spoglądała na szarą okładkę *Świstaka* i wytłoczone na niej czarne litery.

Zanim doszli do swych domów, Rudy zatrzymał się na moment.

– Dobranoc, *Saumensch* – zaśmiał się. – Dobranoc, złodziejko książek.

Wtedy to Liesel pierwszy raz usłyszała swój przydomek i nie potrafiła ukryć, jak bardzo jej się spodobał. Jak już wiemy, kradła książki także przedtem, lecz od końca października 1941 roku stało się to jej oficjalnym zajęciem. Tego wieczora Liesel Meminger została pasowana na prawdziwą złodziejkę książek.

RUDY STEINER – PRAWDZIWY GENIUSZ

5.Ukradł największy kartofel Mamerowi, miejscowemu sklepikarzowi.

6.Starł się z Franzem Deutscherem na Münchenstrasse.

7.Przestał chodzić na zbiórki Hitlerjugend.

Pierwszego czynu dopuścił się z zachłanności. Było typowe ponure popołudnie, połowa listopada 1941 roku. Wcześniej Rudy z wprawą kryminalnego geniusza prześlizgnął się gładko przed kolejkę kobiet z naszykowanymi kartkami żywnościowymi. Prawie nikt nie zwrócił na niego uwagi. Będąc chłopcem niebudzącym podejrzeń, miał jednak czelność ukraść największy kartofel z całej skrzynki – ten sam, na który większość kolejki patrzyła łakomym wzrokiem. Zauważono więc, jak trzynastoletnia ręka wyciąga się, by porwać łup. Chór potężnych Helg wskazał winowajcę, a Thomas Mamer ruszył jak burza, by zarekwirować brudne warzywo.

– *Meine Erdäpfel* – powiedział. – Moje kartofle.

Kartofel wciąż spoczywał w rękach Rudy'ego (bo chłopak nie miał siły utrzymać go w jednej), otoczonego przez oddział atletek. Musiał szybko wymyślić przekonującą historyjkę.

– Moja biedna rodzina – zachlipał Rudy, a u nosa pojawiły mu się bardzo dogodne w tym momencie smarki. Ani myślał ich wycierać. – Głodujemy. Moja siostra potrzebuje nowego palta, bo stare jej ukradli.

Mamer nie był głupi. Wciąż trzymając chłopaka za kołnierz, zapytał:

– A ty zamierzałeś ją ubrać w ten kartofel?

– Nie, proszę pana. – Rudy spojrzał z ukosa w jedyne widoczne z tej perspektywy oko swego prześladowcy.

Mamer wyglądał jak wielka beka, którą przedziurkowano w dwóch miejscach, żeby było przez co wyglądać. Jego zęby przypominały stłoczoną drużynę piłkarską. – Trzy tygodnie temu wymieniliśmy wszystkie kartki, żeby zbierać na jej płaszcz, i teraz umieramy z głodu.

Sklepikarz, jedną ręką trzymając Rudy'ego, a drugą kartofel, zawołał do żony straszne słowo: „*Polizei*”.

– Nie – zaczął błagać Rudy. – Proszę. – Później przechwalał się przed Liesel, że nic a nic się nie bał, ale w tym momencie na pewno serce mu zadrżało. – Tylko nie policja, błagam, tylko nie policja.

– *Polizei* – powtórzył niewzruszenie Mamer; gdy chłopak wił się pod jego ręką jak piskorz.

Tego popołudnia w kolejce stał też nauczyciel, Herr Link. Należał do nielicznych w szkole świeckich pedagogów. Rudy wpił się wzrokiem w jego oczy.

– Herr Link – skorzystał z ostatniej szansy – Herr Link, proszę mu powiedzieć, jaki jestem biedny.

Sklepikarz badawczo popatrzył na nauczyciela.

Herr Link wystąpił z kolejki i powiedział:

– Tak, panie Mamer. Ten chłopak jest biedny. Mieszka przy Himmelstrasse. – W tym momencie tłumek złożony głównie z kobiet rozpoczął konferować na stronie. Wszystkim było wiadomo, że mieszkanie przy Himmelstrasse

nie jest synonimem idylli życia w Molching. Wszyscy mieli świadomość, że gnieździ się tam biedota. – Ma ośmioro rodzeństwa.

Ośmioro!

Rudy wstrzymał uśmiech, choć jeszcze nie był na wolności. Teraz nauczyciel kłamał, dodając do rodziny Steinerów trójkę dodatkowego przychówku.

– Do szkoły przychodzi często bez śniadania. – Tłumek kobiet znów zaszemrał. Konflikt został zażegnany, a atmosfera stała się bardziej podniosła.

– Czy to ma znaczyć, że on ma prawo kraść moje kartofle?

– I to jeszcze największy! – wykrzyknęła jedna z kobiet.

– Proszę o spokój, Frau Metzing – uciszył ją Mamer, z jak najlepszym skutkiem.

Z początku przedmiotem uwagi był Rudy i jego kark. Potem zainteresowanie obecnych przenosiło się z chłopca na kartofel, a z kartofla na Mamera, który w końcu zdecydował się wyświadczyć złoczyńcy łaskę.

Czy wzruszyła go skrucha chłopca?

Godne zachowanie Herr Linka?

Czy może dogryzanie Frau Metzing?

Jakakolwiek była przyczyna, Mamer wrzucił kartofel z powrotem do skrzynki, a Rudy'ego wygonił ze swych włości kopniakiem w tyłek i dając mu dobrą radę:

– Nie pokazuj się tu więcej. – Rudy zza szyby obserwował, jak Mamer wchodzi za ladę, by obsłużyć następną klientkę. Spytał ją z sarkazmem, nie spuszczać oka z chłopca: – Czy mam zgadywać, który kartofel pani wybierze?

Była to kolejna porażka Rudy'ego.

Drugi akt głupoty był równie groźny, choć z innych powodów.

Rudy wyszedł po nim z podbitym okiem, połamanymi zębami i ostrzyżoną głową.

Na zebraniu Hitlerjugend powtórzyły się problemy z Tommym Müllerem, a Franz Deutscher tylko czekał, aż Rudy się wtrąci. Nie czekał zbyt długo.

Rudy i Tommy znów zostali poddani wyczerpującej musztrze, podczas gdy reszta chłopców uczyła się taktyki.

Biegając po zimnym boisku, widzieli przez okno dobrze ogrzaną salę, a w niej pochylone głowy i ramiona. Nawet gdy dołączyli do grupy, okazało się, że to wcale nie koniec zabawy. Kiedy Rudy zwałił się w kącie i zaczął wytrząsać błoto z rękawów, Franz wycelował w niego ulubione w Hitlerjugend pytanie.

– Kiedy urodził się nasz Führer Adolf Hitler?

– Słucham? – ocknął się Rudy.

Pytanie zostało powtórzone, a głupi Rudy Steiner, który aż za dobrze wiedział, że było to 20 kwietnia 1889 roku, rzucił datę urodzin Chrystusa, wraz z nazwą miejscowości – Betlejem.

Franz zatarł ręce.

To nie był optymistyczny znak.

Podszedł do Rudy'ego i kazał mu wyjść na boisko, gdzie miał wykonać kolejną serię okrążeń boiska. Rudy biegł sam – a po każdym okrążeniu był pytany o datę urodzin Führera. Odpowiedział poprawnie dopiero za siódmym razem.

Większe problemy pojawiły się w kilka dni po pamiętnej zbiórce.

Na Münchenstrasse Rudy zauważył Deutschera, który spacerował z przyjaciółmi, i poczuł nieodpartą potrzebę rzucenia w niego kamieniem. Możecie się zastanawiać, co u diabła wtedy myślał. Odpowiedź jest prosta – w ogóle się nie zastanawiał. On sam powiedziałby zapewne, że każdy ma dane od Boga prawo do własnej głupoty. Albo to, albo sam widok Franza Deutschera stał się impulsem do aktu autodestrukcji.

Kamień uderzył ofiarę w plecy, choć nie tak mocno, jak Rudy planował. Franz Deutscher rozejrzał się i z zadowoleniem wypatrzył Rudy'ego, który stał na ulicy w towarzystwie Liesel, Tommy'ego i jego siostrzyczki Kristiny.

– Uciekajmy – ponaglała Liesel, ale Rudy nawet nie drgnął.

– Nie jesteśmy na zebraniu Hitlerjugend – poinformował ją. Starsi chłopcy już do nich dochodzili. Liesel stanęła u boku przyjaciela, podobnie jak znerwicowany Tommy i malutka Kristina.

– Pan Steiner – skonstatował Franz, zanim podniósł chłopaka i rzucił go na ziemię.

Rudy wstał, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Deutschera. Drugi raz pchnął go na ziemię i rzucił się na niego, kolanem przyciskając klatkę piersiową ofiary.

Rudy'emu znów udało się wstać, co spowodowało drwiny kolegów Deutschera. To nie wróżyło dobrze.

– Nie umiesz mu dać popalić? – spytał najwyższy z chłopaków. Miał oczy błękitne i zimne jak niebo, a jego słowa stały się dla Franza bodźcem do działania. Był zdecydowany tak urządzić Rudy'ego, żeby ten się nie pozbierał. Zebrał się tłumek gapiów. Rudy zaatakował Franza Deutschera bykiem w brzuch, ale nie trafił. Zaraz poczuł piekący ból, gdy silna pięść trafiła go w lewe oko. Cios spadł niespodziewanie i zwałił go z nóg. Po chwili poczuł drugie uderzenie w to samo miejsce i prawie widział, jak siniak robi się żółty, granatowy i czarny w tym samym momencie. Trzy warstwy ekscytującego bólu.

Rosnący tłum gapił się, zgadując, czy i tym razem Rudy zdoła wstać. Nie zdołał. Leżał na zimnej, mokrej ziemi, i czuł się, jakby go pochłaniała.

Wciąż miał w oczach gwiazdy i nie zauważył nawet, że Franz znów rzuca się na niego, tym razem z nowiutką finką w rękę, gotów go pokaleczyć.

– Nie – zaprotestowała Liesel, ale wysoki chłopak nie pozwolił jej się ruszyć. Zadzwęczał jej w uszach jego dorosły szept.

– Stój spokojnie. Nie starczy mu jaj, żeby to zrobić – zapewnił ją towarzysz Franza.

Jakże się mylił.

Franz opadł na kolana, pochylił się nad Rudym i wyszeptał:

– Kiedy urodził się nasz Führer? – Każde słowo było wypowiedziane precyzyjnie i celnie. – No, Rudy, kiedy się urodził? Jeśli mi odpowiesz, wszystko będzie dobrze, nie bój się.

I co zrobił Rudy?

Co odpowiedział?

Czy zachował się rozsądnie i odpowiedział poprawnie, czy znów głupota wciągnęła go głębiej w bagno? Rudy spojrział wesoło w niebieskie oczy Franza Deutschera i wyszeptał:

– W wielkanocny poniedziałek.

W sekundę nóż zagłębił się we włosy Rudy'ego. Były to drugie postrzyżyny, jakie Liesel przeżyła na tym etapie swego pobytu w Molching. Włosy Żyda sama obcięła zardzewiałymi nożyczkami. Jej najlepszy przyjaciel padł ofiarą błyszczącego noża. Nikt z zainteresowanych nie zapłacił za usługę.

Jeśli idzie o Rudy'ego, który w tym roku łykał błoto, kąpał się w gównie i o mało nie został uduszony przez młodocianego przestępcę, był to dla niego akt ostatecznego upokorzenia – niczym lukier, który wieńczy tort.

Z początku strzyżenie przebiegało gładko, aż na głowie nie zostały już prawie żadne włosy. Za każdym pociągnięciem noża Rudy krzywił się z bólu, czarne oczodoły pulsowały, żebra paliły.

– Dwudziestego kwietnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego – pouczył go Franz i odszedł ze swoją paczką. Tłum się rozproszył, na ulicy pozostali tylko Liesel, Tommy i Kristina.

Rudy leżał na ziemi, coraz bardziej przemoknięty.

Skutkiem tych wydarzeń był akt głupoty numer trzy – opuszczanie zbiórek Hitlerjugend.

Rudy nie zrezygnował od razu, chcąc zademonstrować Deutscherowi, że się go nie boi. Ale po kilku tygodniach w ogóle przestał przychodzić.

Dumnie ubrany w mundurek, z nieodłącznym Tommym u boku, opuszczał Himmelstrasse, ale zamiast do siedziby Hitlerjugend, szli nad Amper, gdzie puszczali kaczki i wrzucali do wody wielkie głazy. Nie prowadziło to do niczego dobrego. Rudy zawsze starał się ubrudzić koszulę tak, by matka dała się zwieść. Ale wtedy przyszedł pierwszy monit. Dowiedział się o tym, słysząc z kuchni przerażony krzyk.

Z początku rodzice mu grozili. Nadal nie chodził.

Potem go błagali. Odmówił.

W końcu pojawiła się możliwość przeniesienia Rudy'ego do innego oddziału, co skłoniło go do podjęcia rozsądnej decyzji. Rozsądnej i szczęśliwej dla rodziny, bo gdyby się nie pokazał w organizacji, Steinerowie ponieśliby karę.

Jego starszy brat Kurt zaczął rozpytywać, czy Rudy'ego nie przyjęto by do Dywizji Lotniczej, gdzie młodzież uczono pilotażu i budowy samolotów. Przede wszystkim zajmowali się składaniem modeli, no i nie było tam Franza Deutschera. Rudy zaakceptował propozycję i Tommy też tam wstąpił. Ten jeden jedyny raz w życiu nie zrównoważone zachowanie Rudy'ego przyniosło błogosławione rezultaty.

W nowym oddziale, pytany o datę urodzin Führera, odpowiadał z uśmiechem, że to dwudziesty kwietnia 1889 roku. A potem szeptał Tommy'emu na ucho coś zupełnie innego – daty urodzin Beethovena, Mozarta albo Straussa. Uczyli się właśnie w szkole o wielkich kompozytorach, w czym, mimo swej oczywistej głupoty, Rudy przodował.

PLYWAJĄCA KSIĄŻKA

Część II

W początkach grudnia Rudy wreszcie zatryumfował, choć w dość nieoczekiwanych okolicznościach.

Dzień był chłodny, ale bezwietrzny. Niedługo miał spaść śnieg.

Po szkole Rudy i Liesel wpadli na chwilę do zakładu pana Steinera, a po drodze do domu natknęli się na rogu na starego przyjaciela, Franza Deutschera. Liesel, jak zwykle ostatnio, miała ze sobą *Świstaka*. Lubiła dotykać tę książkę, jej gładki grzbiet, sztywne brzegi kartek. To ona pierwsza zauważyła Deutschera.

– Patrz – pokazała palcem. Biegł w ich kierunku wraz z innym dowódcą Hitlerjugend. Rudy skulił się. Pomacał zdrowiejące oko.

– Nie tym razem – powiedział, patrząc na ulicę. – Jeśli przejdziemy koło kościoła wzdłuż rzeki, możemy dojść skrótem.

Liesel bez słowa poszła za nim i tym sposobem uniknęli jednego prześladowcy – po to tylko, by się natknąć na drugiego.

Z początku nic ich nie zaniepokoiło.

Nie rozpoznali ludzi, którzy przechodzili przez most z papierosami w zębach, teraz było za późno.

– O Boże, namierzyl nas.

Viktor Chemmel uśmiechnął się. Odezwał się bardzo spokojnym tonem, co zwiastowało zagrożenie:

– No, no, oto Rudy Steiner i jego mała dziwka. – Zręcznie odebrał Liesel *Świstaka*. – Co my tu mamy?

– To sprawa między nami, jej nic do tego – próbował paktować Rudy. – Oddaj.

– *Świstak*. Dobra książka? – zwrócił się Viktor do Liesel. Odchrząknęła.

– Niezła. – Miała nieszczęście się zdradzić. Oczy. Zbyt poruszone. Wiedziała od razu, że Viktor ocenił książkę jako cenny łup.

– Proponuję wymianę. Dostaniesz ją z powrotem za pięćdziesiąt marek.

– Pięćdziesiąt marek! – zawołał Andy Schmeikl. – Viktor, za tyle można dostać tysiąc książek!

– Prosiłem, żebyś się wtrącał?

Andy się zamknął.

– Weź ją. – Liesel spróbowała pokerowej zagrywki. – Już ją przeczytałam.

– I jak się kończy?

Cholera!

Nie przeczytała do końca.

Zawahała się, co dla Viktora było odpowiedzią jasną jak słońce. Rudy skoczył ku niemu.

– Nie rób jej tego, Viktor. Chodzi ci przecież o mnie. Ja zrobię wszystko, co zechcesz.

Starszy chłopak odtrącił Rudy'ego, unosząc książkę. I poprawił go:

– Nie, to ja zrobię to, co chcę. – I przeszedł nad rzekę. Wszyscy usiłowali dotrzymać mu kroku, trochę marszem, trochę biegiem. Niektórzy protestowali. Niektórzy go podjudzali.

Jak szybko, jak swobodnie, jak przyjacielsko-kpiącym głosem zostało zadane pytanie:

- Powiedzcie mi, kto był zwycięzcą w rzucie dyskiem na olimpiadzie w Berlinie? – spytał Viktor, napinając ramię.
- No, kto to był? Mam to na końcu języka. Jakiś Amerykanin, Carpenter, czy jak mu tam...
- Błagam cię! – powiedział Rudy.

Woda rwała. Viktor Chemmel zrobił wymach z półobrotu.

Książka wspaniałym łukiem wyleciała z jego ręki. Stronice łopotały w powietrzu. Do czasu, póki nagle książki nie przyciągnęła woda. Wpadła do rzeki i popłynęła z prądem.

– Słaby rzut – pokręcił głową Viktor. – Nie uzyskałem dobrej wysokości. Ale to chyba wystarczy, żeby wygrać, co?

Liesel i Rudy nie czekali na wybuch śmiechu. Biegli nad samym brzegiem. Rudy pierwszy. Usiłował wypatrzyć książkę.

– Widzisz ją? – wołała za nim Liesel.

Rudy pędził.

– Tam jest! – zawołał wreszcie. Pobiegł dalej, by ją przechwycić. W mgnieniu oka zrzucił kurtkę i wskoczył do rzeki.

Liesel przestała biec. Szła wolno, widząc, jak boli go każdy krok. Przeszywał przejmującym zimnem.

Widziała, jak książka przepływa obok Rudy'ego, który jednak zaraz ją dopadł. Jego dłoń schwyciła czarny blok zlepionych teraz kartek. *Świstak* – zawołał chłopiec. Była to jedyna tego dnia książka przepływająca rzeką Amper, ale i tak czuł potrzebę ogłoszenia tego całemu światu.

Ciekawe, że Rudy wcale nie spieszył się z wyjściem z lodowatej wody. Dobrą minutę trzymał książkę w wyciągniętej ręce. Nigdy nie powiedział Liesel, dlaczego, ale ona i tak wiedziała.

LODOWATY TRYUMF

RUDY'EGO STEINERA

3. Po wielu porażkach w tej jednej chwili poczuł smak zwycięstwa.

4. Była to idealna sytuacja, by prosić Liesel o wymarzoną nagrodę.

Jak mogłaby odmówić?

– To jak będzie z naszym pocałunkiem, *Saumensch*?

Stał w wodzie dłużej, niż potrzeba, nim wreszcie wyskoczył i wręczył jej książkę. Spodnie lepiły mu się do ciała, ale szedł. Myślę, że się bał. Rudy Steiner bał pocałować złodziejkę książek. Tak długo o tym marzył. Tak niewiarygodnie mocno ją kochał. Kochał ją tak bardzo, że już nigdy jej o to nie poprosił i zszedł do grobu, nie zaznawszy smaku jej ust.

CZEŚĆ SZÓSTA

TRAGARZ SNÓW

Występują:

dziennik śmierci – bałwan – trzynaście prezentów – kolejna książka – koszmar żydowskiego trupa – niebo jak gazeta – wizytacja – żartowniś – ostatni pocałunek na zatrutym policzku

To był rok jak każdy inny, na przykład 79 albo 1346, żeby wymienić tylko parę. Cholerna kosa, a niech ją. Powinienem sobie sprawić miotłę albo mopa. No i wyjechać na urlop.

ODROBINA PRAWDY

Nie używam ani sierpa, ani kosy.

Czarny habit noszę tylko wtedy, kiedy jest zimno.

**I nie mam czaszkopodobnych rysów twarzy,
jak sobie wyobrażacie.**

Chcecie wiedzieć, jak naprawdę wyglądam?

Pomogę wam. Tylko przygotujcie sobie lustro.

Ja będę opowiadać dalej.

Czuję się egoistą, wciąż opowiadając o sobie, o sobie, o sobie. O moich podróżach, o tym, co widziałem w 1942 roku. Z drugiej strony, jesteście ludźmi, więc obsesja na punkcie własnej osoby nie powinna być wam obca. Chodzi o to, że mam poważny powód, by objaśnić wam, co się działo w tym czasie. Ma to wiele wspólnego z osobą Liesel Meminger. Wojna zbliżyła się do Himmelstrasse, pociągając mnie za sobą.

Wiele się napodróżowałem tego roku, z Polski do Rosji, z Rosji do Afryki i z powrotem. Możecie powiedzieć, że stale odbywam takie wyprawy, ale trzeba przyznać, że rasa ludzka od czasu do czasu przechodzi sama siebie. Powstaje wówczas nadprodukcja martwych ciał, a wraz z nimi i dusz. Wystarczy parę bomb. Mogą też być komory gazowe albo zmasowany ostrzał artyleryjski z obu stron. Jeśli to nie załatwia ostatecznie sprawy, i tak pozbawia ludzi dachu nad głową i środków do życia. Bezdomni idą za mną sznurem, kiedy przemierzam ulice zbombardowanych miast. Błagają, bym ich zabrał ze sobą, nie zdając sobie sprawy, ile mam tu prawdziwej roboty. I na was przyjdzie czas – pocieszam ich, nie odwracając głowy. Czasem korci mnie, żeby powiedzieć: Nie widzicie, że i tak się ledwo wyrabiam?, ale powstrzymuję się od tego. Skarzę się w milczeniu, pracując dalej. Są lata, kiedy ciała i dusze nie sumują się, lecz mnożą.

ROK 1942 W SKRÓCIE

- 5.Zdesperowani Żydzi – ich dusze na moim podolku. Siedzimy na dachu tuż obok dymiących kominów.**
- 6.Radzieccy żołnierze – bez amunicji, odbierający ją tym kolegom, którzy giną w okopach.**
- 7.Mokre trupy na wybrzeżach Francji – wyrzucone na żwir lub piach.**

Mógłbym kontynuować tę wyliczankę, ale uznałem, że wystarczy kilka przykładów. Konkretnie trzy. I tak poczujecie popiół na języku – to doświadczenie definiujące moje samopoczucie tamtego roku.

Tak wielu ludzi.

Tak wiele kolorów.

Nadal we mnie celowali. To prześladowuje moją pamięć. Widzę góry zwłok, leżących jedne na drugich. Powietrze jest jak plastik, horyzont jak klej. Są chmury wytwarzane przez ludzi, podziurawione i przeciekające, no i są miękkie, czarne jak węgiel chmury pulsujące niby czarne serca.

I...

I jest śmierć.

Przedziera się przez to wszystko.

Na powierzchni: nieporuszona, bez emocji.

W głębi: pełna niepokoju, bez nadziei.

Szczerze mówiąc (wiem, że strasznie się wyżałam), wciąż nie mogłem sobie emocjonalnie poradzić ze Stalinem, który pod hasłem drugiej rewolucji mordował swój własny naród.

A po nim przyszedł Hitler.

Powiadają, że wojna jest najlepszą przyjaciółką śmierci. Ja mam inne zdanie na ten temat. Dla mnie wojna jest jak nowy szef, który oczekuje niemożliwego. Stoi ci nad głową i powtarza do znudzenia: „Zrób to, zrób to”. Więc pracujesz coraz ciężiej. Robisz, co ci każą. Ale szef nigdy ci nie dziękuje. Żąda coraz większych wysiłków.

Często próbuję pozbierać porozrzucane fragmenty piękna, które wtedy widziałem. Przedziera się przez mój zbiór ludzkich historii.

Wyciągam ją.

Jestem pewien, że pierwszą połowę znacie równie dobrze jak ja, a jeśli pozostaniecie w moim towarzystwie, zaprezentuję wam dalszy ciąg. Dalszy ciąg historii złodziejki książek.

Bezwiednie czeka, aż spotka ją wiele sugerowanych przeze mnie wcześniej wydarzeń. Czeką również na was.

Na razie znosi śnieg do piwnicy.

Garście zmrożonej wody mogą człowieka rozśmieszyć, ale nie pomogą mu zapomnieć.

Już nadchodzi.

BAŁWAN

Początek roku 1942 w przypadku Liesel Meminger można podsumować następująco:

Ukończyła trzynasty rok życia. Piersi nie zaczęły jej jeszcze rosnąć. Nie ma menstruacji.

Młody człowiek z piwnicy leżał teraz w jej łóżku.

PYTANIE I ODPOWIEDŹ

Jak to się stało, że Max Vandenburg trafił do łóżka Liesel?

Upadł.

Różnie można sądzić, ale zdaniem Rosy Hubermann ziarno zostało zasiane w Boże Narodzenie minionego roku.

24 grudnia było zimno i głodno, ale też praktycznie – żadnych dłuższych wizyt. Hans Junior wciąż strzelał do Rosjan i demonstrował odrazę wobec rodziny. Trudy zdołała wpaść na chwilę tydzień przed świętami. Wyjeżdżała potem z rodziną, u której pracowała. Wakacje dla zupełnie innej kasty Niemców.

W wigilię Liesel zniosła do piwnicy śnieg – prezent dla Maksa.

– Zamknij oczy – powiedziała. – I wyciągnij ręce.

Gdy Max wziął śnieg, zadygotał i zaśmiał się, ale nie otworzył oczu. Podniósł tylko śnieg do warg, by poczuć jego smak.

– Czy to dzisiejsza prognoza pogody?

Liesel podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia. Znow uniósł śnieg do ust.

– Dziękuję, Liesel.

Był to początek najpiękniejszych świąt. Głodnych. Bez prezentów. Ale z bałwanem w piwnicy.

Liesel sprawdziła, czy nikt jej nie obserwuje, po czym naniosła z dworu tyle wiader śniegu, ile się dało. Zebrała go z całej Himmelstrasse.

Ona pierwsza cisnęła w Maksa śnieżką, a w odpowiedzi dostała kulą w brzuch. Nawet Hans Hubermann oberwał, gdy schodził po betonowych stopniach.

– *Arschloch!* Liesel, dawaj wiadro! – zawył papa. Na jakiś czas zapomnieli o całym świecie. Nic nie mówili, nie wrzeszczeli, tylko się śmiali od czasu do czasu. Byli tylko ludźmi. W piwnicy bili się na śnieżki.

– A co będzie z resztą? – spytał papa, patrząc na wypełnione śniegiem wiadra.

– Ulepimy bałwana – odparła Liesel.

Papa zawołał Rosę. Odpowiedział mu stłumiony głos:

– Czego chcesz, *Sauker!*?

– Złaż na dół!

Hans Hubermann, ryzykując życiem, powitał żonę wyjątkowo okazałą śniegową kulą. Minęła cel o włos i roztrzaskała się o ścianę, co dało Rosie Hubermann okazję do puszczenia na jednym oddechu długiej wiązanki przekleństw. Kiedy się otrząsnęła, zeszła po schodach i dołączyła do zabawy. Przyniosła nawet guziki na oczy dla niespełna metrowego bałwana i sznurek, z którego zrobiono mu uśmiech. Znalazł się także kapelusz i szalik.

– Karzełek – powiedział Max .

– Co zrobimy, jak stopnieje? – spytała Liesel.

– Pozbierasz wodę ścierką, *Saumensch*, i to raz dwa – odparła Rosa.

– Nie stopnieje – powiedział papa, rozcierając ręce. – Tu jest jak w lodówce.

Stopniał w końcu, ale nadal żył w ich pamięci, jako ostatni pamiętny widok w czasie tych świąt. W uszach mieli dźwięki akordeonu, w oczach bałwana, a w myślach Liesel trwały ostatnie słowa Maksa, wypowiedziane, kiedy żegnali się przed kominkiem.

ŚWIĄTECZNE ŻYCZENIA

OD MAKSA VANDENBURGA

Czasem myślę, Liesel, że najlepiej

byłoby umrzeć, ale wtedy ty zjawiasz się

w piwnicy z bałwanem w rękach.

Pech chciał, że tej nocy załamało się zdrowie Maksa. Pierwsze sygnały były dość niewinne. Cały czas miał dreszcze. Pociły mu się ręce. Majaczył, że walczy na ringu z Führerem. I dopiero kiedy się okazało, że nawet pompki nie są w stanie go rozgrzać, zaczął się na serio martwić. Nie pomagało siedzenie przy kominku. Z dnia na dzień ważył coraz mniej. Nie był zdolny do robienia regularnych ćwiczeń – padał twarzą na betonową podłogę. Przez cały styczeń jeszcze jako tako się trzymał, ale na początku lutego był tylko cieniem człowieka. W nocy usiłował zagrzać się przy kominku, nadrabiając brak snu rankiem. Usta wykrzywił mu grymas, kości policzkowe przebijały skórę. Gdy pytano go o zdrowie, mówił, że czuje się dobrze.

W połowie lutego, parę dni przed trzynastymi urodzinami Liesel, przyszedł do kominka bliski omdlenia.

– Hans – wyszeptał, a jego twarz wykrzywił skurcz. Po chwili nogi się pod nim ugięły i upadł, waląc głową w pudło akordeonu.

Drewniana łyżka z pluskiem wpadła do zupy i w ciągu sekundy Rosa była przy nim. Obejrzała jego głowę i warknęła do Liesel:

– Nie stój jak kołek, przynieś jakieś koce! Połóż na swoim łóżku. A ty – zwróciła się do papy – pomóż mi go przenieść do pokoju Liesel. *Schnell!*

Papa miał zmartwioną minę. Powieki zakryły jego metaliczne oczy. Uniósł Maksa, który był lekki jak dziecko.

– Nie możemy zostawić go tutaj, w naszym łóżku?

– Nie. – Rosa już przemyślała tę sprawę. – Firanki muszą być w dzień odsłonięte, inaczej to będzie podejrzané.

– Słusznie. – Hans wyniósł Maksa z pokoju.

Liesel czekała z kocami w rękach i patrzyła. Rozrzucone włosy i bezwładnie kiwające się nogi. Z jednej spadł but.

– Rusz się. – To nadciągała swym kaczkowatym krokiem mama.

Kiedy położono Maksa do łóżka, został opatulony górą koców.

– Mamo? – Liesel nie potrafiła wykrztusić nic prócz tego.

– Co? – Ciasny kok Rosy Hubermann wyglądał groźnie nawet od tyłu. Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy powtórzyła: – Co, Liesel?

– Czy on żyje? – przestraszona Liesel postąpiła o krok.

– Słuchaj, Liesel. – Rosa odwróciła wreszcie głowę i powiedziała z wielką pewnością siebie: – Nie wzięłam tego człowieka do domu po to, żeby mi tu umierał. Zrozumiano?

Liesel kiwnęła głową.

– To uciekaj.

W korytarzu czekał papa. Przytulił ją.

Rozpaczliwie tego potrzebowała.

Późno w nocy Liesel podsłuchiwała rozmowę Hubermannów. Rosa kazała jej spać w ich sypialni i zrobiła posłanie na podłodze, koło łóżka, na materacu przyniesionym z piwnicy. (Była obawa, czy się czymś nie zarazi, ale rodzice doszli do wniosku, że to mało prawdopodobne, bo Max nie zachorował od wirusa. Wystarczyło zmienić pościel). Mama, przekonana, że dziewczynka śpi, wyraziła na głos swoje zdanie.

– To przez tego cholernego bałwana – wyszeptwała. – Założę się, że od tego się zaczęło. Od głupiej zabawy śniegiem, kiedy w piwnicy jest tak zimno.

– Rosa, to się zaczęło od Adolfa – filozoficznie zauważył papa, wstając. – Trzeba sprawdzić, jak on się czuje. W ciągu nocy Max był odwiedzany siedmiokrotnie.

ROZKŁAD WIZYT PRZY ŁÓŻKU MAKSA VANDENBURGA

Hans Hubermann: 2

Rosa Hubermann: 2

Liesel Meminger: 3

Rano Liesel przyniosła z piwnicy książkę z rysunkami Maksa i położyła mu ją koło łóżka. Było jej głupio, że w ubiegłym roku do niej zajrzała, więc tym razem nie próbowała nawet unieść okładki. Kiedy papa wszedł do pokoju, nawet nie odwróciła głowy, tylko mówiła do ściany, nad ciałem Maksa Vandenburga:

– Po co znosiłam cały ten śnieg? Od tego się zaczęło, prawda, papo? – zacisnęła mocno ręce, jak do modlitwy: – Po co chciałam lepić tego bałwana?

– Bo musiałaś, Liesel – powiedział z przekonaniem papa.

Liesel godzinami siedziała przy śpiącym, miotanym dreszczami Maksie.

– Nie umieraj – szeptała. – Max, błagam, tylko nie umieraj.

Był jak drugi bałwan, który rozpuszcza się na jej oczach. Ale, paradoksalnie, działało się to zupełnie inaczej.

Im był zimniejszy, tym bardziej się rozpuszczał.

TRZYNAŚCIE PREZENTÓW

To było jak powtórne przybycie Maksa.

Pióra zmieniły się w gałązki, gładka twarz stała się twarda.

Miała dowód, że on żyje.

Przez pierwszych kilka dni Liesel siedziała przy Maksie i mówiła do niego. W swoje urodziny powiedziała, że w kuchni czeka wielki tort. Byle tylko się obudził.

Nie było przebudzenia.

Nie było tortu.

NOCNA NOTATKA

Znacznie później przypomniałem sobie, że w tym czasie odwiedziłem dom przy Himmelstrasse 33.

Musiał to być w jednej z rzadkich chwil, kiedy dziewczynka nie siedziała przy chorym – bo pamiętam tylko mężczyznę na łóżku.

Ukląknę. Wyciągnąłem ręce, by sięgnąć pod koc.

A wtedy on ożył i zaczął ze mną walczyć.

Wycofałem się, bo i bez tego miałem dość pracy,

ale było mi miło, że ktoś ze mną wygrał w tym

ciemnym pokoiku. Na chwilę przymknąłem oczy,

by uczcić radosną chwilę. Potem odszedłem.

Piątego dnia Max na chwilę otworzył oczy, co spowodowało radosne ożywienie. Pierwszym, co ujrzał (musiał to być straszny widok), była łyżka, którą Rosa Hubermann na siłę wlewała mu do ust łyk zupy.

– Łykaj – powiedziała. – Nie myśl, tylko przełykaj.

Kiedy tylko mama odstawiła talerz, Liesel próbowała popatrzeć mu w twarz, ale zasłaniała ją uparta karmicielka.

– Wciąż jest przytomny? – spytała. Wyraz twarzy Rosy był dostatecznie wymowny.

Po tygodniu Max ocknął się drugi raz. Tym razem w pokoju siedzieli papa i Liesel. Obserwowali nieruchome ciało na łóżku, kiedy usłyszeli cichy jęk. Papa poderwał się z krzesła.

– Patrz! – zachłysnęła się Liesel. – Nie zasypiaj, Max, nie zasypiaj!

Max popatrzył na nią, ale jej nie rozpoznawał. Jego oczy wpatrywały się w Liesel jak w zagadkę. A potem znów odpłynął.

– Papo, co się stało?

Hans znów opadł na krzesło. Po jakimś czasie zaproponował, by Liesel zaczęła głośno czytać.

– No, Liesel, nie masz się czego wstydzić. Świetnie czytasz, choć nikt z nas nie umie zgadnąć, skąd masz tę książkę.

– Mówiłam już, papo. Dostałam ją od siostry w szkole.

– Wiem, wiem. – Papa uniósł dłonie w udawanym proteście i westchnął. – Tylko... – przez chwilę szukał słów. – Nie daj się złapać – dokończył mężczyzna, który sam wykradł Żyda.

Od tej pory Liesel czytała Maksowi na głos *Świstaka*. Przykrość polegała na tym, że musiała opuszczać całe rozdziały, bo kartki były pozlepiane. Nie udało się dobrze wysuszyć książki. Ale nie przestawała czytać i dobiegała już do trzech czwartych tekstu. Książka liczyła 396 stron.

Każdego dnia spieszyła się ze szkoły do domu, żeby sprawdzić, czy Maksowi zrobiło się lepiej.

– Obudził się? Jadł coś?

– Idź stąd – prosiła mama. – Wywiercisz mi dziurę w brzuchu tym swoim gadaniem. Wynoś się. Pograj sobie w piłkę, na miłość boską.

– Idę, mamó. – Liesel otwierała drzwi. – Ale obiecaj, że mi powiesz, kiedy się obudzi. Daj mi jakiś znak. Możesz na mnie nakrzyczeć albo mnie skłąć. Każdy uzna, że to normalne, nie będzie podejrzeń.

Nawet Rosa musiała się roześmiać na tę propozycję. Podparła się pod boki i oświadczyła, żeby Liesel uważała, bo wciąż może dostać baty za takie gadanie.

– I strzel gola albo mi się w domu nie pokazuj – zagroziła.

– Jasne, mamó.

– Masz zdobyć dwa gole, *Saumensch*!

– Tak, mamó.

– I nie pyskuj mi tutaj!

Liesel zawahała się, ale zaraz wypadła na błotnistą ulicę, gdzie natknęła się na Rudy'ego.

– Rychło w czas, drapidupo – przywitał ją jak zawsze, kiedy grali w piłkę. – Gdzie się podziewałaś?

Pół godziny później grę przerwał im rzadko pojawiający się na tej ulicy samochód, który rozjechał piłkę. W ten sposób Liesel zdobyła pierwszy prezent dla Maksa Vandenburga. Dzieciaki, oceniwszy, że piłki nie da się nareperować, ze złością rozbiegły się do domów, zostawiając ją na połyskującej lodem ulicy. Liesel i Rudy gapili się na szczątki. Piłka miała z boku wielką dziurę, jak rozdziawione usta.

– Bierzesz ją? – spytała Liesel.

– A co ja bym robił z takim rozciapczanym gównem? – wzruszył ramionami Rudy. – Nie da się jej już napompować.

– No więc chcesz ją czy nie?

– Nie, dzięki. – Rudy stuknął piłkę czubkiem buta, jak się trąca martwe zwierzę. Albo zwierzę, które uważamy za martwe. Liesel wsadziła piłkę pod pachę. – Ty, *Saumensch* – zawołał za nią Rudy, kiedy się rozchodzili.

Przystanęła. – *Saumensch*!

– Co?

– Mam też rower bez kół, jakbyś chciała.

– Wsadź sobie swój rower.

Odchodząc, słyszała zaraźliwy śmiech. Tak śmiał się ten *Saukerl*, Rudy Steiner.

W domu od razu poszła do swojej sypialni. Położyła piłkę na łóżku, koło Maksa.

– Przykro mi. Wiem, że to nie takiego. Ale kiedy się obudzisz, opowiem ci wszystko o tej piłce. Opowiem, jaka była szarówka, i że ten samochód jechał bez świateł i najechał prosto na piłkę. A potem szofer wysiadł i na nas nawrzeszczał. A potem zapytał o drogę. Co za bezczelność!

Obudź się! – miała ochotę wrzasnąć.

Albo nim potrząsnąć.

Powstrzymała się.

Patrzyła tylko na poszarpaną, sflaczałą powłokę piłki. Był to pierwszy z wielu podarunków.

PREZENTY 2-5

**Wstążka, szyszka,
guzik, kamyk.**

Piłka nasunęła jej pewien pomysł.

Po drodze do szkoły i z powrotem Liesel, poszukiwała niepotrzebnych przedmiotów, które mogłyby stanowić jakąś wartość dla umierającego. Zastanawiała się, czemu jej na tym aż tak bardzo zależy. Jakim cudem zbędne przedmioty miałyby komuś sprawić przyjemność? Wstążka ze śmietnika. Szyszka z chodnika. Urywany guzik z klasy. Płaski okrągły kamień z rzeki. Były to przede wszystkim oznaki, że się o niego troszczy. A kiedy Max się obudzi, będzie temat do rozmowy.

Ćwiczyła te rozmowy w samotności.

„A co to jest? – spyta Max. – Co to za śmietnik?”

„Śmietnik? – odpowie ona, siedząc na łóżku. – To nie śmietnik. To moje sposoby na to, żebyś się obudził”.

PREZENTY 6-9

**Piórko, dwie gazety,
papiererek po lizaku, chmura.**

Piórko było śliczne. Zaklinowało się w zawiasach drzwi kościoła przy Münchenstrasse. Sterczało wykrzywione, a Liesel podbiegła, by je uwolnić. Po lewej stronie stosiny była płaska chorągiewka, po prawej promyki pióra układały się w ząbkowane trójkąty. Trudno to inaczej opisać.

Gazety pochodziły z zimnej głębi pojemnika na śmieci (ten opis wystarczy), a wyblakły papiererek był płasko rozprasowany. Znalazła go koło szkoły i obejrzała pod światło. Widać było na nim kolaż odcisków obcasów. No i chmura.

Jak można podarować komuś kawałek nieba?

Pod koniec lutego Liesel przystanęła na Münchenstrasse, by obserwować wielką chmurę, która wychynęła zza wzgórz jak gigantyczny biały potwór. Przetaczała się po wierzchołkach gór, zasłaniając słońce. Biała bestia o szarym sercu czaiła się nad miastem.

– Zobacz, papo – powiedziała do Hansa. Uniósł głowę i powiedział to, co uważał za oczywiste.

– Powinnaś podarować ją Maksowi, Liesel. Sprawdź, może uda ci się ją położyć na stoliku przy łóżku, koło innych prezentów.

– Jak to? – Liesel popatrzyła na niego, jakby był szaleńcem.
– Zapamiętaj ją dobrze. – Postukał ją palcem w czoło. – A potem opisz dla niego.

– Była jak wielka biała bestia... – zaczęła opowieść przy kolejnym czuwaniu. – Wyszła zza gór. Kiedy zdanie zostało ukończone, po licznych poprawkach i dodatkach, Liesel miała pewność, że jej się udało. Wyobrażała sobie, jak chmura pod kocami przenika z jej do jego ręki. Zapisała tę wizję i wsadziła kartkę pod kamień.

PREZENTY 10-13

Ołowiany żołnierzyk.

Cudowny liść.

Ukończony Świstak.

Kęs smutku.

Żołnierzyk był zakopany w piachu koło domu Tommy’ego Müllera. Był obdrapany i rozdeptany, ale o to właśnie chodziło Liesel. Nawet taki poraniony potrafił stać prosto.

Liść pochodził z klonu. Liesel znalazła go w szkolnym schowku na szczotki, między wiadrami i zmiotkami z piór. Drzwi były lekko uchylone. Liść był suchy i twardy jak grzanka, a na jego powierzchni rysowały się wzgórza i doliny. Jakimś sposobem trafił przez korytarz do komórki. Gwiazda na łodyżce. Liesel sięgnęła i okręciła go w palcach.

Nie położyła go na stoliku obok innych przedmiotów. Przypięła go do zasłoniętej firanki, a sama zabrała się do czytania ostatnich trzydziestu czterech stron *Świstaka*.

Tego popołudnia nic nie jadła, nie chodziła też do ubikacji. Nie piła. W szkole postanowiła, że dziś skończy książkę, a Max jej wysłucha. Musiał się wreszcie obudzić.

Papa, jak zwykle będąc bez pracy, usiadł w kącie na podłodze. Miał szczęście, że na wieczór zaprosili go z akordeonem do Knollera. Z brodą na kolanach słuchał głosu dziewczynki, którą z trudem wyuczył alfabetu. Czytała pewnie, ostatnie przerażające zdania kierując wprost do Maksa Vandenburga.

KOŃCÓWKA ŚWISTAKA

Powietrze Wiednia kłębiło się mgliście wokół okien pociągu. Ludzie spieszyli do pracy, a morderca gwizdał pod nosem swoją wesołą melodyjkę. Kupił bilet. Konduktor i pasażerowie w przedziale powitali go uprzejmie. Ustąpił miejsca jakiejś starszej pani i wdał się w miłą pogawędkę z hazardzistą, który obstawiał amerykańskie konie. Morderca uwielbiał rozmowy. Rozmawiał z ludźmi, mamił ich, a oni zaczęli czuć do niego sympatię. Wierzyli mu. Mówił do nich nawet wówczas, gdy ich mordował i torturował nożem. Tylko wtedy, gdy nie miał z kim porozmawiać, poświstywał – dlatego robił to zawsze po dokonanej zbrodni...

– Więc uważa pan, że ślady prowadzą do numeru siedem, czy tak?

– Oczywiście – roześmiał się gracz. Już mu ufał. – Zakradnie się od tyłu i zadźga mnóstwo ludzi! – zawołał, przekrzykując turkot pociągu.

– Skoro pan tak uważa – uśmiechnął się złośliwie Świstak. Zastanawiał się, kiedy wreszcie odnajdą zwłoki inspektora, zamordowanego w nowiutkim bmw.

– Jezus, Maria, Józefie święty – Hans nie krył niedowierzania. – I twierdzisz, że siostra ci to dała? – Wstał i ucałował Liesel w czoło. – Na razie, Liesel, Knoller na mnie czeka.

– Cześć, papo.

– Liesel!

Zignorowała głos z kuchni.

– Chodźże tu i zjedz coś!

– Idę, mamó – tym razem odpowiedziała. Słowa te kierowała właściwie do Maksa. Podeszła do niego i położyła książkę na stoliku, obok innych przedmiotów. Nachyliła się nad nim. – Wstawaj, Max – wyszeptała z cichym szlochem. Nawet kroki mamy nie powstrzymały ją od płaczu. Słona kropla z jej oka spadła wprost na twarz Maksa Vandenburga.

Mama odciągnęła Liesel od łóżka .

Zagarnęły ją silne ramiona.

– Wiem – powiedziała.

Bo wiedziała.

Któregoś dnia gdy siedzieli nad Amper, Liesel powiedziała Rudy'emu, że chciałaby ukraść kolejną książkę z domu burmistrza. Skończywszy *Świstaka*, kilkakrotnie przeczytała przy łóżku Maksa *Zbędnego człowieka*. Dużo do czytania tam zresztą nie było. Próbowала czytać *Wzruszenie ramion* i *Podręcznik grabarza*, ale żadna z książek nie pasowała do sytuacji. Pomyślała, że potrzeba czegoś nowego.

– Przeczytałaś przynajmniej tę ostatnią?

– Oczywiście, że przeczytałam.

– Dobra była? – Rudy cisnął kamieniem w wodę.

– Oczywiście, że dobra.

– „Oczywiście, że przeczytałam. Oczywiście, że dobra”. – Rudy próbował wyciągnąć z ziemi kolejny kamień, ale przeciął sobie palec.

– No i masz nauczkę.

– *Saumensch!*

Jeśli ktoś kończy rozmowę słowem *Saumensch*, *Saukerl*, albo *Arschloch*, to znaczy, że został pokonany.

Warunki do kradzieży były idealne. Początek marca, mroczne popołudnie, kilka stopni powyżej zera – mniej zachęcające do wyjścia niż minus dziesięć. Na ulicach było więc pusto. Deszczyk mżył niczym grafit temperowanego ołówka.

– Idziemy?

– Jedziemy. Możesz wziąć jeden z naszych rowerów – powiedział Rudy.

Tym razem to Rudy chciał wleźć do środka.

– Moja kolej – powiedział. Ręce przymarzały im do kierownic.

– Nie powinienes, Rudy – odparła Liesel po krótkim zastanowieniu. – Tam jest pełno mebli i ciemno. Taki idiota jak ty na pewno na coś wpadnie i się wywali.

– Dzięki za komplement. – Rudy nie był w pojednawczym nastroju.

– Poza tym okno jest wysoko. Trzeba zeskoczyć.

– Chcesz powiedzieć, że nie umiem skakać?

– Wcale nie. – Liesel mocniej nacisnęła pedały.

Minęli most i krętą drogą dojechali na szczyt Grandestrasse. Okno było otwarte.

Okrążyli dom, podobnie jak za pierwszym razem. Z zewnątrz mogli dostrzec, że w jednym z pomieszczeń na dole paliło się światło, najprawdopodobniej w kuchni. Jakiś cień poruszał się tam i z powrotem.

– Objedźmy dom parę razy – powiedział Rudy. – Dobrze, że wzięliśmy rowery, co?

– Tylko nie zapomnij zabrać swojego do domu.

– Bardzo śmieszne, *Saumensch*. Na szczęście jest trochę większy niż twoje śmierdzące buciory.

Jeździli tak może przez kwadrans. Żona burmistrza wciąż była na dole, co stanowiło pewną przeszkodę. Jak śmiała tak czujnie pilnować kuchni! Bo dla Rudy'ego prawdziwym celem była właśnie kuchnia. Chciałby się tam włamać, ukraść tyle jedzenia, ile się da, a jeśli starczyłoby mu czasu, mógłby ewentualnie wcisnąć jakąś książkę za pasek od spodni. Byle jaką.

Słabością Rudy'ego była jego niecierpliwość.

– Późno się robi – powiedział, kierując rower do odjazdu. – Jedziesz?

Liesel nie pojechała.

Nie mogła. Nie po to targała tego zardzewiałego grata pod górę, żeby wracać bez książki. Oparła kierownicę o śmietnik, rozejrzała się, czy nikt z sąsiadów nie patrzy i weszła na okno. Szybko, ale bez popłochu. Ściągnęła buty i miękko zeskoczyła na palce. Stopy przyłgnęły do drewna.

Tym razem czuła się, o ile to możliwe, nieco swobodniej. Pozwoliła sobie na kilkakrotne okrążenie pokoju – jakże cenne chwile! – szukając pożądanego tytułu. Trzy lub cztery razy sięgnęła do półki. Pomyślała, że może warto ukraść kilka tomów, ale nie chciała zaburzać kruchego, wytworzonego przez siebie systemu. Na razie potrzebowała jednej książki. Oglądała półki i czekała.

Za jej plecami czaiła się coraz głębsza ciemność. Pokój wypełnił zapach kurzu i złodziejstwa. I wtedy ją zobaczyła. Książka była czerwona, z czarnymi literami na grzbiecie. *Der Traumträger. Tragarz snów*. Pomyślała o Maksie Vandenburgu i jego snach. O winie. O przeżyciu. O porzuceniu rodziny. O walce z Führerem. Pomyślała też o własnych snach – o bracie zmarłym w pociągu, o jego pojawieniu się na schodach, niedaleko tego pokoju.

Złodziejka książek ujrzała jego zakrwawione kolano. Upadł pchnięty jej własną ręką.

Wysunęła książkę z półki i wcisnęła ją pod pachę. Jednym płynnym susem wskoczyła na parapet i zeskoczyła na ziemię. Rudy miał już naszykowany jej rower i buty. Gdy tylko je włożyła, odjechali.

– Jezus, Maria, Józefie święty, Meminger. – Rudy pierwszy raz powiedział do niej po nazwisku. – Jesteś całkiem szalona. Wiesz o tym?

– Wiem – Liesel pedałowala, jakby ją diabeł gonił.

Na moście Rudy podsumował swoje spostrzeżenia:

– Ci ludzie to albo kompletni wariaci, albo bardzo lubią świeże powietrze.

DROBNA SUGESTIA

**A może przy Grandestrasse mieszkała kobieta,
która z innych powodów celowo
nie zamykała okna biblioteki. Albo jestem cyniczny,
albo pełen nadziei. Albo jedno i drugie.**

Liesel ukryła *Tragarza snów* pod kurtką i zaczęła go czytać natychmiast po przekroczeniu progu domu. Siedząc na drewnianym krześle przy własnym łóżku, szepnęła:

– Mam nową książkę, Max. Specjalnie dla ciebie. Rozdział pierwszy: „Gdy tragarz snów przyszedł na świat, całe miasto spało...”.

Liesel codziennie czytała po dwa rozdziały. Jeden rano, przed wyjściem do szkoły, a drugi zaraz po powrocie do domu. W bezsenne noce czytywała jeszcze połówkę trzeciego. Czasem przy tym zasypiała i padała głową na brzeg łóżka.

Stało się to jej misją.

Ofiarowywała Maksowi *Tragarza snów*, jakby same słowa były zdolne go nakarmić. We wtorek zdawało jej się, że zauważyła jakiś ruch. Była gotowa przysiąc, że otworzył oczy. Jeśli nawet tak było, to trwało to ułamek sekundy.

Raczej jednak należało to złożyć na karb przywidzenia lub myślenia życzeniowego.

W połowie marca cierpliwość zaczynała się wyczerpywać.

Rosa Hubermann, kobieta idealna na kryzys, pewnego popołudnia w kuchni pękła. Podniosła głos, po czym natychmiast go ściszyła. Liesel przerwała lekturę i na palcach przeszła przez hol. Z tej odległości ledwo rozumiała słowa mamy. Kiedy je wreszcie usłyszała, pożałowała, bo były straszne. Jak samo życie.

WYPOWIEDŹ MAMY

A co będzie, jeśli się nie obudzi?

Co, jeśli nam tu umrze, Hansie?

No, powiedz mi. Co, na Boga, zrobimy z ciałem?

Nie może tu zostać, bo smród nas podusi.

Na ulice też go nie możemy wyrzucić.

Nie możemy po prostu powiedzieć: „Nigdy nie zgadniecie, co znaleźliśmy rano w piwnicy...”

Natychmiast by nas zamknęli.

Miała całkowitą rację.

Zwłoki Żyda to był poważny problem. Dlatego Hubermannowie starali się utrzymać Maksa przy życiu nie tylko dla jego dobra. Dla własnego też. Nawet papa, zwykle uosobienie spokoju, czuł na plecach oddech zagrożenia.

– Przestań – powiedział cichym, lecz twardym głosem. – Jeśli to się zdarzy, jeśli on umrze, będziemy musieli znaleźć jakiś sposób. – Liesel przysięgłaby, że w tej chwili głośno przełknął ślinę. – Mam wózek, weźmie się parę starych prześcieradeł...

Liesel weszła do kuchni.

– Nie przeszkadzaj, Liesel – powiedział papa, nie podnosząc oczu. Wbił wzrok w odwróconą łyżkę. Łokcie oparł na stole.

Złodziejka książek nie odeszła. Usiadła przy stole. Z rękawów wyłoniły się zziębnięte ręce, a z ust wypadły słowa:

– On jeszcze nie umarł.

Słowa potoczyły się na sam środek stołu. Troje ludzi wpatrywało się w nie. Ich słabe nadzieje nie śmiały wyżej podnieść głowy. Jeszcze nie umarł. Jeszcze nie umarł. Następna kwestia należała do Rosy.

– Kto jest głodny?

Kolacja była może jedyną porą, w której letarg Maksa nie wydawał się tragedią. Nikt nie narzekał, że dzielą się we trójkę dodatkową porcją chleba, zupy czy ziemniaków. Wszyscy o tym wiedzieli, nikt tego głośno nie wypowiadał.

Kilka godzin później, w środku nocy, Liesel obudziła się, czując, że ma serce w gardle. (sformułowanie to przyswoiła sobie z *Tragarza snów*, który był zupełnym przeciwieństwem *Świstaka* – opowiadał o opuszczonym chłopcu pragnącym zostać księdzem). Usiadła wyprostowana i głośno wciągnęła powietrze.

– Liesel? – obrócił się papa. – Co się stało?

– Nic, papo, wszystko w porządku. – Skłamała. W tym momencie zobaczyła powtórnie swą senną wizję.

WIZJA

Na początku wszystko jest tak, jak zawsze.

Pociąg z równą prędkością posuwa się do przodu.

Jej brat głośno kaszle. Tym razem jednak

Liesel nie widzi jego twarzy ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Przechyliła się z wolna. Unosi jego głowę

i nagle widzi twarz Maksa Vandenburga z szeroko

otwartymi oczami. On patrzy na nią.

Na podłogę spada piórko. Ciało rośnie,

staje się proporcjonalne do twarzy. Pociąg gwizdze.

– Liesel?

– Mówiłam, że wszystko dobrze.

Drżąc, podniosła się z materaca. Otumaniona strachem powlokła się korytarzem do Maksa. Po kilku minutach spędzonych przy jego łóżku, kiedy już się uspokoiła, zaczęła interpretować swój sen. Czy zapowiadał śmierć Maksa? Czy był jedynie odbiciem rozmowy podsłuchanej w kuchni? Czy Max miał teraz zastąpić jej brata? Jak mogła w taki sposób odrzucać Wenera, krew z krwi, kość z kości? A może sen ujawnił jej najgłębiej ukryte pragnienie, żeby Max jednak umarł? Co było dobre dla Wenera, było dobre i dla tego Żyda.

– Czy tak właśnie myślę? – wyszeptwała, stając nad łóżkiem. – Nie. – Sama w to nie wierzyła, a jej odpowiedź potwierdzał wyłaniający się z ciemności zbiór prezentów różnej wielkości i kształtu.

– Obudź się – powiedziała.

Max się nie obudził.

Jeszcze przez osiem dni.

Lekcję przerwało gwałtowne stukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała Frau Olendrich.

Drzwi otworzyły się i cała klasa spojrzała ze zdziwieniem na Rosę Hubermann. Jedno czy dwoje dzieci westchnęło na widok przysadzistej jak mała szafa kobiety o szyderczych, umalowanych ustach i chlorowych oczach.

Legendarna Rosa Hubermann. Miała na sobie najlepsze niedzielne ubranie, tylko jej włosy były w nieładzie.

Nauczycielka wyglądała na wystraszoną.

– Pani Hubermann... – zaczęła, gestykulując bezładnie. Rozejrzała się po klasie. – Liesel?

Liesel rzuciła spojrzenie Rudy'emu, wstała i podeszła do drzwi najszybciej, jak się dało, żeby zakończyć krępujący moment. Drzwi się zatrzasnęły i teraz stała na korytarzu sam na sam z Rosą.

– Co się stało, mamó?

– Nie nazywaj mnie mamą, *Saumensch!* – słowa leciały z prędkością serii z karabinu. – Moja szczotka! Zza drzwi odezwał się wybuch śmiechu, szybko stłumiony.

– Mamó?

– Co u diabła zrobiłaś z moją szczotką, ty durna złodziejko? – Mama bulgotała dalej, choć oczy jej się śmiały. – Sto razy mówiłam, że masz nie ruszać moich rzeczy, ale kto mnie tam słucha! Na pewno nie ty!

Tyrada trwała jeszcze parę minut, przerywana nieśmiałymi sugestiami Liesel co do prawdopodobnej lokalizacji szczotki. Potem Rosa nagle zamilkła i przyciągnęła Liesel do siebie. Jej szept był ledwo słyszalny.

– Sama mi mówiłaś, żeby na ciebie nakrzyczeć. Wtedy nikt nie będzie nic podejrzewał. – Obejrzała się na prawo i lewo, a jej głos był teraz niczym jedwab. – Obudził się, Liesel. Żyje. – Wyciągnęła z kieszeni ołowianego żołnierzyka. – Powiedział, żeby ci go dała. Najbardziej mu się spodobał. – Wręczyła go Liesel i uśmiechnęła się. Zanim dziewczynka zdołała się odezwać, magiczna chwila minęła. Zastąpił ją wrzask: – No?! Odpowiadaj, co i jak! Co zrobiłaś z moją szczotką?

Żyje, pomyślała Liesel.

– Nic nie zrobiłam. Przykro mi, mamó. Ja...

– Do czego ty się nadajesz? – spytała Rosa i poczłapała do wyjścia.

Liesel stała samotnie w wysokim, wielkim holu. Ścisnęła w dłoni żołnierzyka. Instynkt pchał ją do domu, ale rozsądek na to nie zezwalał. Wcisnęła pogiętą figurkę do kieszeni i weszła do klasy.

Dzieci czekały.

– Głupia krowa – wyszeptała pod nosem.

Klasa wybuchła śmiechem. Tylko Frau Olendrich się nie śmiała.

– Co to miało znaczyć?

Liesel była tak podniecona, że niczego się nie bała.

– Powiedziałam „głupia krowa”.

Ręka nauczycielki wylądowała na jej policzku.

– Nie wolno ci tak mówić o matce – powiedziała Frau Olendrich, ale na Liesel nie zrobiło to żadnego wrażenia. Stała z uśmiechem na twarzy. Czekala na *Watschen*. – Siadaj.

– Dobrze, Frau Olendrich.

Rudy nie wytrzymał.

– Jezus, Maria, Józefie święty – wyszeptał. – Masz na twarzy jej rękę. Wielką czerwoną łapę z pięcioma palcami!

– I dobrze – powiedziała Liesel. Najważniejsze, że Max żył.

Kiedy po południu wróciła do domu, zastała go siedzącego w łóżku z przejechaną piłką na kolanach. Broda go swędziała, a spuchnięte oczy z trudem się otwierały. Na stoliku obok prezentów stał pusty talerz po zupie. Nie przywitali się.

Wszystko było kanciaste.

Drzwi skrzypnęły, dziewczynka weszła, stanęła i spojrzała na talerz.

– Mama wmusiła to w ciebie? – Przytaknął, szczęśliwy i zmęczony.

– Było bardzo dobre.

– Zupa mamy? Naprawdę?

– Dzięki za prezenty. – Lekkie skrzywienie warg trudno było wziąć za uśmiech. – Dzięki za chmurę. Twój papa mi wszystko opowiedział.

Minęła godzina, nim Liesel wydusiła z siebie prawdę.

– Nie wiedzieliśmy, co z tobą robić, Max.

– Masz na myśli, jak pozbyć się zwłok? – zrozumiał od razu.

– Przepraszam cię.

– Nie przepraszaj. – Nie był obrażony. – Mielście rację, zastanawiając się nad tym. – Machinalnie bawił się piłką.

– W waszej sytuacji martwy Żyd byłby jeszcze gorszy niż żywy.

– Miałam sen. – Opowiedziała mu go szczegółowo, nie wypuszczając z dłoni żołnierzyka. Znow chciała się usprawiedliwić, ale Max jej nie pozwolił.

– Liesel, nigdy mnie nie przepraszaj. To ja powinienem przepraszać ciebie. – Obrzucił wzrokiem podarki. – Sama popatrz na to wszystko. – Wziął do ręki guzik. – Rosa mówiła, że codziennie mi czytałaś. Nawet po trzy razy dziennie. – Obrócił oczy na zasłony, jakby chciał przez nie przeniknąć. Poprawił się na łóżku i milczał, wypowiadając w myślach bezgłośnie zdania. Na jego twarzy pojawił się lęk, a potem wyznał. – Wiesz, Liesel, boję się. Boję się, że znowu zasnę.

– Wtedy będę ci czytać – rezolutnie odparła Liesel. – I będę cię bić po twarzy, żebyś nie spał. Odłożę książkę i będę potrząsać tobą tak długo, aż się obudzisz.

Wieczorem i nocą Liesel znow czytała Maksowi Vandenburgowi. Siedział zasluchany i całkiem przebudzony aż do dziesiątej. Kiedy Liesel zrobiła krótką przerwę, zauważyła, że Max usnął. Trąciła go, zaniepokojona. Ocknął się. Zasypiał jeszcze trzy razy. Dwa razy go obudziła.

Przez następne cztery dni budził się w łóżku Liesel, potem przy kominku, a od połowy kwietnia na powrót w piwnicy. Zdrowie mu wróciło, broda została zgolona, nawet odrobinę przybrał na wadze.

W wewnętrznym świecie Liesel nastało uspokojenie. Na zewnątrz świat zaczynał chwiać się w posadach. Pod koniec marca bomby spadły na Lubeke. Następna w kolejce była Kolonia i wiele innych niemieckich miast, łącznie z Monachium.

Tak, wojna, ten zły szef, rozkazywała zza mych pleców.

„Rób swoje, rób swoje”.

Nadlatywały bomby – a wraz z nimi i ja.

Zmierzch trzydziestego maja.

Jestem pewien, że Liesel Meminger spała jak suseł, podczas gdy ponad tysiąc bombowców zbliżało się do miasta zwanego Kolonią. Dla mnie oznaczało to zabranie pół tysiąca ludzi czy coś koło tego. Pięćdziesiąt tysięcy żywych bez dachu nad głową błąkało się pośród upiornych gór gruzu, próbując zlokalizować swoje nieistniejące domy.

Pięćset dusz.

Ujmowałem je w palce jak walizki. Albo przerzucałem przez ramię. Tylko dzieci nosiłem w ramionach.

Kiedy skończyłem ze wszystkim, niebo było żółte jak płonąca gazeta. Gdybym się lepiej przyjrzał, mógłbym odcyfrować poszczególne słowa, krzyczące nagłówki, komentarze wojenne. Och, jak chciałem wtedy wszystko to zdeptać, zmiąć gazetowe niebo i wyrzucić w kąt. Bolały mnie ramiona i poparzone palce. A tyle jeszcze miałem do zrobienia.

Jak można się było spodziewać, większość ludzi zginęła natychmiast. Innym zabrało to nieco więcej czasu. Miałem jeszcze wiele miejsc do obejścia, wiele nieb do obejrzenia i wiele dusz do zabrania. Kiedy wróciłem do Kolonii, niedługo po ostatnich samolotach, zauważyłem coś niezwykłego.

Dźwigałem właśnie nastoletnią nadpaloną duszę, kiedy spojrzałem na siarkowe niebo. Koło mnie stała grupka dziesięcioletnich dziewczynek. Jedna z nich zawołała:

– Co to?

Wyciągnęła rękę i wskazała na czarny, wolno spadający obiekt. Z daleka wyglądał jak wirujące się w powietrzu krucze pióro. Albo kawałek popiołu. Rósł w oczach. Ta sama dziewczynka, piegowaty rudzielec, zawołała ponownie, tylko z większym przejęciem:

– Co to jest?

– Ciało – zasugerowała jej koleżanka z czarnymi kucykami.

– To bomba!

Obiekt spadał zbyt wolno jak na bombę.

Trzymając niedojrzałą duszę wciąż tłącą się w moich ramionach, podążyłem za nimi. Podobnie jak te dzieci byłem zafascynowany widokiem nieba. Nie chciałem patrzeć w zmasakrowaną twarz umarłej dziewczyny. Była śliczna. Przed nią rozciągała się cała jej śmierć.

I mnie, i dziewczynki aż odrzuciło, kiedy zaryczał tubalny głos. To niezadowolony ojciec zaganiał dzieci do domu. Ruda, z piegami jak przecinki, odpowiedziała:

– Ale tylko popatrz, papo.

– To po benzynie – odparł, podchodząc do znaleziska.

– Co to znaczy?

– Paliwo do samolotów – wyjaśnił łysy człowiek w pomiętym garniturze. – Wypalili benzynę i zrzucili beczkę.

Tam leży druga.

– Tam też!

Dzieci były tylko dziećmi, zaczęły szukać pojemników, gdzie się dało. Ten, który obserwowaliśmy, spadł na ziemię z wielkim hukiem.

– Możemy zabrać tę beczkę?

– Nie. – Zbombardowanemu i zszokowanemu ojcu nie było do śmiechu. – Nie będziemy tego trzymać.

– A dlaczego?

– Ja zapytam mojego tatę, czy mogę to mieć – powiedziała inna dziewczynka.

– Ja też.

Buszując po ruinach Kolonii, dzieci zbierały pojemniki po benzynie, zrzucone przez wrogów. Ja, jak zwykle, zbierałem dusze. Byłem zmęczony, a nie minęła jeszcze połowa roku.

WIZYTACJA

Na Himmelstrasse pojawiła się nowa piłka do gry. To była dobra wiadomość. Niepokój wzbudziła nowina, że do dzielnicy zbliża się delegacja NSDAP.

Sprawdzali całe Molching, ulica po ulicy, dom po domu, a przed sklepem Frau Diller zrobili sobie przerwę na papierosa.

W Molching było już parę schronów przeciwlotniczych, ale po bombardowaniu Kolonii zdecydowano, że kilka więcej nie zawadzi. Członkowie NSDAP sprawdzali więc każdą piwnicę pod kątem jej przydatności do tego celu. Dzieci obserwowały ich z daleka.

Widziały, jak nad grupką mężczyzn unosi się obłok papierosowego dymu.

Liesel dopiero co wyszła na dwór i zaraz podbiegła do Rudy'ego i Tommy'ego. Przy piłce był Harald Mollenhauer.

– Co jest grane?

– Partia przyszła – odparł Rudy z rękami w kieszeniach. Obserwował, jak jego kolega radzi sobie z piłką przed frontowym żywopłotem Frau Holtzapfel. – Sprawdzają wszystkie domy i kamienice.

– Po co? – Liesel w jedną sekundę zaschło w gardle.

– Nic nie wiesz? Powiedz jej, Tommy.

– Ale ja też nie wiem – speszzył się Tommy.

– Oboje jesteście beznadziejni. Potrzebują nowych schronów.

– Co? W piwnicach?

– Nie, na strychach. Oczywiście, że w piwnicach. Jezu, Liesel, ty naprawdę jesteś tupa.

Piłka wróciła, a Rudy ją przejął.

Zaczął grać, a Liesel wciąż stała. Jak ma teraz wrócić do domu, nie budząc podejrzeń? Dym pod sklepem Frau Diller rozwiął się, a oddział mężczyzn się rozproszył. Oznaki paniki są takie okropne. Ból w gardle i ustach.

Powietrze jak piasek. Myśl, popędzała się Liesel. Myśl, myśl.

Rudy zdobył gola.

Odległe głosy gratulowały mu.

Myśl, Liesel.

Wymyśliła.

Już wiem, stwierdziła, teraz muszę tylko to zrobić.

Gdy członkowie NSDAP zbliżali się, malując na wybranych drzwiach litery LSR, piłka przeleciała w powietrzu do wysokiego chłopaka nazwiskiem Klaus Behrig.

LSR

Luftschutzraum

Schron przeciwlotniczy

Chłopak obrócił się i wpadł na Liesel, która nadbiegała z drugiej strony. Kolizja była tak poważna, że natychmiast przerwano grę. Piłka potoczyła się za boisko, zbiegli się gracze. Liesel trzymała się jedną ręką za skaleczone kolano, drugą za głowę. Klaus Behrig masował sobie gołęń, klął i przysięgał, że ją zabije.

Nie było mowy o zabijaniu.

Zdarzyło się coś gorszego.

Jeden z członków partii był świadkiem incydentu i natychmiast podbiegł do dzieciaków.

– Co jej się stało? – zapytał.

– To wariatka! – Klaus pokazał palcem na Liesel, co skłoniło mężczyznę do natychmiastowej pomocy. Jego przesiąknięty tytoniem oddech okrył twarz Liesel.

– Chyba już dziś nie pograsz, moje dziecko – powiedział. – Gdzie mieszkasz?

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Poradzę sobie.

Tylko odejdz ode mnie, odejdz!

Po chwili przybiegł Rudy, jak zawsze gotów się wtrącić.

– Odprowadzę cię – powiedział. Nie mógłby choć raz pilnować własnego nosa?

– Graj dalej, Rudy – powiedziała Liesel. – Naprawdę sama trafię.

– Nie, nie! – upierał się przy swoim Rudy. – To zajmie tylko minutę!

Liesel znów musiała coś wymyślić. Kiedy Rudy ją podniósł, znowu upadła na plecy.

– Idź po mojego tatę, Rudy – powiedziała, wpatrzona w nieskazitelnie niebieskie niebo. Żadnej chmurki. –

Zawołasz go, Rudy?

– Zostań – zawołał, odbiegając. – Tommy, przypilnuj jej. Niech się nie rusza.

– Przypilnuję jej, Rudy! – obiecał Tommy, stając nad nią. Liesel obserwowała przedstawiciela NSDAP. Po chwili ujrziała nad sobą spokojnego jak zawsze Hansa Hubermanna.

– Cześć, papo.

– Byłem ciekaw, kiedy to się stanie – powiedział z grymasem niezadowolenia. Podniósł ją i odprowadził do domu. Przerwany mecz toczył się dalej. Naziści byli już o parę numerów od ich drzwi. Pukali do sąsiadów, ale nikogo nie było.

– Pomóc panu, Herr Hubermann? – zawołał Rudy.

– Proszę grać dalej, Herr Steiner.

Herr Steiner. No i jak można było nie kochać papy?

Kiedy byli już w domu, Liesel zaczęła mówić, starając się znaleźć równowagę między milczeniem a rozpaczą.

– Papo...

– Nic nie mów.

– Przyszło NSDAP – szepnęła. Papa się odwrócił. Walczył z chęcią wyjrzenia na ulicę. – Szukają piwnic na schrony.

– Mądra dziewczynka – powiedział i zawołał Rosę.

Na zaplanowanie akcji mieli tylko chwilę.

Burza mózgów.

– Połóżmy go pod łóżkiem w pokoju Liesel – zaproponowała mama.

– I co? A jak przeszukają cały dom?

– Masz lepszy pomysł?

Poprawka: nie mieli nawet chwili. Rozległ się łomot do drzwi przy Himmelstrasse 33. Było za późno, by kogokolwiek gdziekolwiek przemieszczać.

Głos.

– Otwierać!

Ich serca biły na wyścigi nierównym rytmem. Liesel próbowała połknąć własne. Smak serca w ustach nie był miły.

– Jezus, Maria... – wyszeptała Rosa. Tym razem to papa stanął na wysokości zadania. Otworzył drzwi do piwnicy i dał ostrzegawczy sygnał. Kiedy wrócił, powiedział szybko:

– Słuchajcie, nie mamy czasu na sztuczki. Moglibyśmy ich odciągać na tysiąc sposobów, ale to nic nie da. Więc nie róbmy nic.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała Rosa. Jej oczy zrobiły się zupełnie okrągłe.

– Nic? Zwariowałaś?

Pukanie powtórzyło się.

– Nic – twardo powtórzył papa. – Nawet nie będziemy tam schodzić.

Czas się zatrzymał.

Rosa kiwnęła głową. Zderzona przez zdenerwowanie poszła otworzyć drzwi.

– Tylko spokojnie, Liesel, *verstehst?* – smagnął ją głos ojca.

– Tak, papo. – Liesel zajęła się swoim krwawiącym kolaniem.

– To ty! – odezwał się od drzwi człowiek, którego Rosa wypytywała o przyczynę najścia. – Zwariowana zawodniczka. – Uśmiechnął się. – Jak twoje kolano?

Zwykle nie wyobrażamy sobie hitlerowców jako poczciwych wesołków, ale ten mężczyzna z pewnością nim był. Wyglądał, jakby chciał kucnąć i obejrzeć skaleczenie.

Czy on wie? – zastanawiała się Liesel. Czy wyczuwa, że ukrywamy Żyda? Papa podszedł z mokrym kompresem i przyłożył go do jej krwawiącej nogi.

– Szczypie? – spytał. Jego srebrzyste oczy były na pozór spokojne, a lęk czający się w nich łatwo było wziąć za troskę o zbite kolano.

– A niech szczypie! – zawołała Rosa od drzwi kuchni. – Może to będzie dla niej nauczka.

– Chyba pani nie myśli, że ona od tego zmądrzeje, Frau...? – spytał mężczyzna ze śmiechem.

– Hubermann – dokończyła kartonowa twarz.

– ...Frau Hubermann, ja myślę, że to ona daje innym nauczki. – Uśmiechnął się do Liesel. – Tym wszystkim chłopakom. Mam rację, panienko?

Papa docisnął opatrunek do rany, aż Liesel się skrzywiła i nic nie powiedziała. Hans przeprosił ją spokojnie.

Zapadła niezręczna cisza. Wreszcie mężczyzna przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

– Jeśli państwo pozwolą – powiedział – rzucę okiem na piwnicę. To zajmie dosłownie chwilkę. Muszę sprawdzić, czy nadaje się na schron.

- Będziesz miała piękną bliznę, Liesel – dokończył opatrunek papa i zwrócił się do mężczyzny, jakby dopiero teraz go zauważył: – Oczywiście, bardzo proszę. Pierwsze drzwi na prawo. Proszę nam wybaczyć bałagan.
- To mi nie przeszkadza. Na pewno nie jest w gorszym stanie niż kilka, które dzisiaj widziałem. Te drzwi?
- Zgadza się.

NAJDŁUŻSZE TRZY MINUTY W ŻYCIU

RODZINY HUBERMANNÓW

Papa siedział przy stole. Rosa bezgłośnie modliła się w kącie.

Liesel była ugotowana w całości – z kolanem, klatką piersiową, mięśniami ramion. Wątpię, czy którekolwiek z nich miało dość śmiałości, by rozważać, co będzie, jeśli piwnica zostanie zakwalifikowana jako schron.

Na razie musieli przeżyć inspekcję.

Słuchali kroków na dole i szczęku taśmy mierniczej. Liesel nie mogła odegnąć od siebie wizji Maksa skulonego pod schodami, ze swą rysunkową książką przyciśniętą do piersi.

Papa wstał. Miał nowy pomysł. Podeszedł do piwnicznych drzwi i zawołał:

- Wszystko w porządku?
- Tak, jeszcze chwilę – odpowiedź przetoczyła się nad głową Maksa Vandenburga.
- Napije się pan kawy albo herbaty?
- Nie, dziękuję!

Kiedy papa wrócił do kuchni, kazał Liesel wziąć książkę, a mamie gotować. Ostatnia rzecz, jaką powinni robić, to siedzieć jak kukły i się zamartwiać.

– No, rusz się, Liesel – powiedział głośno. – Zbiłaś kolano, to trudno. Ale teraz masz dokończyć czytać, tak jak obiecałaś.

– Dobrze, papo – odpowiedziała bliska załamania Liesel.

– To na co czekasz? – mrugnął do niej, co kosztowało go mnóstwo wysiłku.

W korytarzu o mało nie wpadła na człowieka z NSDAP.

– Tata się gniewa, co? Nie przejmuj się. Ja mam to samo z moimi dziećmi.

Rozeszli się, każde w swoją stronę. Kiedy Liesel znalazła się w pokoju, zamknęła drzwi i padła na kolana, nie bacząc na ból. Najpierw wysłuchała wyjaśnień, że piwnica ma za niski strop, a potem były pożegnania – jedno wykrzyknięte specjalnie do niej:

- Do widzenia, zwariowana zawodniczko!
- *Auf Wiedersehen!* Do widzenia! – zmusiła się do poprawnego zachowania.

Tragarz snów aż kipiał jej w rękach.

Papa powiedział potem, że Rosa niemal zemdląca przy kuchni, kiedy tylko drzwi się zamknęły. Oboje zabrali Liesel i zeszli do piwnicy. Rozebrali misterną konstrukcję ze starej pościeli i pustych puszek po farbie. Max

Vandenburg siedział pod schodami, dzierżąc zardzewiałe nożyczki jak nóż. Był zlany potem, a z ust wypadały mu słowa jak rany.

– Nie użyłbym ich – powiedział spokojnie. – Ja... – Przytknął do czoła zardzewiałą broń. – Przykro mi, że was na to naraziłem.

Papa zapalił papierosa. Rosa skonfiskowała nożyczki.

– Żyjesz – powiedziała. – I my też żyjemy.

Teraz było za późno na jakiegokolwiek przeprosiny.

ŻARTOWNIS

Parę minut później znów rozległo się stukanie do drzwi.

– O Boże, jeszcze jeden!

Lęk natychmiast powrócił.

Max się schował.

Rosa wdrapała się po piwnicznych schodach na górę i otworzyła, ale przed drzwiami nie było hitlerowców, tylko Rudy Steiner. Stał tam ze swymi żółtymi włosami, pełen najlepszych intencji.

– Przyszedłem spytać, jak się czuje Liesel.

– Sama to załatwię – zawołała Liesel, słysząc z piwnicy znajomy głos.

– To jej narzeczony – zwrócił się papa do puszek po farbie. Wypuścił kłęb dymu.

– To nie jest mój narzeczony – zaprotestowała Liesel, ale, o dziwo, wcale nie była zagniewana. Po emocjach, które przeżyli, nie było jej stać na nowe. – Idę do niego, żeby mama nie zaczęła krzyczeć.

– Liesel!

– A nie mówiłam? – spytała z piątego schodka.

Kiedy podeszła do drzwi, zobaczyła Rudy'ego przestępującego z nogi na nogę.

– Przyszedłem, żeby... – zmarszczył nos. – Co to za zapach? Palilaś papierosy?

– Nie. Siedziałam z papą.

– A nie masz przypadkiem papierosów? Moglibyśmy zahandlować.

Liesel nie miała nastroju. Odezwała się cicho, tak, żeby mama nie słyszała.

– Nie kradnę od mojego taty.

– Ale w innych miejscach kradniesz.

– Dalej, może zaczniesz krzyczeć na cały głos.

– Widzisz, co złodziejstwo robi z człowieka – zażartował Rudy. – Cała się trzęsiesz.

– Tak jakbyś sam nie kradł.

– Kradłem, ale to ty śmiesz się z złodziejstwem na odległość – rozpędzał się Rudy. – Może to nie papierosy, tylko to. – Pochylił się ku niej. – Wyczuwam w tobie kryminalistkę. Lepiej się wykąp. Hej, Tommy! Chodź tu i ją powąchaj! – zawołał do kolegi.

– Co mówiłeś? – Naiwny Tommy. – Nie dosłyszałem.

– Beznadziejny przypadek – potrząsnął głową Rudy.

– Spadaj, *Saukerl*, jesteś ostatnią osobą, z którą chce mi się teraz gadać – Liesel zaczęła zamykać drzwi.

Zadowolony z siebie Rudy wrócił na ulicę. Zatrzymał się przy skrzynce na listy i zawrócił.

– *Alles gut, Saumensch?* Z tym skaleczeniem?

Był czerwiec. Niemcy.

Sprawy zaczynały się psuć.

Liesel nie miała o tym pojęcia. Dla niej ważne było, że nikt nie odkrył Żyda w piwnicy. Że nie aresztowano jej przybranych rodziców i że ona sama znacznie się do tego przyczyniła.

– Wszystko dobrze – powiedziała, ale nie miała na myśli zranionej nogi.

Czuła się naprawdę dobrze.

Nadeszło lato.

W życiu złodziejki książek wszystko układało się dobrze.

Jeśli o mnie chodzi, niebo nabrało koloru Żydów.

Kiedy ich ciała przestawały szukać szczelin w drzwiach, podnosiły się ich dusze. Ich paznokcie skrobały w drewno albo wczepiały się w nie ostatkiem sił, a dusze w moje ramiona. Wyływaliśmy z kabin natryskowych na dach, w otchłań nieskończoności. Dostarczano mi ich bez końca, minuta po minucie, natrysk po natrysku.

Nigdy nie zapomnę pierwszego dnia w Auschwitz i pierwszego dnia w Mauthausen. W tym drugim obozie zbierałem dusze także u podnóża urwiska, gdzie kończyły się nieudane ucieczki. Leżały tam połamane ciała i słodkie, martwe serca. Jednak nawet to było lepsze od gazu. Niektóre dusze łowiłem w połowie drogi z klifu. Uratowałem was, myślałem, zgarniając je w locie, podczas gdy ich ziemskie powłoki spadały na ziemię. Były lekkie jak puste orzechy. Nad obozami rozciągało się zadymione niebo. Pachniało jak wygasły, zimny piec.

Mam dreszcze na samo wspomnienie.

Chuchałem w ręce, żeby ogrzać dusze.

Ale trudno je rozgrzać, jeśli wciąż dygocą.

Boże.

Zawsze wymawiam to imię, gdy o nim myślę.

Boże.

Wymawiam je głośno.

Wymawiam Jego imię w daremnej próbie zrozumienia. „Twoja praca nie polega na rozumieniu” – przekonuję sam siebie. Bóg nigdy się nie odzywa. Myślicie, że to milczenie tylko was dotyczy? „Twoja praca to...” Przestaję słuchać sam siebie, bo, mówiąc bez ogródek, męczy mnie to. Kiedy zaczynam myśleć w ten sposób, czuję się śmiertelnie wyczerpany, a nie mam tego luksusu, by pozwolić sobie na wypoczynek. Zmuszony jestem pracować bez końca, bo choć nie dotyczy to wszystkich ludzi, dotyczy absolutnej większości – śmierć nie czeka na nikogo, a jeśli czeka, to niezbyt długo.

23 czerwca 1942 roku w niemieckim obozie na polskiej ziemi znalazł się transport francuskich Żydów. Pierwsza dusza, którą zabrałem, należała do człowieka znajdującego się blisko drzwi. Jego umysł szalał, potem zwolnił obroty, potem zwalniał coraz bardziej, coraz bardziej...

Musicie mi uwierzyć, gdy powiem, że tego dnia zbierałem te dusze, jakby były duszami noworodków. Kilka nawet ucałowałem w wyniszczone, zatrute policzki. Słuchałem cichnących krzyków, ostatnich oddechów, zanikających słów. Patrzyłem na piękne obrazy przed ich oczami i uwalniałem ich od strachu.

Zabrałem wszystkich. Bardzo potrzebowałem chwili oderwania. W całkowitej samotności spojrzałem w górę.

Patrzyłem, jak niebo ze srebrzystego robi się szare i deszczowe. Nawet chmury starały się patrzeć w inną stronę.

Czasem wyobrażałem sobie, co jest ponad tymi chmurami, wiedząc bez pytania, że jest tam jasne słońce i atmosfera nieskończona jak gigantyczne błękitne oko.

Byli Francuzami, byli Żydami, byli wami.

CZEŚĆ SIÓDMA

WIELKI SŁOWNIK DUDENA

Występują:

szampan i akordeon – trylogia – syreny – złodziej nieba – oferta – długi marsz do Dachau – spokój – idiota i ludzie w płaszcach

SZAMPAN I AKORDEON

Latem 1942 roku Molching szykowało się na nieuniknione. Owszem, niektórzy ludzie żyli w przekonaniu, że takie małe miasteczko na obrzeżach Monachium nie może być celem strategicznym, ale znakomita większość nie pytała „czy”, ale „kiedy”. Schrony dokładnie oznaczono, okna zaciemniano na noc i każdy wiedział, gdzie jest najbliższa piwnica.

Dla Hansa Hubermanna ten nerwowy okres był jak odroczenie wyroku. Czasy były ciężkie, ale jego malarski interes właśnie dlatego rozkwitł. Ludzie, którzy mieli rolety i żaluzje, na gwałt zamawiali ich pomalowanie. Problem leżał w tym, że normalnie Hans używał czarnej farby tylko jako domieszki, a teraz było o nią ciężko. Niemniej jednak był dobrym fachowcem, a dobrzy fachowcy mają swoje sposoby. Barwił farbę miałem węglowym, a poza tym był tani. W wielu dzielnicach Molching ukrył świecące okna przed oczami nieprzyjaciela. Czasem Liesel towarzyszyła mu w pracy.

Ciągnęli wózek przez miasto, na jednych ulicach wyczuwając głód, na innych kręcąc głowami na widok bogactwa. Wiele razy gdy wracał do domu, kobiety zaopatrzone tylko w dzieci i biedę błagały o pomalowanie okien. – Przykro mi, Frau Hallah, ale wyszła czarna farba – odpowiadał Hans, ale po kilku krokach się załamywał. Wysoki mężczyzna na długiej ulicy. – Pomaluję jutro z samego rana – obiecywał. No i od świtu pracował, malując blindy za nic, za filiżankę herbaty lub kawałek ciasta. Wiezorami swoją metodą zamieniał kolor niebieski, zielony czy beżowy na czarny. Nigdy nie radził tym kobietom, by zasłaniały okna kocami, bo wiedział, że przyjdzie zima i będą ich potrzebować. Ludzie wiedzieli, że pomaluje okno nawet za połówkę papierosa, dzielonego na schodach z gospodarzem, mach po machu. Były rozmowy, był dym i śmiech, a potem Hans ruszał do następnej pracy.

W końcu przyszedł czas pisania. Pamiętam dokładnie, jak Liesel Meminger opisała tamto lato. Wiele słów zbladło wraz z upływem dekad, papier kartek dziennika też ucierpiał w mojej kieszeni, ale niektórych zdań nie potrafię zapomnieć.

PRZYKŁAD DZIEWCZĘCYCH ZAPISKÓW

Tamto lato było nowym początkiem i początkiem końca.

**Kiedy patrzę wstecz, widzę swoje ręce mokre od farby
i słyszę kroki Papy na Münchenstrasse. Wiem, że ten mały
kawałek lata 1942 roku należał do tego jednego człowieka.**

Kto inny malowałby za pół papierosa? Tylko Papa.

Cały on. Kochałam go.

Każdego dnia kiedy pracowali razem, Hans opowiadał Liesel o swoim życiu. O Wielkiej Wojnie, o tym, jak jego niewyrobiony charakter pisma uratował mu życie, o dniu, w którym poznał mamę. Opowiadał, że kiedyś była ładna i ładnie się wyrażała.

– Wiem, Liesel, że dziś trudno w to uwierzyć, ale to absolutna prawda. Każdego dnia opowiadał inną historię, a Liesel wybaczała mu, kiedy się powtarzał.

Gdy zdarzało jej się popaść w rozmarzenie, papa budził ją, pukając delikatnie pędzlem między oczy. Jeśli nie całkiem dobrze wycelował lub na pędzlu było za dużo farby, krople ściekały jej po nosie. Chichotała wtedy,

usiłując się odegrać, ale Hansa Hubermanna trudno było wykiwać, gdy pracował. Dopiero wtedy naprawdę odżywał.

Podczas przerwy śniadaniowej grał jej na akordeonie i to Liesel zapamiętała najlepiej. Każdego ranka, gdy ładowali wózek, Liesel przynosiła instrument.

– Lepiej zapomnieć farby z domu, niż zapomnieć o muzyce? – żartował. Gdy przychodziła pora na jedzenie, kroił chleb i smarował go resztkami marmolady z racji żywnościowych. Albo kładł na nim cienki plasterek wędliny. Jadali razem, siedząc na puszkach farby, a przy ostatnim kęsie, jeszcze żując, papa wyciągał z futerału akordeon. Kombinezon miał obsypany okruchami chleba. Poplamione farbą palce przebiegały po klawiaturze, żeby uzyskać właściwą tonację. Łokciami przyciskał miech, dostarczając instrumentowi potrzebnego mu do oddychania powietrza.

Liesel siedziała z rękami między kolanami, w długich promieniach dziennego światła. Za każdym razem marzyła, żeby taki dzień trwał bez końca i z niechęcią witała zmrok.

Jeśli chodzi o malowanie, to Liesel najbardziej interesowało mieszanie barw. Tak jak większość ludzi myślała kiedyś, że papa po prostu zaopatruje się w specjalnych sklepach, gdzie dostaje jakie chce kolory, już gotowe. Nie zdawała sobie sprawy, że większość farb sprzedaje się w proszku albo w cegiełkach. Trzeba je było rozgniatać pustą butelką po szampanie. (Zdaniem papy butelki takie nadawały się do tego wprost idealnie, jako że szkło miały grubsze niż zwykłe butelki po winie). Kiedy proszek był przygotowany, mieszało się go z wodą, kredą i klejem, nie mówiąc o skomplikowanych zabiegach uzyskiwania właściwego odcienia.

Znajomość zawodu kazała Liesel jeszcze bardziej szanować papę. Miło było dzielić z nim chleb i muzykę, ale Liesel cieszyła się, że jest takim świetnym rzemieślnikiem. Imponowała jej kompetencja.

Pewnego popołudnia, w kilka dni po nauce mieszania farb, pracowali w jednym z najbogatszych domów przy Münchenstrasse. Zanim przenieśli się pod inny adres, papa zawołał Liesel do środka.

Została zaprowadzona do kuchni, gdzie na pięknych rzeźbionych krzesłach siedzieli starsi państwo: dwie kobiety i mężczyzna. Kobiety nosiły wytworne suknie. Starszy pan miał srebrne włosy i gęste bokobrody. Na stole stały kieliszki wypełnione gazowanym płynem.

– Na zdrowie – powiedział pan.

Podniósł kieliszek, a wszyscy inni uczynili to samo.

Dzień był ciepły. Liesel zdziwiła się, że kieliszek jest taki zimny. Spojrzała na papę, a on skinął głową. Uśmiechnął się i powiedział:

– *Prost, Mädle* – na zdrowie, panienko.

Stuknęli się kieliszkami, a kiedy Liesel podniosła swój do ust, odrzuciły ją musujące bąbelki i słodkawy smak szampana. Odruchowo wypłuła płyn na papę. Szampan zapienił się i ściekł. Towarzyszył temu zbiorowy wybuch śmiechu. Hans namówił ją, by skosztowała jeszcze raz. Udało jej się przełknąć i poznać wreszcie zakazany owoc. Było wspaniale. Bąbelki szczypały w język i łaskotały żołądek. Kiedy szli z wózkiem do kolejnego domu, wciąż czuła w środku śmieszne ukłucia i podszczypywania.

Po drodze papa powiedział jej, że właściciele nie mieli pieniędzy.

– Więc poprosiłeś o szampana?

- A czemu nie? – spojrzał z ukosa. Jego srebrzyste oczy świeciły mocniejszym blaskiem niż zwykle. – Nie chciałem, żebyś myślała, że butelki od szampana służą tylko do rozgniatania farby. Tylko ani słowa mamie, zgoda?
- ostrzegł ją.
- Ale Maksowi mogę powiedzieć?
- Pewnie, Maksowi możesz.

Kiedy Liesel opisywała w piwnicy swoje życie, poprzysięgła sobie, że już nigdy nie tknie szampana, bo nigdy nie będzie smakował tak, jak tamtego ciepłego popołudnia w lipcu.

To samo było z akordeonem.

Wiele razy pragnęła poprosić papę, żeby nauczył ją grać, ale zawsze coś stawiało na przeszkodzie. Być może intuicja podpowiadała jej, że nigdy nie zagra tak jak Hans Hubermann, do którego, jej zdaniem, nie umywali się najwięksi światowi akordeoniści. Żaden nie miał na twarzy wyrazu takiej koncentracji jak papa. Żaden nie grał z popapranym farbą papierosem w zębach. Żaden nie robił takich małych kiksów w rejestrach. Nikt nie mógł się z nim równać.

Czasami, w piwnicy, budziła się na wspomnienie dźwięków akordeonu. Na języku czuła wtedy słodkie szczypanie szampana.

Czasem opierała się o ścianę, marząc, by strużka rozgrzanej farby znów spłynęła jej po nosie lub by znów zobaczyć stwardniałe jak papier ścierny dłonie papy.

Gdyby mógł powrócić ów stan błogosławionej nieświadomości, nieuświadomionej miłości, którą myliła z radością żartowania i jedzenia razem chleba z ciekawą warstwą marmolady.

Były to najmielsze chwile w jej życiu.

Ale przyszły naloty dywanowe.

Pamiętajcie o tym.

Trylogia jasnego, niczym niezmaconego szczęścia trwała przez lato i początek jesieni. I wtedy przyszedł gwałtowny koniec, a za jasnością pokazało się cierpienie.

Nadchodziły ciężkie czasy.

Paradnym krokiem.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 1

***Zufriedenheit* – zadowolenie;**

być zadowolonym – odczuwać

przyjemność i satysfakcję.

Zbliżone pojęcia: radość, pomyślność,

dobra passa, powodzenie.

TRYLOGIA

Liesel pracowała, Rudy biegał.

Ćwiczył na Stadionie Huberta, biegał po całej dzielnicy i dokładał każdemu w wyścigach przez Himmelstrasse aż do sklepu Frau Diller.

Czasami gdy Liesel pomagała mamie w kuchni, ta wyglądała przez okno i komentowała:

- Co ten mały *Saukerl* kombinuje tym razem? Nic, tylko biega i biega.
- Ale przynajmniej nie maluje twarzy na czarno – sprawdzała jego wygląd Liesel.
- No, to już coś, prawda?

MOTYWACJE RUDY’EGO

Na połowę sierpnia zaplanowano

igrzyska Hitlerjugend, w których Rudy

miał zamiar wziąć udział i zwyciężyć na

dystansie 1500, 400, 200 i oczywiście 100 metrów.

Lubił swoich nowych dowódców i chciał im

zrobić przyjemność, a przy okazji zagrać na nosie

staremu przyjacielowi Franzowi Deutscherowi.

- Zdobęde cztery złote medale – oświadczył Liesel pewnego popołudnia, kiedy wraz z nim robiła okrążenia na stadionie Huberta. – Tak jak Jesse Owens w 1936 roku. – Oddychał w tym samym rytmie, w jakim biegł.
- Ale chyba już ci trochę przeszła ta miłość do niego?
- Trochę, ale i tak byłoby fajnie, co nie? Chciałbym utrzyć nosa tym wszystkim sukinsynom, co to mówili, że zwariowałem. Zobaczą, że nie jestem taki głupi, jak im się wydaje.
- Ale jakim cudem możesz wygrać we wszystkich czterech konkurencjach? – Zatrzymali się na końcu toru. Rudy dumnie podparł się pod boki.
- Muszę.

Trenował przez sześć tygodni, a gdy w połowie sierpnia nastał dzień zawodów, niebo było bezchmurne i świeciło słońce. Na trawie kłębili się chłopcy z Hitlerjugend, ich rodzice i tłum dowódców w brunatnych koszulach. Rudy Steiner był w szczytowej formie.

– Patrz, tam stoi Deutscher – pokazał palcem.

W tłumie dało się rozpoznać blond ideał Hitlerowskiej Młodzieży, komenderujący adiutantami ze swego oddziału. Obaj kiwali głowami, rozciągnięci jak struny. Jeden z nich osłonił oczy od słońca gestem wojskowego salutu.

– Chcesz się przywitać? – spytała Liesel.

– Nie, dziękuję. Może później.

Kiedy wygram.

Słowa te nie zostały głośno wypowiedziane, ale wisiały w powietrzu między błękitnymi oczami Rudy’ego i rozkazującym palcem Deutschera.

Paradę rozpoczął marsz wokół stadionu.

Potem hymn.

Potem *Heil Hitler*.

I już można było zaczynać.

Kiedy grupę Rudy'ego wezwano do biegu na 1500 metrów, Liesel życzyła mu szczęścia w typowo niemiecki sposób.

– *Hals und Beinbruch, Saukerl*.

Skręcenia karku i połamanie nóg.

Chłopcy ustawiali się do startu po drugiej stronie owalnej bieżni. Niektórzy się koncentrowali, inni gimnastykowali, ale większość po prostu stała i czekała.

Obok Liesel siedziała mama Rudy'ego, Barbara, z najmłodszym dzieckiem. Na cienkim kocu kłębiła się reszta dzieci.

– Widzicie Rudy'ego? – spytała Barbara. Ta kobieta zawsze wyglądała jak prosto od fryzjera. – Jest pierwszy od lewej.

– Gdzie? – spytała najmłodsza z córek, Bettina. – Ja go nie widzę.

– No, tam na końcu. Nie, nie tam. Tam.

Próby identyfikacji przerwał wystrzał sędziego. Mali Steinerowie podbiegli do barierki.

Siedmiu chłopców ruszyło z bloków startowych. Przy drugim okrążeniu zostało ich pięciu, przy trzecim czterech. Rudy był na czwartej pozycji aż do ostatniego okrążenia. Jakiś pan po prawej powiedział, że obstawia tego, który w tym momencie był drugi. Był najwyższy.

– Poczekaj tylko – przekonywał swą niepewną żonę. – Odsadzi się od nich na dwieście metrów. – Mylił się.

Olbrzymi tłusty oficjel w brunatnej koszuli poinformował kibiców, że zostało ostatnie okrążenie. Ten z pewnością nie narzekał na brak kartek żywnościowych. Dopingował zawodników, ale to nie drugi wysforował się na czoło, tylko czwarty. I pobił pozostałych o dwieście metrów.

Rudy biegł.

Nie obejrzał się ani razu.

Wydłużał przewagę jak elastyczną taśmę, biegnąc po zwycięstwo, podczas gdy pozostała trójka walczyła o ochłapy. Na ostatniej prostej widać było tylko blond głowę prującą przestrzeń jak pocisk. Rudy nie przestał biec nawet po przekroczeniu mety. Nie uniósł tryumfalnie ręki. Nie zrelaksował się. Oddalił się o dwadzieścia metrów i stamtąd obserwował rywali, którzy mijali metę.

Wracając na rodzinny koc, najpierw natknął się na obecnych dowódców, potem na Franza Deutschera. Obaj skinęli głowami.

– Cześć, Steiner.

– Cześć, Deutscher.

– Wychodzi na to, że mój trening przyniósł ci sukces?

– Na to wygląda.

Rudy postanowił, że się nie uśmiechnie, póki nie wygra wszystkich czterech wyścigów.

WARTE ODNOTOWANIA

**Rudy był odtąd uznawany nie tylko za dobrego ucznia,
Ale także doskonałego sportowca.**

Liesel startowała na 400 metrów. Była siódma, a na 200 metrów, po wyciśnięciu ostatnich potów, czwarta.

Wszystko, co przed sobą widziała, to migające łydki i rozkołysane końskie ogony przeciwniczek. Mimo że skok w dal sprawił jej przyjemność, wynik tego nie potwierdził. Ten dzień niewątpliwie należał do Rudy'ego.

W biegu na 400 metrów prowadził przez całą ostatnią prostą. Na 200 metrów wygrał o włos.

– Jesteś zmęczony? – spytała Liesel.

– Oczywiście, że nie. – Oddychał ciężko i masował łydki. – Co ty wygadujesz, *Saumensch*? Co ty w ogóle wiesz?

Kiedy wezwano zawodników biegu na 100 metrów, Rudy wstał z wolna i powlókł się za grupą nastolatków na tor.

Liesel szła za nim. Pociągnęła go za rękaw.

– Trzymam kciuki.

– Nie jestem zmęczony – powiedział.

– Wiem.

Mrugnął do niej.

Był bardzo zmęczony.

Zwlekał do ostatniej sekundy z wejściem na start. Dwóch innych chłopców było w znakomitej formie i Liesel przeczuwała, że tym razem Rudy nie zdoła wygrać. Tommy Müller, który ukończył swój bieg drugi od końca, stanął obok niej przy barierze.

– On wygra – powiedział.

Nie mógł wygrać.

Kiedy finaliści ustawili się na linii startu, Rudy pochylił się i zaczął kopać dołek. Łysy gość w brunatnej koszuli kazał mu natychmiast przestać. Liesel obserwowała, jak macha palcem i jak Rudy otrzepuje z ziemi brudne ręce.

Kiedy wezwano zawodników do startu, zacisnęła dłonie na barierze. Jeden z chłopców spowodował falstart. Był to Rudy. Sędzia powiedział mu, że jak się to jeszcze raz powtórzy, wylatuje.

Dano sygnał do powtórnego startu. Liesel wyobrażała sobie bieg, w którym Rudy się męczy, ale na ostatnich dziesięciu metrach zwycięża. Tymczasem znów zdarzył się falstart, znów z winy tego samego zawodnika. Więc w rzeczywistości Liesel była świadkiem dyskwalifikacji Rudy'ego. Odprowadzono go na bok i stamtąd obserwował wyścig.

Inni chłopcy ustawili się i wystartowali.

Na ostatnich pięciu metrach pokonał przeciwników długonogi chłopak o kasztanowych włosach.

Rudy stał.

Później, gdy dzień się już kończył i słońce znikło z Himmelstrasse, Liesel siedziała ze swym przyjacielem na chodniku.

Rozmawiali o wszystkim, poczynając od miny Franza Deutschera po biegu na 1500 metrów po histerię dziesięciolatki, która zgubiła dysk.

Zanim wrócili do domów, Rudy wyznał Liesel prawdę. Na sekundę przycupnęła na jej ramieniu, po czym trafiła do ucha.

GŁOS RUDY'EGO

Zrobiłem to specjalnie.

Po tym wyznaniu Liesel zadała tylko jedno możliwe w tej sytuacji pytanie:

– Ale dlaczego, Rudy? Czemu to zrobiłeś?

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się do siebie i nonszalanckim krokiem odszedł do domu. Nigdy już nie wrócili do tego tematu.

Liesel często myślała nad tym, co powiedziałaby jej Rudy, gdyby go wtedy przycisnęła. Być może trzy medale wystarczyły, by dowiódł tego, czego chciał dowieść. Może bał się, że w ostatnim biegu nie powtórzy sukcesu. Wreszcie nastoletnia intuicja nasunęła jej jedyną prawdopodobną odpowiedź – zrobił to, bo nie jest Jesse Owensem.

Wstając, Liesel zauważyła pozostawione na chodniku trzy medale. Zapukała do Steinerów, chcąc je oddać Rudy'emu.

– Zapomniałeś ich.

– Nie zapomniałem.

Zamknął drzwi, a Liesel zabrała medale do domu. Zniosła je do piwnicy i opowiedziała Maksowi o swoim przyjacielu Rudym Steinerze.

– On jest strasznie głupi – zakończyła.

– No jasne – potwierdził Max, ale wątpię, czy dał się zwieść.

Oboje zabrali się do swoich zajęć. Max rysował, Liesel czytała *Tragarza snów*. Dotarła do miejsca, gdzie bohater książki, młody ksiądz, zachwiał się w wierze po napotkaniu tajemniczej i pięknej kobiety.

Kiedy zamknęła książkę, Max zapytał, ile jej jeszcze zostało.

– Myślę, że za parę dni skończę.

– A potem zaczniesz nową?

– Możliwe, Max – złodziejka książek oparła się o ścianę i spojrzała w sufit. – Jeśli będę miała szczęście.

NASTĘPNA KSIĄŻKA

Nie chodzi o Słownik encyklopedyczny Dudena, jak moglibyście przypuszczać.

Nie, słownik pojawi się na końcu naszej małej trylogii, a jesteśmy dopiero w drugim stadium. Teraz Liesel skończy *Tragarza snów* i ukradnie *Pieśń w ciemności*. Jak zwykle z domu burmistrza. Jedyną różnicą było to, że wybrała się tam sama, bez Rudy'ego.

Był poranek, świeciło słońce, a na niebie wisiały kłębiaste chmurki.

Liesel stała pośrodku biblioteki burmistrza z głodem w palcach i tytułami książek na wargach. Tym razem pozwoliła sobie na pogłaskanie ich grzbietów, podobnie jak za pierwszą wizytą w tym pokoju. Mijając je, odczytywała tytuły.

Pod wiśniowym drzewem.

Dziesiąty porucznik.

Jak zwykle kusiło ją wiele książek, ale po kilku minutach zdecydowała się na *Pieśń w ciemności*. Głównie dlatego, że jej okładka była zielona, a nie miała jeszcze książki tego koloru w swej kolekcji. Wytłoczone na okładce litery były białe, a między nazwiskiem autora i tytułem widniał mały rysunek fletu. Wskoczyła z książką na parapet i zanim znikła, powiedziała „dziękuję”.

Brakowało jej Rudy’ego, ale z jakichś powodów tego akurat ranka złodziejka książek cieszyła się swą samotnością. Wypełniła swoje obowiązki i poszła poczytać nad rzekę, daleko od miejsc spotkań dawnej bandy Arthura Berga, teraz dowodzonej przez Viktora Chemmela. Nikt wtedy nie chodził, nikt jej nie przeszkadzał, więc Liesel przeczytała cztery krótkie rozdziały z *Pieśni w ciemności*. Była szczęśliwa.

Odczuwała przyjemność i satysfakcję.

Była dobrą złodziejką.

Tydzień później trylogia szczęścia się dopełniła.

Ostatniego dnia sierpnia został dostrzeżony dar.

Było późne popołudnie. Liesel patrzyła, jak Kristina Müller skacze na skakance na Himmelstrasse, gdy podjechał do niej Rudy Steiner na rowerze swego brata.

– Masz czas?

– Na co? – wzruszyła ramionami Liesel.

– Lepiej ze mną pojedź. – Zeskoczył z roweru i poleciał do domu po drugi. Liesel obserwowała obracające się pedały.

Dojechali do Grandestrasse, gdzie Rudy przystanął.

– No i co? – spytała Liesel.

– Popatrz tylko – wyciągnął palec Rudy.

Zajęli lepszą pozycję za srebrnym świerkiem. Przez klujące gałęzie Liesel spojrzała na zamknięte okno i przedmiot oparty o szybę.

– Czy to...?

Rudy kiwnął głową.

Długo się zastanawiali, co począć z tym fantem, aż w końcu ustalili, że muszą to zrobić. Książka została ustawiona specjalnie, była pułapką, ale wartą ryzyka.

– To coś dla złodziejki książek – szepnęła Liesel, ukryta między niebieskawymi igielkami.

Rzuciła rower, obejrzała się na ulicę i przebiegła przez podwórze. W mroczniejącą trawę zapadały cienie chmur.

Jak dziury, w które można wpaść, lub dodatkowe placki mroku, ułatwiające ukrywanie się. Liesel wyobraziła

sobie, że ślizga się i wpada w jedną z takich dziur, w sidła zastawione przez samego burmistrza. Ta myśl tak ją zaabsorbowała, że znalazła się przy oknie szybciej, niż oczekiwała.

Powtórka ze *Świstaka*.

Z nerwów powilgotniały jej dłonie.

Strumyczki potu spływały spod pach.

Kiedy uniosła głowę, przeczytała tytuł: *Duden. Wielki słownik encyklopedyczny*. Odwróciła głowę i bezgłośnie samym ruchem warg poinformowała Rudy'ego: „To jest słownik”. Wzruszył ramionami i wyciągnął ręce.

Liesel próbowała podciągnąć zasuwane okno do góry, zastanawiając się, czy z wnętrza domu cokolwiek widać.

Wyobraziła sobie swą złodziejską rękę podciągającą szybę i sięgającą po książkę, która upada pod własnym ciężarem, powoli niczym ścięte drzewo.

Zdobyła ją.

Bez hałasu i bez przeszkód.

Książka zwyczajnie się przechyliła, a ona ją schwyciła wolną ręką. Udało jej się nawet zaciągnąć na powrót okno, a potem wrócić przez podwórze chmurowych dziur.

– Pięknie – pochwalił ją Rudy, który trzymał rowery.

– Dzięki.

Dojechali do rogu, gdzie poczuli wagę tego dnia. Do Liesel powróciło znane już uczucie, że jest obserwowana.

Wewnętrzny głos krążył jej po głowie.

Popatrz w okno. Popatrz w okno.

Głos ją do tego zmusił.

Przymus, żeby się natychmiast zatrzymać, był bolesny jak drzazga za paznokciem.

Postawiła nogę na ziemi i obejrzała się na dom. Za oknem zobaczyła sylwetkę żony burmistrza. Była zszokowana, choć się tego spodziewała. Burmistrzowa była przezroczysta, ale tam stała. Jej nastroszone włosy wyglądały jak zawsze, twarz starała się nie okazywać wewnętrznego cierpienia.

Bardzo wolnym gestem uniosła rękę i pozdrowiła z oddali złodziejkę książek.

Oszołomiona Liesel nic nie mówiła, ani do Rudy'ego, ani do siebie. W odpowiedzi także podniosła rękę, żeby dać znak czekającej w oknie żonie burmistrza.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 2

***Verzeihung* – przebaczenie;**

oznacza koniec uczucia gniewu,

złości i urazy.

Zbliżone pojęcia:

rozgrzeszenie, ulaskawienie,

uniewinnienie.

Po drodze do domu przystanęli przy moście i obejrzeni gruby czarny tom. Przebiegając palcem strony, Rudy natrafił na list. Z namysłem podał go złodziejce książek.

– Tu jest twoje imię.

Rzeka płynęła.

Liesel wzięła kartkę.

LIST

Droga Liesel!

Wiem, że uważasz mnie za osobę żalosną i obmierzlą (sprawdź w słowniku, jeśli nie rozumiesz tego słowa), ale muszę ci powiedzieć, że nie jestem taka głupia, żeby nie dostrzec twoich śladów w bibliotece. Kiedy zauważyłam zniknięcie pierwszej książki, pomyślałam, że nie odłożyłam jej na miejsce. Ale wtedy zauważyłam na podłodze ślady stóp.

Uśmiechnęłam się.

Cieszyłam się, że wzięłaś sobie to, co i tak było twoją własnością. Wydawało mi się, że to będzie koniec całej sprawy.

Kiedy znów wróciłaś, powinnam się rozgniewać, ale nie czułam pretensji. Słyszałam, jak się zakradasz, ale postanowiłam cię nie płoszyć. Zawsze zabierasz jedną książkę, więc musiałabyś się tu włamać tysiąc razy, żeby zabrać wszystkie. Mam nadzieję, że pewnego dnia zastukasz do frontowych drzwi i wejdiesz do biblioteki normalną drogą.

Naprawdę mi przykro, że nie możemy dłużej zatrudniać twojej przybranej matki.

Liczę, że ten słownik okaże się przydatny przy lekturze twoich skradzionych książek.

Z poważaniem

Ilsa Hermann

– Jedźmy już – naglił Rudy, ale Liesel się nie ruszyła.

– Możesz poczekać dziesięć minut?

– Jasne.

Liesel pedałowiała w górę Grandestrasse do numeru ósmego. Weszła na znajomy podjazd. Książkę zostawiła Rudy'emu, ale miała w rękach złożony list. Ciężko jej było wejść na schody. Cztery razy próbowała zastukać w odstraszający masyw drzwi, ale jej się nie udało. Zdołała tylko dotknąć zwiniętą pięścią ciepłego drewna.

Znów zobaczyła brata. Stał u stóp schodów, blizna na kolanie ładnie mu się zagoiła. Namawiał:

– Zastukaj, Liesel, zastukaj.

Liesel odjechała i wkrótce zobaczyła na moście sylwetkę Rudy'ego. Wiatr mierzwił jej włosy, stopy na pedałach płynęły.

Liesel Meminger była kryminalistką.

I to nie dlatego, że wyniosła kilka książek przez otwarte okno.

Powinnaś zapukać, karciła się w duchu, ale choć miała poczucie winy, jednocześnie chciało jej się śmiać.

Jechała na rowerze i przemawiała do siebie.

Nie zasługujesz na takie szczęście, Liesel. Na pewno nie zasługujesz.

Czy człowiek może ukraść szczęście? Czy to tylko taka wewnętrzna, piekielna ludzka sztuczka?

Liesel otrząsnęła się z tych rozważań. Wjechała na most i zawołała, żeby Rudy ruszał za nią i nie zapomniał książki.

Na swych zardzewiałych rowerach pojechali do domu.

Jechali kilka kilometrów, od lata do jesieni, od spokojnej nocy do chrapliwego oddechu bombardowania Monachium.

RYK SYREN

Za niewielkie pieniądze zarobione tego lata Hans kupił i przyniósł do domu używane radio.

– Dzięki temu będziemy wiedzieć o nalotach, zanim włączą syreny – powiedział. – Nadają sygnał kukania, a potem informacje o zagrożonych rejonach.

Ustawił radio na stole i przekręcił włącznik. Próbowali uruchomić je w piwnicy, żeby Max miał rozrywkę, ale nie było słychać nic poza szmerami i zakłóceniami.

We wrześnie spali, więc nie usłyszeli komunikatu.

Albo radio było popsute, albo zagłuszył je natychmiast przeciągły ryk syren.

Ręka delikatnie potrząsnęła Liesel za ramię. Dotykowi towarzyszył zaniepokojony głos papy.

– Obudź się, Liesel. Musimy iść.

Liesel był tak nieprzytomna z rozespania, że nie widziała nawet jego twarzy. Jediną widzialną rzeczą był jego głos.

W holu Rosa kazała im się zatrzymać.

W ciemności zeszli do piwnicy.

Lampa się paliła.

Max wychynął zza puszek i prześcieradeł. Nerwowo tarł palcami spodnie.

– Musicie iść, co?

– Musimy. – Hans poklepał go po ramieniu. – Trzymaj się. Zajrzymy po powrocie.

– Jasne.

Rosa i Liesel także go uściskały.

– Do zobaczenia, Max.

Kilka tygodni wcześniej rozważali, czy w razie nalotu powinni wszyscy zostać we własnej piwnicy, czy iść do schronu u Fiedlerów. Przekonał ich Max.

– Ta piwnica jest za płytka. Już i tak dość was narażam.

– Ale to haniebne, że nie możesz iść z nami – pokiwał głową Hans.

– Takie jest życie.

Na zewnątrz wyły syreny, a ludzie w pośpiechu wybiegali z domów. Obserwowała ich noc. Niektórzy próbowali odpłacić jej tym samym i zadzierać głowy, wypatrując na niebie blaszanych samolocików.

Na Himmelstrasse aż się kłębiło od mieszkańców borykających się z tobołkami najcenniejszych rzeczy. Czasem było to dziecko, czasem album lub drewniana kasetka. Liesel ścisnęła pod pachą wszystkie swoje książki. Frau Holtzapfel, ta z wytrzeszczem, taszczyła walizę, drobiąc po chodniku małymi nóżkami. Papa, który zapomniał o wszystkim, nawet o swym akordeonie, podbiegł i wyrwał jej walizkę z ręki.

– Jezus, Maria, co pani tam nawsadzała? Młot z kowadłem?

– To same najpotrzebniejsze rzeczy – wyjaśniła, spiesząc za nim, Frau Holtzapfel.

Fiedlerowie mieszkali sześć numerów dalej. Rodzina liczyła cztery osoby i składała się z samych pszennowłosych i błękitnookich Germanów. Najważniejsze jednak, że mieli świetną, bardzo głęboką piwnicę. Stłoczyło się tam ponad dwadzieścia osób, w tym Steinerowie, Frau Holtzapfel, Pfiffikus, młody mężczyzna i rodzina Jensonów. Dla dobra publicznego Rosa Hubermann i Frau Holtzapfel zostały starannie rozdzielone, choć okoliczności nie sprzyjały kłótniom o drobiazgi.

Z sufitu zwisała pojedyncza żarówka, a pomieszczenie było zawilgocone i zimne. Nierówności ścian kłuły ludzi w plecy. Stłumiony dźwięk syren dobiegał aż tutaj, pozałamywany i drżący. I choć doceniali bezpieczeństwo tej piwnicy, byli zadowoleni, że sami wyłapią potrójny sygnał oznaczający koniec nalotu. Nie będą musieli czekać na Luftschutzwarda – inspektora lotniczego.

Rudy szybko znalazł się obok Liesel. Włosy mu sterczały do góry.

– Super, co?

– Cudownie – odparła z ironią.

– Daj spokój, Liesel, nie bądź taka. Co może się zdarzyć gorszego niż bomba, która nas tu pozabija?

Liesel rozejrzała się, oceniając ludzkie twarze. Układała w głowie listę najbardziej przerażonych.

LISTA LIESEL

1.Frau Holtzapfel

2.Pan Fiedler

3.Młody mężczyzna

4.Rosa Hubermann

Oczy Frau Holtzapfel były spłoszone, jej żyłaste ciało zamarło w bezruchu, a usta ułożyły się w kształt litery O. Pan Fiedler nerwowo i po wiele razy pytał ludzi, jak się czują. Młody człowiek, Rolf Schulz, zaszył się w kącie, szepcząc coś bezgłośnie i kłócąc się z powietrzem. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie. Rosa prawie niezauważalnie kiwała się w przód i w tył.

– Chodź tu – wyszeptwała do Liesel, po czym objęła ją mocno od tyłu. Śpiewała piosenkę, ale tak cicho, że Liesel nie wychwyciła słów. Nuty rodziły się wraz z oddechem i zamierały na wargach. Obok był papa, spokojny i nieruchomy. Raz podniósł rękę i położył ją na zimnej czaszce Liesel. Ten znak mówił: Będziesz żyć.

Na lewo zgromadzili się Alex i Barbara Steinerowie z najmłodszymi córeczkami, Emmą i Bettiną. Dziewczynki wczepiły się w nogę matki. Najstarszy chłopak, Kurt, stał w idealnej, wyuczonej w Hitlerjugend pozycji „bacznosc” i trzymał za rękę Karin, małą jak na swoje siedem lat. Dziesięcioletnia Anna Maria skubała wilgotny tynk ze ściany.

Za Steinerami stali Pfiffikus i Jensonowie. Pfiffikus powstrzymywał się od gwizdania. Brodaty pan Jenson mocno obejmował żonę. Dwójka ich dzieci drażniła się i zaczęła nawzajem, ale to nie była prawdziwa kłótnia.

Po dziesięciu minutach sytuacja w piwnicy się wyklarowała. Zapanował bezruch. Ściśnięte ciała co najwyżej przestępowały z nogi na nogę. Twarze zamarły jak maski. Ludzie patrzyli na siebie i czekali.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 3

Angst – strach;
silna, negatywna emocja
spowodowana perspektywą
zagrożenia.
Zbliżone pojęcia:
przerażenie, obawa, trwoga,
lęk, bojaźń, panika.

W innych schronach śpiewano *Deutschland über Alles* albo ludzie klócili się, kto ma bardziej śmierdzący oddech. W schronie Fiedlera było zupełnie inaczej. Tu istniał tylko strach, groza i martwa pieśń na kartonowych wargach Rosy Hubermann.

Jeszcze zanim usłyszeli sygnał odwołujący alarm, Alex Steiner, człowiek o drewnianej twarzy, oderwał córeczki od nogi żony i sięgnął po rękę syna. Spokojny Kurt mocniej ścisnął dłoń siostry. Wkrótce wszyscy zebrani w piwnicy Niemcy trzymali się za ręce, ustawieni w nierównym kręgu. Zimne dłonie roztopiały się w ciepłych, rytm tętna przenosił się z jednego ciała na drugie. Przenikał przez bladą, napiętą skórę. Niektórzy zamykali oczy, oczekując końca życia lub przynajmniej końca nalołu.

No, ale czy zasługiwali na coś lepszego?

Ilu z nich prześladowało bliźnich pod czujnym okiem Hitlera, powtarzając jego slogany, słowa, czyny? Czy Rosa Hubermann była winna wojny? Ona, która ukrywała Żyda? Albo Hans? Czy oboje zasłużyli na śmierć? A dzieci? Odpowiedź na te wszystkie pytania żywo mnie interesuje, choć nie mogę im ulec. Wiem tylko, że wszyscy ci ludzie tamtej nocy czuli przy sobie moją obecność, może poza najmłodszymi dziećmi. Byłem propozycją. Byłem radą. Moje niewidzialne stopy przechodziły z kuchni na korytarz.

Tak to bywa z ludźmi. Kiedy czytam o nich na przykład w dzienniku złodziejki książek, współczuję im, choć nie tak bardzo jak tamtym, zbieranym w obozach. Niemcy w piwnicy byli godni politowania, ale przynajmniej mieli jakąś szansę. Nie posłano ich do gazu. Ci ludzie wciąż mieli życie w zasięgu ręki.

W krzywym kręgu przesączały się minuty.

Liesel z jednej strony trzymała za rękę Rudy'ego, z drugiej mamę.

Smuciła ją tylko jedna myśl.

O Maksie.

Jak przeżyje, jeśli bomby spadną na Himmelstrasse?

Obejrzała jeszcze raz dokładnie piwnicę Fiedlerów. Bez wątpienia była znacznie głębsza i solidniejsza niż ta pod numerem 33.

Cicho spytała papę, czy też o tym myśli.

Czy usłyszał, czy nie, szybko kiwnął do niej głową. I zaraz potem rozległ się potrójny sygnał.

Ludzie w piwnicy domu przy Himmelstrasse 45 odetchnęli z ulgą.

Mrugali oczami.

Ktoś wyciągnął papierosa, podawanego potem z ust do ust.

Kiedy kolejka dotarła do Rudy'ego, ojciec skonfiskował zdobycz:

– To nie dla ciebie, Jesse Owens.

Dzieci rzucały się na szyję rodzicom i sporo czasu zajęło im uprzytomnienie sobie, że jednak żyją i zapewne będą żyć dalej. Dopiero wtedy na schodach zatupotały kroki.

Po wyjściu od Fiedlerów procesja ludzi w milczeniu ruszyła do swoich domów. Wielu się modliło i dziękowało Bogu.

Po powrocie do domu Hubermannowie poszli prosto do piwnicy. Wydawało się, że Maksa tam nie ma. Lampa dogasała, nie było śladu człowieka.

– Max?

– Zniknął.

– Max, jesteś tu?

– Jestem.

Wydawało im się, że głos dobiega zza ściany z farb i prześcieradeł, ale to Liesel pierwsza dostrzegła Maksa, dokładnie naprzeciwko. Jego zmęczoną twarz z trudem dawało się wyodrębnić spośród puszek i materiału. Siedział jak skamieniały. Kiedy podeszli, odezwał się.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– O czym ty mówisz? – Rosa przykucnęła przed nim.

– Ja... – walczył ze sobą. – Kiedy się uspokoiło, wyszedłem na korytarz. Zasłony w waszym pokoju nie były dokładnie zaciągnięte. Mogłem zobaczyć ulicę. Byłem tam tylko parę sekund.

Nie widział świata od dwudziestu dwóch miesięcy.

Nikt się nie gniewał i nie robił mu wymówek. Papa zadał pytanie.

– No i jak ci się podobało?

Max uniósł głowę. W oczach miał wielki smutek i zdziwienie.

– Widziałem gwiazdy. Spaliły mi oczy.

Czworo ludzi.

Dwoje stoi, dwoje siedzi.

Wszyscy tej nocy swoje przeżyli.

Byli w prawdziwej piwnicy. Przeżyli prawdziwy strach. Max podniósł się i ukrył za swoją maskującą ścianą.

Życzył im dobrej nocy, ale już nie wyszedł ze swego legowiska. Mama pozwoliła Liesel zostać przy nim na noc.

Ona czytała *Pieśń w ciemności*, on rysował.

„Gwiazdy z Himmelstrasse podpaliły moje oczy” – napisał.

Pierwszy nalot, jak się okazało, wcale nie był nalotem. Gdyby ludzie zostali na ulicy, oczekując samolotów, staliby na próżno całą noc. To dlatego radio nie kukało jak kukułka. „Molching Express” doniósł, że jakiś członek obrony przeciwlotniczej się pospieszył. Przysięgał potem, że słyszał silniki wroga i widział maszyny na horyzoncie.

Ogłosił alarm.

– Mógł to zrobić specjalnie – zauważył Hans Hubermann. – Komu by się chciało siedzieć na wieży i strzelać do bombowców?

Oczywiście, jak Max wyczytał potem w piwnicy, żołnierz o nazbyt wybujałej wyobraźni został natychmiast zdjęty z posterunku i przesunięty na inny odcinek.

– Życzę szczęścia, kolego – mruknął Max i zabrał się do krzyżówki.

Następny nalot był prawdziwy.

19 września w radiu zakukała kukułka, a następnie głęboki głos spikera poinformował, że Molching jest prawdopodobnym celem ataku.

I znów na Himmelstrasse wyszła kawalkada ludzi, a papa znów zapomniał akordeonu. Kiedy Rosa mu przypomniała, odmówił wzięcia instrumentu.

– Za pierwszym razem go nie wziąłem i przeżyliśmy.

Wojna najwyraźniej zacierała granice między logiką a zabobonem.

Do piwnicy Fiedlerów schodzili w upiornej atmosferze.

– Tym razem będzie na serio – powiedział pan Fiedler, a dzieci natychmiast wyczuły wzmożony lęk rodziców.

Najmłodsze zaczęły ryczeć i zawodzić, aż zatrzęsa się piwnica.

Nawet spod ziemi słyszeli głucho uderzenia bomb. Powietrze zrobiło się gęste, napierało z góry jak opadający sufit gotów przygwoździć ludzi do ziemi.

Puste ulice Molching zostały pokąsane.

Rosa z całej siły ścisnęła rękę Liesel.

Płacz dzieci przebijał bębenki w uszach.

Nawet Rudy stał wyprostowany jak struna, choć usiłował udawać nonszalancję i sprawdzać, jak poradzi sobie z napięciem. Ludzkie ręce i łokcie walczyły o przestrzeń. Dorośli usiłowali uspokoić płaczące pociechy. Inni próbowali uspokoić samych siebie.

– Niech ten bachor się zamknie – wrzasnęła Frau Holtzapfel, ale jej krzyk rozplynał się wśród innych bezradnych okrzyków. Dzieci zalewały brudne policzki łzami, w powietrzu unosił się odór niemytych zębów, potu pod pachami i brudnych ubrań. Ludzki kocioł wrzał.

– Mamo! – krzyknęła Liesel, choć dzieliło je kilka centymetrów. – Zgnieciesz mi rękę!

– Co?!

– Ręka!

Rosa puściła ją, a Liesel dla uspokojenia i oderwania od hałasu piwnicy otworzyła jedną ze swych książek i zaczęła czytać. Na samym wierzchu leżał *Świstak*. Wymówiła głośno tytuł, próbując się skoncentrować. Pierwszy akapit brzmiał martwo w jej uszach.

– Co mówiłaś? – ryknęła mama, ale Liesel nie zwracała na nią uwagi. Wczytywała się na głos w treść pierwszej strony, choć sama siebie nie słyszała.

Kiedy przeszła do strony drugiej, Rudy zauważył, co ona robi. Popukał w ramię braci i siostry, polecając im podać sygnał dalej. Po chwili podszedł Hans Hubermann i polecił ludziom gestem, żeby byli cicho. Atmosfera w piwnicy uspokoiła się. Kiedy Liesel doszła do strony trzeciej, wszyscy prócz niej milczeli jak grób.

Nie rozglądała się wokół siebie, ale czuła, jak liczne pary przerażonych oczu wiszą na niej i na odczytywanych przez nią słowach. W jej ciele głos grał jak z nut. To twój akordeon, mówił głos.

Melodię przerywał jedynie szelest przewracanych stron.

Liesel czytała.

Przez całe dwadzieścia minut. Małe dzieci uspokoiły się, słysząc monotony głos, a dorośli wyobrażali sobie Świstaka uciekającego z miejsca zbrodni. Liesel nie dzieliła tych wizji. Złodziejka książek kontentowała się pojedynczymi słowami, ich wyglądem na papierze, pokusą ich odczytywania po kolei. Gdzieś pomiędzy kropką a wielką literą kolejnego akapitu zwidował jej się Max. Pamiętała, jak mu czytała, kiedy chorował. Czy wciąż siedzi w piwnicy? Czy może znów patrzy w niebo?

MILA MYŚL

**Złodziejka książek i
złodziej nieba.**

Wszyscy czekali, aż ziemia zacznie się trząść. To był fakt, ale faktem było także, że oderwali się od tej myśli dzięki lekturze Liesel. Kiedy jeden z małych chłopców znów zaczął płakać, Liesel przerwała, mrugnęła do niego tak, jak robili to papa i Rudy. Wróciła do czytania.

Syreny zarzycały, pan Jenson przerwał Liesel.

– Możemy wracać.

– Cicho! – skarciła go Frau Holtzapfel. Liesel uniosła głowę.

– Zostały tylko dwa paragrafy do końca rozdziału – powiedziała i nadal czytała na głos, tym samym tonem i w tym samym tempie.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 4

Wort – słowo;

część języka mająca znaczenie / obietnica / krótka uwaga, stwierdzenie, rozmowa

Zbliżone pojęcia:

wyraz, termin, nazwa.

Z szacunku dla Liesel wszyscy do końca wysłuchali rozdziału *Świstaka*.

W drodze powrotnej młodsze dzieciaki wymijały Liesel, ale dorośli, w tym nawet Frau Holtzapfel i Pfiffikus (jakże właściwie, zważywszy na tytuł książki), podziękowali dziewczynce za ulgę w nieznośnym napięciu. Wszystko to działo się po drodze do domów, które chcieli jak najszybciej sprawdzić.

Himmelstrasse nie ucierpiała.

Jedynym znakiem wojny była chmura pyłu, przewalająca się ze wschodu na zachód. Kurz zaglądał do okien, usiłując wcisnąć się do środka. W jego oparach ludzie wyglądali jak widma.

Ich sylwetki znikły z ulicy.

Tupotali z walizkami.

– Jest mgła i popiół – relacjonował papa Maksowi. – Myślę, że za wcześnie odwołali alarm. – Spojrzał na Rosę. – Uważasz, że powinienem wyjść? Może trzeba sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy?

– Nie bądź idiotą – zimno odparła Rosa. – Zadławisz się tym dymem. Nie, *Saukerl*, zostajesz w domu. – Na jej kartonowej twarzy nagle odmalowała się duma. Popatrzyła na Hansa poważnym wzrokiem. – Zostań i opowiedz mu o naszej dziewczynce. – Lekko podniosła głos. – Powiedz mu o książce.

Max popatrzył na nią ze zdwojoną uwagą.

– Czytała *Świstaka* – poinformowała go Rosa. – Rozdział pierwszy. – I dokończyła opowieść o tym, co się zdarzyło w schronie.

Liesel stała w kącie piwnicy, a Max patrzył na nią, pocierając dłonią podbródek. To w tym momencie wymyślił tytuł dla swej rysowanej książki.

Strząsaczka słów.

Wyobraził sobie, jak dziewczynka czyta tę książkę w schronie. Bardzo dokładnie widział, jak wymawia słowa. Z równą dokładnością widział nad sobą cień Hitlera. Prawie słyszał jego kroki po Himmelstrasse, zmierzające do kryjówki w piwnicy. Po dłuższej pauzie zamierzał się odezwać, ale Liesel go uprzedziła.

– Widziałeś dziś niebo?

– Nie. – Max wskazał na ścianę, na której były wymalowane słowa i zrobiony ponad rok temu rysunek liny i kapiącego farbą słońca. – Tylko to.

Nikt się więcej nie odezwał. Wszyscy rozmyślali.

Trudno mi przemawiać za Maksa, Hansa czy Rosę, ale wiem na pewno, co myślała Liesel Meminger. Liesel myślała, że kiedy bomby wreszcie spadną na Himmelstrasse, Max nie tylko będzie miał najmniejsze szanse, by przeżyć, ale że zginie zupełnie sam.

OFERTA FRAU HOLTZAPFEL

Rano oszacowano straty. Nikt nie zginął, ale dwie kamienice zostały zburzone, a na ulubionym przez Rudy'ego boisku Hitlerjugend ział monstrualny lej po bombie. Ludzie porównywali jego głębokość z głębokością swoich piwnic. Chłopcy i dziewczęta pluli do środka.

– Chyba znów będą musieli nawozić teren – zauważył Rudy, który wraz z Liesel stał nad lejem.

Przez kolejne dwa tygodnie zapomniano o nalotach i życie wróciło do normy. Choć zaszły wówczas dwa znaczące fakty.

SENSACJE PAŹDZIERNIKA

Ręce Frau Holtzapfel.

Żydowska parada.

Jej zmarszczki były jak żywe oszczerstwo. Jej głos bił jak pałka.

Dobrze się stało, że zauważyli przez okna pokoju, jak się zbliża, bo jej zdecydowane walenie w drzwi było trudne do zniesienia. Oznaczało, że ma interes. A dla Liesel – okropne dla niej – polecenie otwarcia drzwi, które posłusznie wykonała.

– Mama w domu? – spytała Frau Holtzapfel. Skonstruowana z półwiecznego żelbetonu sylwetka stała na pierwszym stopniu i obserwowała ulicę. – Czy ta stara świnią wyjdzie ze mną gadać?

Liesel odwróciła się i zawołała mamę.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 5

***Gelegenheit* – okazja;**

szansa na poprawę bytu lub postęp.

Zbliżone pojęcia:

szansa, nadzieja, widoki, perspektywy.

Po chwili za plecami Liesel pojawiła się Rosa.

– Czego tu chcesz? Napluć mi na podłogę?

Frau Holtzapfel nie spieszyła się ani trochę.

– To tak witasz gości? Każdego? Co za *G'sindel*.

Złapana w pułapkę między dwie kobiety Liesel musiała tego wszystkiego słuchać. Rosa odsunęła ją gwałtownie.

– Powiesz mi, po co przyszedłeś, czy nie?

– Mam propozycję. – Frau Holtzapfel znów obejrzała się na ulicę.

– Coś podobnego? – Mama aż się wyprostowała.

– Nie dla ciebie. – Frau Holtzapfel popatrzyła na Liesel, ignorując Rosę. – Dla niej.

– To czego mnie się pytasz?

– Bo potrzebuję twojego pozwolenia.

O Boże, pomyślała Liesel. Tego tylko brakowało. Co ta stara Holtzapfel może ode mnie chcieć?

– Spodobała mi się ta książka, którą czytałaś w schronie.

– Tak? – spytała Liesel, poprzysięgając sobie w duchu: o nie, nie dostaniesz jej.

– Myślałam, że doczytasz resztę, ale na razie nie ma nalogów – wzruszyła ramionami Frau Holtzapfel. – No więc pomyślałam, że może do mnie przyjdiesz i przeczytasz ją do końca.

– Ależ ty jesteś bezczelna, Holtzapfel – powiedziała Rosa, jeszcze niezdecydowana, czy ma się wściec, czy nie. – Jak myślisz, że...

– Obiecuję, że przestanę ci pluć na drzwi – przerwała jej sąsiadka. – A poza tym oddam ci moją kartkową kawę.

– I pół mąki – Rosa postanowiła się nie wściekać.

– Coś ty, Żydówka jesteś? Dam ci tylko kawę. A jak chcesz, to ją sobie wymień na mąkę.

Sprawa została załatwiona.

Dla wszystkich, poza dziewczynką.

– No dobra, umowa stoi.

– Mamo?

– Cicho siedź, *Saumensch*. Idź po książkę – Mama znów zwróciła się do Frau Holtzapfel. – Jakie dni ci pasują?

– Poniedziałek i piątek o czwartej. No i dzisiaj, teraz zaraz.

Liesel podreptała za Frau Holtzapfel do domku, który był bliźniaczym odbiciem posesji Hubermannów. No, może odrobinę przestronniejszym.

Siadły przy stole, Frau Holtzapfel naprzeciw Liesel, ale z twarzą zwróconą w stronę okna.

– Czytaj.

– Rozdział drugi?

– Nie, ósmy! Oczywiście, że drugi. Czytaj albo cię wyrzucę.

– Tak jest, Frau Holtzapfel.

– Nie przytakuj mi tutaj, tylko czytaj. Otwórz książkę. Nie mamy czasu.

O Boże, pomyślała Liesel. To kara za moje złodziejstwo. Dopadło mnie.

Czytała czterdzieści pięć minut, do końca rozdziału. Na stole pojawiła się paczka kawy.

– Dziękuję – powiedziała kobieta. – To dobra powieść. – Obróciła się do pieca i zaczęła obierać kartofle. Bez oglądania się za siebie zapytała: – Jeszcze tu jesteś?

– *Danke schön*, Frau Holtzapfel – powiedziała Liesel i na widok zdjęcia dwóch młodych mężczyzn w mundurach wyciągnęła rękę w hitlerowskim salucie.

– Tak jest – potwierdziła dumna i nieszczęśliwa Frau Holtzapfel. Obaj jej synowie byli w Rosji. – *Heil Hitler*. – Nalała wody do garnka i nawet odprowadziła Liesel do schodów. – *Bis morgen?*

– Tak, Frau Holtzapfel. Do jutra – potwierdziła Liesel. Jutro był piątek.

Liesel obliczyła, że jeszcze cztery razy czytała dla Frau Holtzapfel przed paradą Żydów w Molching.

Szli do Dachau, do obozu koncentracyjnego.

„To daje dwa tygodnie – napisze później w piwnicy. – Dwa tygodnie na zmianę świata, czternaście dni do jego zniszczenia”.

DŁUGI MARSZ DO DACHAU

Ludzie mówili, że to ciężarówka się zepsuła, ale osobiście zapewniam, że nie o to chodziło. Byłem tam.

Niebo zafalowało jak ocean z białymi grzywami chmur.

Ponadto zepsuły się aż trzy ciężarówki naraz. To nie był przypadek.

Kiedy żołnierze wysypali się z samochodów, żeby zapalić, coś przegryźć i pomęczyć Żydów, jeden z więźniów padł z głodu i wycieńczenia. Nie mam pojęcia, skąd nadjeżdżał konwój, ale zdarzyło się to o kilka kilometrów od Molching i o kilka więcej od obozu koncentracyjnego w Dachau.

Wskoczyłem na platformę ciężarówki i odszukałem martwego. Jego dusza była wychudzona. Skoczyłem ciężko na żwir. Ochrona ani więźniów nie usłyszeli mnie, choć wyczuli moją obecność.

Z ciężarówki odzywały się wewnętrzne głosy innych.

Dlaczego to on, a nie ja?

Dzięki Bogu to nie ja.

Żołnierze mieli inne problemy. Dowódca zdusił papierosa i zadał zadymione pytanie:

- Kiedy te szczury ostatni raz oddychały świeżym powietrzem?
- Mogliby sobie pooddychać – odparł adiutant, tłumiąc kaszel.
- No to co tak stoicie? Mamy trochę czasu.
- Zawsze mamy dość czasu, panie kapitanie!
- Świetna pogoda na paradę, nie uważacie?
- Tak jest.
- No to na co czekacie?

Liesel grała w piłkę na Himmelstrasse, gdy zabawę przerwał niespodziewany dźwięk. Akurat dwóch chłopaków walczyło na środku boiska o piłkę, kiedy wszystko się urwało. Nawet Tommy Müller usłyszał.

– Co to jest? – zapytał z bramki.

Wszyscy pobiegli zobaczyć, co się dzieje.

– Pędzą stado krów? – zdziwił się Rudy. – Niemożliwe. Bydło inaczej tupie.

Dzieci, jak przyciągane magnesem, posuwały się w stronę sklepu Frau Diller. Od czasu do czasu ktoś coś wrzasnął.

W wysokiej kamienicy na rogu Münchenstrasse odezwał się złowieszczy głos staruszki, która oznajmiła całemu światu, co jest źródłem owego tupotu. W oknie pojawiła się jej blada jak chusta twarz z wilgotnymi oczami i otwartymi ustami. Jej głos z hukiem popełnił samobójstwo na bruku, u stóp Liesel.

Miała szpakowate włosy.

I granatowe oczy.

– *Die Juden* – powiedziała. – To Żydzi.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 6

***Elend* – nieszczęście;**

cierpienie, rozpacz.

Zbliżone pojęcia:

nędza, niedola, marność.

Na ulicę, przez którą pędzono Żydów i kryminalistów, wylegało coraz więcej ludzi. Oficjalnie istnienie obozów zagłady było ukrywane, ale od czasu do czasu chwalono się przed obywatelami obozami pracy, takimi jak Dachau. Wyżej, po drugiej stronie ulicy, Liesel zauważyła mężczyznę z malarskim wózkiem. Z zakłopotaniem przejechał palcami po włosach.

– Patrz – powiedziała do Rudy’ego. – To mój papa.

Przeskoczyli ulicę i przecisnęli się do niego. Hans Hubermann z początku chciał ich stamtąd zabrać.

– Wiesz, Liesel, może...

Zobaczył jednak, że dziewczynka chce zostać. Być może powinna to zobaczyć. W wietrznej jesiennej aurze stali ramię przy ramieniu. Już nic nie mówił.

Stali na Münchenstrasse.

Inni ich mijali lub przepychali się do przodu.

Patrzyli na Żydów pędzonych drogą jak na katalog kolorów. To nie złodziejka książek wymyśliła to określenie, lecz ja. Tak właśnie wyglądali przed śmiercią. Niebawem będą mnie witać jak ostatniego dobrego przyjaciela, z dymiącymi kośćmi i porzuconymi duszami.

Kiedy wypełnili ulicę, ich buty zadudniły po asfalcie. W wygłodzonych czaszkach jarzyły się ogromne oczy. Byli brudni. Brud ich oblepiał. Nogi im się plątały, gdy ręce żołnierzy popychały ciała do chwilowego biegu. Potem marsz wygłodzonych znowu zwalniał.

Hans obserwował ich nad głowami tłoczącej się publiczności. Jego oczy były srebrzyste i pełne napięcia. Liesel zerknęła przez luki między ramionami innych.

Cierpiące twarze wycieńczonych mężczyzn i kobiet przybliżały się ku nim, nie prosząc nawet o pomoc – co było niemożliwe – ale o wyjaśnienie. O jakiegokolwiek uzasadnienie tej poniżającej sytuacji.

Ich stopy ledwo się odrywały od ziemi.

Do ubrań mieli przyszyte gwiazdy Dawida, do twarzy nieszczęście. „Nie zapominajcie o swej nędzy...”. W niektórych przypadkach nieszczęście obrastało ich jak winorośl.

Z boku przeciskali się żołnierze, pokrzykując, żeby szli szybciej i nie marudzili. Wielu żołnierzy miało chłopięcy wygląd i obraz Führera w oczach.

Patrząc na pędzonych Żydów, Liesel myślała, że to najnieszczęśliwsi ludzie na świecie. Tak o nich potem pisała.

Ich wymizerowane twarze napinało cierpienie. Szli naprzód zżerani przez głód, niektórzy opuszczali głowy, by nie napotkać obcych oczu. Inni wymownie patrzyli na widownię swego poniżenia, które było preludium do śmierci.

Jeszcze inni czekali, aż ktoś się wyrwie i weźmie ich w ramiona.

Nikt tego nie uczynił.

Jakiegokolwiek uczucia żywił zebrany tłum – dumę, zuchwałość czy wstyd – nikt się nie wyrwał. Jeszcze nie.

Co chwila jakiś mężczyzna czy kobieta – nie, oni nie byli już mężczyznami ani kobietami, lecz tylko Żydami – wyłuskiwał wzrokiem z tłumy twarz Liesel. Patrzyli, pogiębieni, a złodziejka książek mogła tylko odwzajemniać

spojrzenie przez długi, bolesny moment, po którym znikali na zawsze. Miała nadzieję, że wyczytają z jej twarzy ból i współczucie, że rozumieją, iż są to uczucia prawdziwe, nie chwilowe.

Ukrywam w piwnicy jednego z was – chciała wykrzyczeć. Razem ulepiliśmy bałwana! Kiedy chorował, zdobyłam dla niego trzynaście prezentów!

Liesel milczała.

Mówienie nie przyniosłoby nic dobrego.

Zrozumiała, że jest tym ludziom zupełnie nieprzydatna. Nie można ich było uratować. Za kilka minut miała się przekonać, co stanie się z tym, kto próbuje.

W miejscu, gdzie pochód był luźniejszy, widać było samotnego, bardzo starego człowieka.

Miał brodę i podarte ubranie.

Jego oczy miały barwę agonii i choć niewiele ważył, nogi nie chciały go dalej nieść.

Kilkakrotnie upadał.

Twarzą prosto w kurz ulicy.

Steh auf – krzyczał stojący nad nim żołnierz. – Wstawaj!

Człowiek dźwigał się na kolana i z trudem podnosił. Szedł dalej.

Gdy padał znowu, idący za nim – pełen transport ciężarówki – napierali i kopali go.

Próby pomocy, podniesienia, kończyły się nieznosnym bólem ramion. Szedł parę kroków i znowu to samo.

Był martwy.

Ten człowiek był już martwy.

Jeszcze pięć minut, a padnie do niemieckiego rynsztoka i umrze naprawdę. Przy świadkach.

I wtedy objawiło się człowieczeństwo.

Hans Hubermann.

Stało się to błyskawicznie.

Ręka papy puściła rękę Liesel, a on sam zaczął się przedzierać do przodu. Luźna dłoń Liesel obita się o jej udo.

Papa dopadł swego wózka i coś z niego wyciągnął. Przecisnął się na ulicę.

Stał przed nim Żyd oczekujący kolejnego poniżenia. Patrzył wraz z tłumem, jak Hans Hubermann niby magik wyciąga ku niemu rękę z chlebem.

Żyd wziął chleb i padł na kolana, obejmując kolana papy. Ukrył w nich twarz i zaczął dziękować.

Liesel patrzyła.

Patrzyła ze łzami w oczach, jak Żyd popycha papę na bok i płacze u jego nogawek.

Inni Żydzi mijali ich, obserwując tę scenę cudu. Przepływali mimo jak ludzka rzeka. Tego dnia wielu miało wpaść do oceanu.

Po chwili nadbiegł żołnierz. Popatrzył na klęczącego mężczyznę, na papę, na obserwujących. Po sekundzie zastanowienia wyciągnął zza pasa pejcz.

Uderzył Żyda sześć razy – w głowę, po plecach, po nogach. Krzyczał:

– Ty brudna żydowska świniol! – Z rozciętego ucha połała się krew.

Potem zaatakował papę.

Liesel poczuła, jak ktoś ją ściska za rękę. Rudy Steiner przełknął ślinę, widząc, jak Hans Hubermann pada na bruk. Liesel zrobiło się niedobrze od odgłosu razów. Zanim upadł, zarobił cztery uderzenia.

Stary Żyd podźwignął się z ziemi. Zanim ruszył, obejrzał się za siebie. Smutno popatrzył na człowieka, który sam teraz klęczał w kurzu z plecami palącymi od chłosty. Starzec przynajmniej umrze jak człowiek. Lub przynajmniej przypomni sobie, że **był** człowiekiem.

A co ja na to?

Nie jestem pewien, czy to taka dobra rzecz.

Kiedy Liesel i Rudy pomagali papie się podnieść, dookoła słychać było szum głosów. Słowa i promienie słońca. Tak ona zapamiętała tę chwilę. Słońce na ulicy, głosy za plecami. Kiedy odchodzili, zobaczyła na ziemi porzucony chleb.

Rudy chciał go podnieść, ale uprzedził go przechodzący Żyd. Zaraz dwóch innych rzuciło się na niego i w tej walce trwała ich droga do Dachau.

Srebrne oczy topniały.

Z przewróconego wózka wylewały się strugi farby.

Krzyczano, że jest żydowskim kochankiem.

Inni w ciszy pomagali mu się pozbierać.

Hans Hubermann pochylił się i wsparł rękami o ścianę domu. Nagle dotarło do niego, co zrobił.

Jeden obraz, nagły i szybki jak błyskawica.

Piwnica przy Himmelstrasse 33.

Wpadł w panikę.

Teraz przyjdą, na pewno przyjdą.

O Boże, miłosierny Boże.

Popatrzył na dziewczynkę i zamknął oczy.

– Jesteś ranny, papo?

– Co ja zrobiłem? – usłyszała w odpowiedzi. Znowu zamrugał. Jego kombinezon był cały pomięty. Na rękach miał farbę i krew. I okruchy chleba, jakże inne od tych, które jadali latem. – Liesel, co ja narobiłem?!

No tak.

Co prawda, to prawda.

Co ten papa narobił?

SPOKÓJ

Po jedenastej w nocy Max Vandenburg szedł Himmelstrasse z walizką pełną jedzenia i ciepłej odzieży. Płuca wypełniało mu niemieckie powietrze. Żółte gwiazdy płonęły. Zbliżając się do sklepu Frau Diller, obejrzał się i po raz ostatni spojrzął na dom numer 33. Nie widział postaci w oknie, ale ona widziała jego. Pomachała. Nie odmachał.

Liesel wciąż czuła jego pocałunek na swoim czole. Czuła jego oddech.

– Zostawiłem coś dla ciebie – powiedział – ale nie możesz tego wziąć, póki nie będziesz gotowa.

Odszedł.

– Max!

Nie zawrócił.

Wyszedł z pokoju, cicho zamknąwszy za sobą drzwi.

Korytarz wypełniły szepty.

Odszedł.

Gdy weszła do kuchni, zobaczyła mamę i papę pochylonych, ze znieruchomiałymi twarzami. Stali jak zmartwiali.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 7

Schweigen – milczenie;

brak dźwięku.

Zbliżone pojęcia:

bezruch, cisza, spokój.

Idealnie.

Spokój.

Gdzieś w okolicach Monachium niemiecki Żyd szedł przez ciemność. Zaplanowali, że za cztery dni spotka się z Hansem Hubermannem (o ile go nie aresztują). Wyzaczyli miejsce spotkania nad rzeką Amper, koło zerwanego mostu.

Dotarł tam, ale nie zabawił dłużej niż kilka minut.

Gdy papa poszedł tam po czterech dniach, znalazł tylko kartkę pod kamieniem. Kartkę bez adresata, z jednym tylko zdaniem.

OSTATNIE SŁOWA

MAKSA VANDENBURGA

Dość dla mnie zrobiliście.

Teraz przy Himmelstrasse 33 panowała cisza. Wielki słownik się mylił, zwłaszcza w kwestii zbliżonych pojęć.

Ta cisza nie była milczeniem, a tym bardziej nie była spokojem.

IDIOTA I LUDZIE W PŁASZCZACH

Wieczorem po żydowskiej paradzie idiota siedział w kuchni. Pił gorzką kawę od Frau Holtzapfel i marzył o papierosie. Oczekiwał gestapo, żołnierzy, policji. Czekał, aż go zabiorą, bo na to właśnie zasłużył. Rosa kazała mu się kłaść. Córka krążyła po korytarzu. Odesłał je obie i czekał tak aż do rana, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Nikt nie przyszedł.

Co chwila sprawdzał godzinę, oczekując łomotu do drzwi i groźnych rozkazów.

Nie przychodzili.

Jedynym dźwiękiem były jego własne słowa.

– Co ja zrobiłem? – szeptał. – Boże, jak mi się chce palić – dodawał. I to wszystko.

Liesel podsłuchiwała, ukryta za drzwiami. Chciałaby go pocieszyć, ale jeszcze nigdy nie widziała tak załamanego człowieka. Na to nie było pocieszenia. Max odszedł, a Hans Hubermann obwinił za to siebie.

Nawet kuchenne szafki układały się we wzór winy, która tłustym smarem znaczyła mu ręce. Na pewno się poci, pomyślała Liesel, której dłonie były mokre aż do przegubów.

Gdy wróciła do pokoju, zaczęła się modlić na leżąco.

– Boże, błagam, ocal Maksa. Błagam cię, Panie Boże...

Wszystko ją bolało.

Kiedy przyszedł świt, Liesel obudziła się i pobiegła do kuchni. Papa spał z głową na kuchennym stole, ze strużką śliny zaschniętą w kąciu ust. Wciąż pachniało kawą, a w powietrzu unosił się obraz pocziwej głupoty Hansa Hubermanna. Był jak nazwisko i adres.

Gdy nim potrząsnęła, z początku się nie obudził. Za drugim razem poderwał głowę.

– Przyszli po mnie?

– Nie, papo, to tylko ja.

Łyknął resztkę wystygłej kawy. Jabłko Adama drgnęło. W górę i w dół.

– Powinni już przyjść. Dlaczego jeszcze ich nie ma, Liesel?

To była obraza.

Powinni przyjść i przeprowadzić rewizję w poszukiwaniu żydowskich śladów, a tak wyszło na to, że Max wyniósł się bez powodu. Powinien teraz spać w piwnicy albo rysować swoją książkę.

– Skąd miałeś wiedzieć, że nie przyjdą, papo?

– Nie powinienem dawać chleba temu człowiekowi. Przestałem myśleć.

– Papo, nie zrobiłeś nic złego.

– Nie wierzę ci.

Wstał i wyszedł z kuchni. Piękno poranka odczuł jako dodatkową obelgę.

Minęły cztery dni. Papa wybrał się na długi spacer nad Amper. Wrócił z kartką, którą położył na stole.

Minął kolejny tydzień, a Hans Hubermann wciąż oczekiwał kary. Pocięta skóra na plecach zabiła się. Większość czasu spędzał, krążąc po Molching. Frau Diller spluwała na jego widok. Frau Holtzapfel także – zgodnie z obietnicą przestała opluwać drzwi Hubermannów, ale znalazła godne zastępstwo. – Od razu się poznałam na tobie, ty brudny miłośniku Żydów – wyzywała go sklepowa. Przechodził obojętnie, a Liesel najczęściej odnajdywała go przy moście nad Amper. Kładł ręce na balustradzie i nie ruszał się, nawet gdy mijały go hałaśliwe dzieciaki na rowerach.

SŁOWNIK DUDENA. DEFINICJA NR 8

***Nachtrauern* – żal;**

smutek spowodowany

stratą, tęsknotą, rozczarowaniem.

Zbliżone pojęcia: lament, żałoba.

– Widzisz go? – spytał pewnego popołudnia Liesel, kiedy oboje pochylali się nad rzeką. – Tam, w wodzie? Rzeka płynęła leniwie. W jej falach Liesel wypatrywała rysów Maksa Vandenburga. Wydawało jej się, że widzi pierzastą czuprynę i całą resztę.

– W naszej piwnicy walczył na pięści z Führerem.

– Jezus, Mario, Józefie, ale ze mnie idiota. – Ręce papo zacisnęły się na drewnianej poręczy.

Nie, papo.

Jesteś mężczyzną.

Te słowa przyszły do niej po roku, kiedy zapisywała je w piwnicy. Żałowała, że nie od razu.

– Jestem głupi – powiedział Hans Hubermann do swej przybranej córki. – I pocziwy. Wystarczy dodać jedno do drugiego, a będziesz mieć największego idiotę na świecie. A najgorsze jest to, że ja chcę, żeby po mnie przyszli. To czekanie mnie wykańcza.

Hans Hubermann pragnął kary, bo chciał usprawiedliwienia dla odejścia Maksa Vandenburga.

W końcu po trzech tygodniach wydawało się, że jego marzenie się spełni.

Było późno.

Liesel właśnie wracała od Frau Holtzapfel, kiedy zobaczyła dwóch mężczyzn w długich czarnych płaszczach.

– Papo, papo – zawołała od progu. – Przyjechali!

– Co się tak drzesz, *Saumensch*? – spytała mama. – Kto przyjechał?

– Gestapo!

– Hans!

Już szedł im naprzeciw. Liesel chciała biec za nim, ale Rosa ją przytrzymała. Wyjrzały przez okno.

Papa czekał przy furtce. Kręcił się nerwowo.

Ręka mamy na ramieniu Liesel zacisnęła się mocniej.

Minęli go.

Papa obejrzał się na okno, potem otworzył furtkę i wyszedł na ulicę. Zawołał:

– Hej, panowie, tu jestem! To po mnie przyszlście. Mieszkam w tym domu.

Mężczyźni w płaszczach zatrzymali się i sprawdzili adres.

– Nie, nie – powiedzieli. – Trochę pan dla nas za stary.

Poszli dalej, choć niedaleko. Zatrzymali się pod numerem trzydziestym piątym i weszli przez otwartą furtkę.

– Frau Steiner? – spytali, gdy otwarto im drzwi.

– Zgadza się.

– Musimy porozmawiać.

Mężczyźni w płaszczach stanęli jak przyodziane kolumny w progu klockowatego domu Steinerów.

Przyszli po chłopca.

Konkretnie po Rudy’ego.

CZEŚĆ ÓSMA

STRZĄSACZKA SŁÓW

Występują:

domino i ciemność – nagość Rudy’ego – kara – żona człowieka, który dotrzymuje słowa – zbieracz – zjadacze
chleba – świeca wśród drzew – ukryty szkicownik – garnitury anarchisty

DOMINO I CIEMNOŚĆ

Według opisu najmłodszej siostry Rudy'ego, do kuchni weszły dwa potwory. Ich głosy mieszały się w uszach dzieci Steinerów, które za drzwiami grały w domino. Pozostała trójka, obojętna na inne bodźce, słuchała radia w sypialni. Rudy miał nadzieję, że niespodziewana wizyta nie ma nic wspólnego ze szkolnym epizodem z ubiegłego tygodnia. Nie powiedział o nim ani Liesel, ani nikomu z domowników.

MROczne POPOŁUDNIE

SZKOLNY GABINET

Trzech chłopców stoi w szeregu.

Badane są ich akta i kondycja fizyczna.

Kiedy rozegrali czwartą partię domina, Rudy zaczął ustawiać na podłodze pokoju trzy rzędy kamieni. Zostawił kilka większych przerw na niezgrabne palce sióstr.

– Mogę przewrócić, Rudy?

– Nie.

– A ja?

– Nie. Wszyscy przewracamy na trzy-cztery.

Ustawione rzędy prowadziły do wieży pośrodku pokoju. Na dany sygnał mieli razem spowodować wspaniałą katastrofę.

Głosy z kuchni zaczęły się nawzajem przekrzykiwać. Wreszcie odezwała się osoba, która dotąd milczała.

– Nie – powiedziała. I powtórzyła: – Nie. – Pozostałe głosy zamilkły. – Proszę – błagała Barbara Steiner. – Tylko nie mój syn.

– Możemy zapalić świeczkę, Rudy?

Ojciec często to robił, gdy w zabawie wykorzystywali efekt domina. To potęgowało wrażenie.

– Poszukam zapalek – odparł. I tak od kucania już go bolały nogi.

Wyłącznik był przy drzwiach. Podeszedł do niego po cichu ze świeczką w jednej i zapalkami w drugiej ręce. Za drzwiami spierali się trzej mężczyźni i jedna kobieta.

– Ma najlepsze stopnie – stwierdził jeden z potworów. – Nie mówiąc o sprawności fizycznej.

Po cholerę wygrywałem te wszystkie wyścigi – skłął się w duchu Rudy.

Deutscher.

Niech szlag trafi Franza Deutschera!

Potem zrozumiał.

To nie była wina Deutschera, tylko jego własna. To on chciał pokazać swemu prześladowcy, jaki jest dobry, i nie tylko jemu, ale wszystkim. A teraz ci wszyscy siedzieli w jego kuchni.

Zapalił świeczkę i wyłączył światło.

– Gotowe?

– Słyszałem, co się tam dzieje – głos niewątpliwie należał do ojca Rudy’ego.

– Pospiesz się, Rudy!

– Proszę zrozumieć, panie Steiner, że chodzi o cele wyższe. Proszę pomyśleć, jaka to szansa dla pańskiego syna. To zaszczyt.

– Rudy, świeczka ci kapie!

Rudy niecierpliwie uciszył siostry. Czekał na słowa ojca.

– Zaszczyt? Bieganie boso po śniegu to zaszczyt? Albo skakanie z dziesięciometrowej trampoliny do metrowego basenu?

Ucho Rudy’ego przylgnęło do drzwi. Świeca się topiła.

– To plotki – suchy głos, niski i rzeczowy, na wszystko miał wytłumaczenie. – Nasza szkoła jest przodującą placówką, nawet na skalę światową. Pod egidą Führera budujemy elitę młodych niemieckich obywateli...

Rudy nie mógł tego dłużej słuchać.

Zeskrobał z ręki zastygły воск i odwrócił się od smugi światła wpadającej przez szparę w drzwiach. Kiedy usiadł, płomień zgąsł. Zbyt machał świeczką. Pokój wypełniła ciemność. Jedynym źródłem światła był obramowany nim prostokąt kuchennych drzwi.

Rudy potarł kolejną zapalkę i zapalił świecę. Rozszedł się zapach dymu.

Na dane hasło Rudy i jego siostry stuknęli palcami w ustawione kamienie domina i patrzyli, jak na koniec przewraca się wieża. Dziewczynki roześmiały się głośno.

Do pokoju wszedł Kurt, najstarszy brat.

– Wyglądają jak trupy – powiedział.

– Co?

Rudy patrzył w mroku na twarz brata, ale ten niczego nie wyjaśnił. Usłyszał za to głosy z kuchni.

– Co się tam dzieje?

– W kuchni są dwa potwory – odezwała się najmłodsza siostra, Bettina. – Przyszły zabrać Rudy’ego. Mądre dziecko.

Później, kiedy mężczyźni w płaszczach sobie poszli, siedemnastolatek i czternastolatek zebrali się na odwagę i otworzyli drzwi do kuchni.

Oślepiło ich światło.

– Zabiorą go? – zapytał Kurt.

Matka siedziała z rękami na stole. Leżały wnętrzem dłoni do góry.

Alex Steiner uniósł głowę.

Była ciężka.

Miał nowy, świeżo wyrzeźbiony wyraz twarzy.

Drewniana ręka przesunęła się po niej, jakby to miało ułatwić mówienie.

– Papo?

Rudy nie podszedł do ojca. Usiadł przy stole i ujął bezwładną dłoń matki.

Alex i Barbara Steinerowie nie wyjawili, co zostało powiedziane w kuchni, podczas gdy na podłodze w pokoju rozsypywały się trupy kamieni domina. Gdyby tylko Rudy dosłuchał do końca...

W nadchodzących tygodniach mówił sobie, że gdyby dosłuchał, wcześniej poszedłby do kuchni. „Idę z wami” – powiedziałby. „Jestem gotowy”.

Gdyby tak zrobił, przyszłość mogłaby wyglądać inaczej.

TRZY MOŻLIWOŚCI

**1.Alex Steiner nie odcierpiałby takiej samej kary
jak Hans Hubermann.**

2.Rudy wyjechałby do specjalnej szkoły.

3.I być może by przeżył.

Ale złośliwość losu nie pozwoliła Rudy’emu Steinerowi wejść do kuchni we właściwym momencie.

Wrócił do zabawy z siostrami.

Usiadł.

Nigdzie się nie wybierał.

W rogu stała kobieta.

Miała najgrubszy warkocz, jaki kiedykolwiek widział. Zwisał jej na plecach, a gdy go przerzucała przez ramię, układał się na monstrualnej piersi w pozie przekarmionego zwierzęcia. W istocie cała była jak nadmuchana. Miała wielkie wargi, wielkie nogi, zęby niczym brukowce. Miała też głęboki, tubalny głos. I była bardzo zdecydowana.

– *Kommt* – poleciła. – Wchodźcie. Ustawcie się tam.

Lekarz, dla kontrastu, przypominał łysiejącego gryzonia. Był niski i zwinny. Nerwowo chodził po pokoju. I był mocno przeziębiony.

Trudno powiedzieć, który z trzech chłopców miał największe opory przed rozebraniem się do naga. Pierwszy patrzył to na podstarzałego nauczyciela, to na gargantuiczną pielęgniarkę, to znów na filigranowego doktora. Ten w środku wbił wzrok w podłogę, a trzeci klął po nosu, że siedzi w gabinecie, zamiast latać po ulicy. Zdaniem Rudy'ego siostra była przerażająca.

– Który pierwszy? – zapytała.

Odpowiedział jej nauczyciel, Herr Heckenstaller, chudzielec w czarnym garniturze, z wąsami zamiast twarzy.

– Schwarz.

Nieszczęsny Jürgen Schwarz niezgrabnie rozpiął mundurek. Został w samych butach i kalesonach. Na jego poczerwieniałym niemieckim obliczu malowała się niema prośba.

– A buty? – spytał Herr Heckenstaller.

Chłopak zdjął buty i skarpetki.

– *Und die Unterhosen* – rozkazała pielęgniarka. – Bieliznę też.

Zarówno Rudy, jak i trzeci chłopiec, Olaf Spiegel, także zaczęli się rozbierać, ale daleko im było do przerażenia, którego doświadczał Jürgen Schwarz. Cały się trząsł. Był o rok młodszy od pozostałych, choć wyższy. Zrzucenie gatek w ciasnym, zimnym gabinecie było dlań ostatecznym poniżeniem. Skala szacunku dla samego siebie zjechała mu do kostek.

Pielęgniarka wpatrywała się w niego intensywnie, z ramionami złożonymi wokół przerażającego biustu.

Heckenstaller polecił dwójce chłopców zrobić to samo.

Doktor podrapał się po łysinie i zakaszał. Zimno go dobijało.

Trzech nagich chłopców zbadano na zimnej podłodze.

Zakrywając genitalia dłońmi, trzęśli się jak osiki.

Między pokasywaniem i pochrząkiwaniem lekarza padały polecenia.

– Wdech.

– Wydech.

– Podnieść ręce. Powiedziałem, podnieść ręce.

Chłopcy spojrzeli po sobie w poszukiwaniu współczucia i wzajemnej sympatii. Ani śladu. Odsłoniли penisy i wyciągnęli ręce. W tym momencie Rudy nie czuł się wcale jak zwycięzca wyścigu.

– Stopniowo budujemy nową przyszłość – powiedziała pielęgniarka do nauczyciela. – Stworzymy nową rasę nadludzi, Niemców wyróżniających się mentalnie i fizycznie. Nową kadrę oficerską. Jej przemówienie zostało niefortunnie przerwane przez nagły atak kaszlu doktora, który z całych sił charczał nad porzuconymi na podłodze ubraniami. Z oczu pociekły mu łzy. Rudy się dziwił. Nowa przyszłość? Z takimi jak on? Starczyło mu rozumu, by się nie odzywać. Badanie zostało zakończone, a Rudy wykonał swój pierwszy nagi salut. Po *Heil Hitler* perwersyjnie pomyślał, że to nawet zabawne.

Ponizonym chłopcom pozwolono się na powrót ubrać i odesłano za drzwi, skąd mieli szanse podsłuchać dyskusję nieprzeznaczoną dla ich uszu.

– Są trochę starsi, niż przewiduje norma – powiedział doktor – ale dwóch się nadaje.
– Pierwszy i trzeci – zgodziła się z nim siostra.

Chłopcy stali za drzwiami.

Pierwszy i trzeci.

– Pierwszy byłeś ty, Schwarzwald – ocenił Rudy, po czym zwrócił się do Olafa Spiegla. – A kto był trzeci? Spiegel zaczął się namyślać. Czy chodziło o to, jak stali w szeregu, czy o kolejność badania? Nieważne. Wybrał odpowiedź korzystną dla siebie.
– Wydaje mi się, że ty.
– A głównie tam, Spiegel. Ty byłeś trzeci.

GWARANCJA

Mężczyźni w płaszczach dobrze wiedzieli, kto był trzeci.

Dzień po tym, jak przyjechali na Himmelstrasse, Rudy opowiedział Liesel wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Nie wytrzymał i wyznał, po co wyprowadzono go z klasy. Śmiał się nawet z wielkiej pielęgniarki i z głupiej miny Jürgena Schwarza. Ale lwią część opowieści przepełniał niepokój, szczególnie gdy dotarł do głosów w kuchni i trupów domina.

Liesel nie mogła sobie potem wybić z głowy natrętnej myśli.

Myślała o badaniu Rudy'ego.

Leżała w łóżku, tęskniła za Maksem, modliła się za niego i zastanawiała się, gdzie teraz jest, ale za tym wszystkim czaiła się wizja Rudy'ego.

Jego nagość aż świeciła w ciemności.

Było w tym coś wstrętnego, szczególnie moment, kiedy kazali mu podnieść ręce. Ale choć Liesel się wstydziła, nie mogła przestać o tym myśleć.

Podał jej list. Podczas czytania ręce zaczęły jej się trząść. Ciężkie słowa przylegały do papieru jak ołów.

WIZJA LIESEL MEMINGER

W ciasnej kuchni, niedaleko pieca pojawia się obraz starej i zużytej maszyny do pisania. Maszyna stoi w odległym, pustym pokoju. Klawisze są wytarte; biała kartka papieru na wálku. Kartka drga od podmuchu wiatru wpadającego przez okno. Zaraz się skończy przerwa na kawę. Sterta papieru wysokości człowieka leży przy samych drzwiach. Łatwo ją podpalić.

W rzeczywistości Liesel zobaczyła maszynę dużo później, kiedy sama zaczęła pisać. Zastanawiała się, ile podobnych listów wysłano w Niemczech do takich ludzi jak Hans Hubermann czy Alex Steiner – do tych, którzy pomagali potrzebującym, do tych, którzy chronili własne dzieci.

Sygnał narastającej w Niemczech desperacji.

Wojna w Rosji była przegrana.

Niemieckie miasta bombardowano.

Potrzeba było coraz więcej ludzi. Najgorsi mieli wykonywać najgorsze prace.

Oczy Liesel przebiegały po literach, przebitych na wylot przez papier. Najmocniej wybito słowa „przymusowy” i „obowiązek”. Aż strzykały śliną. Chciało się rzygać.

– Co to jest?

– Sama czytałaś, moje dziecko – brzmiała spokojna odpowiedź papy. Nie był zagniewany ani ironiczny. Był nieobecny, co pasowało do wyrazu jego twarzy.

Liesel przeniosła wzrok na mamę.

Rosa miała małą bliznę pod prawym okiem. W krótkiej chwili jej kartonowa twarz cała się połamała. Nie od środka, ale po prawej stronie. Policzek wypuczył się w łuk zakończony na brodzie.

DWADZIEŚCIA MINUT PÓŹNIEJ

DZIEWCZYŃKA NA HIMMELSTRASSE

Podnosi oczy. Szepcze.

Niebo jest dzisiaj miękkie, Max.

Chmury są mięciutkie i smutne...

Ogląda się przez ramię.

**Myśli o ojcu wysłanym na wojnę i
otula się ciaśniej kurtką.**

Jest zimno, jest tak zimno, Max...

Pięć dni później, kiedy jak zwykle sprawdzała pogodę, nie miała szansy obejrzeć nieba.

Na schodach domku obok siedziała Barbara Steiner, jak zwykle nienagannie uczesana. Palila papierosa i drżała. Po chwili przysiadł się do niej Kurt. Zawołał Liesel.

– Chodź, Rudy zaraz wyjdzie.

Liesel podeszła do schodów.

Barbara paliła.

Na końcu papierosa zebrał się stożek popiołu. Kurt wziął papierosa, zaciągnął się i oddał go matce. Kiedy skończyli palić, matka Rudy'ego podniosła głowę. Przejechała dłonią po gładko zaczesanych włosach.

– Naszego tatę też powołali – odezwał się Kurt.

Spokój.

Pod sklepem Frau Diller grupka dzieciaków kopła piłkę.

– Kiedy przychodzą po jedno z dzieci – powiedziała tonem wyjaśnienia Barbara Steiner – nie ma innego wyjścia.

Trzeba iść samemu.

PIWNICA, DZIEWIĄTA RANO

Sześć godzin przed pożegnaniem.

– Grałem na cudzym akordeonie, Liesel . –

Przymknął oczy. – To ich powaliło.

Nie licząc kieliszka szampana ubiegłego lata, Hans Hubermann od dziesięciu lat nie miał w ustach alkoholu. Aż przyszedł wieczór przed wyjazdem do wojska.

Po południu Hans poszedł z Aleksem Steinerem do Knollera, gdzie siedzieli do nocy. Nie bacząc na upomnienia żon, obaj mężczyźni spili się w trupa. Ułatwił to fakt, że stawiał im Dieter Westheimer, właściciel gospody.

Kiedy Hans był jeszcze względnie trzeźwy, namówiono go, by zagrał na akordeonie. Stosownie do sytuacji wybrał niesławną *Ponurą niedzielę* – samobójczy węgierski hymn – i choć starał się wydobyć z melodii cały jej smutek, zyskał ogromny aplauz. Liesel wyobrażała sobie i tę scenę, i dźwięk piosenki. Puste kufle uwalane pianą. Miech westchnął i zamilkł. Melodia się skończyła. Ludzie klaskali. Ich wilgotne od piwa usta zapraszały grajka do baru. Gdy obaj dowlekli się do domu, Hans nie mógł otworzyć drzwi. Spróbował jeszcze raz.

– Rosa!

Trafił pod niewłaściwy adres.

Frau Holtzapfel nie była zachwycona.

– *Schwein!* Pomyliłeś domy – wypychała słowa przez dziurkę od klucza. – Mieszkasz obok, durny *Saukerl*.

– Dziękuję, Frau Holtzapfel.

– Wiesz, co sobie możesz zrobić ze swoim „dziękuję”, ty dupku!

– A co?

– Idź do domu.

– Dziękuję, Frau Holtzapfel.

– Nie mówiłam, co masz zrobić ze swoim „dziękuję”?!

– A mówiła pani?

(Zdumiewające, co można złożyć do kupy z piwnicznej rozmowy i sesji czytelnicznych w kuchni starej sekutnicy).

– Zabieraj się stąd, i to już!

Kiedy papa po długich trudach trafił wreszcie do domu, nie poszedł do swojej sypialni, tylko do pokoju Liesel.

Chwiał się w drzwiach i patrzył na śpiącą dziewczynkę. Obudziła się, myśląc, że to Max.

– Czy to ty?

– Nie. – Od razu zrozumiał. – To ja, papa.

Wycofał się. Usłyszała jego kroki na schodach do piwnicy.

W sypialni Rosa głośno chrapała.

Około dziewiątej rano, w kuchni, Rosa poleciła Liesel:

– Daj mi to wiadro.

Naląła wody i zeszła z kubłem do piwnicy. Liesel też pobiegła, na próżno usiłując ją powstrzymać.

– Mamo, tak nie można!

– Nie można? – Rosa odwróciła się na schodach. – Czy ja coś przegapiłam, *Saumensch*? Od kiedy ty tu rządzisz?

Stały w milczeniu.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

– No właśnie.

W piwnicy znalazły Hansa na legowisku z prześcieradeł. Widocznie uważał, że nie zasługuje na materac po Maksie.

– A teraz zobaczymy, czy jeszcze żyje. – Rosa uniosła wiadro.

– Jezus, Maria, Józefie święty! – Był zmoczony od twarzy po piersi. Włosy przykleiły mu się do głowy. Z rzęs ściekała woda. – Za co?

– Ty stary pijaku!

– Jezu...

Ubranie parowało. Jego kac był niemal namacalny. Zwalił mu się na ramiona jak wór cementu.

– Masz szczęście, że idziesz na wojnę. – Rosa przełożyła wiadro z lewej ręki do prawej. Zamachała palcem. – Inaczej sama bym cię utłukła, wiesz?

Papa wypluł wodę, która dostała mu się do gardła.

– Musiałś to zrobić?

– Musiałam. – Ruszyła w stronę schodów. – Jeśli za pięć minut nie zobaczę cię na górze, dostaniesz dokładkę.

Liesel została w piwnicy i zaczęła wycierać szmatami rozlaną wodę. Papa zamachał do niej ręką i złapał za ramię.

– Liesel? Myślisz, że on żyje?

Liesel usiadła po turecku.

Woda z mokrej szmaty ściekała jej po kolanie.

– Mam taką nadzieję, papo. – Być może głupio było mówić takie oczywistości, ale nie miała wyjścia. Żeby odegnać ponure myśli, kucnęła i zaczęła kręcić palcem po kałuży na podłodze. – *Guten Morgen*, papo.

Hans mrugnął do niej w odpowiedzi.

Ale nie było to zwykłe, wesołe mrugnięcie. Było ciężkie, niezdarne. Mrugnięcie po Maksie, mrugnięcie na kacu.

Hans usiadł i opowiedział, co się działo w gospodzie i pod drzwiami Frau Holtzapfel.

KUCHNIA, GODZINA PIERWSZA

Dwie godziny przed rozstaniem.

– Papo, nie idź, proszę. – Ręka z łyżką drżała. – Najpierw straciliśmy Maksa. Nie chcę stracić i ciebie.

W odpowiedzi skacowany mężczyzna wbił łokcie w stół i zakrył prawe oko.

– Jesteś już prawie kobietą, Liesel. – Zmusił się do mówienia. – Opiekuj się mamą, **dobrze?**.

Dziewczynka z trudem kiwnęła głową.

– **Dobrze, papo.**

Opuścił Himmelstrasse z kaczorem i w garniturze.

Alex Steiner miał wyjechać za cztery dni. Przyszedł do Hubermannów i na pożegnanie życzył Hansowi wszystkiego dobrego. Przyszli wszyscy Steinerowie, żeby uścisnąć dłoń Hansa. Barbara objęła go i ucałowała w oba policzki.

– Wracaj zdrowy.

– Wrócę, Barbaro – powiedział z przekonaniem. – Na pewno. – Zaśmiał się. – To tylko wojna, wiesz? Już jedną przeżyłem.

Kiedy wyszli na ulicę, na progu sąsiedniego domu pojawiła się chuda kobieta.

– Do widzenia, Frau Holtzapfel. I przepraszam za wczorajsze.

– Do widzenia, Hans – powiedziała. – Pijany *Saukerl*. Wracaj szybko do domu – dodała przyjaźnie.

– Wrócę, Frau Holtzapfel. Dziękuję.

– Wiesz, co sobie możesz zrobić ze swoim „dziękuję”? – zażartowała.

Ze sklepu na rogu obserwowała ich przez szybę Frau Diller. Liesel wzięła papę za rękę. Szli tak przez całą drogę Münchenstrasse aż do dworca. Pociąg już czekał.

Przystanęli na peronie.

Rosa uściskała go pierwsza.

Bez słów.

Jej głowa przylgnęła mocno do jego piersi.

Potem dziewczynka.

– Papo?

Nic.

Nie odchodź, papo. Nie jedź tam. Niech po ciebie przyjdą, ale teraz nie odchodź. Proszę.

– Papo?

DWORZEC, TRZECIA PO POŁUDNIU

Nie zostało już ani trochę godzin ani minut. Objął ją.

Chciał coś powiedzieć, cokolwiek.

– Pilnuj mojego akordeonu, Liesel, dobrze? Nie biorę go ze sobą.

Teraz powie słowa, które są naprawdę ważne:

– Kiedy będą naloty, masz dalej czytać w schronie.

Dziewczynka czuje, jak jej ledwo pączkujące piersi przyciskają się do jego żeber, aż boli.

– Tak, papo.

Milimetr od oczu widzi materiał garnituru. Mówi do niego:

– A zagrasz nam coś, jak wrócisz?

Hans Hubermann uśmiechnął się do córki. Pociąg miał zaraz ruszyć. Wyciągnął rękę i pogłodził ją po policzku.

– Obiecuję – powiedział i wszedł do wagonu.

Patrzyli na siebie. Pociąg odjeżdżał.

Liesel i Rosa machały.

Hans Hubermann robił się coraz mniejszy i mniejszy, aż jego ręka rozpułyła się w pustym powietrzu.

Ludzie porozchodzili się. Zostały same na peronie. Podobna do szafy kobieta i trzynastoletnia dziewczynka.

Kilka następnych tygodni Hans Hubermann i Alex Steiner mieli spędzić w naprędce przygotowanych obozach dla rezerwistów. Himmelstrasse była obolała. Rudy był nie ten sam – przestał się odzywać. I mama była nie ta sama – przestała przeklinać. Liesel także odczuwała zmianę. Nie chciało jej się kraść książek, choć wmawiała sobie, że to dobry sposób na poprawę nastroju.

Po dwunastu dniach od wyjazdu ojca Rudy pękł. Przybiegł i zastukał do drzwi Liesel.

– *Kommst?*

– *Ja.*

Było jej wszystko jedno, dokąd Rudy pójdzie i co zrobi. On nie chciał iść bez niej. Poszli w górę Himmelstrasse do Münchenstrasse, aż wyszli z miasta. Po godzinie Liesel zdecydowała się wreszcie zadać istotne pytanie. Na razie rzucała tylko spojrzenia na zaciętą twarz Rudy’ego, jego usztywnione ramiona, pięści wciśnięte w kieszenie.

– Gdzie idziemy?

– Nie wiesz?

– Nie wiem. – Podbiegła, by dotrzymać mu kroku.

– Chcę go znaleźć.

– Twojego tatę?

– Tak. – Pomyślał chwilę. – Nie. Wolę znaleźć Führera.

– Po co? – Przyspieszyła.

– Bo chcę go zabić – odparł Rudy, przystając. – Słyszycie, wy sukinsyny? – zawołał. – Chcę zabić Führera.

Szli dalej jeszcze przez kilka kilometrów. Liesel obejrzała się.

– Zaraz będzie ciemno, Rudy.

– I co z tego?

– Ja wracam.

Rudy zatrzymał się i popatrzył takim wzrokiem, jakby go zdradziła.

– Dobrze, złodziejko książek. Zostaw mnie. Założę się, że gdyby na końcu drogi czekała jakaś głupia książka, tobyś szła dalej. Mam rację?

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, ale Liesel nie wytrzymała długo.

– Myślisz, że tylko ty to przeżywasz, *Saukerl!*? Straciłeś tylko tatę...

– Co to ma znaczyć?

Liesel zaczęła liczyć w pamięci swoje straty.

Matka. Brat. Max Vandenburg. Hans Hubermann. Wszyscy odeszli. Poza tym nie знаła nawet swego prawdziwego ojca.

– To znaczy, że wracam do domu.

Szła sama przez kwadrans i nawet gdy spocony Rudy w końcu ją dopędził, przez kolejną godzinę nie odzywali się do siebie. Szli przed siebie z bólem w stopach i sercach.

W *Pieśni w ciemności* był rozdział zatytułowany *Zmęczone serca*. Romantyczna dziewczyna ofiarowała swą miłość pewnemu młodzieńcowi, a on uciekł z jej najlepszą przyjaciółką. O ile Liesel dobrze pamiętała, był to rozdział trzynasty. „Mam takie zmęczone serce” – powiedziała dziewczyna. Siedziała w kaplicy i pisała pamiętnik. Nie, pomyślała Liesel. To ja mam zmęczone serce. Trzynastoletnie serce nie powinno kryć takich uczuć

Kiedy doszli do peryferii Molching, Liesel na widok Stadionu Huberta wydusiła kilka słów:

– A pamiętasz, jak się tu ścigaliśmy, Rudy?

– Jasne. O tym samym myślałem. Jak się przewróciliśmy.

– A ty powiedziałaś: „Jestem cały w gównie!”.

– To nie było gówno, tylko błoto. – Zaśmiał się. – Gówno było na boisku Hitlerjugend. Wszystko ci się miesza, *Saumensch*.

– Nic mi się nie miesza. Po prostu cię zacytowałam. Ludzie często robią coś innego i mówią coś innego. Szczególnie tobie się to zdarza, Rudy.

I już wszystko było dobrze.

Kiedy szli Münchenstrasse, Rudy zatrzymał się i spojrzał na witrynę zakładu ojca. Zanim Alex wyjechał, rozmawiał z Barbarą o tym, czy interes ma działać dalej pod jej kierownictwem. Zdecydowali, że raczej nie, bo obroty i tak były nędzne, a istniało ryzyko, że członkowie partii będą chcieli i tu zademonstrować swą władzę. Prywatny interes zawsze cierpiał w zderzeniu z oficjalną ideologią. Musiał im wystarczyć żołąd Aleksa.

Na wieszakach i manekinach wisiały garnitury. Zatrzymane w kadrze groteskowych póz.

– Temu się podobasz – powiedziała Liesel. Chciała mu dać do zrozumienia, że czas w drogę.

Na Himmelstrasse czekały na chodniku Rosa Hubermann i Barbara Steiner.

– Boże, chyba się zdenerwowały – powiedziała Liesel.

– One są wściekłe.

Kiedy doszli, zostali zasypani gradem pytań w rodzaju: „Gdzieście się, do cholery, włóczyli?”, lecz ulgę szybko zastąpiła złość.

– Co masz mi do powiedzenia, Rudy? – zadała wreszcie trafione pytanie Barbara.

– On poszedł zabić Führera. – odparła za przyjaciela Liesel. Rudy odpłacił jej się pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Czołem, Liesel.

Kilka godzin później do łóżka Liesel dobiegły jakieś hałasy z sypialni. Obudziła się i leżała nieruchomo, myśląc o duchach, o papie, o włamywaczach i o Maksie. Odgłos wskazywał, że coś zostało otwarte i coś było wleczone. Później prawie wszystko ucichło. Dla Liesel cisza była zawsze największą pokusą.

Nie wolno się ruszać.

Zakazywała sobie tego w myśli wiele razy, ale niewystarczająco.

Jej stopy plasnęły o podłogę.

Do rękawów piżamy wpadło powietrze.

Szła ciemnym korytarzem w kierunku ciszy, która niedawno była hałasem, w stronę pasemka księżycowego światła przecinającego pokój. Przystanęła, czując, jak nagie są jej palce i kostki u nóg. Obserwowała.

Jej oczy musiały przywyknąć do przyćmionego oświetlenia sypialni. Kiedy to się stało, odsłonił się obraz Rosy Hubermann. Siedziała na brzegu łóżka z akordeonem męża przyciśniętym do piersi. Palcami gładziła klawisze. Nie poruszała się. Wydawało się, że nie oddycha.

Ten obraz natychmiast zarejestrowała dziewczynka w holu.

ZAPAMIĘTANY OBRAZ

Rosa z akordeonem.

Księżyc i ciemność.

Przedświt. Instrument. Cisza.

Liesel stała i patrzyła.

Minuty mijały. Złodziejka książek marzyła, by z instrumentu wydobył się dźwięk, ale tak się nie stało. Klawisze pozostały nienaciśnięte, akordeon nie nabrał powietrza. Był tylko promień księżyca, jak długie pasmo włosów na zasłonie. I była Rosa.

Akordeon wciąż miała założony na piersi. Kiedy głowa jej opadła, instrument zsunął się na podolek. Liesel patrzyła. Wiedziała, że przez ładnych parę dni mama będzie nosić na brzuchu odcisk akordeonu. Zrozumiała też, że to, czego jest świadkiem, ma w sobie niezwykle piękno, i postanowiła tego piękna nie zakłócać.

Wróciła do łóżka. Zасыpiając, wciąż widziała mamę i jej niesłyszalną muzykę. Później, kiedy obudził ją codzienny koszmar i poszła do sypialni rodziców, znów zobaczyła uspioną Rosę z akordeonem.

Ciągnął ją w dół jak kotwica. Jej ciało tonęło. Wydawała się martwa.

Przecież nie można oddychać w takiej pozycji, pomyślała Liesel. Ale kiedy podeszła bliżej, usłyszała, że można. Mama chrapała.

No i po co miech, jak się ma takie płuca?– pomyślała Liesel.

Jednak i tym razem po powrocie do łóżka obraz Rosy Hubermann z akordeonem nie opuścił Liesel. Oczy złodziejki książek pozostały szeroko otwarte. Czekala, aż przydusi ją sen.

ZBIERACZ

Ani Hansa Hubermanna, ani Aleksa Steinera nie posłano na front. Alex dostał przydział do pracy w szpitalu pod Wiedniem. Zgodnie ze swym zawodowym doświadczeniem dostał pracę polegającą na reperowaniu podartych mundurów, bielizny i skarpet, zwożonych każdego tygodnia. Trafiały na front wschodni, jako dodatkowe ocieplenie dla marznących żołnierzy.

Hans najpierw, o ironio, został posłany do Stuttgartu, potem do Essen. Dostał zadanie, którego nikt nie chciał wykonywać. W LSE.

WYJAŚNIENIE

LSE

Luftwaffesondereinheit

Oddział obrony przeciwlotniczej

Praca w LSE polegała na tym, że podczas nalotów pozostawało się na ulicach, gasząc pożary, stemplując naruszone ściany budynków i ratując tych, którym nie udało się na czas dotrzeć do schronów. Od kolegów Hans dowiedział się, jak inaczej można rozszyfrować skrót LSE – *Leichensammereinheit* – oddział zbieraczy trupów. Kiedy Hans dotarł na miejsce, zaczął się zastanawiać, za jakie winy jego towarzysze zostali skazani na to zadanie. Oni tak samo zastanawiali się nad nim. Szef oddziału, sierżant Boris Schipper, zapytał go o to wprost. Kiedy Hans opowiedział o chlebie, Żydach i cięgach, pucowałowy sierżant roześmiał się.

– Masz szczęście, chłopie, że żyjesz. – Miał wyłupiaste oczy, które nieustannie przecierał z powodu zmęczenia, pieczenia i podrażnień od kurzu i dymu. – Pamiętaj jedno: nieprzyjaciel nie atakuje z naprzeciwka.

Hans też chciał zadać męczące go pytanie, gdy usłyszał głos za plecami. Właścicielem głosu okazał się Reinhold Zucker, szczupły młody chłopak z szyderczym uśmieszkiem.

– Tak, nasz wróg nie kryje się w okopach ani za pagórkami. Jesteśmy otoczeni. – Wrócił do zaczętego listu. – Zresztą, sam zobaczysz.

W tłumie nadchodzących miesięcy Reinhold Zucker zginie. Zabije go miejsce Hansa Hubermanna.

Wojna wkraczała na tereny Niemiec coraz gwałtowniej. Hans Hubermann zauważył, że każdy z dyżurów zaczyna się tak samo. Ludzie zbierali się przy ciężarówkach na odprawę, gdzie informowano ich, co zostało zbombardowane, kiedy oni odpoczywali, jaki teren będzie atakowany i kto z kim pracuje.

Mieli mnóstwo zajęć nawet wtedy, gdy nie było nalotów. Jeździli po zrujnowanych miastach i usuwali gruz. W jednej ciężarówce siedziało dwunastu zgarbionych mężczyzn, którzy podskakiwali i kiwali się za każdym wykrotem na drodze.

Od początku mieli swoje stałe miejsca.

Reinhold Zucker siedział w środku lewego rzędu.

Hans Hubermann na samym końcu, gdzie przez plandekę przebijało trochę światła. Szybko nauczył się korzystać z wyrzucanych przez kolegów śmieci. Szczególnie interesowały go wciąż tłące się, wypływane niedbale niedopałki.

LIST DO DOMU

Kochane Roso i Liesel!

U mnie wszystko w porządku.

Mam nadzieję, że czujecie się dobrze.

Całuję, papa.

Pod koniec listopada Hans poczuł po raz pierwszy dymny smak pierwszego nalotu. Ciężarówkę obsypał gruz, było mnóstwo bieganiny i krzyku. Wszędzie wybuchały pożary, a zamiast domów piętrzyły się rumowiska. Gole konstrukcje chyliły się, a zasłona dymna wypełniała oparami płuca miasta.

W grupie Hansa Hubermanna było czterech żołnierzy. Szli jeden za drugim. Pierwszy Boris Schipper, którego sylwetkę pochłaniał dym. Za nim Kessler, Brunnenweg i Hubermann. Sierżant sikawką gasił ogień, pozostali dwaj polewali sierżanta, a Hans, dla pewności, wszystkich trzech.

Za jego plecami budynek zatrzeszczał i runął.

Ściana frontowa padła o parę metrów od jego butów. Beton jeszcze pachniał nowością, za nim napłynęła chmura pyłu.

– *Gottverdammt*, Hubermann! – przedarł się przez płomienie krzyk. Nadbiegło trzech mężczyzn z gardłami zatkanymi popiołem. Ledwo okrążyli narożnik walącego się budynku. Za nimi pełził opar z gruzów, biały i gorący. Na razie byli bezpieczni, kaszleli i przeklinali.

– Do cholery, Hubermann – powtórzył sierżant, pocierając spierzchnięte wargi. – Co to było, do diabła?

– Zawalił się dom za nami.

– Sam widzę. Ale jaki dom? Musiał mieć z dziewięć pięter.

– Nie, sierżancie, najwyżej jedno.

– Jezus Maria, Józefie święty – wycharczał sierżant, ocierając zalane potem oczy. – Nic nie można było zrobić.

– Szkoda, że to nie gospoda – dodał inny. – Dałbym się posiekać za piwo.

Położyli się na ziemi.

Czuli, jak w ich gardłach gaśnie ogień i dym. Było to piękne, nieziszczalne marzenie. Dobrze wiedzieli, że piwo płynące ulicą nie byłoby piwem, lecz rodzajem mlecznego koktajlu lub owsianki.

Na czterech żołnierzy opadał szarobiały pył. Kiedy się podnieśli, by dokończyć zadanie, zza białawej pokrywy prześwitywały tylko załamania mundurów.

Sierżant podszedł do Brunnenwega, który drapał się po poobijanych piersiach.

– No i dobrze, przyjacielu. Tylko jesteś trochę zakurzony – skomentował sierżant i zwrócił się do Hansa: – Teraz ty idziesz na pierwszego, Hubermann.

Przez kilka godzin gasili pożary, ale nie udało im się uratować żadnego budynku. Parę razy widzieli, jak po zwalonych ścianach pozostały sterczące niczym łokcie konstrukcje. To był konik Hansa Hubermanna. Niemal z przyjemnością ratował je, podpierając tłącymi się krokwiemi lub kawałkami betonu. Ręce miał pełne gruzu, zęby zlepione mianem. Na jego wargach twardniał wilgotny pył i ani centymetr ciała nie był wolny od błony powstałej z zapyłonego powietrza.

Najgorsi w tej robocie byli ludzie.

Co rusz natykał się na osobę, wołającą zza tumanu kurzu. Najczęściej były to imiona.

– Ktoś widział mojego Wolfganga?

Na mundurze nosił odciski ich palców.

– Stephan!

– Hans!

– Gustel! Gustel Stoboi!

To narastało. Litania imion, kulejąc, przetaczała się zniszczonymi ulicami, czasem zakończona uściskiem spopielonego ciała, czasem żałobnym jękiem. Słodko-kwaśny sen trwał, godzina po godzinie.

Wszystkie zagrożenia stopiły się w jedno. Pył, dym i buchające płomienie. Poranieni ludzie. Podobnie jak koledzy z oddziału, Hans doskonalił w sobie sztukę zapominania.

– No i jak tam, Hubermann? – zapytał sierżant. U jego boku płonął ogień.

Hans z trudem kiwnął głową do obydwu.

W połowie zmiany natknęli się na starca zabłąkanego na ulicy. Gdy Hans skończył podpierać mur i obrócił się, zobaczył go za plecami, oczekującego cierpliwie na swoją kolej. Na twarzy miał rozmazaną krew, która spłynęła aż na szyję i gardło. Nosił białą koszulę z bordowym kołnierzem. Wyciągnął nogę.

– Podeprzesz mnie, młody człowieku?

Hans wziął go na ręce i wyniósł z dymu.

SMUTNA UWAGA

Odwiedziłem to miasteczko,

gdy Hans wciąż

trzymał w ramionach starca.

Niebo było barwy sierści siwego konia.

Hans zauważył to dopiero gdy złożył zwłoki na obsypanej gruzem trawie.

– Co jest? – spytał jeden z kolegów.

Hans zdołał tylko pokazać palcem.

– A! – Machnięcie ręką. – Musisz przywyknąć, Hubermann.

Przez resztę zmiany Hans zmuszał się do wypełniania zasadniczych obowiązków. Próbował ignorować echo odległych ludzkich nawoływań.

Po dwóch godzinach uciekali całą grupą z walącego się budynku. Biegł, nie patrząc pod nogi, póki się nie potknął. Obejrzał się i zobaczył.

Trup leżał twarzą do ziemi.

Pokryty pyłem i kurzem, zasłaniał rękami uszy.

Chłopiec.

Jedenasto- lub dwunastoletni.

Nieopodał na ulicy natknęli się na kobietę, która wołała Rudolfa. Była krucha, przygięta troską.

– Widzieliście mojego syna? – spytała mężczyzn.

– Ile miał lat? – odpowiedział pytaniem sierżant.

– Dwanaście.

O, Jezu. Umęczony Jezu.

Wszyscy pomyśleli to samo. Sierżant nie umiał się zdobyć na powiedzenie prawdy.

Kiedy kobieta chciała ich minąć, Boris Schipper powstrzymał ją.

– Szliśmy tą ulicą. Nikogo tam pani nie znajdzie.

Kobieta wciąż miała nadzieję.

– Rudy!– zawołała przez ramię.

Hans Hubermann pomyślał o Rudym. O Himmelstrasse. Błagam cię, Boże, powiedział do niewidocznego nieba, niech Rudy żyje. Jego myśli pobiegły ku Rosie, Liesel, ku Steinerom i Maksowi. Kiedy dołączyli do reszty, padł na plecy.

– No i jak było? – zapytał ktoś.

Płuca papy wypełniało niebo.

Po paru godzinach, kiedy już się umył, najadł i wyrzygał, próbował napisać długi list do domu. Ręce mu latały, więc musiał zadowolić się krótkim. Postanowił, że szczegóły zrelacjonuje po powrocie.

„Kochane Roso i Liesel” – zaczął.

Długo mu zeszło, nim napisał te cztery słowa.

ZJADACZE CHLEBA

Był to długi i bogaty w wydarzenia rok. Zbliżał się do końca.

Liesel spędziła ostatnie miesiące 1942 roku, myśląc tylko o trzech straceńcach, jak ich nazwała. Wciąż zastanawiała się, gdzie są i co się z nimi dzieje.

Pewnego popołudnia wyjęła akordeon ze skrzynki i wypolerowała ścierką. Nim go odłożyła, posunęła się o krok dalej niż mama. Położyła palec na jednym z guzików i delikatnie nacisnęła miech. Rosa miała rację. Dom od tego stał się jeszcze bardziej pusty.

Kiedy tylko Liesel spotykała Rudy'ego, pytała o wieści od jego ojca. Czasem opowiadał jej treść listów Aleksa. List od papy mocno ją rozczarował.

Najwięcej myślała o Maksie Vandenburgu.

Wyobrażała sobie, jak idzie pustą drogą. Wyobrażała sobie także, że unika niebezpieczeństwa, a jego dokumenty są poza podejrzeniem.

Trzej mężczyźni ukazywali jej się wszędzie.

Papę zobaczyła w szkolnym oknie. Maksa widziała przy kominku. Alex Steiner ukazał jej się w witrynie sklepu, kiedy wraz z Rudym zaglądali do środka.

– Popatrz na te garnitury – powiedział wtedy Rudy, przyciskając nos do szyby. – I wszystko się zmarnuje.

O dziwo, jedną z najskuteczniejszych metod, by się od tego oderwać, były dla Liesel wizyty u Frau Holtzapfel. Do ustalonych dni doszły środy. Po zakończeniu zmoczonego przez wodę *Świstaka* przeszły do *Wzruszenia ramion*. Czasem kobieta częstowała Liesel herbatą lub zupą, o niebo lepszą niż zupa mamy. I nie tak wodnistą.

Między październikiem a grudniem odbyła się w Molching jeszcze jedna parada Żydów dla rozrywki gawiedzi. Tym razem Liesel pobiegła na Münchenstrasse, żeby sprawdzić, czy nie ma wśród nich Maksa Vandenburga. Była rozdarta między pragnieniem ujżenia go i sprawdzenia, czy żyje, a równie silnym życzeniem, by go tam nie było. Bo to mogło oznaczać wiele rzeczy, między innymi wolność.

W połowie grudnia odbył się trzeci – tym razem niezbyt liczny – przegląd Żydów i kryminalistów pędzonych do Dachau. Rudy przyprowadził pod dom Liesel dwa rowery. Na ramieniu miał torbę.

– Zabawimy się, *Saumensch*?

ZAWARTOŚĆ TORBY RUDY'EGO

**Sześć kawalków zeschlego chleba
pokrojonego w kostkę.**

Podjechali naprzód, przed czoło pochodu idących do Dachau i przystanęli na poboczu. Rudy podał Liesel torbę.

– Weź trochę.

– To kiepski pomysł.

– Twój tata to zrobił. – Rudy wcisnął jej chleb do ręki.

Jak mogła protestować? W ten sposób warto było zarobić nawet chłostę.

– Jak będziemy szybcy, to nas nie złapią – zaczął rozdzielać chleb. – Więc uważaj, *Saumensch*.

Liesel nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy wraz z Rudym Steinerem, swym najlepszym przyjacielem, rozkładała kawałki chleba na drodze. Kiedy skończyli, schowali się wraz z rowerami za świerkami.

Droga była zimna i prosta. Niedługo zobaczyli żołnierzy i Żydów.

Ukryta w cieniu drzew Liesel patrzyła spod oka na chłopaka. Jak wszystko się pozmieniało. Ze złodzieja owoców stał się dawcą chleba. Jego jasne włosy mimo zmierzchu świeciły jak pochodnia. Słyszała, że burczy mu w brzuchu – a mimo to dawał ludziom chleb.

Czy to były Niemcy?

Hitlerowska Trzecia Rzesza?

Żołnierz na przedzie nie zauważył chleba, bo nie był głodny. Pierwszy Żyd zauważył.

Wyciągnął rękę i wsunął natychmiast kawałek do ust.

Czy to Max – zastanawiała się Liesel.

Nie widziała dokładnie, więc wychyliła się z kryjówki.

– Hej, ty! – Rudy był zły. – Nie ruszaj się. Jak nas złapią i oskarżą, to już po nas.

Liesel nie usłuchała.

Jeszcze kilku Żydów podniosło po kawałku chleba. Złodziejka ksiązek obserwowała ich uważnie. Nie było wśród nich Maksa Vandenburga.

Jej ulga trwała tylko chwilę.

Zmącił ją fakt, że jeden z wartowników zauważył, jak więzień podnosi coś z ziemi. Padł rozkaz:

– Stać!

Sprawdzano drogę. Więźniowie żuli na wyścigi w zupełnej ciszy. Nastąpiło zbiorowe przełykanie.

Żołnierz podniósł kilka kawałków chleba i zaczął wpatrywać się w pobocze. Więźniowie tak samo.

– Tam jest!

Najbliższy wartownik już ku nim biegł. Zobaczył dziewczynę, potem chłopaka. Oboje rzucili się do ucieczki.

Każde pędziło w innym kierunku, kryjąc się w cieniu świerków.

– Szybciej, Liesel!

– A rowery?

– *Scheiss drauf!* Gówno mnie to obchodzi!

Biegli dalej, już po stu metrach słysząc za plecami oddech zbliżającego się żołnierza. Wybrał trop Liesel. Czekala tylko, aż przytrzyma ją ręka ścigającego.

Miała szczęście.

Zarobiła jedynie kopniaka.

– Uciekaj, mała, nic tu po tobie – rzucił za nią żołnierz. Uciekala więc jeszcze parę kilometrów. Gałęzie biły ją po ramionach, potykała się o szyszki, a płuca wypełniała jej woń igliwia, jak w Boże Narodzenie.

Zanim wróciła, minęła prawie godzina. Rudy siedział przy zardzewiałych rowerach. Zebrał z drogi to, co zostało, i teraz przeżuwał zatęchły, suchy chleb.

– Mówilem, żebyś się nie wychylała.

Pokazała mu tyłek.

– Mam odcisk buta?

UKRYTY SZKICOWNIK

Parę dni przed świętami był kolejny nalot, ale żadne bomby nie spadły na Molching. Według radiowych informacji, większość zrzucano na pola.

Dla Liesel ważne było, jak się zachowają ludzie w piwnicy Fiedlerów. Przybyli jej najwierniejsi kibice, którzy z powagą usiedli i czekali. Patrzyli na nią z nadzieją. Usłyszała w uszach głos papy: „Jeśli będą naloty, masz dalej czytać w schronie”.

Liesel czekała. Chciała być pewna, że tego właśnie chcą.

– Czytaj, *Saumensch* – w imieniu zgromadzonych zażądał Rudy.

Otworzyła książkę i znów słowa znalazły drogę do serc ludzi ukrytych w schronie.

Po odwołaniu nalotu Liesel siedziała z mamą w kuchni. Rosa miała zatroskaną twarz. W pewnym momencie wzięła nóż i wyszła, mówiąc:

– Chodź ze mną.

Poszła do sypialni i odsunęła prześcieradło z materaca. Pośrodku był ślad po cerowaniu. Nikt obcy nie zauważyłby nic podejrzanego. Rosa ostrożnie przecięła nici i wsunęła do środka rękę na całą długość ramienia. Po wyciągnięciu trzymała w niej szkicownik Maksa Vandenburga.

– Powiedział, że mam ci to dać we właściwym czasie. Myślałam o twoich urodzinach, ale w końcu zdecydowałam się na Gwiazdkę – powiedział Rosa. Miała dziwny wyraz twarzy. Nie była to duma; malował się na niej cały ciężar wspomnień. – Myślę, że ty od początku byłaś na to gotowa, Liesel. Od chwili, kiedy przekroczyłaś naszą furtkę. Takie jest twoje przeznaczenie.

Rosa podała jej książkę.

Na okładce było napisane:

STRZĄSACZKA SŁÓW

Zbiór myśli

dla Liesel Meminger

Liesel ujęła ją delikatnie, obejrzała.

– Dziękuję, mamó. – Objęła Rosę.

W tym momencie z całych sił pragnęła powiedzieć Rosie Hubermann, że ją kocha. Aż żal, że tego nie zrobiła.

Liesel chciała czytać książkę w piwnicy, przez pamięć Maksa, ale Rosa jej to wyperswadowała.

– Max się tam pochorował – powiedziała. – A ja nie chcę cię stracić, dziewczyno.

Czytała więc w kuchni, przy czerwono-żółtych płomieniach piecyka.

Strząsaczka słów.

Przedzierała się przez niezliczone historyjki, ilustracje i obrazki z napisami. Był tam Rudy z trzema złotymi medalami na szyi i podpisem: „Ma włosy żółte jak cytryna”. Był też bałwan, podobnie jak lista trzynastu prezentów, nie mówiąc o opisie wielu nocy spędzonych w piwnicy czy przy kominku.

Było tam wiele myśli, rysunków i marzeń odnoszących się do Stuttgartu i Führera. Podobnie jak wspomnień o rodzinie Maksa. Nie mógł ich pominąć. To był przymus.

Aż wreszcie doszła do strony 117.

Tu zaczynała się tytułowa *Strzęsaczka słów*.

Była to przypowieść lub bajka, Liesel nie była pewna. Nawet późniejsze sprawdzanie obu pojęć w słowniku nie rozproszyło jej wątpliwości.

Historię poprzedzała mała notka.

STRONA 116

Liesel, o mało nie usunąłem tej historii. Pomyślałem, że jesteś za duża na bajki, ale potem pomyślałem, że na takie bajki nikt nie jest za duży. Pomyślałem o tobie i twoich książkach, i właśnie wtedy przyszła mi do głowy ta dziwna opowieść. Mam nadzieję, że znajdziesz w niej coś dla siebie.

Odwróciła stronę.

[s. 475]

BYŁ SOBIE raz dziwny mały człowieczek, który podjął trzy ważne życiowe decyzje:

- 1.Zrobił sobie przedziałek po innej stronie niż wszyscy.
- 2.Zapuścił mały kanciasty wąsik.
- 3.Postanowił, że zdobędzie władzę nad światem.

Ów młody człowiek wędrował przed siebie, a po drodze planował i rozmyślał nad tym, jak podporządkować sobie cały świat. Pewnego dnia ni stąd ni zowąd wpadł na genialny pomysł. Zobaczył na ulicy matkę z dzieckiem. Matka zaczęła karcić chłopczyka, aż ten się rozplakał. Wtedy zaczęła przemawiać do niego łagodnie, a on się uspokoił i rozchmurzył.

Młody człowiek skoczył i porwał kobietę w objęcia. „Słowa!” – Uśmiechnął się szeroko. „Co?” Odpowiedzi nie było, bo już sobie poszedł.

[Na rys.:]

Sklep Führera

Podręcznik Führera

Wąsiki

Nienawiść

Strach

Dostawa za darmo

Przecena

Führer wpadł na pomysł, że będzie rządził światem za pomocą słów. „Nie będę strzelał z pistoletu – stwierdził. – Nie będę musiał”. Trzeba mu przyznać, że nie działał pochopnie ani głupio. Swoją plan ataku zaczął od tego, że cały obszar swego kraju gęsto obsadził słowami.

Sadził je i pielęgnował dzień i noc.

Patrzył, jak wyrastają, aż wkrótce całe Niemcy zarósł gęsty las hodowlanych myśli.

[linia]

PODCZAS GDY słowa rosły, młody Führer zasadził nasiona symboli i one także szybko dojrzały. Nadszedł jego czas. Führer był gotów do działania.

Zerwał z drzew najlepsze, najpotworniejsze słowa i za ich pomocą zwołał do siebie cały naród. Ludzie do niego przyszli.

[s. 476]

Zostali ustawieni na pasie transmisyjnym i przepuszczeni przez wielką maszynę, która umiała skondensować całe ludzkie życie do dziesięciu minut. Ludzie zostali nakarmieni słowami. Zniknął czas. Ludzie wiedzieli tylko tyle, ile potrzebowali wiedzieć. Zostali zahipnotyzowani.

Następnie ofiarowano im nowe symbole i wszyscy byli uszczęśliwieni.

Wkrótce zapotrzebowanie na wspaniałe, straszne słowa wzrosło tak gwałtownie, że w miarę rozrostu lasów trzeba było coraz więcej pracowników do obsługi. Jedni zostali zatrudnieni do wchodzenia na drzewa i zrywania słów, inni do ich zbierania. Słowa trafiały do tej części narodu, która jeszcze ich nie spróbowała, i do tych, którzy przychodzili po dokładkę.

Tych, którzy wchodzili na drzewa, nazywano strząsaczami słów.

NAJLEPSZYMI strząsaczami byli ci, którzy rozumieli siłę oddziaływania słów. Ci potrafili wspinać się najwyżej. Jedną ze strząsaczek była mała, chuda dziewczynka. Uznano ją za światową mistrzynię, bo rozumiała także, jak bezzadny jest człowiek BEZ słów.

To dlatego wspinała się tak wysoko, wyżej niż inni. Bo było to jej największe pragnienie. Odczuwała głód słów.

Pewnego dnia spotkała człowieka, który był wyrzutkiem we własnym kraju. Zaprzyjaźnili się, a gdy ten człowiek zachorował, łąka strząsaczki słów spadła na jego twarz. Łąka ta była zrobiona ze słowa „przyjaźń”. Gdy wyschła, pozostało po niej nasionko, i kiedy dziewczynka znów udała się do lasu, zasadziła je między innymi drzewami i codziennie podlewała.

[s. 477]

[rys.:] nienawidzić bojkot nienawiść strach prawo

Z początku nic się nie działo, aż pewnego popołudnia, kiedy przyszła w to miejsce po całodziennym strząsaniu słów, ujrzała małą roślinkę. Długo się w nią wpatrywała.

Drzewo rosło bardzo szybko, szybciej od innych drzew, aż wreszcie wybujało najwyżej w całym lesie. Wszyscy przychodzili je oglądać. Plotkowano o nim wszędzie i czekano na wizytę samego Führera.

Rozwścieczony Führer natychmiast kazał je ściąć. Wtedy przez tłum przedarła się strząsaczka słów. Padła przed nim na kolana z błaganem, by tego nie robił.

Jednak Führer był nieugięty. Nie mógł sobie pozwolić na robienie wyjątków. Kiedy odciągnięto strząsaczkę słów, zwrócił się do swego adiutanta i rozkazał: „Dawać siekierę”.

[linia]

W TYM MOMENCIE strząsaczka słów wyrwała się i uciekła. Wspięła się na drzewo, mimo że Führer walił w nie siekierą. Doszła do samego wierzchołka. Coraz słabiej słyszała echo głosów i uderzeń. Obok niej przepływały chmury – białe potwory o szarych sercach. Przestraszona, lecz uparta strząsaczka słów pozostała na drzewie. Czekala, aż się zwali.

Ale drzewo ani drgnęło.

Minęło wiele godzin, a siekiera Führera nawet nie naruszyła kory pnia. Bliski omdlenia nakazał innym, by kontynuowali pracę.

Mijały dni i tygodnie.

Stu dziewięćdziesięciu sześciu żołnierzy nie dało rady drzewu strząsaczki słów.

[s. 478]

„Co ona je?” – dziwili się ludzie. – „Jak ona śpi?”

Nie wiedzieli, że inni strząsacze drzew podrzucali jej prowiant, a ona schodziła po niego na niższe gałęzie.

[linia]

PADAŁ ŚNIEG i deszcz. Zmieniały się pory roku. Strząsaczka słów trwała na posterunku. Kiedy ostatni drwal dał za wygraną, zawołał do niej:

„Możesz zejść, strząsaczko słów! Nikt nie pokona twojego drzewa”.

Strząsaczka słów, która ledwo dosłyszała i zrozumiała te słowa, odpowiedziała szeptem, który przesączył się w dół po gałęziach.

„Dziękuję, ale nie zejść”. – Wiedziała, że to dzięki niej drzewo wciąż trzyma się prosto.

NIKT NIE WIE, ile czasu minęło, aż pewnego dnia w mieście pojawił się nowy drwal. Torba wydawała się dla niego za ciężka. Miał znużone oczy i chwiał się na nogach.

„Drzewo?” – zapytał. – „Gdzie jest drzewo?”

Ludzie poszli za nim, a kiedy doszli do drzewa, chmury zakryły jego wierzchołek. Strząsaczka słów słyszała z dołu okrzyki, że przyszedł nowy drwal, który uwolni ją z dobrowolnego więzienia.

„Ona nie zejdzie stamtąd sama” – mówili ludzie.

Nikt nie wiedział, kim był ten drwal; nie wiadomo też, że nigdy się nie poddaje.

Otworzył torbę i wyjął z niej przedmiot znacznie mniejszy od siekiery.

[s. 479]

„Nie zwalisz takiego drzewa starym młotkiem” – śmiali się ludzie.

Młody człowiek nie słuchał ich. Zajrzał do torby i wyciągnął z niej gwoździe. Trzy przytrzymał ustami, a czwarty zaczął wbijać w drzewo. Najniższe gałęzie rosły teraz bardzo wysoko i, jak wyliczył, potrzebował czterech gwoździ, by się do nich dostać.

„Patrzcie tylko, co za idiota” – ryknął śmiechem jeden z obserwatorów. – „Nikt nie zdołał ściąć tego drzewa siekierą, a jemu się zdaje, że może to zrobić...”

Tłum umilkł.

[linia]

PIERWSZY gwoździe wszedł lekko i po pięciu uderzeniach trzymał się mocno. Po nim został wbity drugi, a młody człowiek zaczął się wspinać.

Przy czwartym gwoździu podciągnął się na rękach i odtąd już trzymał się gałęzi. Kusiło go, żeby powiedzieć ludziom, że mu się udało, ale coś go powstrzymało.

Wydawało mu się, że wspina się kilometrami. Dotarcie do najwyższych gałęzi zabrało mu wiele godzin, a kiedy znalazł się na miejscu, ujrzał uśpioną strząsaczkę słów, okrytą kocem i chmurami.

Patrzył na nią długo.

Ciepłe słońce roztopiło dach z chmur.

Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Strząsaczka słów obudziła się.

Przetarła oczy i też długo na niego patrzyła.

„Czy to ty?” – spytała. Czy to z twojego policzka wzięłam nasionko? – pomyślała.

Mężczyzna kiwnął głową. Serce mu zabiło i mocniej uchwycił się gałęzi.

„To ja”.

[linia]

ZOSTALI RAZEM na szczycie drzewa. Czekali, aż chmury całkiem się rozplyną i będą mogli ogarnąć wzrokiem cały las.

[s. 480]

„Stale rośnie” – zauważyła.

„To drzewo także” – odparł, gładząc gałąź. Trafił w sedno.

Kiedy już się naoglądali i nagadali, zaczęli schodzić. Koc i jedzenie pozostawili na drzewie.

Ludzie nie wierzyli własnym oczom. W chwili gdy strząsaczka słów i młody człowiek postawili stopy na ziemi, na pniu drzewa ukazały się rany od siekiery. Poleciały drzazgi, drzewo zatrzęszczało i zatrzęsa się ziemia.

– Upadnie – zawołała dziewczyna. – To drzewo upadnie!

Miała rację. Wysokie jak góra drzewo strząsaczki słów wolno zaczęło się klonić. Jęknęło, padając na ziemię. Zatrzęsł się cały świat, a gdy wszystko się uspokoiło, drzewo leżało wśród innych drzew. Nie zdołało ich wszystkich powalić, ale przynajmniej utworzyło przecinkę przez las.

Strząsaczka słów i młody człowiek wdrapali się na leżący pień. Szli, przestępując gałęzie. Kiedy się obejrzel, zobaczyli jak większość ludzi powraca na swoje miejsca. I tu. I tam. I w lesie.

Idąc, zatrzymywali się kilka razy, by posłuchać. Wydawało im się, że słyszą za sobą głosy ludzi maszerujących za nimi po pniu drzewa strząsaczki słów.

Liesel długo jeszcze siedziała przy kuchennym stole i zastanawiała się, gdzie Max Vandenburg znalazł sobie miejsce w otaczającym ich lesie. Na jej głowę padało światło. Zasnęła. Mama kazała jej iść do łóżka. Kładąc się, Liesel przyciskała do piersi szkicownik Maksa.

Obudziła się parę godzin później, a właściwie obudziła ją wyśniona odpowiedź na pytanie.

– Jasne – szepnęła. – Już wiem, gdzie on jest.

I spała dalej.

Śniło jej się drzewo.

HIMMELSTRASSE 33

24 GRUDNIA

Z racji nieobecności obu ojców

Steinerowie zaprosili do siebie Rosę i Trudy Hubermann oraz Liesel.

Kiedy weszły, Rudy wciąż tłumaczył,

skąd ma ubranie. Na widok Liesel

uśmiechnął się niezauważalnie.

Dni poprzedzające Boże Narodzenie 1942 roku były ciężkie od śniegu. Liesel wiele razy przeczytała *Strząsaczkę słów*, poczynawszy od bajki, skończywszy na rozważaniach Maksa. W Wigilię zdecydowała się co do Rudy'ego. To nic, że było za późno na wychodzenie z domu.

Poszła do Steinerów tuż przed zmrokiem i powiedziała, że ma dla niego świąteczny prezent. Rudy obejrzał ją od stóp do głów.

– Gdzie on jest?

– Nieważne.

Ale Rudy już wiedział. Nieraz widział ją tak podekscytowaną. Pragnienie ryzyka w oczach i lepkie palce.

Wyczuwał wokół niej oddech złodziejstwa.

– Tego prezentu dla mnie jeszcze nie masz, co?

– Jeszcze nie.

– I nie zamierzasz go kupić?

– Pewnie, że nie. Myślisz, że mam pieniądze? – Śnieg padał bez przerwy. Na końcu trawnika lód błyszczał jak zbite szkło. – Masz klucz?

– Jaki klucz? – spytał Rudy, ale natychmiast sam się domyślił. Wpadł do domu i zaraz wrócił. Powtórzył słowa Viktora Chemmela: – Idziemy na zakupy.

Światło szybko szarzało. Wszystkie sklepy i instytucje przy Münchenstrasse, z wyjątkiem kościoła, były zamknięte z okazji świąt. Liesel z trudem nadążała za długimi krokami swego towarzysza. Podeszli do witryny z napisem STEINER – SCHNEIDERMEISTER. Szyba nosiła ślady błota i brudu narosłego przez minione tygodnie. Po drugiej stronie szkła stały manekiny, niemi świadkowie. Były bardzo poważne i groteskowo upozowane. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że wodzą za człowiekiem oczami.

Rudy sięgnął do kieszeni.

Była Wigilia.

Jego ojciec stacjonował pod Wiedniem.

Rudy nie sądził, żeby miał on coś przeciwko temu, by się włamali do jego ukochanego zakładu. Zwłaszcza że okoliczności tego wymagały.

Drzwi otworzyły się gładko. Weszli do środka. Rudy odruchowo chciał włączyć światło, ale elektryczność odcięto już jakiś czas temu.

– Są tu jakieś świece?

– Ja załatwiłem klucz – powiedział skonsternowany Rudy. – To był twój pomysł.

Podczas tej wymiany zdań Liesel z hukiem wyrznęła o podłogę. Za nią poleciał manekin. Zaplątała się w wiszące na nim ubranie.

– Zabierz to ode mnie!

Manekin rozpadł się na cztery części – tors z głową, nogi i oddzielnie obie ręce. Uwolniona Liesel westchnęła z ulgą. Rudy wziął jedną z rąk i postukał ją w ramię. Gdy się w popłochu odwróciła, wyciągnął ją przyjaznym gestem:

– Miło mi panią poznać.

Przez kilka następnych minut ostrożnie przeciskali się przez ciasne rzędy ubrań. Rudy podszedł do kontuaru. Potknął się o puste pudło i zaklął. Ruszył do wyjścia.

– To idiotyczne – powiedział. – Zaczekaj chwilę. – Liesel siedziała z ręką manekina, póki nie wrócił z kościoła. Trzymał zapalony lampion.

Jego twarz wydobywał z mroku krążek światła.

– No więc gdzie jest ten prezent, o którym mi naplotłaś? Mam nadzieję, że nie chodziło ci o tego okropnego manekina.

– Daj tu światło.

Kiedy przyniósł latarnię, Liesel wzięła ją i zaczęła oglądać wiszące na wieszakach garnitury. Wyciągnęła jeden, ale zaraz zamieniła go na inny.

– Za duży. – Po kolejnych dwóch próbach znalazła granatowe ubranie i wyciągnęła je przed oczy Rudy'ego Steinera. – To będzie twój rozmiar?

Liesel czekała w ciemności, aż Rudy wyjdzie z przymierzalni. Za zasłoną widziała tylko jego poruszający się cień. Kiedy wyszedł, podał Liesel latarnię. Uwolnione od zasłon światło padało szerokim promieniem na wytworny garnitur. Niestety, oświetlało także przybrudzoną koszulę Rudy'ego i jego zniszczone buty.

– No i co? – zapytał.

– Nieźle – oceniła Liesel po tym, jak go obróciła i wyprostowała.

– Nieźle, nieźle! Wyglądam świetnie, a nie nieźle.

– Buty masz do bani. No i ta twoja gęba.

Rudy postawił latarnię na ladzie i ruszył ku niej w pozorowanym ataku złości. Prawdę mówiąc, Liesel trochę się wystraszyła. Z ulgą, choć i rozczarowaniem patrzyła, jak wywraca się o przewrócony manekin.

Rudy, leżąc plackiem, zaśmiał się.

A potem mocno zacisnął oczy.

Liesel nachyliła się nad nim.

Pocałuj go, pocałuj, Liesel!

– Rudy? Nic ci nie jest? Rudy?!

- Tęsknię za nim – rzucił chłopak gdzieś w bok, przy podłodze.
- *Frohe Weihnachten* – odparła Liesel. Pomogła mu wstać, otrzepała garnitur. – Wesołych świąt.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

OSTATNIA OBCA WŚRÓD LUDZI

Występują:

kolejne kuszenie – gra w karty – śniegi Stalingradu – wiecznie mały brat – wypadek – gorzki smak pytań – skrzynka z narzędziami i miś – zestrzelony samolot – powrót do domu

KOLEJNE KUSZENIE

Tym razem pokusę stanowiły ciastka.

Zleżałe.

Chodziło o tradycyjne świąteczne rogaliki zwane *Kipferl*, które czekały na biurku od dwóch tygodni. Wyglądały jak małe podkowy polane lukrem. Te od dołu przykleiły się do talerza, te z góry do nich, tworząc lepką, ciągnącą się piramidę. Liesel, kładąc dłoń na framudze, niemal wyczuwała ich zapach. Pokój smakował cukrem, ciastem i tysiącami zadrukowanych stron.

Tym razem nie było listu, ale Liesel dobrze wiedziała, że było to dzieło Ilsy Hermann przeznaczone *specjalnie* dla niej. Podeszła do okna i szeptem poinformowała o tym Rudy'ego.

Tego dnia przyszli na piechotę, bo droga była zbyt śliska na jazdę rowerem. Chłopak został na warcie za oknem. Kiedy wyjrzał, Liesel podała mu talerz. Wziął bez protestów.

Obejrzał ciastka i zapytał:

– Jest coś jeszcze? Może mleko?

– Co?

– Mleko – powtórzył głośniejszym głosem, udając że nie wyczuwa obrazy w tonie Liesel. Złodziejka książek wychyliła się z okna.

– Zgłupiałeś? Dałbyś mi wreszcie ukraść książkę!

Liesel podeszła do półki za biurkiem. Znalazła tam czysty papier, a w szufladzie pióro. Napisała „dziękuję” i położyła kartkę na biurku. Z półki po prawej stronie jak wystająca kość sterczała książka. Z jasnego grzbietu krzyczały przerażone czarne litery: *Die Letzte Menschliche Fremde – Ostatnia obca wśród ludzi*. Wyjmowany z półki tom zaszeptał coś cicho. Posypał się kurz.

Kiedy Liesel była już prawie na parapecie, gotowa zeskoczyć, usłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Jedną nogę podniosła do góry, a książkę oparła o szybę. Obejrzawszy się, ujrzała żonę burmistrza w nowiutkim szlafroku i kapciach. Na kieszonce wyhaftowana była swastyka. Niemiecka propaganda sięgała nawet łazienki.

Patrzyły na siebie. Na widok symbolu na piersi Ilsy Hermann Liesel uniosła dłoń w pozdrowieniu *Heil Hitler*. I wtedy dotarła do niej zupełnie nowa myśl.

Ciastka.

Stały tu parę tygodni.

Co znaczyło, że gdyby burmistrz korzystał z biblioteki, musiałby je zauważyć. I zapytać, po co tam stoją. Albo – myśl była naprawdę niezwykła, ale przyjemna – biblioteka nie należała do burmistrza, tylko do niej. Do Gilzy Hermann.

Nie wiedziała, dlaczego wydało jej się to aż tak ważne, ale hołubiła w sercu myśl, że ten pokój mógł należeć do kobiety. To jej zasługą była inicjacja Liesel, to ona pierwsza wpuściła dziewczynkę do biblioteki. To ona otworzyła okno. Wszystko pasowało. Kiedy już miała to poukładane w głowie, spytała:

– To pani pokój, prawda?

– Zawsze tu czytaliśmy z moim synem... – Żona burmistrza zeszytywniała. – Ale potem...

Liesel wyciągnęła rękę do tyłu i natrafiła na powietrze. Zobaczyła na podłodze matkę z małym synkiem, który pokazuje palcem obrazki i słowa. Przez okno widziała wojnę.

- Wiem.
- Co powiedziałaś? – odezwał się szept zza okna.
- Zamknij się, *Saukerl* – rzuciła Liesel szorstkim szeptem, nie odwracając głowy. – Patrz na ulicę. – Potem zwróciła się bezpośrednio do Gilzy Hermann. – Więc te wszystkie książki...
- Są moje. Kilka należy do mego męża, niektóre były, jak wiesz, własnością syna.
- Myślałam zawsze, że to pokój burmistrza – powiedziała zmieszana i zaczerwieniona Liesel.
- Dlaczego? – Kobieta wydawała się rozbawiona. Liesel zauważyła na jej kapciach małe swastyczki.
- No bo jest burmistrzem. Myślałam, że dużo czyta.
- Ostatnio to ty czytasz najwięcej z nas wszystkich – żona burmistrza wcisnęła ręce w kieszenie.
- Czytała pani to? – Liesel pokazała *Ostatnią obcą wśród ludzi*.
- Tak, czytałam – odparła Ilsa po obejrzeniu okładki.
- I co, dobre?
- Niezłe.

Liesel łamała się – uciekać czy zostać. Chciała rozmawiać, ale słowa wypadały zbyt szybko i było ich za dużo. I wtedy inicjatywę przejęła żona burmistrza, która zobaczyła za szybą twarz Rudy'ego.

- Lepiej już idź – powiedziała. – On na ciebie czeka.

W drodze do domu zjadali ciastka.

- Jesteś pewna, że nic więcej nie było? – dopytywał się Rudy. – To niemożliwe.
 - Ciesz się, że mamy ciastka. – Liesel przyjrzała się zawartości talerza. – I powiedz mi prawdę: jadłeś, zanim przyszłam?
 - To ty jesteś złodziejką, nie ja – odparł Rudy oburzoną tonem.
 - Nie pogrywaj ze mną, *Saukerl*. Masz lukier na gębie.
- Zaskoczony Rudy przytrzymał półmisek jedną ręką, drugą zaczął wycierać usta.
- Nie jadłem, przysięgam.

Półowę ciastek zjedli, nim doszli do mostu, a resztą podzielili się z Tommym Müllerem na Himmelstrasse. Kiedy skończyli, pozostał jeden tylko problem.

- A co, do diabła, zrobimy z półmiskiem? – spytał Rudy.

GRA W KARTY

Podczas kiedy Liesel i Rudy zjadali się ciasteczkami, odpoczywający po służbie w miasteczku pod Essen członkowie LSE grali w karty. Byli po długiej podróży ze Stuttgartu. Grali o papierosy. Reinhold Zucker był zły. – On musi oszukiwać, na bank – mruczał pod nosem. Grali w hangarze przerobionym na żołnierskie kwatery. Hans Hubermann wygrał właśnie trzecie rozdanie. Zirytowany Zucker rzucił karty na stół i przeczesał tłuste włosy brudnymi palcami.

KILKA FAKTÓW NA TEMAT REINHOLDA ZUCKERA

**Miał dwadzieścia cztery lata. Gdy wygrywał,
cieszył się jak dziecko. Przytykał tubki z tytoniem
do nosa i wdychał.**

– To zapach zwycięstwa – powtarzał.

I jeszcze jeden szczegół.

Umrze z otwartymi ustami.

W przeciwieństwie do młodego człowieka, Hans Hubermann nie okazywał radości ze zwycięstwa. Na koniec poczęstował partnerów wygranymi papierosami. Przypalił je zapalniczką. Wszyscy prócz Reinholda Zuckera przyjęli papierosy. On rzucił swojego na przewróconą skrzynkę, która służyła im za stół.

– Bez łaski, dziadu – powiedział. Wstał i wyszedł.

– Co z nim jest? – rzucił pytanie sierżant, ale nikt się nie pokwapił z odpowiedzią. Reinhold Zucker był dla nich tylko dwudziestoparoletnim gówniarzem, który nie umiał grać w karty tak, by ocalić życie.

Gdyby nie przegrał swych papierosów do Hansa Hubermann, nie znienawidziłby go. Gdyby go nie znienawidził, po paru tygodniach nie zająłby siłą jego miejsca w ciężarówce jadącej niewinnie wyglądającą drogą.

Jedno miejsce, dwóch mężczyzn, krótka kłótnia i ja.

Czasem dobija mnie sposób, w jaki giną ludzie.

W połowie stycznia 1943 roku Himmelstrasse wyglądała jak ciemny, ponury korytarz. Liesel zamknęła furtkę i udała się do Frau Holtzapfel. Zapukała. Zdziwił ją widok osoby, która otworzyła.

Z początku pomyślała, że musi to być jeden z synów sąsiadki, ale zupełnie nie był podobny do fotografii w ramce.

Wydawał się stary, choć jego wiek trudno było określić. Twarz miał zarośniętą, a jego oczy aż krzyczały z bólu.

Zabandażowana ręka zwisała z rękawa. Na opatrunku jak dojrzale wiśnie czerwieniły się plamy krwi.

– Przyjdź później. – Liesel próbowała zajrzeć przez jego ramię do kuchni i zawołać Frau Holtzapfel, ale mężczyzna zablokował jej drogę. – Odejdź, dziecko – powiedział. – Przyjdę po ciebie. Gdzie mieszkasz?

Po trzech godzinach zapukano do drzwi przy Himmelstrasse 33. Przed Liesel stanął mężczyzna z bandażem. Plamy krwi powiększyły się do rozmiaru śliwek.

– Ona czeka na ciebie.

Na dworze, w rozmazanym szarym mroku Liesel spytała mężczyznę, co mu się stało w rękę. Zanim odpowiedział – a było to tylko jedno słowo – dmuchnął przez nos.

– Stalingrad.

– Przepraszam, nie dosłyszałam.

Kiedy się odezwał, mówił pod wiatr. Teraz zdecydował się rozszerzyć temat.

– Rękę załatwili mi pod Stalingradem. Dostałem w żebra i odstrzelili mi trzy palce. To ci wystarczy? – Włożył ranną rękę do kieszeni i z pogardą zadygotał od poddmuchu niemieckiego wiatru. – Uważasz, że tu jest zimno?

– Oczywiście. – Liesel nie umiała kłamać.

– Co to za mróz – zaśmiał się mężczyzna. Wyciągnął papierosa i włożył do ust. Spróbował zapalić go jedyną władną ręką. Wiało tak, że czynność byłaby utrudniona nawet przy użyciu obu rąk, a z jedną okazała się niewykonalna. Rzucił zapałki i zaklął.

Liesel podniosła pudełko.

Odebrała mu papierosa i włożyła do ust. Jej także nie udało się go zapalić.

– Musisz wciągać dym – poradził mężczyzna. – Przy tej pogodzie inaczej nie pójdzie. *Verstehst?*

Spróbowała jeszcze raz, wzorując się na papie. Usta wypełnił jej dym. Przez zęby przedarł się do gardła i zaczął drapać, ale powstrzymała się od kaszlu.

– Dobra robota – pochwalił ją i zaciągnął się papierosem. – Jestem Michael Holtzapfel.

– Liesel Meminger.

– Przychodzisz czytać mojej matce?

W tym momencie za ich plecami pojawiła się Rosa. Była zaskoczona.

– To ty, Michael?

– *Guten Tag*, Frau Hubermann – uklonił się Michael Holtzapfel. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Wyglądasz tak...

– Tak staro?

To pytanie zbiło Rosę z tropu, ale zdołała się opanować.

– Zайдziesz do nas? Jak widzę, poznałeś już moją przybraną córkę... – urwała na widok zakrwawionego bandaża.

– Mój brat nie żyje – powiedział Michael Holtzapfel. Takiego uderzenia nie mógłby zadać nawet zdrową dłonią. Rosa zachwiała się. Oczywiście, na wojnie ginęli ludzie, ale śmierć kogoś, kogo się znało od urodzenia, to był cios. A Rosa latami obserwowała, jak dorastali obaj chłopcy z sąsiedztwa.

Postarzały młodzieniec znalazł sposób, by zrelacjonować, co się stało, i nie załamać się.

– Byłem w jednym ze szpitalnych budynków, kiedy go przynieśli. To było na tydzień przed moim powrotem do domu. Trzy dni przy nim siedziałem, a potem umarł...

– Tak mi przykro. – Te słowa wydawały się pochodzić od kogoś innego niż Rosa, stojąca za plecami Liesel. Liesel bała się obejrzeć.

– Proszę już nic nie mówić – powstrzymał ją Michael. – Czy mogę zabrać dziewczynkę? Wątpię, czy matka coś zrozumie z tego czytania, ale prosiła, żebym ją przyprowadził.

– Tak, idźcie.

Byli w połowie drogi do furtki, kiedy Michael się obejrzał.

– Roso? Słyszałem, że pani syn też jest na froncie wschodnim. W Rosji. Spotkałem znajomych z Molching i powiedzieli mi. Ale pani na pewno to wie.

Rosa próbowała go zatrzymać, złapała za rękaw.

– Nie wiedziałam. Odszedł od nas i nigdy już nie wrócił. Próbowaliśmy go szukać, ale tyle tu było zamieszania... Michael Holtzapfel chciał się od niej uwolnić. Ostatnia rzecz, jaką miał ochotę zrobić, to było opowiadanie kolejnej rzewnej historii.

– Żyje, o ile mi wiadomo. – Poszedł za Liesel do furtki, tam dziewczyna się zatrzymała. Patrzyła na twarz Rosy, która w jednej chwili rozpromieniła się i zapadła.

– Mamo?

– Idź.

Liesel czekała.

– Powiedziałaś ci, idź.

Kiedy dobiegła do byłego żołnierza, ten próbował nawiązać z nią rozmowę. Musiało mu być przykro z powodu Rosy i próbował to jakoś zagadać. Pokazał ranną rękę, poskarżył się, że ciągle krwawi. Liesel cieszyła się, kiedy wreszcie znaleźli się w kuchni Frau Holtzapfel. Im szybciej zacznie czytać, tym lepiej.

Frau Holtzapfel siedziała nieruchomo. Jej wychudzoną, żylastą twarz znaczyły mokre smugi łez.

Zginął jej syn.

Ale to była tylko połowa nieszczęścia.

Nie znała szczegółów, ale ja je znałem. Zawsze wiem, jaki będzie rezultat strzelaniny, śniegu i spotkania ludzi nierozumiejących się nawzajem.

Kiedy odtwarzam sobie widok kuchni Frau Holtzapfel z dziennika złodziejki książek, nie widzę ani drewnianych łyżek, ani pompy, ani nic takiego. Widzę mroźną rosyjską zimę, śnieg padający z sufitu i los drugiego syna Frau Holtzapfel.

Miał na imię Robert. Opowiem wam jego historię.

WOJENNY EPIZOD

Odstrzeliło mu nogi pod kolanami.

**Umierał w asyście brata w zimnym,
cuchnącym szpitalu.**

Działo się to w Rosji, piątego stycznia 1943 roku. Dzień był bardzo zimny. Poza miastem w zaspach leżało mnóstwo trupów, zarówno niemieckich, jak i radzieckich. Ci, którzy przeżyli, strzelali do białych przestrzeni przed oczami. Wszystko się mieszało: naboje i dwa obce języki, niemiecki i rosyjski.

Kiedy zbierałem upadłe dusze, jeden z rannych powiedział:

– Boli mnie brzuch. Powtarzał to w kółko. Był w szoku, a mimo to zdołał się doczołgać do ciemnej, zniekształconej figury siedzącej w kałuży krwi. Żołnierz rozpoznał Roberta Holtzapfla, który zakrwawioną ręką nagarniał śnieg na golenie roztrzaskane przez pocisk. Ręce miał gorące, podobnie jak krzyk.

Ziemia parowała. Śnieg rdzewiał.

– To ja – powiedział żołnierz. – Pieter. – Przybliżył się do rannego.

– Pieter? – spytał Robert słabnącym głosem. Już czuł, że jestem blisko.

– Pieter? – powtórzył.

Z nieznanых mi powodów umierający zawsze zadają pytania, na które znają odpowiedź. Może dlatego, że przed śmiercią muszą się upewnić, że jednak mieli rację.

Ich głosy zlały się w jedno.

Robert Holtzapfel padł na zimną, parującą ziemię.

Czekał na mnie wtedy.

Ale się nie doczekał.

Na nieszczęście młodego Niemca, nie zabrałem go tamtego popołudnia. Przystąpiłem go z ramionami pełnymi dusz i wróciłem po Rosjan.

I tak krążyłem, w tę i w tę.

Poćwiartowani ludzie.

To nie była wycieczka na nartach, zapewniam was.

Tak jak Michael powiedział matce, minęły całe trzy dni, zanim przyszedłem po żołnierza, który utracił obie nogi pod Stalingradem. Wzywano mnie do prowizorycznego szpitala. Wzdrygnąłem się od panującego tam smrodu.

Człowiek z obandażowaną dłonią zapewniał niemego, zesztywniałego żołnierza, że przeżyje.

– Wrócisz do domu – obiecywał.

Tak, do domu, pomyślałem. Już na dobre.

– Poczekam na ciebie – ciągnął. – Zwolnili mnie w zeszłym tygodniu, ale poczekam.

W połowie następnego zdania brata zabrałem duszę Roberta Holtzapfla.

Zwykle zbieram się szybko, wystarczy mi spojrzenie w sufit. W tym budynku miałem szczęście. Część dachu została zburzona i mogłem popatrzeć w niebo. Michael Holtzapfel wciąż mówił. Nie słuchałem, patrzyłem w przestrzeń rozpościerającą się nade mną. Niebo było białe, ale szybko się brudziło. Jak zwykle wyglądało jak

wielkie, stare prześcieradło. Przepływała przez nie krew, nawet chmury były nią uwalane, odzwierciedlały ślady rannych rąk na śniegu.

„Ślady rąk?” – zapytacie.

Właśnie, czyje to były ręce?

Liesel czytała w kuchni Frau Holtzapfel. Stronice odwracały się bez zrozumienia, a jeśli o mnie chodzi, to rosyjski pejzaż rozpływa się w mych oczach, a śnieg nie przestaje padać z sufitu. Pokrywa całunem czajnik i stół, a także głowy i ramiona siedzących przy nim ludzi.

Brat drży.

Kobieta łka.

Dziewczyna czyta – bo po to została tu wezwana – i takie jest dobre zakończenie po śniegach pod Stalingradem.

WIECZNIE MAŁY BRAT

Liesel Meminger miała wkrótce zacząć czternasty rok życia.

Papa wciąż nie wracał.

Jeszcze trzy razy czytała załamanej kobiecie. Przez wiele nocy obserwowała Rosę z akordeonem na kolanach, rozmodloną, z brodą opartą o miech.

Poczuła, że nadszedł czas. Zwykle to złodziejstwo podnosiło jej adrenalinę, ale tym razem miało być odwrotnie. Sięgnęła pod łóżko i wyciągnęła półmisek. Umyła go na chybcika i wyszła. Z przyjemnością szła przez Molching. Ostre, płaskie powietrze przypominało szkolne baty w wykonaniu sadystycznych nauczycieli i siostr. Jedyny dźwięk na Münchenstrasse powodowały jej kroki.

Po drugiej stronie rzeki Liesel wyczuła za chmurami słoneczne promienie.

Na Grandestrasse 8 weszła po schodach, postawiła półmisek pod drzwiami i zapukała. Nim drzwi się otworzyły, już była za rogiem. Nie oglądała się, ale wiedziała, że gdyby to zrobiła, znów zobaczyłaby brata u stóp schodów, z wygojonym już kolanem. Niemal słyszała, jak chwali ją za ten postępek.

Liesel zrobiło się bardzo smutno, kiedy zdała sobie sprawę, że jej brat na zawsze będzie miał sześć lat, ale zaraz uśmiechnęła się, choć z pewnym wysiłkiem.

Postała na moście przy Amper, gdzie tak często stał papa.

Uśmiechała się i uśmiechała, a kiedy już nie mogła dłużej, wróciła do domu. Brat już nigdy nie pojawił jej się we śnie. Tęskniła za nim, lecz na pewno nie tęskniła za widokiem jego martwych oczu na podłodze pociągu i odgłosem straszego kaszlu, który go zabił.

Złodziejka książek leżała w łóżku. Chłopczyk przewinął się momentalnie przed jej zamkniętymi oczami. Należał do licznej obsady tej wizji. Papa mówił jej, że jest już prawie kobietą. Max pisał w kącie *Strząsaczkę słów*. Nagi Rudy stał przy drzwiach. Matka na dworcowym peronie. A dalej, w głębi, na pomoście prowadzącym do bezimiennego miasta, jej braciszek Werner bawił się w zaspach na cmentarzu.

Metronomem, który nadawał rytm tym wizjom, było chrapanie Rosy. Liesel obudziła się, okrążona, ale zaraz wybawił ją cytat zapamiętany z ostatniej książki.

OSTATNIA OBCA WŚRÓD LUDZI, STRONA 38

**Po wszystkich ulicach miasta chodzili ludzie,
ale obca nie mogłaby się czuć bardziej samotna,
nawet gdyby na ulicy nie było nikogo.**

Przyszedł ranek, wizje się rozwiały. Z pokoju rodziców dobiegała litania słów. To modliła się Rosa, wciąż z akordeonem przy piersi.

– Boże, spraw, żeby wrócili – powtarzała. – Błagam Cię, Panie, niech wszyscy powrócą.

Zmarszczki wokół oczu drżały jej tak samo jak ręce.

Akordeon musiał ją uwierać, lecz go nie odłożyła.

Rosa nigdy nie opowiedziała o tym mężowi, ale Liesel była pewna, że to modlitwy mamy dopomogły papie ująć z życiem po wypadku w Essen. A jeśli nie pomogły, to na pewno nie zaszkodziły.

WYPADEK

Było bezchmurne popołudnie. Żołnierze ładowali się do ciężarówki. Ledwo Hans Hubermann siadł na swym stałym miejscu, stanął nad nim Reinhold Zucker.

– Wstawaj – powiedział.

– *Bitte?* – spytał Hans. Zucker garbił się pod plandeką.

– Spadaj stąd, *Arschloch* – powtórzył młody człowiek z gęstwą tłustych włosów opadających na czoło. – Zamieniamy się miejscami.

Hans nic nie rozumiał. Tylne siedzenie było możliwie najgorszym miejscem ze wszystkich. Wiało tam i było zimno.

– Dlaczego?

– A co to za różnica? – zniecierpliwiał się Zucker. – Może spiesz mi się do kibla.

Hans zdawał sobie sprawę, że cały oddział obserwuje tę żalosną potyczkę dwu dorosłych mężczyzn. Nie chciał przegrać, ale też nie chciał wyjść na człowieka małostkowego. Po pierwszej próbnej wymianie zdań nie miał siły na więcej. Schylił się i przeszedł na puste miejsce w środku ciężarówki.

– Czemu mu ustąpiłeś? To *Scheisskopf* – powiedział nowy sąsiad. Hans zapalił papierosa i zaoferował mu macha.

– Tam są straszne przeciągi. Uszy mnie bolą.

Ciężarówka koloru khaki ruszyła do znajdującego się o dziesięć mil obozu. Brunennweg akurat opowiadał dowcip o francuskiej kelnerce, kiedy pękło przednie lewe koło, a kierowca stracił kontrolę nad pojazdem. Ciężarówka przeokoziłkowała parę razy. Splątani ludzie klęli. Na zewnątrz wirowało błękitne niebo, wszyscy usiłowali się czegoś przytrzymać.

Kiedy auto znieruchomiało, stłoczyli się po prawej stronie. Drogę blokował brudny mundur. Pytali się nawzajem, czy wszystko w porządku, póki Eddie Alma nie zaczął krzyczeć.

– Zabierajcie ode mnie tego sukinsyna! – powtórzył trzy razy z szybkością karabinu. Wpatrywał się w martwe oczy Reinholda Zuckera.

LISTA STRAT, ESSEN

Sześciu mężczyzn poparzonych papierosami.

Dwie złamane ręce.

Kilka połamanych palców.

Złamana noga Hansa Hubermanna.

Złamany kark Reinholda Zuckera.

Pomagali sobie przy wychodzeniu. W ciężarówce został trup. Kierowca, Helmut Brohmann, siedział na ziemi i drapał się w głowę.

– Ta dętka – powtarzał. – Nagle wybuchła.

Niektórzy pocieszali go, że to nie była jego wina. Inni chodzili i palili, rozmawiając o tym, czy doznane obrażenia wystarczą, by ich zwolniono ze służby. Najmniejsza grupka zebrała się koło zwłok w ciężarówce. Hans Hubermann z bolącą nogą siedział pod drzewem.

– To miałem być ja – powiedział.

– Cooo?! – wydarł się sierżant z ciężarówki.

– On zajął moje miejsce.

Helmut Brohmann wreszcie się pozbierał i wskoczył do szoferki. Próbował zapalić silnik, ale bez skutku. Posłano po zastępczy wóz i karetkę. Karetka nie przyjechała.

– Wiecie, co to znaczy? – spytał Boris Schipper.

Wiedzieli.

Po drodze do obozu żołnierze starali się nie patrzeć na pośmiertny uśmiech Reinholda Zuckera.

– A nie mówiłem, żeby go obrócić twarzą do ziemi? – odezwał się któryś.

Kiedy zapominali o zwłokach, opierali o nie nogi. Po przybyciu na miejsce każdy usiłował wymigać się od obowiązku ich wyniesienia. Hans Hubermann próbował kuśtykać, ale ból powalił go na ziemię.

Po godzinie, kiedy wreszcie zbadał go lekarz, stwierdził złamanie. Sierżant, który czekał nieopodal, zareagował półuśmiechem.

– No i co, Hubermann? Wygląda na to, że ci się upiekło? – Potrząsnął okrągłą głową, zaciągnął się i zaczął mówić, co będzie dalej: – Odpoczniesz. Spytają mnie, co z tobą zrobić. Powiem im, że byłeś świetnym żołnierzem. – Znów wypuścił kłęb dymu. – A potem im powiem, że już się nie nadajesz do LSE i trzeba cię odesłać do Monachium do pracy biurowej albo coś w tym guście. Podobają ci się ten scenariusz?

– Podobają się – powiedział Hans, uśmiechając się mimo bólu. Boris Schipper zgasił papierosa.

– Będziesz miał życie jak w Madrycie, Hubermann. Masz szczęście, że cię polubiłem. Masz szczęście, że jesteś w porządku facet. Zawsze się dzieliłeś papierosami.

W sąsiednim gabinecie rozrabiano gips.

Tydzień po urodzinach Liesel, w połowie lutego, wreszcie przyszedł obszerny list od Hansa. Liesel pognęła do skrzynki pocztowej, a potem do mamy. Rosa kazała jej przeczytać list na głos. Nie mogły powstrzymać podniecenia na wieść, że złamał nogę. Liesel była tak przejęta, że następne zdanie przeczytała po cichu, tylko dla siebie.

– Co dalej? – naciskała Rosa. – Czytaj, *Saumensch*.

Liesel zachciało się głośno krzyczeć. Sierżant dotrzymał słowa.

– On wraca do domu, mamó! Papa wraca do domu!

Uściskały się mocno pośrodku kuchni. List pogniótł się między ich ciałami. Złamana noga oznaczała prawdziwe święto.

Kiedy Liesel pobiegła z nowiną do sąsiadów, Barbara Steiner też szalała z radości. Uściskała dziewczynkę i zwołała całą rodzinę. Wieść, że Hans Hubermann wraca do domu, podbudowała ich wszystkich. Rudy uśmiechał się, nawet próbował się głośno śmiać. Liesel czuła jednak gorzki smak pytania, które miał na końcu języka.

Dlaczego on?

Dlaczego Hans Hubermann, a nie Alex Steiner?

No właśnie.

SKRZYŃKA NA NARZĘDZIA, KREW I MIŚ

Od powołania ojca w październiku gniew Rudy'ego narastał. Wiadomość o powrocie Hansa Hubermanna jeszcze dołała oliwy do ognia. Nie zwierzał się z tego Liesel. Nie skarżył się, że to niesprawiedliwe. Postanowił działać. Pewnego złodziejskiego wieczoru wymknął się na Himmelstrasse z metalową skrzynką.

SKRZYŃKA RUDY'EGO

Była czerwona, poobijana, wielkości dużego pudełka na buty.

Zawierała następujące przedmioty:

- scyzoryk Rudy'ego,
- kieszonkową latarkę,
- młotki (duży i mały),
- ścierkę,
- śrubokręty (trzy, różnej wielkości),
- kominiarkę,
- parę czystych skarpet,
- misia.

Liesel zauważyła go z kuchennego okna. Szedł zdecydowanym krokiem z determinacją na twarzy, tak samo jak wtedy, kiedy wyruszył na poszukiwanie ojca. Z całej siły ścisnął uchwyt, a z jego sylwetki przebijała wściekłość. Złodziejka książkę upuściła ścierkę i pobięła za nim. Szedł kraść.

Nie było ceremonii powitalnych.

Rudy nawet nie odwrócił głowy. Przy domu Tommy'ego Müllera powiedział:

– Wiesz, Liesel, zastanawiałem się nad tobą. Nie jesteś prawdziwą złodziejką. Ta kobieta pozwalała ci wchodzić do domu. Zostawiła ci nawet ciastka. To nie jest prawdziwe złodziejstwo. Prawdziwe złodziejstwo jest w wojsku. Oni ukradli twojego i mojego ojca. – Rudy z całej siły kopnął kamień, który obił się o furtkę. Przyspieszył kroku. – Złodzieje to ci wszyscy hitlerowcy z Grandestrasse, Gelbstrasse i Heidestrasse.

Liesel bezmyślnie podążała za nim. Minęli sklep Frau Diller i wchodzili na Münchenstrasse.

– Rudy...

– A swoją drogą, jak się wtedy czujesz?

– Nie rozumiem.

– Kiedy bierzesz książkę? – Liesel nie odpowiadała. Gdyby chciał odpowiedzi, musiałby się cofnąć w czasie. – No? – zapytał, ale nim Liesel zdążyła otworzyć usta, odpowiedział sam sobie: – Dobrze ci wtedy, co? Fajnie jest kraść.

– Co masz w tej skrzynce? – spytała Liesel, zmęczona szybkim marszem.

Ukląkł i otworzył ją.

Wszystko było na swoim miejscu, tylko pluszowy miś nie pasował do zawartości.

Idąc dalej, Rudy zaczął jej szczegółowo objaśniać, do czego służy każde narzędzie. Młotkami na przykład można rozbić szybę, a ścierka służy do owinięcia młotka, żeby nie robił hałasu.

– A miś?

Miś należał do Anny Marii i był wysokości średniej książki. Miał wytarte, brudne futerko. Wielokrotnie doszywano mu pourywane oczy i uszy, ale nadal wyglądał sympatycznie.

– To dowód mojego geniuszu – odparł Rudy. – Kiedy na miejscu przestępstwa zjawi się jakiś dzieciak, to dam mu misia, żeby nie krzyczał.

– A co chcesz kraść?

– Wszystko – wzruszył ramionami. – Pieniądze, jedzenie, biżuterię. Co się trafi.

Po kwadransie Liesel obserwująca jego nagle uspokojoną twarz zrozumiała, że Rudy Steiner nie zamierza niczego ukraść. Jego determinacja wyparowała i choć nadal wyobrażał sobie swoje złodziejskie tryumfy, było jasne, że sam w nie nie wierzy. Chciał wierzyć, ale mu się nie udawało. Wyobrażał sobie Bóg wie co, kiedy wolno szli ulicą i obserwowali domy. Liesel czuła pełną smutku ulgę.

Byli na Gelbstrasse.

Domy tam były ciemne i wielkie.

Rudy zdjął buty. Trzymał je w lewej ręce; w prawej niósł skrzynkę z narzędziami.

Między chmurami pojawił się księżyc.

– Na co tu czekać? – spytał Rudy. Liesel milczała. Chłopak znów otworzył usta, ale się nie odezwał. Położył skrzynkę na ziemi i usiadł na niej.

Jego skarpetki były przemarznięte i przemoczone.

– Dobrze, że masz zapasową parę – zauważyła Liesel. Widziała, jak Rudy siłą powstrzymuje śmiech.

Posunął się, więc i ona mogła przysiąść na skrzynce.

Złodziejka książek i jej najlepszy przyjaciel siedzieli oparci o siebie plecami na czerwonej skrzynce pośrodku ulicy. Każde patrzyło w inną stronę. Kiedy wstali, żeby wracać do domu, Rudy zmienił skarpetki. Te przemoczone zostawił na ulicy. Podarunek dla Gelbstrasse.

PRAWDZIWA ZASADA

RUDY’EGO STEINERA

Wolę zostawiać rzeczy, niż je kraść.

Kilka tygodni później skrzynka na narzędzia jednak się przydała. Rudy wyjął z niej śrubokręty i młotki i zamiast nich wpakował różne dobra Steinera na następną wyprawę. Pozostawił tylko misia.

9 marca Rudy wybiegł z domu ze skrzynką na dźwięk syren ostrzegających Molching.

Kiedy rodzina Steinerów spieszyła do schronu, do drzwi Rosy Hubermann zaczął się dobijać Michael Holtzapfel.

Gdy Rosa i Liesel otworzyły, wyluszczył swój problem:

– Chodzi o moją matkę – powiedział. Śliwkowe plamy krwi wciąż były widoczne na obandażowanej ręce. – Nie chce iść do schronu. Siedzi kamieniem w kuchni.

Mimo upływu czasu stan Frau Holtzapfel nie ulegał poprawie. Podczas wizyt Liesel kobieta siedziała nieruchomo, wpatrzona w okno. Mówiła wolno i mechanicznie. Z jej twarzy znikła cała złość i gniew. Zwykle to Michael żegnał się z Liesel, dawał jej kawę i dziękował. A teraz jeszcze to.

Rosa przystąpiła do akcji. Swym kaczkowatym krokiem wybiegła na ulicę.

– Ty, Holtzapfel! – zawołała, przekrzykując wycie syren. – Wylaż, Holtzapfel, ty stara świni! – Rosa nigdy nie grzeszyła taktem. – Jeśli nie wyjdiesz, wszyscy zdechniemy na ulicy! – odwróciła się do dwóch bezradnych postaci. Syreny umilkły. – I co teraz?

Michael wzruszył ramionami. Był zdezorientowany i zakłopotany. Liesel rzuciła na ziemię torbę z książkami i spojrzała mu prosto w twarz. Syreny znów się odezwały, więc zawołała głośno:

– Mogę tam iść?

Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do sąsiadki, wymijając mamę.

Frau Holtzapfel siedziała nieruchomo przy stole.

Co mam jej powiedzieć? – myślała Liesel.

Jak ją zmusić, żeby się ruszyła?

Na trzeci sygnał ostrzegawczy usłyszała wołanie Rosy.

– Zostaw ją, Liesel! Musimy się kryć! Jak chce zginąć, to niech tam siedzi! – Dalsze jej słowa zagłuszyły syreny.

Teraz pozostało tylko echo, dziewczynka i chuda kobieta.

– Frau Holtzapfel, proszę!

Sytuacja przypominała spotkanie z Ilsą Hermann przy okazji ciastek – na końcu języka miała mnóstwo słów i zdań. Ale tym razem ciastka zastąpiły bomby. I trzeba się było spieszyć.

OPCJE LIESEL

„Frau Holtzapfel, musimy iść”.

„Frau Holtzapfel, jeśli tu zostaniemy, zginiemy”.

„Ma pani syna”.

„Wszyscy na panią czekamy”.

„Bomba urwie pani głowę”.

**„Jeśli pani nie pójdzie, przestanę
pani czytać i straci pani jedyną
przyjaciółkę”.**

Liesel zdecydowała się na ostatnią opcję, wykrzykując słowa poprzez ryk syren.

Kobieta spojrzała na nią i nie ruszyła się.

Liesel wstała i pobiegła do domu.

Rosa czekała przy furtce. Razem pospieszyły pod numer 45. Michael Holtzapfel został na ulicy.

– Chodź! – popędzała go Rosa, ale były żołnierz zwlekał. Wahał się. Ranna ręka oderwała się w końcu od furtki. Zawstydzony, poszedł za nimi.

Oglądali się kilka razy, ale Frau Holtzapfel nie było.

Ulica wydawała się dziwnie szeroka. Kiedy znowu raz zawyły syreny, ostatnia trójka mieszkańców Himmelstrasse schroniła się w piwnicy Fiedlerów.

– Co tak długo? – zapytał Rudy. Trzymał w ręku swoją skrzynkę.

Liesel rzuciła na podłogę tobolek z książkami i usiadła.

– Próbowaliśmy wyciągnąć Frau Holtzapfel.

– No to gdzie ona jest? – obejrzał się Rudy.

– W domu. Siedzi w kuchni.

– Powinienem z nią zostać – trząśł się w kącie Michael. – Powinienem zostać, zostać... – mówił coraz ciszej, natomiast jego oczy aż krzyczały. Płonęły w zapadniętych oczodołach, kiedy ścisnął ranną rękę tak, że więcej krwi wypłynęło na bandaż.

Rosa pohamowała go.

– Uspokój się, Michael. To nie twoja wina

Ale młody człowiek z okaleczoną ręką nie dawał się pocieszyć. Zgiął kolana i spojrzał Rosie w oczy.

– Powiedz mi... Bo ja nie rozumiem... – Odsunął się i usiadł parzy ścianie. – Powiedz mi, Rosa, jak to jest, że ona tam siedzi gotowa na śmierć, a ja wciąż chcę żyć? Dlaczego aż tak chcę żyć? Nie powinienem, a chcę.

Rozplakał się, a Rosa długo trzymała dłoń na jego ramieniu. Pozostali ludzie patrzyli. Michael nie przestał płakać nawet wtedy, kiedy drzwi piwnicy otworzyły się i po schodach zeszła Frau Holtzapfel.

Syn spojrzał na nią.

Rosa odsunęła się.

Kiedy się zbliżyli, Michael zaczął się tłumaczyć.

– Wybacz mi, mamó, powinienem z tobą zostać.

Ale Frau Holtzapfel tego nie słyszała. Usiadła koło syna i ujęła jego ranną rękę.

– Znowu krwawisz – powiedziała i tak jak pozostali znieruchomiała w oczekiwaniu.

Liesel sięgnęła do torby i zaczęła przeglądać książki.

BOMBARDOWANIE OKOLIC

MONACHIUM, 9 i 10 MARCA

Noc była długa, wypełniona

wybuchami bomb i lekturą.

Liesel zaschło w ustach, ale

zdołała przeczytać na głos

pięćdziesiąt cztery strony.

Większość dzieci zasnęła. Nie słyszały odwołania alarmu. Rodzice budzili je lub wynosili w ramionach na ciemną ulicę.

W oddali widać było łunę pożarów. Zabrałem stamtąd ponad dwieście dusz.

Musiałem wrócić do Molching po jeszcze jedną.

Na Himmelstrasse było bezpiecznie.

Syreny milczały od wielu godzin, czekając na kolejny alarm. W powietrzu rozpływał się dym.

To mała Bettina Steiner zauważyła, jak na nadrzeczne łąki spada mały, świecący ogniem punkcik z ogonem srebrnego dymu.

Rudy zareagował natychmiast. Ruszył biegiem w dół Himmelstrasse, nie wypuszczając z dłoni swej skrzynki. Klucząc bocznymi uliczkami, wypadł na zadrzewioną polanę. Za nim pędziła Liesel (udało jej się wcześniej obarczyć książkami głośno protestującą Rosę), a także przypadkowi ludzie z kilku dalszych schronów.

– Rudy, czekaj!

Rudy nie zaczekał.

Liesel widziała tylko migającą wśród drzew czerwoną skrzynkę, która zbliżała się do dogasającego samolotu. Wylądował na łące tuż nad rzeką. Tyle jeszcze zdołał zrobić pilot.

Rudy zatrzymał się po dwudziestu metrach.

Ja przybyłem tuż po nim. Wciąż jeszcze dyszał po biegu.

W mroku widać było połamane gałęzie drzew liściastych i iglastych, otaczające samolot jak całopalny stos. Po lewej było widać na ziemi trzy wypalone bruzdy. Stygnący metal trzeszczał jak zegar – „tik-tak, tik tak”. I choć trwało to sekundy i minuty, zdawało się, że minęło wiele godzin. Za plecami Liesel i Rudy’ego zgromadził się zdyszany, rozgadany tłum.

– Przyjrzymy się z bliska? – spytał Rudy.

Przeskoczył połamane kikuty gałęzi i podszedł do uziemionego kadłuba samolotu. Dziób dotykał wody, za nim sterczały powykęcane skrzydła. Rudy wolno okrążył maszynę.

– Tu jest pełno szkła – stwierdził.

A potem zobaczył ciało.

Rudy Steiner pierwszy raz w życiu tak pobałdł.

– Nie podchodź, Liesel.

Ale Liesel podeszła. Widziała nieprzytomną twarz obcego pilota na tle wysokich drzew i płynącej rzeki. Samolot zakrztusił się jeszcze parę razy. Głowa rannego kiwała się w lewo i w prawo. Wypowiedział jakieś niezrozumiałe słowo.

– Jezus, Maria, on żyje – wyszeptał Rudy.

Metalowa skrzynka brzęknęła o kadłub. Do samolotu zaczęli podchodzić inni ludzie.

Nie było już poświaty ognia. Nadchodził szary, spokojny świt. Pozostał tylko dym, a i on miał się niebawem rozwiać.

Ściana drzew zasłaniała widok płonącego w dali Monachium. Oczy chłopca przystosowały się do szarzejącego mroku i wyłowiły zeń rysy twarzy pilota. Miał oczy jak dwie plamy kawy, a na policzkach i brodzie mnóstwo ran i zadrapań. Pierś okrywał mu zniszczony, nadpalony mundur.

Mimo rady Rudy'ego Liesel podeszła jeszcze bliżej i wówczas, przysięgam, znów mnie zobaczyła i rozpoznała. Wiem, co sobie pomyślicie.

Był kiedyś pociąg i kaszlący chłopczyk. Był zaśnieszony cmentarz i oszalała z rozpaczyny dziewczynka.

Urosłaś, ale cię poznaję, pomyślałem.

Nie cofnęła się ani nie próbowała ze mną walczyć. Widziała jednak, że jestem. Czy wyczuła mój oddech, czy może usłyszała regularne tykanie serca w piersi Śmierci? Nie wiem, ale wiem, że patrzyła mi prosto w twarz, nie odwracając oczu.

Kiedy niebo straciło węglowy kolor i zaczęło jaśnieć, oboje się poruszyliśmy. Patrzyliśmy, jak chłopak grzebie w swojej skrzynce i wyciąga małą, żółtą pluszową zabawkę.

Ostrożnie wspiął się do kokpitu z umierającym.

Usadził uśmiechniętego misia przy piersi pilota. Czubek ucha zabawki dotykał jego gardła.

Konający mężczyzna wciągnął nowy zapach. Odezwał się. Powiedział po angielsku „dziękuję”.

– Co? – zapytał Rudy. – *Was hast du gesagt?* Co powiedziałaś?

Miał pecha, bo ja uprzedziłem odpowiedź. Właśnie sięgałem do kabiny. Wolno wyjąłem duszę pilota ze spalonego munduru i wyniosłem z rozbitego samolotu. Tłum w ciszy czekał, aż skończę. Minąłem go. Byłem swobodny. Niebo nade mną pociemniało nagle i, przysięgam, zobaczyłem na nim czarny znak swastyki. Chwiał się nad ziemią.

– *Heil Hitler* – powiedziałem, znikając wśród drzew. Za mną został siedzący na zwłokach pluszowy miś. Żółta głowa mignęła pod gałęziami. Dusza pilota spoczywała w moich ramionach.

Trzeba przyznać, że podczas wszystkich lat rządów Führera nikt nie służył mu bardziej lojalnie niż ja. Ludzie nie mają tyle serca. Działają linearnie, ja zaś krążę po okręgu, wykorzystując swą nieskończoną zdolność pojawiania się we właściwym miejscu o właściwej porze. W rezultacie widzę, co w ludziach jest najlepszego i najgorszego. Widzę ich brzydotę i piękno i zastanawiam się, jak to możliwe, że te dwie rzeczy tak mocno ze sobą współistnieją. Ludzie mają jednak coś, czego im szczerze zazdroszczę. Mają dość rozumu, by umierać.

POWRÓT DO DOMU

Mimo że był to czas krwi, rozbitych samolotów i pluszowych misiów, pierwszy kwartał 1943 roku dla złodziejki książek skończył się dobrze.

W początkach kwietnia gips Hansa Hubermanna przycięto do kolana i wsadzono go do pociągu jadącego do Monachium. Po tygodniowej rekonwalescencji w domu oczekiwał przydziału przy papierkowej robocie. Miał pomagać przy ewidencji zniszczeń w fabrykach, domach, kościołach i szpitalach w aglomeracji Monachium. Wszystko zależało od jego stanu zdrowia i warunków panujących w mieście.

Do domu przybył o zmroku, dzień później, niż planował. Pociąg miał opóźnienie z powodu alarmu bombowego. Stanął przed drzwiami domu przy Himmelstrasse 33 i zwinął dłoń w pięść.

Cztery lata wcześniej przez te same drzwi wleczono Liesel Meminger. To przed nimi stał Max Vandenburg z kluczem w zaciśniętej dłoni. Teraz przyszła kolej na Hansa Hubermanna. Zastukał cztery razy. Otworzyła mu złodziejka książek.

– Papa! Papa!

Powtórzyła to ze sto razy w kuchni, ściskając go do utraty tchu i nie chcąc puścić.

Wieczorem, po posiłku, długo jeszcze siedzieli przy stole. Hans opowiadał. Mówił, na czym polega praca w LSE, mówił o zadymionych ulicach i biednych, zagubionych ludziach. I o biednym, głupim Reinholdzie Zuckerze.

Trwało to całe godziny.

O pierwszej w nocy Liesel poszła do łóżka, a papa przyszedł posiedzieć przy niej, tak jak dawniej. Budziła się kilka razy i sprawdzała, czy jest, czy tym razem jej nie zawiódł.

Noc minęła spokojnie.

Łóżko Liesel było ciepłe i miękkie od jej zadowolenia.

Tak, to była dla Liesel Meminger piękna noc. Jej spokój, ciepło i miękkość miały trwać kolejny kwartał.

A cała historia Liesel jeszcze przez pół roku.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

ZŁODZIEJKA KSIĄŻEK

Występują:

koniec świata – dziewięćdziesiąty ósmy dzień – siewca wojny – droga słów – katatoniczka – wyznania – czarny notes od Ilsy Hermann – brzuchy samolotów – góra gruzów

KONIEC ŚWIATA (część I)

I znów umożliwiał wam rzut oka w przyszłość. Może po to, by oszczędzić wam najgorszego na koniec, a może robię to *dla siebie*, żeby lepiej wszystko opowiedzieć. Tak czy inaczej, w dniu, w którym rozpadł się świat Liesel Meminger, na Himmelstrasse padało.

Niebo przeciekało.

Jak kurek w kranie, niedokręcony przez zbyt słabe dziecko. Pierwsze krople były zimne. Stojąc przed sklepem Frau Diller, czułem chłód na rękach.

Usłyszałem ich nad głową.

Przez zachmurzone niebo patrzyłem na blaszane samolociki. Ich brzuchy rozwierały się i na ziemię leciały bomby. Bez celu. Najczęściej spadały bez celu.

CIEŃ NADZIEI

Nikt nie chciał bombardować Himmelstrasse.

Nikt specjalnie nie zrzuciłby

bomby na ulicę o niebiańskiej nazwie, prawda?

Prawda?

Bomby jednak spadły i wkrótce chmury zaczęły się gotować, a krople deszczu zamieniać w popiół. Padały gorące płatki.

Himmelstrasse w mgnieniu oka znikła z powierzchni ziemi.

Domy zostały rozplaszczone na całej ulicy. Obramowane zdjęcie patrzącego srogo Führera zostało zmiecione ze ścian. Rozbite wałało się na podłodze. Nadal się uśmiechał, we właściwy sobie, ponury sposób. Wiedział to, czego nikt nie wiedział. Ale ja wiedziałem także to, czego nie wiedział nawet on. Wszyscy spali.

Spał Rudy, spali mama i papa, spała Frau Holtzapfel i Frau Diller, spał Tommy Müller. Wszyscy spali. I konali.

Przeżyła jedna osoba. A przeżyła dlatego, że siedziała w piwnicy, robiąc korektę opisanego przez siebie własnego życia. Swego czasu uznano tę piwnicę za zbyt płytką na schron, ale tamtego dnia, siódmego października, okazała się wystarczająca. Kawalki gruzu zasypały schody. Kilka godzin później, kiedy nad Molching zapadła złowroga

cisza, lokalny oddział LSE usłyszał głos spod ruin. Brzmiał jak echo. Zasypana dziewczynka stukała ołówkiem w blaszaną puszkę po farbie.

Żołnierze zatrzymali się, ustawili uszu, a gdy odgłos się powtórzył, zaczęli kopać.

Z RĘKI DO RĘKI

Podawali sobie kawały betonu i dachówek.

Fragment muru z namalowanym słońcem.

**Poobijany akordeon łpiący zza swego
podziurawionego futerału.**

Odrzucili cały gruz.

Kiedy usuwali ostatni kawałek ściany, jeden z żołnierzy zauważył włosy złodziejki książek. Zaśmiał się. Był uszczęśliwiony jak ojciec świeżo narodzonego dziecka.

– Nie do wiary! Ona żyje!

Reszta oddziału też się nie posiadała z radości. Wołali kolegów, żeby oznajmić, że zdarzył się cud. Nie podzielałem ich entuzjazmu.

Chwilę wcześniej niosłem na jednym ramieniu duszę jej papy, na drugim mamy. Były bardzo delikatne.

Ich ciała leżały nieco dalej, obok innych. Piękne, srebrzyste oczy papy zaciągała rdza, kartonowe wargi mamy zastygły na wpół uchylone od przerwane chrapania. Żeby zakląć po niemiecku, należałoby powiedzieć: „Jezus, Maria, Józefie święty”.

Ręce ratowników wyciągnęły Liesel z piwnicy i otrzepały jej ubranie z kurzu.

– Powiedz, dziewczynko, jak to się stało, że byłaś w piwnicy? Alarm się opóźnił. Skąd wiedziałaś o nalocie?

Nie zwracali uwagi na to, że dziewczyna wciąż ściska notatnik. Zaczęła krzyczeć. A krzyk to znak życia.

– Papo!!!

I jeszcze raz. W panice, wysokim głosem.

– Papo, papo!!!

Podtrzymali ją, rozedrganą, krzyczącą i płaczącą postać. Jeśli nawet byłaby ranna, w tym stanie nie zauważyłaby tego. Wyrwała się i zaczęła poszukiwania, jeszcze bardziej wrzeszcząc i zawodząc.

Wciąż ściskała książkę. Desperacko chwytła się słów, które ocaliły jej życie.

DZIEWIĘDZIESIĄTY ÓSMY DZIEŃ

Przez dziewięćdziesiąt siedem dni od powrotu Hansa Hubermanna w kwietniu 1943 wszystko było dobrze. Hans wiele razy myślał o swym synu walczącym pod Stalingradem. Liczył na to, że chłopak odziedziczył w genach odrobinę jego szczęścia.

Trzeciego wieczora Hans zagrał w kuchni na akordeonie. Obietnica to obietnica. Była muzyka, zupa, żarty i wesoły śmiech czternastolatki.

– Nie śmieję się tak głośno, *Saumensch* – upomniwała ją mama. – Jego żarty wcale nie są takie śmieszne. Te wszystkie świńskie dowcipy...

Po tygodniu Hans wrócił do służby, zgłaszając się w jednej z lokalnych komisji uzupełnień. Powiedział, że dają tam dobre przydziały jedzenia i papierosów. Czasami przynosił do domu marmoladę lub ciastka. Było jak za dawnych, dobrych czasów. Tylko w maju przeżyli niezbyt ciężki nalot. Wystarczyło tu i tam powiedzieć *Heil Hitler* i wszystko było cacy.

Aż do dziewięćdziesiątego ósmego dnia.

OŚWIADCZENIE STARUSZKI

Na Münchenstrasse powiedziała:

**– Jezus, Maria, Józefie święty, po co ich tu znowu
spędzili? Ci nędzni Żydzi ściągają
na nas nieszczęście. Za każdym razem
jak ich widzę, dzieje się coś złego.**

Była to ta sama kobieta, która pierwszy raz zapowiedziała z balkonu paradę Żydów. Jej twarz widziana z poziomu chodnika wyglądała jak suszona śliwka. Jej oczy były jak błękitne żyły. A jej przepowiednia się sprawdziła.

W środku lata Molching otrzymało znak, że wiele się zmieni. Znak zmaterializował się w znanym już widoku. Najpierw podskakująca w marszu głowa żołnierza z karabinem. Lufa podrygująca nad ramieniem. Potem złachmaniona kawalkada żydowskich więźniów.

Tyle że tym razem szli od strony obozu, do miasteczka Nebling, gdzie mieli zamiatać ulice i wykonywać inne prace fizyczne, których odmawiali żołnierze. Pod wieczór pędzono ich z powrotem do Dachau, zmordowanych, ledwo żywych, upadłych na duchu.

Liesel znów wypatrywała Maksa Vandenburga, stwierdziła bowiem, że mógłby trafić do Dachau niekoniecznie zaraz po pobycie w Molching. Nie było go. Nie tym razem.

Ale poczekajmy do ciepłego sierpniowego popołudnia – wtedy na pewno spotkamy Maksa, który przejdzie przez miasto wraz z innymi Żydami. Lecz w przeciwieństwie do nich nie będzie wbijał wzroku w ziemię ani rzucał ukradkowych spojrzeń na germańską trybunę Führera.

CO ROBIŁ MAX VANDENBURG?

Przeglądał się twarzom na Münchenstrasse

w poszukiwaniu dziewczyny, która kradła książki.

W lipcu, dziewięćdziesiątego ósmego dnia od powrotu papy, Liesel stała i patrzyła na szereg wynędzniałych Żydów, szukając Maksa. Samo patrzenie koło ból.

„To straszna myśl”, napisała w swojej piwnicy przy Himmelstrasse, ale wiedziała, że ta myśl kryje w sobie prawdę. Ból patrzenia na nich. A co z *ich* bólem? Bólem potykających się butów, kaźni, trzasku obozowej bramy?

Przechodzili przez miasto dwa razy dziennie przez dziesięć dni i wkrótce okazało się, jak dalece słuszne były przepowiednie anonimowej staruszki z Münchenstrasse. Przyszedł czas cierpienia i jeśli to Żydów oskarżano o zapowiadanie pechowych wydarzeń, powinno się raczej oskarżać Führera za chęć podbicia Rosji. Bo Himmelstrasse obudziła się pod koniec lipca po to tylko, by odkryć ciało byłego żołnierza. Wisiał na krokwi w pralni niedaleko sklepu Frau Diller. Jeszcze jedno ludzkie wahadło. Jeszcze jeden zepsuty mechanizm zegarowy. Roztargniony właściciel zostawił otwarte drzwi.

24 LIPCA, SZÓSTA ZERO TRZY

**W pralni było ciepło,
Więźba była mocna,
a Michael Holtzapfel
zeskoczył z krzesła
jak z urwistego brzegu.**

Wielu ludzi uganiało się za mną w tamtym okresie, wzywało mego imienia, błagało, by ich już zabrać. Niewielki procent z nich wzywał mnie aż tak konsekwentnie.

Bierz mnie – mówili i nie było możliwości, aby ich powstrzymać. Bali się, bez wątpienia, ale wcale nie mnie. Bali się przeszłości, bali się siebie, wreszcie bali się świata i innych ludzi, takich jak wy.

Nic nie mogłem zrobić.

Znali zbyt wiele sposobów, byli bardzo pomysłowi i skuteczni. Jeśli już wybrali metodę i dobrze wykonali zadanie, nie mogłem im odmówić.

Michael Holtzapfel dokładnie wiedział, co robi.

Zabił się, bo kochał życie.

Tamtego dnia nie widziałem Liesel Meminger. Woląłem zresztą nie zostawać zbyt długo na Himmelstrasse, by nie wysłuchiwać krzyków i nie dać się przyłapać na gorącym uczynku. Odszedłem więc prosto w niebo koloru śniadaniowego.

Nie słyszałem nawet echa głosu starego człowieka, który odkrył wisielca ani tupotu biegnących nóg, ani westchnień zebranego tłumu. Nie słyszałem szeptu chudzielca z wąsami:

– Co za nieszczęście, przekłete nieszczęście...

Nie widziałem na ulicy zemdlonej Frau Holtzapfel z rozrzuconymi ramionami, na samym dniu rozpacz. Nie, nie wiedziałem o tym nic, póki nie przeczytałem opisu złodziejki książek. Zrozumiałem, że prawdziwą przyczyną samobójstwa Michaela Holtzapfla nie były rany, lecz poczucie winy, że żyje.

W dniach poprzedzających jego śmierć dziewczyna dowiedziała się, że Michael w ogóle nie sypia i każda noc jest dla niego jak trucizna. Wyobrażam sobie, jak leży z otwartymi oczami, zapocony w śnieżnobiałej pościeli, przeżywający okaleczenie brata. Liesel napisała, że wiele razy chciała mu opowiedzieć o śmierci własnego brata, o czym opowiadała Maksowi, ale wydawało jej się, że różnica między dławiącym kaszlem a urwanymi nogami jest zbyt wielka. Jak pocieszyć człowieka, który przeżył takie rzeczy? Czy pocieszy go zapewnienie, że Führer jest z niego dumny, że Führer go kocha i podziwia jego zmagania pod Stalingradem? Jak można mówić takie rzeczy? Można było co najwyżej pozwolić mu się zwierzyć. Ludzie zwykle odkładają najważniejsze słowa na później, a ich bliscy odnajdują je w pośmiertnych listach, jak to zdarzyło się na Himmelstrasse w lipcu 1943.

POŻEGNANIE MICHAELA HOLTZAPFLA

Kochana Mamo!

Czy zdołasz mi wybaczyć? Nie wytrzymam dłużej. Idę do Roberta. Nieważne, co mówią o tym przekłeci katolicy.

Musi być w niebie miejsce dla takich, którzy przeżyli to, co ja. Nie myśl, że zrobiłem to, bo Cię nie kocham.

Kocham Cię.

Twój Michael

To Hans Hubermann zaniósł złą nowinę Frau Holtzapfel. Zrozumiała to, ledwo stanął w progu. W ciągu pół roku straciła dwóch synów.

Sylwetkę mężczyzny obrysowały promienie wschodzącego słońca. Chuda kobieta minęła go i pobięła z płaczem w górę ulicy. Wciąż powtarzała imię Michaela, wołała go, ale odpowiedź już padła. Złodziejka książek napisała, że Frau Holtzapfel przez godzinę tuliła ciało syna w ramionach. Potem wróciła na załaną słońcem Himmelstrasse i usiadła. Nie mogła dalej iść.

Ludzie patrzyli z daleka, bo z daleka łatwiej patrzeć na taką rozpacz.

Hans Hubermann usiadł przy niej.

Przytrzymał ją za rękę, gdy padła na twardą ziemię.

Pozwolił, by jej krzyk wypełnił całą ulicę.

Później odprowadził ją do samego domu. Nie mogę się oderwać od mojej wizji...

Kiedy wyobrażam sobie mężczyznę o srebrnych oczach i załamaną kobietę w kuchni przy Himmelstrasse 31, na ich głowy wciąż pada śnieg.

W powietrzu unosił się zapach świeżo przyciętego na trumnę drewna. Ludzie ubrali się na czarno i mieli podbite, zapuchnięte oczy. Liesel wraz z innymi stała na trawie. Tego samego popołudnia czytała Frau Holtzapfel *Tragarza snów*, jej ulubioną książkę.

To był męczący dzień.

27 LIPCA 1943

**Michael Holtzapfel został pochowany,
a złodziejka książek czytała matce w żałobie.
Alianci zbombardowali Hamburg. Mam szczęście,
że posiadam nadprzyrodzoną moc. Nikt inny nie zdołałby
zebrać czterdziestu pięciu tysięcy dusz w tak krótkim czasie.
Nawet gdyby żył przez milion ludzkich lat.**

Niemcy zaczęli na serio płacić za to, co zrobili. Krostowate kolanka Führera zaczęły się trząść.

Jednak muszę mu oddać sprawiedliwość.

Z całą pewnością miał żelazną wolę.

Nie odpuszczał sobie wojennej agresji, podobnie jak nie odpuszczał kwestii zniszczenia żydowskiej zarazy. Choć większość obozów była rozrzucona po całej Europie, kilka z nich działało na terenie Niemiec.

W tych obozach zmuszano ludzi do pracy i do marszu.

Jednym z tych ludzi był Max Vandenburg.

DROGA SŁÓW

Zdarzyło się to w małym mieście, w samym centrum imperium Hitlera.
Strumień cierpienia płynął potoczyscie, a czasem wzbierał, tak jak teraz.
Żydów pędzono po obrzeżach Monachium, a pewna nastoletnia dziewczyna zrobiła niewyobrażalną rzecz – dołączyła do ich pochodu. Kiedy żołnierze wyciągnęli ją z szeregu i rzucili na ziemię, podniosła się i poszła dalej.

Ranek był bardzo ciepły.
Wspaniały dzień na paradę.

Żołnierze i Żydzi minęli kilka wiosek i miast. Właśnie dotarli do Molching. W obozie potrzebowano zapewne nowych rąk do pracy, bo wielu więźniów umarło. Dlatego świeży transport znękaných Żydów znów pędzono na piechotę do Dachau.

Jak zwykle Liesel wraz z innymi gapiami ustawiła się na Münchenstrasse.

Heil Hitler!

Liesel już z daleka usłyszała pozdrowienie żołnierza z czoła pochodu i przepchnęła się w tym kierunku, by obserwować całą paradę. Głos był niesamowity. Sprawiał, że bezkresne niebo kurczyło się do rozmiarów niskiego sufitu. Słowa skakały, objając się o rozchwiane nogi żydowskich więźniów.

O ich oczy.

Żydzi jeden po drugim ruchomym szeregiem wypełniali ulicę. Liesel znalazła dogodny punkt obserwacyjny. Badała wzrokiem twarz po twarzy, próbując odnaleźć autora *Zbędnego człowieka* i *Strząsaczki słów*.

Włosy jak piórka, pomyślała.

Nie, kiedy nie miał szansy się wykapać, włosy były jak gałązki. Szukaj włosów jak gałązki, oczu jak bagienne jeziora i niesfornej brody.

Boże, tylu ich tutaj.

Tyle kompletów umierających oczu i mdlejących nóg.

Liesel patrzyła i patrzyła, ale to nie rysy Maksa pozwoliły jej go rozpoznać. To był sposób trzymania głowy i te oczy – podobnie jak jej oczy – skanujące tłum. Maksymalnie skoncentrowane. Liesel wiedziała, że to on, od momentu kiedy zobaczyła tę jedną, jedyną twarz wpatrzoną prosto w twarze Niemców. Patrzył z taką intensywnością, że ludzie zaczęli pokazywać go sobie palcem.

– Czego on tak wypatruje? – odezwał się męski głos z boku.

Złodziejka książek wyszła na drogę.

Nic i nigdy nie było dla niej trudniejsze. Nigdy jeszcze jej młodzieńcze serce nie podjęło tak śmiałego i wielkiego zadania. Wyszła z tłumy, mówiąc spokojnie:

– Mnie.

Jej głos nie dotarł do wielu, zamarł, cofnął się w głąb ciała. Musiała to jakoś naprawić, musiała się nauczyć głośno krzyczeć.

Max.

– Tu jestem, Max!

Głośniej.

– Max, *tutaj jestem!*

OBRAZ MAKSA VANDENBURGA W SIERPNIU 1943

Tak jak przewidywała Liesel, jego włosy wyglądały jak gałązki, a oczy jak bagienna głębina. Szedł ramię w ramię ze swymi pobratymcami Żydami. Kiedy się zobaczyli, krzyczały do niej i jego oczy, i włosy. Drżała mu zarastająca policzki i usta broda, gdy wypowiedział jedno, jedyne słowo. Imię.

Liesel.

Liesel podbiegła do kolumny Żydów i przedarła się do Maksa. Złapała jego rękę, mocno ściskając mu dłoń. Wpadli na siebie.

Liesel potknęła się i upadła. I wtedy Żyd, ten obrzydliwy Żyd, pomógł jej wstać. Wyssało to z niego resztkę sił.

– Jestem tu, Max, jestem przy tobie – powtórzyła.

– Nie do wiary... – słowa wolno kapwały z ust Maksa Vandenburga. – Jak ty wyrosłaś. – Jego oczy zaćmiła chmura smutku. Nabrzmiały od łez. Słowa były kalekie, urywane – Wiesz, Liesel... Zgarnęli mnie parę miesięcy temu. W połowie drogi do Stuttgartu.

Oglądany od środka przemarsz Żydów był ponurym i nieskładnym baletem oderwanych rąk i nóg w zniszczonych pasiakach. Jeszcze żaden żołnierz nie zauważył Liesel, ale Max ją ostrzegł i od razu chciał wypchnąć z szeregu.

– Zostaw mnie, Liesel – powiedział, ale silniejsza od niego dziewczyna opierała się. Max był straszliwie wychudzony i nic nie zdziałał. Szła obok niego wśród brudu, głodu i poczucia zmieszania.

Wreszcie zauważyła ją wachta.

– Hej, dziewczyno, wyłaż stamtąd! – żołnierz pogroził jej pejczem.

Nie zareagowała, więc przedarł się przez tłum. Więźniowie rozstąpili się. Liesel zobaczyła dziwny wyraz na twarzy Maksa Vandenburga. Widziała już jego strach, ale nigdy nie bał się tak, jak teraz.

Żołnierz złapał ją za ubranie.

Poczuła, jak twarde palce boleśnie wbijają jej się w skórę.

– Powiedziałem, wyjdź stąd! – rozkazał. Wywłókł ją i rzucił o ścianę niemieckich gapiów. Robiło się coraz goręcej. Słońce paliło jej twarz. Liesel upadła na ziemię, wijąc się z bólu. Pozbierała się i czekał. Znów, tym razem od tyłu, wmieszała się w żydowską kawalkadę.

Zobaczyła gałązki włosów i zaczęła się ku nim przedzierać. Nie zdołała. Przystanęła. W głowie kłębiły jej się słowa. Wyskoczyły i stanęły przy niej.

– Max – powiedziała. – Odwrócił głowę i przymknął oczy. Słuchał. – „Był sobie raz dziwny mały człowieczek... – powiedziała, zaciskając pięści. – I była strząsaczka słów”.

Jeden z Żydów pędzonych do Dachau zatrzymał się.

Stał nieruchomo, wokół niego płynęła rzeka przybitych ludzi, aż został zupełnie sam. Miał w oczach zdziwienie, choć wszystko było takie proste. Słowa przepłynęły od dziewczyny do Żyda i wdrapały się na niego.

Kiedy znów się odezwała, zadała pytanie. W oczach kręciły jej się łzy, ale powstrzymała płacz. Stała, dumnie wyprostowana. Niech działają słowa.

– „Czy to ty? – spytała. – Czy to z twojego policzka wzięłam nasionko?”.

Max Vandenburg nie ruszał się.

Nie upadł na kolana.

Ludzie, Żydzi i chmury. Wszystko znieruchomiało. Patrzyli.

Max spojrzał najpierw na dziewczynę, a potem na niebo – bezkresne, błękitne, wspaniałe. Na drogę padały złote plamy słońca. Chmury skłębiły się, a potem znów popłynęły.

– Jaki piękny dzień – powiedział łamiącym się głosem. Piękny dzień na umieranie, doprawdy piękny dzień.

Liesel podeszła. Miała dość odwagi, by pogłaskać jego zarośniętą twarz.

– Czy to ty, Max?

Taki piękny niemiecki dzień, taki uważnie patrzący tłum. Max ucałował wnętrze jej dłoni.

– Tak, Liesel, to ja. – Przycisnął jej palce do oczu i zapłakał. Płakał jeszcze, kiedy przybiegli żołnierze. Kilku zuchwałych Żydów stanęło i patrzyło.

Liesel otrzymała cios pejczem.

– Max – zaszlochała. Wywleczono ją w milczeniu.

Max.

Żydowski czempion.

Wypowiadała te słowa, nie mówiąc.

Maxi Taxi, tak cię nazwał twój przyjaciel ze Stuttgartu, kiedy biliście się na ulicy. Pamiętasz, Max? Sam mi to powiadałeś. Ja pamiętam wszystko...

To byłeś ty – chłopak z twardymi pięściami. Powiedziałeś, że kiedy śmierć po ciebie przyjdzie, dasz jej pięścią po gębie.

A pamiętasz bałwana, Max?

Pamiętasz?

W piwnicy?

Pamiętasz białą chmurę z szarym sercem?

Czasem odwiedza nas Führer. Szuka cię. Brak mu ciebie. Wszystkim nam ciebie brak.

Chlast. Chlast.

Pejcz nie ustawał w robocie. Rozorał Maksowi policzek i gardło.

Max upadł na ziemię, a wartownik wrócił do dziewczyny. Odsłonił nieskazitelne uzębienie.

Liesel przypomniała sobie dzień, w którym marzyła o tym, by spoliczkowała ją Ilsa Hermann albo przynajmniej niezawodna Rosa. Żadna tego nie zrobiła. Tym razem jej się nie upiekło. Bat chlasnął przez obojczyk aż po łopatkę.

– Liesel!

Znała ten głos.

Kiedy żołnierz znów uniósł rękę, zobaczyła między ludźmi przerażonego Rudy’ego Steinera. Wołał ją. Widziała cytrynowe włosy nad udręczoną twarzą.

– Liesel, uciekaj!

Zamknęła oczy, przyjmując kolejny palący cios, i jeszcze jeden. Padła na rozgrzaną ziemię. Ciepło rozlało jej się po policzku.

Tym razem odezwał się żołnierz.

– *Steh auf*. – Krótkie zdanie nie było skierowane do dziewczyny, lecz do Żyda. I zaraz zostało rozwinięte: – Wstawaj, ty parszywy dupku, ty żydowski kurwiarzu, wstawaj, wstawaj...

Max podniósł się z wysiłkiem.

Jeszcze jedna pompka, Max.

Jeszcze jedna pompka na zimnej piwnicznej podłodze.

Jego stopy drgnęły.

Wprawione w ruch, zaczęły go nieść. Zataczał się, trąc ślady po razach, żeby tak nie paliły. Kiedy chciał się obejrzeć, ręka żołnierza pchnęła go naprzód.

Chłopak podbiegł. Przykucnął na chudych nogach i zawołał do kolegi:

– Chodź tu, Tommy, i pomóż mi. Musimy ją podnieść. Tommy, pospiesz się! – schwycił złodziejkę książek pod pachy. – Liesel, rusz się, zejdź z tej drogi!

Kiedy stanęła na nogach, popatrzyła na zszokowane, zmrożone niemieckie twarze, jakby świeżo wyjęte z opakowania. Upadła u ich stóp, skaleczyła policzek. Puls szalał, zadrapanie piekło.

Daleko przed sobą widziała rozmazane sylwetki ostatnich znikających Żydów.

Twarz ją paliła, w rękach i nogach czuła nieznośny ból, bezwład i śmiertelne zmęczenie.

Wstała, po raz ostatni próbując wyjść na Münchenstrasse, znaczoną śladami stóp Maksa Vandenburga.

– Co robisz, Liesel?!

Wyrwała się z uścisku Rudy’ego. Nie zwracała uwagi na milczących ludzi, posągi z bijącymi sercami. Widownia ostatniego odcinka maratonu. Liesel, z włosami opadającymi na oczy, po raz ostatni zawołała za Maksem. Nie została usłyszana.

Po trzydziestu metrach żołnierz się obejrzał. Dziewczyna klęczała na ziemi. Chłopak z sąsiedztwa trzymał ją i nie pozwalał wstać. Próbowala go bić. Zbierał ciosy jak medale. Biła go kościstymi łokciami, ale tylko cicho jęknął parę razy. Nie uchylał się, kiedy go opluwała i moczyła łzami. Najważniejsze, że nie zdołała się wyrwać.

Splecione ciała chłopaka i dziewczyny na Münchenstrasse.

Siedzieli na ziemi.

Patrzyli, jak ludzie się rozchodzą. Rozpływali się niczym musujące tabletki w wilgotnym powietrzu.

WYZNANIA

Kiedy Żydzi znikli na dobre, Liesel i Rudy oderwali się od siebie. Złodziejka książek nie odzywała się. Pytania Rudy'ego pozostały bez odpowiedzi.

Ale Liesel nie wróciła do domu. Powlokła się na dworzec, gdzie godzinami miała wyczekiwać na papę. Rudy powstał z nią dwadzieścia minut, ale że do przyjazdu Hansa było jeszcze dobre pół dnia, pobiegł po Rosę. Kiedy wracał z nią na dworzec, opowiedział wszystko, co się zdarzyło. Kiedy Rosa zobaczyła dziewczynę, o nic nie pytała. Nie było takiej potrzeby, i tak wszystko zrozumiała. Po prostu stanęła obok Liesel, po czym przekonała ją, że lepiej usiąść. Czekały razem.

Kiedy papa dowiedział się, co się stało, rzucił na ziemię plecak i kopnął dworcowe powietrze.

Nikt z nich nie jadł kolacji. Palce papy męczyły akordeon, ale żadna z piosenek nie wyszła czysto. Nic już nie działało jak dawniej.

Złodziejka książek przez trzy dni leżała w łóżku.

Rudy pytał o nią dwa razy dziennie. Chciał wiedzieć, czy ciągle jest chora. Nie była chora.

Czwartego dnia Liesel zapukała do sąsiadów i spytała, czy Rudy pójdzie z nią za miasto, w to miejsce, gdzie rozrzućli wcześniej chleb dla Żydów.

– Powinnam była dawno ci to powiedzieć – zaczęła.

Szli drogą na Dachau. Kiedy doszli do sosnowego zagajnika, zatrzymali się. Przez gałęzie przeświecały promienie słońca, obok nich kładły się cienie. Rozrzucone szyszki wyglądały jak ciastka.

Dzięki, Rudy.

Za wszystko. Za to, że mi pomogłeś, za to, że mnie zatrzymałeś...

Nie wypowiedziała tego. Oparła się ręką o drzewo.

– Rudy, jeśli ci coś wyznam, obiecasz, że nikomu nie powiesz?

– Jasne. – Patrzył na jej poważną twarz, słyszał ciężar w jej głosie. Także oparł się o pień. – No, mów.

– Przysięgnij.

– Już obiecałem.

– Przysięgnij jeszcze raz, że nic nie powiesz ani mamie, ani Kurtowi, ani Tommy'emu. Nikomu.

– Przysięgam.

Oparli się o siebie.

Patrzyli w ziemię.

Liesel nie wiedziała, jak zacząć. Zdania układały się na ziemi, słowa przyczepiały do szyszek i gałązek.

– Pamiętasz, jak się skaleczyłam, kiedy graliśmy w piłkę? – spytała.

Opowieść zajęła jej jakieś trzy kwadranse. Była mowa o obu wojnach, o akordeonie, o żydowskim bokserze i piwnicy. No i o tym, co się zdarzyło przed czterema dniami na Münchenstrasse.

– To dlatego wychylałaś się wtedy, jak rzuciliśmy chleb – powiedział Rudy. – Chciałaś sprawdzić, czy go tam nie ma.

- Tak.
- O Boże.
- No właśnie.

Trójkątne choinki stały w ciszy.

Liesel wyjęła z torby Strząsaczkę *słów* i pokazała Rudy’emu jedną ze stron. Był tam narysowany chłopak z trzema medalami na szyi.

– „Ma włosy żółte jak cytryna” – przeczytał Rudy. Dotknął palcami słów. – Opowiadałaś mu o mnie?

Z początku Liesel nie mogła odpowiedzieć. Poczula nagle, jak bardzo go kocha. A może zawsze go kochała?

Możliwe. Nie mogła mówić, ale pragnęła, żeby ją pocałował. Chciała, żeby wyciągnął rękę i przytulił ją. Usta, szyję, policzki. Czekala. Jej skóra tęskniła.

Kilka lat wcześniej, kiedy ścigali się na błotnistym boisku, Rudy wyglądał jak w pośpiechu złożony kościotrup o zębatym uśmiechu. Tego południa wśród drzew był dawcą chleba i misiów. Potrójnym zwycięzcą zawodów lekkoatletycznych Hitlerjugend. Był jej najlepszym przyjacielem. Do jego śmierci pozostał tylko miesiąc.

– Oczywiście, że mu o tobie opowiadałam – powiedziała Liesel.

Nie wiedziała, że to jest ich pożegnanie.

W połowie sierpnia Liesel znów poczuła chęć, by pójść na Grandestrasse numer 8.

Potrzebowała pociechy, a przynajmniej tak jej się zdawało.

Dzień był upalny, ale na wieczór zapowiadano deszcze. Pod koniec *Ostatniej obcej wśród ludzi* był fragment, który Liesel przypomniała sobie, mijając sklep Frau Diller.

OSTATNIA OBCA WŚRÓD LUDZI

STRONA 211

**Słońce warzy ziemię. Gotuje nas wszystkich
i miesza jak gulasz.**

Pomyślała o tych słowach, bo było bardzo gorąco.

Na Münchenstrasse przypomniała sobie niedawną przygodę. Znów zobaczyła pochod Żydów, ich pasiaki, numery i ból. Stwierdziła, że w cytacie brakuje jednego słowa. Świat to taki *wstrętny* gulasz, pomyślała.

Tak wstrętny, że nie można wytrzymać.

Liesel przeszła przez most na Amper. Woda była cudowna, szmaragdowozielona. Szumiąca melodyjnie i tak przejrzysta, że widać było kamienie na dnie. Świat nie zasługiwał na taką rzekę.

Wspięła się w górę Grandestrasse. Domy były zarazem piękne i nienawistne. Cieszył ją ból mięśni i lekka zadyszka. Trzeba przyspieszyć, zdecydowała, wylaniając się zza wzgórza jak potwór z piasku. Wąchała zapach trawy. Był świeży i słodki, tak jak trawa zielona i żółta. Przemierzyła podwórko, nie oglądając się, bez cienia strachu.

Okno.

Ręce podciągają szybę, nogi skaczą.

Stopy lądują.

Książki w pałacu szczęścia.

Wyciągnęła książkę z półki i usiadła na podłodze.

Czy jestem w domu? – pomyślała. Było jej wszystko jedno, gdzie jest i co robi Ilsa Hermann. Czy obiera ziemniaki, czy stoi w kolejce na poczie. Czy też jak duch zagląda jej przez ramię, sprawdzając, co czyta. Nie dbała o to.

Długo siedziała, aż wreszcie doznała wizji.

Zobaczyła umierającego brata z jednym okiem otwartym, a drugim uśpionym. Pożegnała się z matką i wyobraziła ją sobie stojącą samotnie na peronie, obojętnie oczekującą na powrotny pociąg. Chuda kobieta rzucała się na bruk z krzykiem wypełniającym całą ulicę, póki nie zamarł w bezruchu jak zakręcona moneta na sekundę przed upadkiem. Młody mężczyzna wisiał na sznurze uplecionym ze śniegu spod Stalingradu. Patrzyła, jak umiera pilot

bombowca w swej metalowej puszcze. Zobaczyła Żyda, który na swej drodze do obozu koncentracyjnego dwukrotnie podarował jej najpiękniejsze stronicę w życiu. W centrum stał Führer, wykrzykujący słowa, rozdzielający je naokoło.

Te obrazy były jej światem, światem, który dusiła w sobie jak gulasz, siedząc z książką na kolanach, taką elegancką, pięknie oprawioną, ze stronicami od brzegu do brzegu wypełnionymi słowami i akapitami.

Wy oszuści, pomyślała.

Cudowni oszuści.

Nie dam się wam dłużej uszczęśliwiać. Nie mówcie już do mnie, nie chcę myśleć, że to mi przyniesie coś dobrego. Patrzcie na moje rany. Patrzcie na zadrapania. Widzicie, jaka jestem podrapana od środka? Widzicie, jak te wewnętrzne rany mnie zżerają? Nie chcę już fałszywych nadziei. Nie chcę się modlić za życie Maksa ani Aleksa Steinera.

Bo ten świat nie zasługuje na takich ludzi.

Wyrwała stronę z książki i przedarła ją na pół.

Potem cały rozdział.

Po niedługim czasie otaczały ją strzępy podartych na małe kawałeczki stron i słów. Słowa. Po co są słowa? Świat bez słów wyglądałby inaczej. Bez słów Führer byłby niczym. Nie byłoby kulejących więźniów, nie byłoby potrzeby pocieszania się oszukańczymi słowami.

No więc na co są właściwie słowa?

Liesel powtórzyła to jeszcze raz na głos, mówiąc do ścian oświetlonej na pomarańczowo biblioteki:

– Po co są słowa?

Złodziejka książek wstała i cicho podeszła do drzwi. Skrzypnęły, ale delikatnie. W holu panowała pustka i cisza.

– Frau Hermann?

Pytanie powróciło do niej. Powtórzyła w połowie holu:

– Frau Hermann?

Nic, tylko cisza. Miała ochotę iść do kuchni, wziąć coś dla Rudy'ego. Powstrzymała się. Nie wolno kraść żywności kobiecie, która położyła na oknie słownik. Ponadto przed chwilą zniszczyła jedną z jej książek, drąc ją strona po stronie, rozdział po rozdziale. Dość już narobiła szkód.

Liesel wróciła do biblioteki i otworzyła szufladę. Usiadła za biurkiem.

OSTATNI LIST

Droga Frau Hermann!

Jak Pani widzi, znów byłam w bibliotece. Podarłam książkę. Byłam zła, bałam się, chciałam zniszczyć wszystkie słowa. Nie dość, że kradłam książki, to teraz zniszczyłam Pani własność. Przepraszam. Za karę już nigdy tu nie przyjdę. Ale czy to prawdziwa kara? Kocham to miejsce i nienawidzę, bo jest tu za dużo słów.

Była Pani moją przyjaciółką, choć ja byłam niewdzięcznicą i utrapieniem (poznałam to słowo dzięki słownikowi od Pani). Teraz już dam Pani spokój. Jeszcze raz przepraszam za wszystko.

I jeszcze raz dziękuję.

Zostawiła list na biurku i pożegnała się z biblioteką, przejeżdżając dłonią po grzbietach książek. Nie mogła się powstrzymać, choć ich nienawidziła. Podarte strony leżały obok okładki z tytułem *Zasady Tommy'ego Hoffmana*. Skrawki papieru poruszały się w podmuchach wiatru.

Światło wciąż miało barwę pomarańczy, choć nie tak jaskrawą jak wcześniej. Ręce złodziejki po raz ostatni schwyciły drewnianą framugę, stopy po raz ostatni zabołały po lądowaniu.

Kiedy dochodziła do mostu, pomarańczowe światło zostało wymiecione przez chmury.

Idąc Himmelstrasse, poczuła pierwsze krople deszczu. Nigdy już nie zobaczę Ilsy Hermann, pomyślała. Okazało się jednak, że złodziejka książek była znacznie lepsza w czytaniu i darciu książek niż w przewidywaniu przyszłości.

TRZY DNI PÓŹNIEJ

Kobieta zapukała do drzwi pod numerem trzydziestym trzecim.

Liesel zdziwiła się, widząc ją bez szlafroka. Jej letnia sukienka była żółta z czerwoną lamówką. Na kieszonce nie było swastyki, lecz haftowany kwiatek. Na nogach czarne pantofle. Liesel po raz pierwszy zobaczyła łydki Ilsy Hermann. Miały kolor porcelany.

– Pani Hermann... Jest mi strasznie wstyd za to, co zrobiłam w bibliotece.

Kobieta uspokoiła ją. Sięgnęła do torebki i wyjęła czarną książkę niewielkiego formatu. Nie było w niej drukowanych stron, tylko papier w linie.

– Pomyślałam, że skoro nie chcesz już czytać moich książek, może napiszesz własną. Twój list był taki... – Podała notes Liesel. – Z całą pewnością masz talent. Pisziesz bardzo dobrze. – Notes był ciężki, solidny, a jego okładka matowa jak okładka *Wzruszenia ramion*. – I jeszcze jedno – Ilsa Hermann dała jej dobrą radę. – Nie próbuj się karać, Liesel. Nie stań się taka, jak ja.

– *Danke schön*, Frau Hermann. – Liesel otworzyła notes i pogładziła kartki. – Chętnie zrobię pani kawę. Wejdzie pani? Jestem teraz sama. Mama siedzi u naszej sąsiadki, Frau Holtzapfel.

– Mam wejść drzwiami czy przez okno?

Liesel była pewna, że Ilsa Hermann nie śmiała się tak szczerze od lat.

– Zapraszam drzwiami. Będzie wygodniej.

Usiadły w kuchni.

Liesel przygotowała kawę i kanapki z marmoladą. Próbowwały rozmawiać. Liesel słyszała, jak Ilsa Hermann przełyka poczęstunek, ale wciąż panowała niezręczna cisza. Z przyjemnością patrzyła, jak kobieta delikatnie dmucha nad brzegiem kubka, żeby ostudzić kawę.

– Jeśli coś napiszę, przyniosę pani do przeczytania – obiecała Liesel.

– Będzie mi miło.

Kiedy żona burmistrza wyszła, Liesel długo za nią patrzyła. Przyglądała się żółtej sukience, czarnym bucikom i nogom z porcelany. Podszedł do niej Rudy.

– Czy to jest ta osoba, co myślę?

– Tak.

– Wyglupiasz się.

– Podarowała mi coś.

Okazało się, że Ilsa Hermann tego dnia podarowała Liesel nie tylko notes. Dała jej także powód do siedzenia w piwnicy, która była jej ulubionym miejscem w domu. Najpierw siadywała tam z papą, potem z Maksem. Dała jej możliwość zapisywania własnych słów, żeby te słowa przywróciły ją do życia.

W uszach Liesel dźwięczała dobra rada: „Nie próbuj się karać”. Ale miała nastąpić i kara, i szczęście. Na tym polegało pisanie.

Wieczorem, kiedy mama i papa zasnęli, Liesel przekradła się do piwnicy i zapaliła lampę naftową. Przez pierwszą godzinę wgapiła się w papier i ołówek. Musiała sobie wszystko przypomnieć i nie rozglądać się na boki, jak to miała w zwyczaju.

– *Schreibe* – powiedziała głośno. – Pisz.

Po dwóch godzinach przystąpiła do pisania, nie wiedząc, czy dobrze robi. Skąd miała wiedzieć, że ktoś zaopiekuje się jej książką i nigdy się z nią nie rozstanie?

Nikt nie przewiduje takich rzeczy.

Nikt ich nie planuje.

Usiadła na małej puszcze, a z dużej zrobiła biurko. Zapisła na pierwszej stronie:

ZŁODZIEJKA KSIĄŻEK

historia napisana przez

Liesel Meminger

BRZUCHY SAMOLOTÓW

Przy trzeciej stronie omdlała jej ręka. Słowa są tak ciężkie, pomyślała, lecz nim nadszedł świt zapisała aż jedenaście stron.

STRONA 1

Próbuję zapamiętać, ale wiem, że wszystko zaczęło się od pociągu, śniegu i kaszlu mojego braciszka. Tego dnia ukradłam pierwszą w życiu książkę. Był to Podręcznik grabarza, ukradziony po drodze na Himmelstrasse...

Zasnęła na legowisku z prześcieradeł, położywszy notes grzbietem do góry na większej puszcze. Rano stanęła nad nią mama. Jej chlorowe oczy patrzyły badawczo.

– Co tu do diabła robisz, Liesel?

– Piszę, mamó.

– Jezus, Maria – Rosa zawróciła do schodów. – Jeśli za pięć minut nie zobaczę cię na górze, będzie kuracja wodna, verstehst?

– Rozumiem.

Co noc Liesel wykradała się do piwnicy. Nie rozstawiała się z książką. Pisała godzinami, co wieczór wypełniając dziesięć stron opowieścią o swoim życiu. Musiała sobie przypomnieć tyle rzeczy, tylu nie uronić. Cierpliwości, powtarzała sobie, a wraz z zapisywaniem kolejnych stron wzmacniała jej się ręka.

Czasem pisała o tym, co dzieje się aktualnie w piwnicy. Właśnie skończyła opisywać epizod, jak papa dał jej po twarzy na schodach kościoła i uczył ją mówić *Heil Hitler*. Widziała, jak Hans Hubermann tuż obok pakuje akordeon. Właśnie skończył jej przygrywać do pisania.

STRONA 42

Papa siedział dzisiaj przy mnie w nocy. Zniósł akordeon i usiadł tam, gdzie zwykle siedział Max. Lubię patrzeć na jego palce i twarz, kiedy gra. Akordeon oddycha. Na twarzy papy są wyrysowane głębokie bruzdy i kiedy na nie patrzę, chce mi się płakać. Nie ze smutku ani z dumy, tylko dlatego, że lubię patrzeć, jak się poruszają i zmieniają. Czasem myślę, że papa to żywy akordeon. Kiedy patrzy na mnie, śmieje się i oddycha, słyszę, jak gra.

Po dziesięciu nocach pisania Monachium zostało powtórnie zbombardowane. Liesel doszła do strony 102 i zasnęła w piwnicy. Nie słyszała kukania kukułki ani wycia syren. Kiedy papa po nią przyszedł, przyciskała notes do piersi.

– Chodź, Liesel – powiedział. Spakował wszystkie jej książki i razem poszli po Frau Holtzapfel.

STRONA 175

Książka płynęła na falach Amper.

Chłopak wskoczył do rzeki, złapał ją i uniósł prawą ręką. Zaśmiał się.

Stał po pas w lodowatej, grudniowej wodzie.

– Będzie pocałunek, Saumensch? – zapytał.

Do następnego bombardowania, 2 października, Liesel prawie skończyła. Zostało tylko kilkadziesiąt pustych kartek, a złodziejka książek równolegle zajęła się korektą tego, co dotąd napisała. Podzieliła swoje zapiski na dziesięć części. Tytuł każdej części pochodził od książki albo od ważnego zdarzenia z jej życia.

Zastanawiam się, do której doszła strony, kiedy po pięciu dniach przybyłem w tamtą deszczową noc na Himmelstrasse. Ciekawe, o czym czytała, kiedy z brzucha samolotu wypadła pierwsza bomba.

Wyobrażam sobie, że rzuciła spojrzenie na ścianę, na linę Maksa Vandenburga utkaną z chmur, na kapiące słońce i dwie figurki zmierzające ku niemu. A potem na rozrzucone po ścianie słowa – dokument jej bolesnych wysiłków, by nauczyć się czytać i pisać. Wyobrażam sobie, jak po piwnicznych schodach schodzi Führer z boksterskimi rękawicami na szyi. A złodziejka książek przez wiele godzin czyta po wiele razy ostatnie zdanie swojej książki:

ZŁODZIEJKA KSIĄŻEK

Nienawidziłam słów i kochałam je.

Mam nadzieję,

że nauczyłam się ich używać.

Świat zagwizdał. Padał zardzewiały deszcz.

KONIEC ŚWIATA

Część II

Słowa wyblakły, a czarny notes szargany w mojej kieszeni rozpada się ze zniszczenia. To kolejny powód, dla którego warto opowiedzieć tę historię. Pamiętacie, o czym mówiliśmy? Powtórz coś wielokrotnie, a nigdy tego nie zapomnisz. Poza tym mogę wam powiedzieć, co się stało, gdy złodziejka książek przestała pisać, a przede wszystkim to, jak zapoznałem się z jej opowieścią.

Wyobraźcie sobie, że idziecie w ciemności Himmelstrasse. Macie coraz bardziej mokre włosy i w powietrzu czujecie raptowną zmianę ciśnienia. Pierwsza bomba spada na blok Tommy'ego Müllera. Gdy klękam przy jego łóżku, niewinną twarz chłopca wykrzywia we śnie skurcz. Obok śpi jego siostra. Stopy Kristiny sterczą spod koca. Pasują do śladów na ulicy pozostałych po grze w klasy. Mają malutkie paluszki. Ich matka śpi w tym samym pokoju. W popielniczkę widać cztery niedopałki. Pozbawiony dachu sufit rozżarza się jak kuchenna płyta. Himmelstrasse płonie.

Syreny zaczynają wyć.

– Za późno na tę zabawę – szepczę, bo wszyscy zostali oszukani, i to dwukrotnie. Po pierwsze, alianci sfingowali nalot na Monachium, a tymczasem zaatakowali Stuttgart. Po drugie, dziesięć bombowców pozostało na miejscu. Były ostrzeżenia, a jakże. W Molching syreny odezwały się równo z bombami.

LISTA ULIC

München-, Ellenberg-, Johannson-, Himmelstrasse.

**Główna ulica i trzy mniejsze,
w ubogiej części miasta.**

W ciągu paru minut wszystkie znikły.

Kościół się zawalił.

Miejsce na ulicy, w którym Max Vandenburg przystanął w pochodzie, też już nie istniało.

Pod trzydziestym pierwszym na Himmelstrasse Frau Holtzapfel czekała na mnie w kuchni. Przed nią stała stłuczona filiżanka. Na twarzy kobiety, w ostatnim momencie świadomości, zastygło skierowane do mnie pytanie: Dlaczego, do cholery, tak się ościagałeś?

Frau Diller, przeciwnie, spała bardzo mocno. Jej grube szkła leżały rozbite koło łóżka. Sklep został całkowicie zniszczony, kontuar rzuciło w poprzek drogi, a oprawione zdjęcie Hitlera spadło ze ściany na podłogę. Twarz wodza, pomiętą i poszarpaną, pokrywało roztrzaskane na drobne kawałki szkło. Przeszedłem po niej, odchodząc. Dobrze zorganizowana rodzina Fiedlerów grzecznie leżała w łóżkach, każdy nakryty po szyję. Pfiffikusowi wystawał spod kołdry tylko nos.

U Steinerów przejechałem dłonią po gładkich, pięknych włosach Barbary, poważnie popatrzyłem na poważnego nawet we śnie Kurta i po kolei ucałowałem wszystkie maluchy na wieczne dobranoc.

Był jeszcze Rudy.

O Boże, Boże, Boże, Rudy...

Leżał w łóżku obok jednej z młodszych sióstr. Musiała go skopać, walcząc o więcej miejsca, bo leżał na samym brzegu, obejmując dziecko ramieniem. Spał. Jego jasne jak płomień świecy włosy oświeślały łóżko. Zabrałem dusze Rudy'ego i Bettiny wciąż nakryte kocem. Przynajmniej umarli szybko, ich ciała były wciąż ciepłe. Chłopiec przy samolocie, chłopiec z pluszowym misiem. Kto pocieszy Rudy'ego? Kto mu ulży po tym, jak zrabowano jego życie? Kto go ukoj, gdy dywan życia wyrwano mu spod śpiących stóp?

Nikt.

Zostałem mu tylko ja.

A ja nie jestem dobrym opiekunem, szczególnie gdy łóżko jest ciepłe, a moje ręce lodowate. Niosłem go ostrożnie obróconą w gruzy ulicą, niosłem ze łzą w oku i śmiertelnie ciężkim sercem. Z nim było mi szczególnie trudno. Wejrzawszy na ułamek sekundy w jego duszę, dostrzegłem chłopca z pomalowaną na czarno twarzą, chłopca o nazwisku Jesse Owens, który biegł po wyobrażonej bieżni. I chłopca stojącego po pas w lodowatej wodzie, łowiącego książkę. I chłopca, który wyobrażał sobie przed zaśnięciem smak pocałunku cudownej dziewczyny z domu obok. Ten chłopak nie pozostawia mnie obojętnym. To jego jedyna wada. Włazi mi do serca. Sprawia, że płaczę.

Na koniec Hubermannowie.

Hans.

Papa.

Jego długa postać w łóżku i srebro oczu, przeświecające spod powiek. Jego dusza usiadła, potem wyszła mi naprzeciw. Takie dusze zawsze to czynią – to te najlepsze. Podnoszą się i mówią: „Znam cię, jestem gotowa. Nie, żebym się prosiła, oczywiście, ale pójdę z tobą dobrowolnie”. Te dusze są bardzo lekkie, bo idą bez bagażu, rozdały już siebie. Ta częściowo odpłynęła z oddechem akordeonu, ze wspomnieniem bąbelków wypitego latem szampana, z dotrzymanymi obietnicami. Teraz odpoczywała w moich ramionach. Tęskniła tylko za ostatnim machem ostatniego papierosa i magnetyczna siła ciągnęła ją do piwnicy, gdzie pisała książkę dziewczyna będąca córką Hansa, który pewnego dnia chciał tę książkę przeczytać.

Liesel.

To wyszeptała jego dusza, gdy ją zabierałem. Ale w tym domu nie było Liesel, przynajmniej nie dla mnie. Dla mnie była Rosa, którą uniosłem między jednym a drugim chrapnięciem; jej usta były wpółotwarte, a kartonowe rysy drgały. Gdyby mogła mnie ujrzyć, na pewno wrzasnęłaby „*Saukerl!*”, a ja bym się wcale nie obraził. Po przeczytaniu *Złodziejki książek* wiedziałem, że do wszystkich tak mówiła. *Saukerl, Saumensch*. Szczególnie do tych, których kochała. Jej włosy leżały na poduszce, jej ciężkie ciało unosiło się w rytmie bicia serca. Bo ta kobieta miała serce. Większe, niż mogło się zdawać. Bardzo pojemne i pełne skrytek, jak głęboka szafa. Pamiętajcie, to ona siedziała całe noce z akordeonem przytroczonym do piersi. To ona od pierwszej nocy karmiła obcego Żyda, nie zadając żadnych pytań. To ona aż po pachę wsadziła rękę w materac, by wydobyć z niego książkę dla nastoletniej dziewczynki.

SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

**Chodziłem po Himmelstrasse w tę i z powrotem,
zbierając dusze. Ostatnia należała do niejakiego
Schultza. Mieszkał na końcu ulicy.**

Nie przeżył, zasypany cegłami zburzonego domu. Niosłem jego duszę w górę ulicy, gdy usłyszałem radosne okrzyki brygady LSE. Przekopali wąskie przejście wśród ruin.

Płonące niebo bulgotało czerwienią, zabarwioną ciemnymi wirami pieprzu. Zaciekawilem się. Wiem, wiem, co wam mówiłem na początku. Zwykle moja ciekawość owocuje krzykami rozpacz, ale tym razem było inaczej. Mówię to ze ściśniętym sercem, ale cieszę się, że byłem świadkiem tego, co nastąpiło.

Kiedy ją wynieśli, zaczęła płakać i wołać Hansa Hubermanna. Ludzie z LSE próbowali ją trzymać w swych zakurzonych ramionach, ale złodziejka książek zdołała się wyrwać. Ludzie w rozpacz nabierają nadludzkich sił. Nie wiedziała, dokąd biegnie, bo Himmelstrasse już nie istniała. Otaczała ją apokalipsa. Dlaczego niebo było takie czerwone? Dlaczego padał z niego śnieg? Dlaczego ten śnieg palił jej ramiona?

Liesel zwolniła i zaczęła się zastanawiać.

Gdzie był sklep Frau Diller? Gdzie jest...?

– Jesteś w szoku, moje dziecko – powiedział jakiś mężczyzna, przytrzymując ją za ramię. – To był wstrząs, ale przejdzie, nie martw się.

– Co się stało? – spytała Liesel. – Czy to Himmelstrasse?

– Tak – mężczyzna odwrócił wzrok. Dość się napatrzył przez ostatnie lata. – Zbombardowali nas, dziecko. *Es tut mir Leid, Schatzi*. Przykro mi, skarbie.

Usta dziewczyny drżały, choć ciało zamarło w bezruchu. Już nie pamiętała swych lamentów nad Hansem Hubermannem. Cofnęła się w myśli do pierwszego bombardowania. Musimy wrócić po papę i mamę. Musimy zabrać Maksa z piwnicy. Jeśli tam go nie ma, to pewnie jest w korytarzu i wygląda przez okno. Nie ma okazji często oglądać nieba, dlatego opowiadam mu zawsze prognozę pogody. Ale on mi nie wierzy i... Liesel osunęła się. Mężczyzna w porę ją podtrzymał.

– Zaraz ją zabierzemy – zameldował sierżantowi.

Złodziejka książek patrzyła na swą rękę, na ciężki, bolesny przedmiot.

Książka.

Słowa.

Jej palce krwawiły, jak tego wieczora, kiedy przywieziono ją na Himmelstrasse.

Żołnierz z LSE wziął ją na ręce. Minął ich człowiek niosący rozbity futerał na akordeon. Liesel widziała zamknięty w środku instrument. Widziała jego białe zęby przetykane czarnymi klawiszami. Uśmiechały się do niej i budziły do życia. Zbombardowali nas, pomyślała i powiedziała do swojego wybawcy:

– To akordeon mojego taty. To akordeon mojego taty – powtórzyła.

– Nie martw się, dziecko, już jesteś bezpieczna. Przejdźmy dalej.

Ale Liesel nie chciała iść.

Patrzyła za mężczyzną, który niósł akordeon. Czerwone niebo wciąż śnieżyło delikatnym popiołem. Liesel zatrzymała wysokiego żołnierza z LSE.

– Wezmę to – powiedziała. – Należał do mojego papy.

Odebrała pudło mężczyźnie. I wtedy ujrzała pierwsze ciało. Akordeon z hukiem eksplozji wypadł jej z ręki. Na bruku rozkrzyżowana była Frau Holtzapfel.

KOLEJNE DWANAŚCIE SEKUND

ŻYCIA LIESEL MEMINGER

**Obraca się i patrzy w przesmyk
między ruinami, który kiedyś był
Himmelstrasse. Widzi ludzi niosących
zwłoki. Idzie za nimi.**

Kiedy zobaczyła inne ciała, dostała ataku kaszlu. Usłyszała rozmowę. Jeden człowiek opowiadał drugiemu, że znalazł jedno z ciał w kawałkach, w gałęziach klonu.

Zobaczyła pasiaste piżamy i poranione twarze. Ale najpierw zobaczyła cytrynowe włosy.

Rudy?

– Rudy?!

Leżał ze swymi żółtymi włosami i zamkniętymi oczami. Złodziejka książek podbiegła ku niemu i upadła. Rzuciła na ziemię swój czarny notes.

– Rudy... Obudź się! – zaczęła nim potrząsać, nie wierząc w to, co widzi. – Rudy! – Liesel szarpała go za koszulę.

– Rudy, proszę cię. – Łzy pociekły jej po twarzy. – Rudy, obudź się, do cholery. Rudy, kocham cię. Rudy, ty jesteś Jesse Owens. Rudy, kocham cię, obudź się.

Nic nie skutkowało.

Góra gruzów rosła coraz wyżej. Betonowe falbany z czerwonym wykończeniem. Śliczna dziewczynka zalana łzami, potrząsająca martwym ciałem.

– Obudź się, Jesse Owens.

Ale chłopak się nie obudził.

Liesel ukryła twarz na jego piersi. Podniosła go, przytuliła, zaczęła kołysać. Martwe ciało ciążyło jednak ku ziemi. Liesel opuściła go delikatnie.

Wolno. Bardzo wolno.

– Boże, Rudy...

Liesel pochyliła się nad martwą twarzą i pocałowała swego najlepszego przyjaciela, Rudy'ego Steinera, szczerze i mocno w same usta. Smak pocałunku był słodki i duszący. Był wspomnieniem po niedokonanych pocałunkach wśród świerków i w sklepie z garniturami. Liesel całowała go delikatnie i długo, a kiedy oderwała się od martwego ciała, jej palce nadal błądziły po jego wargach. Ręce jej się trzęsły, spuchnięte wargi po raz ostatni próbowały

całować, ale nie trafiły w cel. Ich zęby zetknęły się z trzaskiem. To pasowało do atmosfery zdemolowanej Himmelstrasse.

Liesel nie powiedziała „do widzenia”. Nie umiała. Z trudem wstała z ziemi, przytuliwszy się jeszcze na kilka minut do martwego ciała. Zawsze mnie zastanawia, do czego zdolni są ludzie, nawet będąc w stanie największego napięcia, zapłakani, kaszlący, słabi. I znajdujący.

KOLEJNE ODKRYCIE

**Skręcone ciała papy i mamy leżały
w zmierzwionej pościeli
ze żwiru na Himmelstrasse.**

Liesel już nie biegła, nawet nie podeszła. W ogóle się nie ruszała. Na widok zwłok jej oczy zaszyły mgłą. Wysoki mężczyzna. Mała kobieta. Mój papa. Moja mama. Własne słowa wreszcie do niej dotarły.

– Nie ruszają się – wyszeptwała. – Wcale się nie ruszają.

Może gdyby stała tam wystarczająco długo, to jednak ich ciała zaczęłyby się ruszać, ale na razie były równie martwe jak jej ciało w bezruchu. Wtedy zauważyłem, że nie ma na sobie butów. Dziwne. Być może wolałem patrzeć na jej stopy niż na twarz. Wyraz tej twarzy to na pewno nie był miły widok.

Zrobiła krok, bo choć już nie mogła więcej znieść, jednak musiała. Usiadła na ziemi między nimi. Ujęła rękę mamy i spytała:

– Pamiętasz, mamó, jak tu przyjechałam? Jak się trzymałam furtki i płakałam? Pamiętasz, co powiedziałaś do tych ludzi na ulicy? „Na co się, dupki, gapicie?!” Mamó, ja wiem, że ty... Pamiętam, jak przyszłaś do szkoły, żeby mi powiedzieć, że Max się obudził. Nie wiedziałaś, ale patrzyłam, jak siedziałaś z akordeonem papy. – Liesel ścisnęła mocniej tężejący nadgarstek. – Przyszłam i patrzyłam. Byłaś taka piękna, mamó. Cholera jasna, byłaś cudowna, mamó.

TEGO NIE

**Nie mogła, nie potrafiła
spojrzeć na papę.
Nie i już. Nie tu i nie teraz.**

Papa – człowiek o srebrzystych oczach. Teraz były martwe.

Papa był akordeonem!

Teraz nie oddychał.

Powietrze nie wchodzi i nie wychodzi ze środka.

Liesel zaczęła się bujać jak dziecko z sierocińca. Buczała jedną przenikliwą nutę, monotonną, ale przylepną. Jednostajną.

Hołd dla papy.

Nic tu nie miałem do roboty. Obszedłem ją i jednak spojrzałem w jej twarz. Kogo kochała najbardziej? Jej oczy namacalnie głaskały każdy szczegół jego twarzy. Zatrzymały się na bruździe na policzku. To on uczył ją w łazience kręcić papierosy. To on dał umierającemu Żydowi chleb na Münchenstrasse. To on kazał jej na głos czytać ludziom książki w schronie.

Papa. Akordeonista z Himmelstrasse.

Jedno nie miało racji bytu bez drugiego. Dla Liesel i człowiek i ulica oznaczały dom. Tym był Hans Hubermann dla Liesel Meminger.

Odwróciła się do przechodzącego żołnierza z LSE.

– To akordeon mego papy. Czy mogę go zatrzymać?

Po kilku minutach zastanowienia sierżant odebrał żołnierzowi akordeon. Liesel otworzyła zniszczony futerał.

Wyjęła instrument i położyła go obok zwłok.

– Masz, papo.

Przysięgam, że wtedy zobaczyłem to, co widziała złodziejka książek. Hans Hubermann zagrał jej na akordeonie. Ona klęczała na ziemi, on wstał i zagrał. Grał pośród zburzonych domów, mrugając swymi rtęciowymi oczami, z papierosem przylepionym do ust. Zrobił kiksa i zaśmiał się cicho z własnego fałszu. Miech poruszał się, oddychał, a wysoki mężczyzna po raz ostatni grał dla Liesel Meminger pod rozgrzanym do czerwoności niebem.

Graj, papo.

Akordeon zamilkł.

Opuścił instrument na ziemię, a jego srebrne oczy pokryła rdza. Było już tylko martwe ciało na bruku. Liesel uniosła je i przytuliła. Wypłakała się na ramieniu Hansa Hubermanna.

– Żegnaj, papo. Darowałeś mi życie. Nauczyłeś mnie czytać. I nikt nie grał tak jak ty. Już nigdy nie spróbuję szampana. Nikt nie umiał grać tak pięknie jak ty.

Uścisnęła go, ucałowała w ramię. Nie dała rady spojrzeć mu jeszcze raz w twarz. Położyła go na bruku.

Złodziejka książek lamentowała nad nimi, póki jej nie zabrano.

Później wrócili po akordeon, ale nikt nie pamiętał o notesie.

Było tam mnóstwo do sprzątnięcia i *Złodziejkę książek* nieraz podnoszono z ziemi. Wreszcie wylądowała bez należytej uwagi na ciężarówce z gruzem. Stamtąd ją zabrałem...

Całe szczęście, że tamtędy przechodziłem.

Głupi żart.

W większości miejsc jestem przynajmniej raz, a w 1943 roku byłem właściwie wszędzie.

EPILOG

OSTATNI KOLOR

Występują:

Liesel i śmierć – drewniane łyży – Max – doręczyciel

LIESEL I ŚMIERĆ

Minęło dużo czasu, a ilość mojej roboty nie maleje. Mówię wam, ten świat to fabryka. Napędza ją słońce, ale rządzą ludzie. A ja trwam. Zabieram ich dusze.

Trzeba skończyć tę opowieść. Jestem zbyt zmęczony, by się silić na wytworny styl. Opowiem po prostu.

OSTATNI FAKT

Wczoraj zmarła

złodziejka książek.

Liesel Meminger dożyła sędziwego wieku, daleko od Molching i od Himmelstrasse.

Zmarła na przedmieściach Sydney. Jej dom nosił numer 45 – taki sam jak schron na Himmelstrasse u Fiedlerów.

Niebo najpiękniej błękitniało po południu. Jej dusza, podobnie jak dusza papy, podniosła się na moje przybycie.

Tuż przed śmiercią zobaczyła trójkę swoich dzieci, swoje wnuki, swego męża i mnóstwo ludzi, z którymi skrzyżowała się droga jej życia. Najważniejsi byli Hans i Rosa Hubermann, mały braciszek i chłopiec o włosach koloru cytryny. Na zawsze.

Ale także kilka innych obrazów.

Pozwólcie, że się z wami tym podzielę.

Wywołam je.

LAS PO POŁUDNIU

Kiedy już zrobiono porządek na Himmelstrasse, Liesel Meminger nie miała gdzie się podziać. Mówiono o niej „dziewczynka z akordeonem”. Zabrano ją na policję. Tam miał się przesądzić jej los.

Usiadła na bardzo twardym krześle. Akordeon łypał do niej z dziury w pudle.

Po trzech godzinach na posterunku zjawili się burmistrz i jego żona o pierzastych włosach.

– Mówiono nam, że jedna dziewczynka z Himmelstrasse ocalała – powiedziała kobieta.

Policjant przytaknął.

Ilsa Hermann zaproponowała, że poniesie akordeon, ale Liesel nie chciała się od niego oderwać. Przeszli kawałek Münchenstrasse, gdzie pojawiła się granica między zburzonymi a ocalałymi dzielnicami.

Burmistrz prowadził samochód.

Liesel i Ilsa siedziały na tylnym siedzeniu.

Między nimi leżało pudło akordeonu, które dziewczyna przytrzymywała ręką.

Najłatwiej byłoby nic nie mówić, ale Liesel postąpiła inaczej. Siedząc w gościnnym pokoju w domu burmistrza, mówiła i mówiła. Mówiła sama do siebie, do późnej nocy. Prawie nic nie jadła. Za to ciągle się myła.

Przez cztery dni podróżowała w myśli – nie ruszając się z Grandestrasse 8 – po zrujnowanej Himmelstrasse. Dużo spała. Nie miała snów. Niechętnie się budziła. Bo przecież wszystko znikło, kiedy zasnęła.

W dzień pogrzebu się nie wykąpała, choć Ilsa Hermann spytała, czy chce. Przedtem bez słowa dawała jej ręcznik.

Ludzie, którzy znali Rosę i Hansa Hubermannów, długo potem opowiadali o dziewczynie, która w ślicznej sukience chodziła po koszmarnych gruzach Himmelstrasse. Plotkowano potem, że w tej sukience weszła też po pas do rzeki i wygadywała dziwne rzeczy.

Coś o całowaniu

Ktoś usłyszał słowo *Saumensch*.

Ile razy musiała się żegnać?

Minęły tygodnie i miesiące. Wojna wciąż trwała. Ona – w momentach największej żałoby – wspominała książki zrobione specjalnie dla niej i tę, która ocaliła jej życie. Pewnego ranka, w nowym napadzie szoku, poszła nawet na Himmelstrasse, ale już nic tam nie było. Żadnych śladów. Ślad pozostał jedynie w jej długim życiu.

U Steinerów odbyły się dwie uroczystości pogrzebowe. Jedna natychmiast, druga po powrocie Aleksa, którego zwolniono z wojska po bombardowaniu.

Zaraz po złych wieściach Alex się załamał.

– O Boże – powiedział – a mogłem pozwolić, żeby Rudy poszedł do tej szkoły.

Kogoś ratujesz.

Kogoś zabijasz.

Kto może wiedzieć, jak się to skończy?

Alex nie mógł się pogodzić z tym, że nie było go na Himmelstrasse, że nie zginął zamiast Rudy'ego.

To właśnie oznajmił Liesel, kiedy odnalazł ją na Grandestrasse 8, po usłyszeniu o jej cudownym ocaleniu.

To spotkanie było dla niego wstrząsem.

Liesel powiedziała mu, jak całowała martwego Rudy'ego. Wstydziła się, ale musiała mu to opowiedzieć. Na drewnianej twarzy pojawiły się drewniane łzy i dębowy uśmiech. Liesel widziała tylko szare, ale lśniące niebo. Srebrzyste popołudnie.

MAX

Kiedy wojna się skończyła i przyszedłem po samego Hitlera, Alex Steiner znów otworzył swój sklep. Nie żeby specjalnie na tym zarabiał, ale przynajmniej miał jakieś zajęcie, a Liesel mu pomagała. Spędzali razem wiele czasu, wiele razy też chodzili do Dachau, ale od Amerykanów niczego się tam nie dowiedzieli.

W końcu w październiku 1945 roku do sklepu wszedł gładko ogolony mężczyzna o przepastnie głębokich oczach i włosach jak krucze pióra. Podeszedł do lady.

– Czy zastałem Liesel Meminger?

– Jest na zapleczu – odparł Alex. Przewidywał odpowiedź, ale chciał się upewnić. – A kto o nią pyta?

Liesel przyszła.

Objęli się bez słowa, zapłakali, upadli na podłogę.

DORĘCZYCIEL

Dużo rzeczy widziałem, wiele przeżyłem wojen i spotkań z największymi łajdakami w historii.

Ale pamiętam także inne chwile.

Znam mnóstwo opowieści o ludziach (jak wspominałem wam na początku), którym pozwalałem odrywać się od pracy. Tak samo jak barwy. Zbieram je w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach i kolekcjonuję je w pamięci.

Złodziejka książek jest jedną z takich historii.

Kiedy zjawiłem się w Sydney po Liesel, zrobiłem coś, na co długo czekałem. Odłożyłem na chwilę jej duszę i zabrałem ją na spacer niedaleko stadionu na Anzac Avenue. Wyciągnąłem z kieszeni zniszczony czarny notes.

Staruszka była zadziwiona. Wzięła książkę, nie wierząc własnym oczom, i spytała:

– To naprawdę to?

Przytaknąłem.

Drżącymi z lęku dłońmi otworzyła *Złodziejkę książek* i przekartkowała ją.

– Nie mogę uwierzyć...

Mimo że atrament wyblakł, dawało się odczytać zdania. Głaskała dłońmi słowa zapisane w piwnicy przy Himmelstrasse.

Opanowała się.

– Czytałeś to? - spytała, nie patrząc na mnie. Jej wzrok był skupiony na słowach.

– Wiele razy.

– I zrozumiałeś?

Zamilkłem.

Ulicą jechały samochody prowadzone przez Hitlerów, Hubermannów, Maksów, Dillerów, Steinerów...

Dużo rzeczy miałbym do powiedzenia złodziejce książek, i o ludzkim pięknie, i o ludzkiej brutalności. Ale czyż sama tego wszystkiego nie wiedziała? Chciałem jej powiedzieć, jak stale mi się zdarza nie doceniać ludzkiej rasy albo ją przeceniać. Najgorzej ze sprawiedliwą *oceną*. Chciałem ją zapytać, jakim sposobem te same rzeczy mogą się wydawać równie obrzydliwe i równie wspaniałe, dlaczego te same opowieści bywają równie wstrętne i równie cudowne.

Ale o nic nie zapytałem.

Wszystko, co powiedziałem duszy Liesel Meminger, powiem i wam.

OSTATNIA UWAGA NARRATORA

Czuję się prześladowany przez ludzi.

PODZIĘKOWANIA

Zacznę od podziękowań dla Anny McFarlane (osoby ciepłej i mądrej), a także Erin Clarke (za jej intuicję, dobroć i udzielanie właściwych rad we właściwym czasie). Specjalne podziękowania należą się Bri Tunnicliffe za cierpliwość i znoszenie mojego spóźnialstwa.

Jestem dłużnikiem Trudy White, osoby pełnej wdzięku i talentów. Jestem wdzięczny, że jej rysunki mogły się znaleźć w tej książce.

Wielkie dzięki dla Melisy Nelson, w której wykonaniu trudna praca wydawała się łatwa. Nie sposób było tego nie zauważyć.

Niech przyjmą podziękowania za udział w moim pisaniu: Cate Paterson, Nikki Christer, Jo Jarrah, Anyez Lindop, Jane Novak, Fiona Inglis, i Catherine Drayton. Wszystkim dziękuję za poświęcenie mi czasu i opowiedzenie bezcennych historii swego życia. Dziękuję bardziej, niż jestem zdolny to wyrazić.

Dziękuję Sydney Jewish Museum, Australian War Memorial, Doris Seider i Jewish Museum w Monachium, Andreusowi Heuslerowi z Monachijskich Archiwów Miejskich i Rebecce Biehler za informację na temat owocowania jabłoni.

Jestem wdzięczny Dominice Zusak, Kindze Kovac i Andrew Jansonowi za inspirujące rozmowy i wytrwałość.

Na koniec chciałbym wyrazić specjalne podziękowania Lisie i Helmutowi Zusakom – za historie, w które trudno uwierzyć, za uśmiech i za pokazanie mi odwrotnej strony życia.